

NAJNOWSZY THRILLER AUTORA
BESTSELLEROWEGO *SEZONU NIEWINNYCH*

„Strzeż się,
JO NESBØ!”

Bergens Tidende

S A M U E L

B J Ø R K

WILK



S A M U E L B J Ø R K

WILK

Z języka norweskiego przełożyła
Milena Skoczko-Nakielska



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Ulven

Copyright © Samuel Bjørk 2021
Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2023 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2023 for the Polish translation by Milena Skoczko-Nakielska
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autora: © Harald Øren

Redakcja: Mariusz Kulan
Korekta: Joanna Habiera, Aneta Iwan, Iwona Wyrwisz

This translation has been published with the financial support of NORLA.



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2023

SPIS TREŚCI

1. KWIECIEŃ 2001

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

2

11

12

13

14

15

16

17

18

19

3

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

4

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

5

42

43

44

45

46

47

48

49

50

6

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

7

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

8

78

79

80

81

82

9

83

84

85

Przypisy.

Dwudziestego ósmego maja 1993 roku na polu w Fagerhult w Szwecji, około dziesięciu kilometrów na północ od Uddevalli, znaleziono ciała dwóch jedenastoletnich chłopców. Gospodarz, który odkrył zwłoki, opisał to później słowami „jakby ktoś otworzył bramy piekieł”. Jeden z zamordowanych chłopców, Oliver Hellberg, leżał na plecach, nagi. Kilka metrów dalej znajdował się drugi, Sven-Olof Jönsson, on miał na sobie majtki. Między nimi było truchło zwierzęcia. Białego królika. Z uwagi na drastyczne okoliczności śmierci nastolatków utworzono ekipę złożoną ze śledczych ze sztokholmskiej Rikskriminalpolisen, która miała współpracować z miejscową policją. Szybko się okazało, że to nie działa. W kolejnych latach aż trzy razy wymieniano kierownictwo zespołu. W końcu Eva Nordberg, minister sprawiedliwości Szwecji, musiała podać się do dymisji. Śledczym zarzucono też, że nie zapobiegli wyciekowi treści pamiętnika jednego z chłopców. Jego rodzice, Emilie i Patrick Hellbergowie, zwrócili się do sądu o uniemożliwienie tabloidom opublikowania osobistych myśli zamordowanego jedenastolatka. Wygrali w pierwszej instancji w Uddevalli, ale przegrali w Sądzie Apelacyjnym dla zachodniej Szwecji. Kilka tygodni później Emilie Hellberg została znaleziona martwa w wannie w ich domu rodzinnym przy Ekeskärsvägen. Popełniła samobójstwo. Czternastego października 1993 roku, nazwanym „dniem hańby” w historii szwedzkiego dziennikarstwa, pamiętnik chłopca w całości opublikowały zarówno „Expressen”, jak i „Aftonbladet”. Obie gazety po raz pierwszy zdecydowały się na taką samą stronę tytułową: przedstawiły na niej ostatnią stronę z pamiętnika Olivera Hellberga. Znajdowały się na niej tylko dwa zdania skreślone pismem pełnym zawijasów:

Jutro wszędzie księżyc. Boję się Wilka.

Sprawa pozostaje wciąż nierozwiązana.

1

KWIECIEŃ 2001

1

THOMAS BORCHGREVINK STAŁ na parkingu przed starą szkołą Fredheim w Lørenskog. Miał nadzieję, że wkrótce powieje lekki wiatr. Nie wiedział, dlaczego wybrała na spotkanie właśnie to miejsce, ale miał pewne przypuszczenia. Chciała mu to maksymalnie utrudnić? O to chodziło? Nie mylił się? Trzydziestosześcioletek rzucił okiem na zegarek w chwili, gdy stado wron poderwało się do lotu z pobliskiego drzewa. Ich głośne, gardłowe dźwięki niosły się nad pustkowiem. Nic tu nie było, tylko pola, zwirownia i ten stary biały budynek szkoły, do której sam chodził jako dziecko. W innym życiu. Przed zdarzeniem. Od dawna nie zapuszczał się do tej części świata. Od dawna nigdzie się nie zapuszczał. Dwanaście lat za kratami. Wszedł kilka miesięcy temu i jeszcze nie przywykł do tego uczucia. Że może robić, co chce. Thomas owinął się szczelniej kurtką, usiadł na schodach starego budynku i skierował twarz w stronę delikatnych promieni słońca, które ostrożnie wyłaniały się zza zagajnika.

Za kwadrans dziewiąta. Mieli się spotkać o dziesiątej, ale nie zamierzał ryzykować. Była zdolna do wszystkiego. *Sami widzicie, umówiliśmy się na dziewiątą, ale on się nie zjawił. Naprawdę uważacie, że ma prawo spotykać się ze swoim synem? Ostatni raz, gdy się widzieli, chłopiec miał zaledwie dwa lata. Jesteście tego świadomi?* Nagle korony drzew na końcu drogi cicho zaszeleściły, sprawiając, że poczuł lekki optymizm. Może jednak się zerwie? Wiatr? Z tym latawcem to był jednak idiotyczny pomysł. Godzinami się zastanawiał, co mogliby robić na dworze, ale nic nie wymyślił. Tak długo stał w sklepie z zabawkami, że aż w końcu ekspedientka podeszła do niego i spytała, czy wszystko w porządku. W porządku? Nic nie było w porządku. To chyba jasne? Co ona sobie myślała? Oczywiście, to nie była jej wina, więc sięgnął po pierwszą lepszą zabawkę. Latawiec. Na dworze. Przy starej szkole. Będą puszczać razem latawiec. Fajnie, prawda? Chociaż teraz tego żałował, bo wiatr znowu ucichł. Szachy.

To była jego pierwsza myśl. Nauczyć chłopaka reguł, może zagrać z nim kilka razy. Ale porzucił ten pomysł, gdy się dowiedział, że spotkanie odbędzie się na dworze. Z przyzwoitką. Że pod żadnym pozorem nie zgodzi się, żeby został z nim sam na sam.

Gdy przyszła go odwiedzić, inaczej mówiła. Siv Johnsen. Nawet jej nie pamiętał. *Borchgrevink, masz gościa.* Pierwszego od trzech lat. *Jakaś dziewczyna. Siedzi w dwójce.*

Gość?

Dziewczyna?

Mama?

Nie.

Oczywiście, że nie.

Wystrojona jak na jakąś wielką okazję, z kwiatami we włosach i czerwonymi policzkami, w krótkiej letniej sukience. Siv Johnsen. W liceum chodzili do tej samej klasy. Przez tych parę miesięcy, kiedy tam się zjawiał, zanim głosy w jego głowie przejęły nad nim kontrolę.

I przychodziła tak przez prawie trzy lata, co dwa tygodnie, aż w końcu prawie ją polubił. Zdjęcia z porodówki. Z pierwszych urodzin synka. *Martin tęskni za tatą!*

Nagle koniec.

Nigdy więcej.

Inny mężczyzna. Z czasem to do niego dotarło.

Nieważne.

Nie obchodziła go.

Ale dziecko?

Najcudowniejszy chłopiec na świecie.

Jego syn.

Martin.

Nie, kurwa mać!

Thomas wstał ze schodów i wyszedł na plac, żeby wyrzucić to z siebie.

Spokojnie.

Nie wściekaj się.

Nagle przestała przychodzić, za to dostawał mnóstwo listów, pisanych na komputerze pism od anonimowych urzędników

informujących go o tym, że już nigdy nie zobaczy syna.

Kopnął kamień i znowu spojrzął na zegarek.

Piętnaście po dziewiątej.

Ani żywej duszy.

Zresztą po co ktoś miałby się tutaj zapuszczać? Przecież tu nic nie było. Na Losbyveien, za Finstad? Tak daleko chyba nikt nie mieszkał? Tuż za zakrętem znajdowała się strzelnica, a za zagajnikiem żwirownia. Znał tam każdy kamień, kochał tę szkołę, to miejsce, przychodził tu każdego ranka, uwalniając się od pobytu w domu, od ciemnego mieszkania, od tych zimnych ludzi, którzy mieli się nim opiekować. Dźwięk budzika na nocnym stoliku, ramiona Myszki Miki, które pokazywały, że najwyższa pora wstać, jeśli chce zdążyć wyjść, wymknąć się po cichu, w skarpetkach, tak żeby nikogo nie obudzić. Śniadaniówka, którą wypełniał tym, co udało mu się znaleźć.

W szkole nie był orłem, raczej średniakiem, w każdym razie do najsłabszych uczniów również nie należał.

Ale to ciepło.

Od kogoś, komu zależało.

Za kwadrans dziesiąta pojawił się pierwszy samochód, lekko zardzewiała toyota corolla. Blondynka w okrągłych okularach nerwowo uściśnęła mu dłoń.

– Astrid Lom, Urząd do spraw Opieki nad Dziećmi.

– Thomas.

Ciche pochrząkiwanie nad teczką, która zapewne zawierała to samo, co przysłali jemu.

Skazany za zabójstwo.

Osiemnaście lat.

Dobre sprawowanie.

Przedterminowe zwolnienie.

Matka wyraziła zgodę na spotkanie z synem.

Pod nadzorem.

Za pięć, w końcu nadjechał samochód.

Biały.

Drogi.

Jakżeby inaczej.

Znalazła sobie coś lepszego, ale to nie miało znaczenia, nie teraz.
Thomas poczuł, że robi mu się gorąco, kiedy z wilgotnymi dłońmi wyszedł im na spotkanie.

– Nie, nie, proszę poczekać.

Czyjaś dłoń zatrzymała go.

– Tak, jasne, sorry.

Krok po kroku.

Na warunkach chłopca.

Martin.

Jest tutaj.

Thomas uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył, jak otwierają się drzwi samochodu.

Ciemne włosy.

Brązowa bluza.

Lekkie zakłopotanie na twarzy, kiedy chłopiec stanął przy samochodzie. Żadnego znaku, że osoby siedzące z przodu zamierzają mu pomóc.

Cholerni idioci.

Nie widzicie, że on...?

Na szczęście urzędniczka miała trochę więcej wyczucia, szybkie kroki po placu, ramię wokół chudego ciała i nagle stał przed nim. Thomas musiał bardzo się starać, żeby się nie rozpłakać.

– Cześć, Martin.

– Cześć...

Piękne niebieskie oczy, które nie chciały na niego patrzeć. Zamiast tego zerkały na jego buty.

– Jak się masz?

– Co?

Spojrzenie, lekko zaciekawione.

– Masz bardzo fajną bluzę.

– Ee... dzięki.

Chłopiec podniósł wzrok na urzędniczkę, jakby chciał zapytać, kim ona jest i co tu robi.

– Czy to robot?

– Co? Nie. Bionicle.

Thomas zrobił sondujący krok do przodu.

– Bionicle. Fajne imię.

Martin roześmiał się nieśmiało.

– On się nie nazywa Bionicle. On *jest* Bionicle.

– Ach tak, sorry. W takim razie jak ma na imię?

– Ten tutaj?

– Tak?

Blondynka odeszła nieco na bok.

– Makuta.

– *Cool*. To twój ulubieniec?

Chłopiec znowu rzucił mu nieśmiałe spojrzenie.

– Ee... nie. Najbardziej lubię Ehleka, ale nie mieli z nim bluzy.

– Co za głupota!

– No. Ale mam jego figurkę.

Rzucił szybkie spojrzenie za siebie, w stronę białego samochodu.

– Straszna szkoda, że nie wiedziałem, że lubisz Bionicle, bo mógłbym zabrać je ze sobą.

– Nieważne.

Zdmuchnął grzywkę z czoła i spojrział z zaciekawieniem na torbę foliową leżącą na schodach.

– Co tam masz?

– Niestety nic ciekawego. Miałem nadzieję, że będzie wiatr.

– Wiatr? Dlaczego?

– Żebyśmy mogli go puścić. Latawiec. Sam nie wiem. Na pewno uważasz to za nudziarstwo.

– Wcale nie – odparł i uśmiechnął się lekko. – Chętnie puszcę latawiec.

Drzewa znowu trochę zaszumiały, więc tam w górze jednak ktoś się o niego troszczył.

– Tak? – ucieszył się Thomas. – Sprawdźmy, czy nam się uda?

– Okej.

– Może wyjdziemy na pole? Zdaje się, że tam wieje trochę mocniej.

Wyjął latawiec z reklamówki i spojrział na urzędniczkę.

– Zgadza się pani, żebyśmy...?

Skinęła głową.

– Dlaczego spytałeś ją o pozwolenie? – zdziwił się Martin, gdy opuścili stary budynek i latawiec leżał na ziemi między nimi.

Kwiecień w Norwegii.

Zapach świeżo zaoranej ziemi.

Wkrótce ziarno wykiełkuje, wykorzysta lato do tego, by nabrać żółtego koloru.

Walczył teraz ze sobą.

Żeby powstrzymać emocje.

– Ona jest tutaj, żeby pilnować.

– Pilnować? Kogo?

– Ciebie. Chcesz pierwszy go puścić? Ty biegniesz, a ja trzymam?

– Okej.

Znowu się uśmiechnął, a potem podniósł latawiec.

Teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Dwie twarze w samochodzie.

Urzędniczka z plikiem dokumentów.

Te wszystkie lata.

Teraz zniknęły.

Tylko ten mały chłopiec, który biegł po polu, uśmiechając się szeroko, gdy latawiec w końcu oderwał się od ziemi i po chwili łopotał dumnie między chmurami.

– Spójrz! Wow!

Dwadzieścia pięknych krótkich sekund, zanim latawiec poddał się i runął na końcu pola.

A potem – to, czego Thomas Borchgrevink nie zapomni do końca życia.

Chłopiec wrócił, lecz z zupełnie innym wyrazem twarzy.

– Co się stało, Martinie?

– Tam ktoś leży.

– Co ty mówisz?

Mała dłoń, która wstydliwie usiłowała zasłonić mokrą plamę z przodu spodni.

– Nie ruszają się.

2

HOLGER MUNCH SIEDZIAŁ w czarnym audi i słuchał suitę wiolonczelowej nr 1 G-dur Bacha. Czuł wyrzuty sumienia, że zostawił rodzinę, odchodząc od niedzielnego śniadania. Nie żeby się skarżyli. Nigdy tego nie robili. W każdym razie nie wtedy, kiedy dzwoniło w *tych* sprawach. Późnym wieczorem. W samym środku urlopu. W wigilię, kiedy na stole właśnie wylądowały żeberka. W każdym przypadku – pełne zrozumienie. Czterdziestotrzyletni Holger Munch prawie od dwudziestu lat pracował jako śledczy i zawsze mógł na nią liczyć. Na Marianne. Sympatię z ogólniaka. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, a ślub wzięli tuż po zdaniu egzaminów. W końcu, po dziewięciu latach, na świat przyszła ich córka Miriam, która teraz miała czternaście lat i wbrew obiegowym opiniom o nastoletnich dziewczynach wcale nie było z nią aż tak źle. Rodzina zawsze stała po jego stronie. Bez względu na to, jak wiele go omijało. Zeszłej jesieni świętowali nawet jego awans, chociaż wszyscy doskonale wiedzieli, że odtąd będzie miał jeszcze więcej pracy. Nowa jednostka do spraw zabójstw. W oddzielnym lokalu. Daleko od komendy policji w Grønland. Munch nie tylko zdobył zaufanie jako szef tego historycznego tworu, ale dano mu również wolną rękę przy wyborze członków zespołu. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna miał za sobą fantastyczną zimę. Zwykle siedł w kompletnej ciemności, ukryty za rudą zamarznąętą brodą, przeklinając wszystko i wszystkich, zwłaszcza tych idiotów, którzy jeździli na nartach i uwielbiali śnieg, ale w tym roku miał na głowie zupełnie inne rzeczy. Generalny wykonawca. Prawie przedsiębiorca. Właśnie tak się czuł. A jednak to spojrzenie jej oczu. Coś w nim było. Miał rację?

Korpulentny śledczy odsunął od siebie tę myśl i pokazał legitymację funkcjonariuszowi, który zatrzymał go przed taśmą policyjną. Już wtedy to zobaczył, młody policjant miał to wypisane na twarzy.

To jest coś zupełnie innego.

Minutę później podobne nerwowe spojrzenie ukryte za solidną fasadą munduru, gdy zaparkował obok białego budynku szkoły.

– Nilsen, dowódca akcji.

Munch skinął głową i wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni beżowej budrysówki.

– Czy jest już ktoś z mojego zespołu?

– Tak... Ta blondynka. Prawniczka?

– Goli.

– I ten w garniturze... Fredrik?

– Riis – powiedział Munch i zapalił papierosa.

– Technicy pierwsi przybyli na miejsce i siedzą tam już od dobrej chwili – oznajmił umięśniony policjant, wskazując pole za ich plecami.

– Patomorfolog?

– Też już jest. Od niedawna.

Funkcjonariusz zdjął jedną rękawiczkę i przyłożył palec do mapy.

– Rozstawiliśmy blokady tutaj i tutaj. Na Losbyveien. To słabo zaludniony obszar. Tylko kilka gospodarstw. Musieliśmy zostawić otwarty wjazd, więc rozciągnęliśmy taśmę wzdłuż tej drogi, Vålerveien. W porządku?

– A co z drugim końcem pola? – spytał Munch.

– Wysłałem tam ludzi – odparł Nilsen. – Powinno być dobrze.

– Co tam jeszcze masz?

Z zaciekawieniem wskazał głową mapę, po czym odwrócił się w stronę lasu.

– Ten teren to prawdziwy koszmar – wymamrotał Nilsen. – Chłopcy leżą na końcu pola, dokładnie *tutaj* – wyjaśnił, wskazując palcem miejsce na mapie. – Wszędzie dookoła ciągną się pola i lasy, sam zobacz. Naszym zdaniem sprawca dostał się *tędy*, po czym oddalił się tą samą drogą. Praktycznie zero ruchu. Będziemy mieć szczęście, jeśli znajdziemy kogoś, kto coś widział.

– Co to jest? – spytał Munch, przykładając palec do mapy.

– Strzelnica.

– Zamknęliśmy ją?

– Ee, nie, jeszcze nie... Przecież ona leży...

– Zamknij ją – powiedział z rezygnacją w głosie. – I wyślij tam zespół. A to?

– Ogromna zwirownia – odparł Nilsen i wskazał miejsce w oddali za lasem na wschodzie. – Mamy...?

– Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, to tak. I...?

Spojrzał na policjanta, który zwlekał z odpowiedzią.

– Tam też wysłać zespół? – zapytał w końcu Nilsen.

– Doskonale – przytaknął Munch i ruszył przez plac w kierunku Anette Goli, która właśnie wyszła ze starego budynku szkoły.

Zatrudnił ją jako pierwszą.

Nie wahał się ani sekundy.

– Byłeś tam? – spytała zdolna prawniczka, przeciągając dłonią po blond włosach.

– Jeszcze nie. Jak to wygląda?

– Źle. Właśnie skończyłam rozmawiać z Vikiem. Zastanawia się, czy ich przykryć, czy wolałbyś zobaczyć ciała tak jak leżały, gdy je znaleziono.

– Niech ich nie rusza – odparł i zapalił kolejnego papierosa, odpalając od poprzedniego. – Kto ich znalazł?

– Jakiś istny cyrk na kółkach – westchnęła i spojrzała w stronę budynku szkoły. – Usiłuję rozeznać się w ich relacjach.

– Tak?

– Sprawa o ojcostwo, jeśli dobrze zrozumiałam. Facet przyjechał tutaj, żeby spotkać się ze swoim synem. Matka jest na miejscu, z nowym mężem, no i mamy jeszcze przyzwoitkę z... chyba z Urzędu do spraw Opieki nad Dziećmi. Nie jestem pewna. W każdym razie musiałam ich rozdzielić. Ojciec jest *tam*, a pozostali w innych pomieszczeniach. Chcesz z nimi porozmawiać?

– Nie teraz. Ale upewnij się, że podali wszystkie szczegóły.

– Katja się tym zajmuje.

– Jest tutaj?! – zawołał zaskoczony i uśmiechnął się przelotnie. – Sądziłem, że...?

– Jak widać, posada w Kripo¹ jednak nie była aż tak lukratywna – odparła, mrugając porozumiewawczo. – Zgarnęłam ją po drodze. Nie masz nic przeciwko?

– Jasne, że nie – zapewnił ją i znowu się uśmiechnął.

Pracownik numer dwa.

Katja van den Burg.

Wybór był równie prosty i oczywisty jak ten pierwszy.

– Chcesz tam teraz iść?

– Tak. Gdzie leżą?

– Idź tamtą drogą – wskazała. – Ale radzę, żebyś zmienił obuwie.

Tam jest dość grząsko.

– Okej.

Upuścił papierosa na żwir i wrócił do samochodu po kalosze.

3

DWUDZIESTOJEDNOLETNIA MIA KRÜGER siedziała z tyłu małej sali audytoryjnej w piwnicy Wyższej Szkoły Policyjnej i starała się nie zamykać oczu. Całą noc spędziła poza domem. Znowu. Nie przyłożyła głowy do poduszki przed – która to była godzina? Szósta? Ukryła ziewnięcie w chwili, kiedy ostrzyżony na jeża wykładowca w wypolerowanych oficerkach wyświetlił kolejny slajd. Cholera jasna, dlaczego nie położyła się wcześniej? Przecież tak bardzo cieszyła się na to spotkanie. Zebranie informacyjne dotyczące centralnej jednostki reagowania kryzysowego. Delta. Przecież właśnie dlatego rozpoczęła te studia. Pomimo ostrzeżeń rodziny. Pomimo smutku w oczach matki, kiedy jej oznajmiła, że studiowanie literatury w Blindern nie jest dla niej. Że już rzuciła studia. I że postanowiła trochę popodróżować, a od jesieni zacząć od nowa.

Policja, Mio? Ależ...

To bez znaczenia.

Pierwsza dziewczyna w jednostce reagowania kryzysowego. Czytała artykuł w jakimś czasopiśmie, że to cholernie ciężka służba i że dotąd żadnej kobiecie nie udało się spełnić warunków naboru. I właśnie wtedy podjęła decyzję. *Yep*. Dokładnie tak. *Delta*. Właśnie to miała zamiar robić.

Pieprzcie się wszyscy.

Mia Krüger zdławiła kolejne ziewnięcie, kiedy na ścianie pojawiła się lista. Oczywiście wstępna. Minimalne wymagania, nic więcej. Potem czekały ich mordercze tygodnie testów, fizycznych i psychologicznych, i właśnie na nich odpadały nieliczne dziewczyny, które postanowiły spróbować swoich sił. Ale nie ona. Oczywiście, że nie. Będzie pierwsza na liście. Pokaże im wszystkim, raz na zawsze, aż im w pięty pójdzie. Tym szowinistycznym dupkiem. Tym, którzy teraz rzucają w jej stronę lekko pogardliwe spojrzenia i zastanawiają się, co ona, kurwa, tu robi. Jedyna dziewczyna na sali.

Szeroki uśmiech blond idioty siedzącego w pierwszym rzędzie, który uważa, że jest darem od Boga dla ludzkości. Dostawiał się do niej na sali treningowej już na pierwszym roku, zaledwie po kilku tygodniach znajomości. Na samą myśl robiło jej się niedobrze. Rzucił teksty z jakiegoś podręcznika uwodzenia dla frajerów, prężąc mięśnie przed lustrem niczym neandertalczyk i wierząc naiwnie, że to mu pomoże.

Masz takie piękne oczy...

Tak niebieskie jak najpiękniejsze morze...

Ach tak?

Że niby poeta?

Twoje są osadzone zbyt blisko siebie. A poza tym tam u góry, między oczami a linią włosów, powinno znajdować się czoło, wiesz?

A twoje włosy tak egzotyczne i ciemne... Tak pięknie opadają na twoje chude ramiona... Do jakiego rodzaju dziewczyn należysz? Lubisz się trochę poprzytulać?

O Boże.

Poważnie?

Fucking loser.

Jeszcze tego samego wieczoru obcięła je w mieszkaniu, które wynajmowała na Torshov. Włosy. Stała wściekła przed lustrem z nożem w ręce i patrzyła, jak jej loki wpadają do zlewu. Od tego czasu powtarzała ten seans za każdym razem, gdy były zbyt długie.

Na ekranie lista wymagań, które znała aż za dobrze. Żałowała, że w drodze do sali nie kupiła sobie kawy. Chociaż byłaby to kawa z automatu, o smaku błota. Teraz wypiłaby cokolwiek, byle pozbyć się uczucia, że zaraz zemdleje.

Wzięła się w garść i spojrzała na ekran.

Bieg na trzy kilometry w czasie poniżej 12:30.

Odhaczone.

W domu w Åsgårdstrand już w wieku piętnastu lat pokonywała ten dystans w jedenaście minut i piętnaście sekund. I ten obleśny trener, który lubił komentować wygląd młodych dziewcząt w ciasnych spodniach od dresu, drapał się po głowie, patrzył na stoper i prosił ją, żeby pobiegła jeszcze raz, bo „to musi być jakiś błąd”.

Ach tak?

Fuck you.

50 przysiadów.

Poważnie?

Odhaczone.

50 pompek.

To zajęło jej trochę więcej czasu, ale tylko minimalnie. Przymocowała drążek do sufitu w małym mieszkaniu, które dzieliła z dwiema dziewczynami z roku, bardziej zainteresowanymi tym, jak wyglądają i kto z kim co robił po piątkowym wyjściu na piwo zorganizowanym przez zrzeszenie studentów. Każdego ranka, zanim obudziły się współlokatorki, podciągała się do chmur, aż w końcu ramiona nie chciały dłużej jej unosić.

10 podciągnięć nachwytem.

Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Odhaczone.

Przepląnięcie 400 metrów.

Poważnie?

Odhaczone.

Swobodne nurkowanie do głębokości 4 metrów.

Mia nieźle się z tego uśmieła.

Wybrzeże Meksyku, kilka lat temu, lato po zakończeniu liceum, kiedy miała wszystkiego dość. Biała żagłówka unosząca się lekko na falach pod delikatnymi chmurami, ci wspaniali ludzie, nurkowie, no i oczywiście Francuz o niebieskich oczach i muskularnych opalonych ramionach.

You will feel so free down there, Mia.

Nigdy wcześniej tego nie próbowała.

Ani z butlą, ani bez butli.

Ciemność daleko w dole. Niesamowita cisza. Niezwykle piękno.

Przerażone twarze wysoko w górze, na jachcie, gdy w końcu wypłynęła na powierzchnię.

Oh, my God.

You are crazy.

Francuz zmył się niedługo potem, ale to nie miało znaczenia, bo zdążyła znaleźć swoją wielką miłość.

Ciemność.

Sama.

W głębinach.

Cztery metry w dół?

Nie ma problemu.

Niemal żałosne.

Odhaczone.

Miał ją teraz na oku, facet z Deltę, w wypolerowanych oficerkach. Czują to wyraźnie.

Co ty tu właściwie robisz?

Mia zawsze taka była. Wyczuwała emocje innych ludzi.

Widzisz rzeczy, których inni nie dostrzegają, prawda, skarbie?

Babcia, która nie była jej prawdziwą babcią, a jednak była tak bardzo do niej podobna. I tak różna od innych babć. Czasem niemal szalona. Mając prawie osiemdziesiąt lat, wciąż przesiadywała w ogrodzie do późnej nocy, paliła fajkę, piła whisky, wyła do księżyca i miała gdzieś, co inni o niej myślą.

Brzęczenie telefonu. Zareagowała automatycznie. Szybkim ruchem wyjęła komórkę z torebki.

Sigrid?

Nie.

Oczywiście, że nie.

Od wielu miesięcy nie miała kontaktu z siostrą bliźniaczką.

To dlatego nocami krążyła po mieście.

Chodziła ulicami w ciemności, rozdając wydrukowane kartki.

Widziałaś/-łeś tę dziewczynę?

Sigrid Krüger.

Zadzwoń do mnie, jeśli coś wiesz, please!

Sigrid i Mia.

Śnieżka i Śpiąca Królewna.

Bliźniaczki.

Jedna jasna, druga ciemna.

Urodzone przez szesnastolatkę, która nie mogła, nie chciała ich zatrzymać. Adoptowane przez Evę i Kyrrego Krügerów z Åsgårdstrand, on nauczyciel, ona kierowniczka sklepu z farbami w Horten. Mia przyłożyła instynktownie palce do bransoletki zawieszanej na lewym nadgarstku. Prezent na confirmację. Kotwica,

serce i litera. S na opasce Sigrid, M na jej. A potem, pewnej nocy pod kołdrą na poddaszu.

Chcesz moją, a ty dasz mi swoją?

Od tamtej pory nigdy jej nie zdejmowała.

Cholera jasna, Sigrid!

Gdzie jesteś?

Mia odsunęła od siebie rozpacz i wrzuciła telefon z powrotem do torebki, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi i do sali wsunęła głowę pracownica administracji.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy jest tutaj Mia Krüger?

Szmer na sali.

Nagle spojrzenia wszystkich skierowane na nią.

– Ee, tak, tutaj?

– Rektor chce z tobą rozmawiać.

– Okej.

Kobieta wciąż stała w drzwiach.

– Teraz?

– Tak, teraz.

Spakowała swoje rzeczy i zeszła szybko po schodach. Z pierwszego rzędu doleciał do niej pogardliwy śmiech.

– Co się stało?

Gdy zamknęły się za nimi drzwi i stały same na korytarzu.

– Nie wiem – odpowiedziała siwowłosa kobieta. – Ale to chyba coś ważnego. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, oczywiście – przytaknęła i przewiesiła torebkę przez ramię.

Windą do góry, a potem przez plac do głównego budynku po drugiej stronie asfaltu.

O co chodzi tym razem?

Już kiedyś tam była.

Stała grzecznie przed wielkim biurkiem jak mała dziewczynka z gimnazjum, to dorosłe spojrzenie, którego nie była w stanie wziąć na serio.

Dyscyplina, Mio. Dotarły do mnie skargi od wielu wykładowców...

Tak, tak, oczywiście.

Nie moja wina, że ludzie tutaj wciąż wierzą, że żyjemy w latach pięćdziesiątych.

Śpisz w szkole, Mio? Wendelbaum powiedział, że znalazł cię skuloną na podłodze w klasie. Znowu?

Whatever.

Była we Frognerparken. Szukała Sigrid. Za Monolitem, gdzie zbierały się ćpuny, zaledwie kilkaset metrów od szkoły. Nie dałaby rady pokonać długiej drogi do domu.

Tym razem miała zupełnie inny wyraz twarzy, kiedy zapukała do drzwi i usłyszała głęboki głos.

– Dzień dobry, Mio. Wejdz, wejdz.

Stała w progu, lekko niepewna, co to ma oznaczać. Rektor Magnar Yttre podniósł się z fotela i spojrzał na nią z uśmiechem, otwierając szeroko ramiona.

– Napijesz się czegoś? Może kawy?

4

MUNCH SIEDZIAŁ PRZY oknie w kawiarni na rogu Bernt Ankers gate i Mariboës gate, zaledwie kilkaset metrów od biura. Wyłączył dźwięk w obu telefonach. Należał do starej szkoły i jeszcze nie przyzwyczyił się do ciągłego brzęczenia komórek w kieszeniach. Najbardziej lubił siedzieć w ciszy, by móc spokojnie myśleć, co teraz było oczywiście niemożliwe. Od dwudziestu czterech godzin ciągle ktoś dzwonił. Jedną z takich osób był jego dawny kolega, obecnie rektor Wyższej Szkoły Policji. Munch odebrał telefon właściwie tylko po to, żeby powiedzieć, że nie ma czasu na rozmowę, ale Yttre był w euforii i prawie nie dopuścił go do głosu. *Chyba ci kogoś znalazłem, Munch.* Wyjątkowo nieodpowiednia chwila, ale mimo to posłuchał.

Yttre już kiedyś wspominał o tym teście. Jego autorami byli naukowcy z UCLA. Testowali wszystkich studentów drugiego roku, mówiąc im, że to tylko zabawa, żeby nie czuli presji. Kilka zdjęć z miejsca popełnienia przestępstwa. *Co widzisz?* Ta dziewczyna zdała śpiewająco.

W porządku. Pół godziny i tak go nie zbawi. A przy okazji będzie mógł coś zjeść. Niedawno znowu zadzwoniła do niego Marianne, jak zawsze martwiła się o to, czy złapał chociaż kilka godzin snu i czy pamięta o jedzeniu.

Ona jest nieco specyficzna, Munch.

Ale daj jej szansę, okej?

Ledwo zdążył wrócić do stolika z kanapką i kawą, gdy otworzyły się drzwi i w progu stanęła ona.

Dwadzieścia jeden lat.

Młoda, ale Munch wiedział z doświadczenia, że to nie musiało nic znaczyć. Wiele osób w jego zespole, spora część z tych najzdolniejszych, było jeszcze przed trzydziestką. Właściwie nie zamierzał nikogo więcej zatrudniać. Zmontował ekipę, jakiej potrzebował, a tu ten zwykle tak rozsądny, trzeźwo stąpający po

ziemi Yttre – skąd u niego aż takie poruszenie? *Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy, Munch. Nikt nawet nie zbliżył się do takiego wyniku. Ta dziewczyna jest po prostu niesamowita.*

Oczywiście, że wzbudził jego ciekawość.

– Pan Munch?

Miała na sobie czarny golf, czarne obcisłe jeansy, czarne conversy, ale pierwsza rzecz, na którą zwrócił uwagę, to jej oczy.

Błyszcząca, niebieskie, zaskakująco przejrzyste. Jasnobrązowa skóra, prawie jak u Indianki. Kruczoczarne półdługie włosy, nierówno obcięte. Wyglądały tak, jakby ktoś rzucił się na nie z tępyimi nożyczkami, ale ona chyba niespecjalnie się tym przejmowała. Młoda studentka stała przed nim wyprostowana, jakby to spotkanie było czymś najbardziej naturalnym pod słońcem, i wyciągała do niego szczupłą dłoń.

– Mia Krüger.

– Cześć, Mia. Witam.

– Dziękuję – powiedziała po prostu i usiadła z torbą przewieszoną przez ramię. Zupełnie jakby nie miała zamiaru jej zdjąć.

– Zjesz coś? Może się czegoś napijesz?

Rzuciła okiem na menu wiszące za ladą.

– Nie, dziękuję.

– A może w ogóle nie pijesz kawy?

– Owszem, ale nie tutaj.

– Aż tak? – zdziwił się. – Czyżbyś była koneserką kawy? Prawdziwą znawczynią?

Powiedział to z wyraźną ironią w głosie. W ostatnim czasie w Oslo bary kawowe wyrastały jak grzyby po deszczu, jeden bardziej nowoczesny od drugiego – młodzi zmanierowani hipsterzy traktowali je prawie jak coś w rodzaju miejsca kultu religijnego. Ale jego komentarz nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– To im mam się przyjrzeć? – spytała, spoglądając na dwie jasnobrązowe teczki, które leżały pod jego telefonami.

– Tak. Czy Yttre coś ci powiedział?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Doskonale – przytaknął. – Chciałbym, żebyś spojrzała na kilka fotografii i powiedziała mi, co o nich myślisz, okej?

– Okej.

– W tej – zaczął i wziął do ręki jedną z teczek – znajdują się zdjęcia z miejsca zbrodni, o której zostaliśmy poinformowani wczoraj rano. Natomiast w tej...

Położył drugą teczkę obok pierwszej.

– Tu są zdjęcia z miejsca zbrodni, do której doszło w Szwecji. Osiem lat temu. Chciałbym, żebyś przyjrzała się dokumentacji i powiedziała mi, co widzisz, okej?

– Czy chodzi o tego samego sprawcę?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale to miał pan na myśli?

Zmarszczyła brwi i spojrzała na niego pytająco. Munch nie mógł powstrzymać uśmiechu. Yttre miał rację. Ta dziewczyna była naprawdę wyjątkowa. Rozmawiała z samym Holgerem Munchem. Szefem jednostki do spraw zabójstw na Mariboers gate 13. Przywykł do tego, że ludzie, których spotykał, patrzyli na niego z niemal nabożnym szacunkiem, ale młoda studentka siedząca naprzeciwko niego zdawała się w ogóle tym nie przejmować.

– Tak, właśnie to miałem na myśli.

– To dlaczego pan tego nie powiedział?

– Ponieważ mogłabyś się tym niepotrzebnie zasugerować, a ja chciałem, żebyś była tak otwarta, jak to tylko możliwe. Niewykluczone, że zobaczysz coś innego, coś, na co ja nie zwróciłem uwagi.

– Okej, rozumiem – przytaknęła i odwróciła teczki w swoją stronę.

Nie otworzyła ich. Siedziała i czekała.

– Mogę zostać sama? – spytała, podnosząc na niego wzrok, kiedy przez dłuższą chwilę się nie odzywał.

– Oczywiście. Jak myślisz, ile ci to zajmie?

– Nie wiem. Dwadzieścia minut?

– Doskonale. Będę tuż obok, gdybyś czegoś potrzebowała.

Wstał, zabrał kanapkę i znalazł wolną ławkę po drugiej stronie ulicy.

Dziewięć nieodebranych połączeń. Większość od Anette.

– Cześć, tu Holger. Co się dzieje?

Prawniczka westchnęła cicho do słuchawki.

– Lepiej spytaj, co się nie dzieje. Dreyer czeka na briefing. Ministerstwo na nią naciska. Ona uważa, że powinniśmy zorganizować konferencję prasową...

– Tak jak mówiłem, czekamy.

– Właśnie to jej powiedziałam, ale to chyba nie wystarczyło.

– Nie wystarczyło? – powtórzył zirytowany.

– Nie wrzeszcz na mnie. Wiesz przecież, jaka ona jest.

Hanne-Louise Dreyer. Nowo mianowany komendant główny policji w Grønland. W policji zawrzało, kiedy wyszło na jaw, że ministerstwo powołało w stolicy odrębną jednostkę do spraw zabójstw. Kierownictwo wymachiwało szabelkami, uznając to za wyraz niezadowolenia z jego pracy. Munch przez jakiś czas miał nadzieję, że wraz z nominacją nowego komendanta coś się zmieni, ale nie. Widocznie taki już jego los. Nigdy nie dostanie szefa, z którym będzie żył w dobrych stosunkach. Zresztą to nie miało znaczenia. Teraz to on rozdawał karty i nic nie mogli na to poradzić. I chyba właśnie to najbardziej ich drażniło.

– Poproś ją, żeby się wstrzymała – powiedział. – Nie podamy nazwisk, zanim nie porozmawiamy z obiema rodzinami. Czego ona nie rozumie?

– Powtarzam: nie wydzieraj się na mnie. Matka Tommy’ego ląduje o trzynastej. Poprosiłam Katję, żeby odebrała ją z lotniska. Na litość boską, kto wyjeżdża do Hiszpanii, zostawiając jedenastolatka samego w domu?

– Może miała jakiś powód? Na razie trudno się do tego ustosunkować.

– I pozwoliła, żeby sąsiedzi go doglądali? Chociaż oni nawet nie wiedzieli, że są za niego odpowiedzialni?

– Porozmawiamy z nią o tym, kiedy się zjawi. Co z furgonetką?

To był jak dotąd ich jedyny trop. Świadek widział biały samochód dostawczy w zagajniku przy Losbyveien.

– Oxen siedzi w centrum ruchu drogowego. Droga kończy się przy klubie golfowym, więc furgonetka nie mogła pojechać w tamtym kierunku. Skupiamy się na drodze krajowej 159 na wschód i na zachód. I na punkcie poboru opłat na E6. Właśnie przygotowują

nagrania. Zdaje się, że znaleźliśmy siedem kamer. Mam go na drugiej linii, więc da znać, jak tylko coś zobaczą. Ale...

– Ale co?

– Biała furgonetka? Ile takich jeździ po Oslo?

– To był niedzielny poranek – uspokoił ją. – Musimy wierzyć, że dopisze nam szczęście. Co z rodziną Lundbergów?

– Są bardzo pomocni – mówiła dalej Goli. – Szczerze mówiąc, dziwnie spokojni. Wydaje mi się, że nie do końca rozumieją, co się stało. Fredrik tam jest. Wkrótce do mnie zadzwoni. Wspólny briefing o szesnastej aktualny?

– Tak. Powiadomisz wszystkich?

– Okej. Słuchaj, muszę kończyć. Dreyer znowu dzwoni.

– Żadnej konferencji prasowej, zanim... – zaczął Munch, ale Anette już się rozłączyła.

Pieprzeni idioci.

Dadzą mu w końcu odrobinę spokoju?

Jakby sami nie mieli o czym myśleć.

Trzy papierosy później zobaczył, że młoda studentka skończyła. Przez cały czas obserwował ją przez szybę. Prawie się nie poruszyła, ale teraz teczki leżały zamknięte przed nią na stole.

– Jak poszło? – spytał, gdy wrócił do kawiarni.

Sprawiła wrażenie, jakby nie zauważyła, że stanął obok niej. Niebieskie oczy miała szeroko otwarte, ale myślami błędziła daleko stąd.

– Sorry – powiedziała w końcu i przeciągnęła dłonią po ciemnych włosach.

– W porządku – odparł i zerknął na zegarek.

Od chwili, gdy opuścił gabinet, minęło prawie czterdzieści minut. Musieli się jak najszybciej pożegnać. Słodka, fakt, test zdany celująco, kierowany ciekawością wyświadczył Yttremu przysługę, ale miał ważniejsze rzeczy do zrobienia. I tak, oczywiście, że pomyślał o tym samym.

Kto wyjeżdża do Hiszpanii?

I pozwala, żeby mały chłopiec został sam w domu? Zaledwie jedenastolatek?

– Brakuje kilku fotografii – powiedziała ostrożnie młoda studentka.

– Słucham?

Położyła palec na jednej z teczek.

– W tej.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam. Brakuje kilku zdjęć.

Munch zmarszczył brwi.

– Nie bardzo rozumiem...?

– Przecież musiał zwiększyć trochę swoją wysokość, prawda?

– Kto?

– Sprawca?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Chyba musiał na czymś stać?

5

DWUDZIESTOSIEDMIOLETNI FREDRIK RIIS zaparkował samochód przed domem jednorodzinny na Timoteiveien 18. Przez chwilę stał i spoglądał w stronę niskich bloków po drugiej stronie pola. Finstad. Dokładnie między Oslo a Lillestrøm. Niedaleko Lørenskog. Ani to miasto, ani to wieś. On sam mieszkał w Briskeby, w samym sercu Frogner, z widokiem na ikoniczną starą remizę strażacką, w dzielnicy, w której żył od urodzenia. Dziesięć lat temu jego rodzice wprowadzili się do Bærum, po tym jak ojciec ukończył specjalizację. Teraz był jednym z najbardziej uznanych chirurgów plastycznych w Skandynawii. Pozwolili synowi przenieść się do oddzielnego mieszkania, gdy ten miał zaledwie siedemnaście lat. Od tego czasu utrzymywali sporadyczny kontakt. Nie żeby mu to przeszkadzało. Aż tak bardzo za nimi nie tęsknił. Jego dzieciństwo było... – nigdy nie wiedział, jakimi słowami je opisać, kiedy ktoś o to pytał. Niewidoczne? Chyba właśnie tak się czuł? Jakby się nim nie przejmowali? Jakby ulżyło im, kiedy stał się na tyle dorosły, by mogli dać mu taki prezent. *Spójrz, tu masz mieszkanie. Odtąd sam musisz się o siebie troszczyć.* Nieważne. Młody śledczy wiele nauczył się w okresie dojrzewania i był dużo twardszy, niż mogło się ludziom wydawać.

Ciągle powracające wspomnienie czegoś, co wtedy wydawało mu się wyjątkowo atrakcyjne. Wycieczki. Do Finstadjordet. Tutaj mieszkali jego kuzyni i zanim ojciec pokłócił się o coś ze swoim bratem i zerwał z nim kontakt, często tu przyjeżdżali. Gdy był mały, życie na łonie natury ogromnie go fascynowało. Tak bardzo różniło się od ciszy w jego własnym domu. Rzędy kolorowych dużych domów jednorodzinnych, z wielkimi zielonymi ogrodami i sielskimi nazwami ulic. Tymotkowa, Koniczynowa, Tulipanowa, Konwaliowa. Czuł zazdrość o wszystko, co ta okolica miała do zaoferowania dziecku: obiekty sportowe, place zabaw, łąki i te wszystkie niemal

magiczne zagajniki, do których można było chodzić na wyprawy odkrywcze. Kiedy wracali do miasta, siedział podekscytowany na tylnym siedzeniu, ponieważ wiedział, że zaraz to nastąpi, zaraz wywiąże się dyskusja między rodzicami, czy nie powinni się tam przeprowadzić. Matka całym sercem była za, ponieważ sama dorastała w podobnym miejscu, ale ojciec oczywiście uważał inaczej. *Nie zamieszkamy na wsi.* I to tyle. Wciąż pamiętał uczucie zawodu, które towarzyszyło mu za każdym razem, gdy szala zwycięstwa przechylała się na stronę ojca. Perlisty śmiech wśród wodnych zraszaczy w zalanym słońcem wielkim ogrodzie. Wymalowane twarze piratów biegających po lesie z mieczami i pistoletami zrobionymi samodzielnie w bogato wyposażonym pokoju, w którym wujek oddawał się swojemu hobby. Rodzinna wspólnota, w której można było odnieść wrażenie, że wszyscy się kochają i lubią ze sobą przebywać.

Widok, który miał teraz przed sobą, przywiódł mu na myśl coś zupełnie innego, nie tak przyjemnego. *Biedota.* Tak nazywali ich jego kuzyni. Tych, którzy nie mieli własnych domów, lecz mieszkali w blokach po drugiej stronie płotu, zaledwie sto metrów dalej. Szczerze mówiąc, dziwnie się poczuł, gdy Munch spytał go, czy w imieniu ich jednostki mógłby wziąć na siebie kontakt z rodziną chłopca. Timoteiveien 18? *Byłem tu już wcześniej, prawda?* Chłopiec, z którym się bawili, przyjaciel jego kuzynów, Fredrik nie pamiętał jego imienia, a poza tym to było dawno temu. W dużym szarym domu mieszkała teraz nowa rodzina. Na kwiecistej tabliczce obok drzwi znajdowały się cztery inne imiona. *Tutaj mieszkają: Sanna, Ruben, Vibeke i Jan-Otto Lundgrenowie.* Samochody zaparkowane nieco dalej na drodze. Fotografowie z długimi obiektywami. Dyskretni, a jednak nie bardzo. Policja nie podała nazwisk chłopców do publicznej wiadomości, ale prasa oczywiście już je знаła. *Tutaj nigdy nie zaznasz spokoju, ciekawscy sąsiedzi, idioci wtykający nos w nie swoje sprawy,* tak brzmiał jeden z lżejszych, mizantropijnych argumentów ojca w dyskusjach prowadzonych w samochodzie.

Ruben Lundgren.

Jedenaście lat.

Znaleziony nagi na polu niecały kilometr od domu.

Obok innego chłopca.

Tommy'ego Sivertsena.

Z bloków po drugiej stronie płotu.

Fredrik przyłożył palec do dzwonka i cofnął się o kilka kroków na żwir.

– Tak?

Twarz w ledwo uchylonych drzwiach.

– Dzień dobry. Jan-Otto?

– Tak?

Mężczyzna spojrział na niego ze zdziwieniem, jakby nie docierało do niego, że ktoś stoi przed jego domem.

– Fredrik Riis. Dzwoniłem niedawno.

– A, tak. Dzień dobry. Proszę wejść.

Zupełnie zwyczajny dom. Zupełnie zwyczajne metalowe schody, które drżały lekko, kiedy wszedł za mężczyzną do środka. Zupełnie zwyczajny przedpokój. Równe rzędy butów na stojaku z IKEA. Kurtki w różnych rozmiarach i kolorach wiszące na kolorowych kołkach, pod półką z pudełkami do przechowywania ubrań, z przyklejonymi do nich karteczkami, na których ktoś starannie napisał: *Czapki*, *Szaliki* i *Rękawiczki*. Mama, Vibeke Lundberg. Trzydzieści osiem lat. Szefowa sprzedaży w spółce zajmującej się oprogramowaniem, z siedzibą tuż przy Centrum Handlowym Strømmen. Tata, Jan-Otto Lundgren. Czterdzieści dwa lata, inżynier systemu, zatrudniony w Telenor. Sanna, pięcioletka chodząca do grupy starszaków w przedszkolu Løken, zaledwie kilkaset metrów od domu.

Zupełnie zwyczajna rodzina.

Zupełnie zwyczajne życie.

Do czasu, gdy zadzwonił telefon.

Dwadzieścia cztery godziny temu.

Mężczyzna przywołał na twarz coś, co miało być uśmiechem, wzrok miał nieobecny. Fredrik zdjął buty i podążył za nim do salonu. Nakryty stół przy oknie wychodzącym na podwórze. Dzbanek termiczny. Małe, białe, identyczne filiżanki do kawy. Półmisek z ciastkami. Mama, Vibeke, siedziała na krześle z tym samym martwym spojrzeniem co jej mąż. Gdy policjant wszedł do pokoju, podniosła się powoli.

– Vibeke Lundgren.

Uściskał dłoń, w której prawie nie było życia.

– Frederik Riis. Jednostka do spraw zabójstw.

Szczupła kobieta drgnęła, gdy usłyszała nazwę jednostki. Natychmiast pożałował swoich słów. Powinien był wybrać coś bardziej neutralnego, po prostu *policja*, ale to zadziało się automatycznie – robił to po raz pierwszy, nigdy wcześniej nie był odpowiedzialny za kontakt z rodziną ofiary. Przez całą drogę przygotowywał się do tego spotkania.

Oczywiście w żaden sposób nie mógł się do czegoś takiego przygotować. W dużym domu było tak cicho, że słyszał tykanie owalnego zegara wiszącego przy wejściu do kuchni. Szuranie krzesła o parkiet, kiedy odsunął je, by na nim usiąść. Brzęczenie łyżeczki o dno filiżanki z kawą, kiedy mieszał kostki cukru, które Vibeke podała mu lekko drżącymi rękami.

Głos kogoś, kto uciszał dziecko gdzieś w głębi korytarza.

Kto to jest, babciu? Czy to Ruben? Czy Ruben wrócił do domu?

– Przepraszam, że zakłócam państwa spokój – zaczął młody śledczy, gdy oboje rodzice usiedli przy stole. – Wiem, że wczoraj była u państwa policja, ale musimy potwierdzić wszystkie szczegóły. Od tej pory to ja będę się z państwem kontaktował. Jestem do państwa dyspozycji o każdej porze, okej?

Wsunął dłoń do górnej kieszeni marynarki, wyjął z niej dwie wizytówki i położył je ostrożnie na białym obrusie.

– Macie coś nowego?

Jej głos był cienki, a mimo to zachrypnięty, jakby powietrze wydobywało się z wątych płuc i przeciskało przez wyścielone papierem ściernym gardło. Próbowwała upiąć włosy w węzeł na karku, ale i tak z jednej strony kosmyki opadały luźno na plecy. Kremowożółta bluzka była źle zapięta i wisiała krzywo na zgarbionych ramionach.

– Chwilowo nie. Niestety.

– Ale... pracujecie nad...?

Był nieogolony, miał ciemnobrązowe oczy i mówił bardzo cicho. Jak robot, któremu wyczerpywała się bateria. Nie wiedział, jak ani po co miałyby kończyć rozpoczęte zdania.

– To, co teraz jest dla nas ważne, to ustalenie, co Ruben robił w ciągu ostatnich godzin – wyjaśnił Fredrik, otwierając notes. – Wiem, że wczoraj rozmawiali państwo z funkcjonariuszem, ale dla pewności chciałbym omówić z państwem kilka spraw.

Jan-Otto Lundgren skinął powoli głową.

– Ostatni raz widzieli państwo Rubena w sobotni wieczór, około godziny dwudziestej drugiej, zgadza się?

– Wiem, że powiedzieliśmy dwudziesta druga – odparła Vibeke i potarła czoło. – Ale czy to nie było pół godziny później? Wydaje mi się...

– Nie, to była dwudziesta druga – powiedział mężczyzna i położył dłoń na jej ręce. – Po imprezie klasowej. Pamiętasz?

– Impreza klasowa? – powtórzył Riis.

– Tak. Wie pan, w telewizji. *Wielka impreza klasowa*.

Fredrik Riis rzadko oglądał telewizję, ale oczywiście wiedział, o jaki program chodzi. Sobotni program rozrywkowy emitowany przez NRK. Cały kraj siedział przed telewizorami. Dwie znane osoby spotykały swoich dawnych kolegów, z którymi chodziły razem do liceum, i próbowały przypomnieć sobie, kim oni są.

– Był na mnie zły – odezwała się Vibeke i znowu zapadła się w sobie, tym razem z delikatnym uśmiechem na twarzy. – Chciał pizzę z mięsem mielonym. Ale Sanna takiej nie lubi, woli samą szynkę. Dlatego zeszłam do piwnicy po colę, chociaż teraz już jej nie pijemy. Nie jest dobra dla zębów, prawda? Za dużo cukru.

Mężczyzna pogłaskał ją po rękę.

– Kiedy skończyliśmy jeść, Ruben poszedł do swojego pokoju. Miał grać na komputerze, nie dłużej niż do dwudziestej trzeciej. Taka była umowa.

– Zaglądali państwo później do niego? – spytał śledczy. – Wieczorem? Sprawdziliście, czy śpi?

Na moment zapadła cisza.

– Szczerze mówiąc, nie pamiętam... – zaczęła Vibeke. – Chyba zajrzałam...? Zawsze to robię...

– Sannę bolał brzuch – wyjaśnił mężczyzna, jakby na usprawiedliwienie, kiwając głową. – Nie mogła się uspokoić.

Czytałem jej na łóżku i w końcu sam zasnąłem. Gdy się obudziłem, była godzina... chyba wpół do pierwszej w nocy.

– Czyli przez cały wieczór byliście razem z Rubenem? Oglądaliście telewizję? A potem on poszedł do swojego pokoju? Nie miał żadnych planów, o których byście wiedzieli?

– Planów? – powtórzyła Vibeke. – Jakich planów?

– Tak tylko pytam. Nie był z nikim umówiony? Z przyjaciółmi? A może ma dziewczynę?

– Dziewczynę? – prychnęła szczupła kobieta. – On ma dopiero jedenaście lat. Był w domu razem ze swoją rodziną. Potem poszedł do pokoju i się położył. Tak jak zawsze. Plany? Jakie mógłby mieć plany?

Spojrzała zakłopotana na męża, który ścisnął mocniej jej chudą dłoń.

– Okno było otwarte do połowy – powiedział Jan-Otto, po raz pierwszy patrząc policjantowi w oczy. – Kiedy w niedzielę rano wszedłem do jego pokoju, żeby obudzić go na śniadanie. Musiał wyjść tamtędy.

– I nie wiedzą państwo, kiedy...?

– To musiało być w nocy. Nie ma innego wytłumaczenia.

– Czy on to robił już wcześniej? Uciekał z domu?

– Nie, nie, nie...

Mamrotała cicho. Przyciągnęła rękę do siebie.

– On nigdzie nie chodzi. Przez cały czas siedzi w domu. Jest najmilszym chłopcem na świecie. Nie wymyka się z domu przez okno. Zawsze leży w swoim łóżku. W czystej pościeli. Z pokemonami. Najbardziej je lubi. Kupiłam dwa zestawy pościeli, żeby zawsze mógł w niej spać. Właśnie wyprałam drugi komplet.

W kieszeni Fredrika zabrzączał telefon. Śledczy wyjął go i spojrzał szybko na wyświetlacz.

Anette Goli. Wyłączył dźwięk i położył komórkę na stole.

– A Tommy Sivertsen? Czy on był przyjacielem Rubena? To znaczy, czy mieli zwyczaj...?

Nagle Vibeke Lundgren podniosła się i stanęła bezradna na środku pokoju. Trzęsła się na całym ciele i wyglądała na całkowicie dezorientowaną.

– Ruben?

– Myślę, że chyba musimy... – Mężczyzna powoli pokiwał głową i objął żonę ramieniem.

– Oczywiście – chrząknął Fredrik i schował notes do kieszeni marynarki.

Z powrotem na chrzęszczącym żwirze. Robił, co mógł, żeby nie słyszeć tego dźwięku.

Tego rozpaczliwego wycia dolatującego z domu.

Telefon znowu zadzwonił.

Gdzieś w oddali.

– Fredrik, słucham?

– Tu Anette. Gdzie jesteś?

– U Lundgrenów.

– Możesz to przerwać? Jesteś mi potrzebny.

– Okej, co...?

– Znaleźliśmy coś obok strzelnicy. Obudowaną studnię. Wygląda na to, że chłopcy mogli tam być. Możesz się stamtąd urwać? Teraz?

– Oczywiście – przytaknął i wsunął telefon do kieszeni.

A potem pobiegł żwirową drogą do samochodu.

6

STARY MĘŻCZYŻNA O BIAŁYCH włosach wiedział, że niektórzy z tych, których fotografie wisiały na ścianie, prawdopodobnie będą *bardzo zirytowani*, że nie zostali zaproszeni na przyjęcie. Dzisiaj jednak mieli świętować z wielką pompą i dlatego zaprosił wyłącznie najbliższe grono. Planował to od wielu dni. Nawet wyprasował obrus. Ten z koronkowym haftem. Dostał go na Boże Narodzenie od swojej babki. *A może od matki na konfirmację?* Stary mężczyzna nie pamiętał dokładnie. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Nie mógł się dzisiaj zadrećczać tymi dziwnymi myślami. Dzisiaj miał zamiar podwójnie świętować. Siedemdziesiąt lat, pomyślałby kto? I nowa praca. To oczywiście było najważniejsze. A jak! Mówili, że skończył się jako aktor. O nie. Staruszek uśmiechnął się, upuścił ręcznik na ziemię i wszedł do zimnej wody.

Zadebiutował już jako osiemnastolatek w gimnazjum Uddevalla, w jasełkach, które wystawiano co roku. Oczywiście marzyło mu się, że zagra Świętego Józefa, ale rola odźwiernego wcale nie była taka zła, jak się mogło ludziom wydawać. No bo kto właściwie był tam najważniejszy? Ten biedak, który stał przed gospodą i błagał, by ich wpuszczono? Ten, któremu nie udało się nawet zapłodnić własnej żony? Czy ten, który decydował o tym, kto zanocuje w gospodzie? Właśnie. To się rozumiało samo przez się. Staruszek o białych włosach znowu się uśmiechnął, potarł szczotką po kawałku mydła, zanurzył ją w wodzie i zaczął szorować nią plecy. Ach, jak pięknie wyglądało Lilla Köperödssjön w tym świetle! Mieszkał tutaj sześćdziesiąt cztery lata, najpierw ze swoją matką i babką. Potem tylko z matką. Potem sam.

Chociaż...

Nie, nie miał teraz siły o tym myśleć. Niedługo zaczynała się impreza. Lilla Köperödssjön. Z linią brzegową o długości tysiąca sześciuset metrów. I dziewięcioma metrami w najgłębszym miejscu,

a nie pięć przecinek jeden metra, jak twierdzili w Ray's Bilservice, gdzie udał się, żeby zapytać, ile wezmą za naprawienie jego starego volva stojącego w garażu. Pięć przecinek jeden metra to była *średnia głębokość*, to znaczy, kiedy zmierzyło się wszystkie głębokości, dodało je do siebie i podzieliło. Porządnie się rozzłościł, gdy przebyli długą drogę przez las, a w garażu nie było żadnego volva. Mnóstwo przekleństw i brzydkich gestów. Ale o co chodzi? Może to była jego wina? Oczywiście, że nie. Idiota potrząsnął głową i splunął na ziemię tuż przed nim. Właściwie szkoda. Przydałby mu się samochód. Dużo łatwiej byłoby dotrzeć w niektóre miejsca. Zamiast tego przeniósł rower przez las i pojechał nim aż do Systembolaget² w Uddevalli, tylko z tej okazji. Hallands Fläder³. A jak! Nie zamierzał na niczym oszczędzać. Trzydzieści osiem procent, o smaku kwiatów dzikiego bzu i cynamonu. Mężczyzna przestał szorować plecy i zanurzył się w wodzie po szyję, żeby spłukać z siebie mydliny.

O co chodziło z tym Sztokholmem?

Nie, nie o tym miał myśleć.

Allan Edwall⁴.

To było to.

On był oczywistym numerem jeden. Najwyższy czas zastanowić się nad listą, nad tym, kto ma siedzieć przy stole, a kto nadal wisieć na ścianie.

Nie, Sztokholm, ze swoją słoną wodą i nierządnicami, które brały zapłatę za to, że wyginały ciała w pokoikach cuchnących śmiercią, po tym, jak człowiek wypił za dużo wódki.

Dziękował lasowi na obrzeżach Uddevalli.

Tutaj dało się żyć.

Jego druga wielka rola i być może ta, z której był najbardziej dumny, to ta w więzieniu. Jako osadzony numer 112-452311. Oskarżony o publiczne obnażanie się w parku Wazów i o paserstwo. Był jeszcze ktoś, kto długo nie schodził z plakatu. Przez czternaście miesięcy. Tak popularny był w tej roli.

Ingmar Bergman?

Przy stole?

Staruszek potrząsnął głową i zaśmiał się cicho, ubierając się, a potem ruszył w górę wąską ścieżką w stronę podwórza.

Nie planował tego.

Oczywiście, że nie.

Zresztą zdjęcie tego idioty już nawet nie wisiało na ścianie.

Z powrotem w kuchni. Zupełnie zapomniał, żeby wykorzystać drogę powrotną na myślenie o tym, o czym powinien pomyśleć, więc nie zostało mu nic innego, jak tylko udać się tam jeszcze raz. Nad brzeg jeziora. Lilla Köperödssjön. Z linią brzegową o długości tysiąca sześciuset metrów. Dziewięć metrów w najgłębszym miejscu, a nie pięć przecinek jeden, jak twierdzili w Ray's Bilservice.

Czy to, co zobaczył tam przy cyplu, to był cień?

Tak?

Znowu się pojawił?

Potwór morski?

Może powinien jeszcze raz zadzwonić do tego dziennikarza z „Bohusläningen”?

Nie, niewiele by to dało.

Okej.

Skupienie.

Kto ma siedzieć przy stole?

Na ścianie wisiało trzydzieści sześć zdjęć. Sami prawdziwi szwedzcy bohaterowie, których miał okazję poznać osobiście. Niektórych tylko we śnie, ale to bez różnicy.

Do diabła! Zupełnie wyleciało mu z głowy, że ma myśleć o tym, o czym powinien myśleć, a już był z powrotem, więc musiał znowu pójść nad jezioro.

Słońce tak pięknie odbijało się w cudownej wilgotnej tafli wody, na pomarańczowo i kwietniowo żółto. Lilla Köperödssjön. Z linią brzegową o długości tysiąca sześciuset metrów. Dziewięć metrów w najgłębszym miejscu, a nie pięć przecinek jeden, jak twierdzili tamci.

Okej.

Trzydzieści sześć na ścianie.

I tylko sześć miejsc przy stole.

Sześć osób.

Każda na swoim krześle, bo miał tylko sześć krzeseł.

No tak, skrzynia na opał chyba nie liczyła się jako krzesło ani mały taboret, na którym siadał, kiedy obcinał paznokcie u stóp.

Powiedziałem krzesła?

Co?

Nie, miejsca do siedzenia, tak powiedziałem.

Zamachnął się zaciśniętą pięścią.

I co ty na to, Allanie?

Może stracisz swoje miejsce?

Co?

Będiesz nadal wisiał na ścianie, wystawiając się na pośmiewisko, podczas gdy my będziemy się delektować Hallands Fläder?

Tak, dobrze słyszałeś.

Tu się nie oszczędza na delicjach.

Pożałował swoich słów i szybko dodał: tak tylko żartowałem. Oczywiście, że będziesz siedział przy stole.

Dostaniesz żółte krzesło.

Tym razem wszedł do domu i długo stał zamyślony przed zdjęciami wiszącymi na ścianie.

Cornelis Vreeswijk⁵.

Tak?

Okej.

Tak.

Ostrożnie odpiął fotografię i zaniósł ją uroczyście do stołu.

Czerwone krzesło.

Tomas von Brömssen⁶.

Hm...

Okej.

Może.

O czym to myślał?

Tak.

Hebbe-Lille⁷.

Oczywiście, że tak.

Tomas von Brömssen.

Niebieskie krzesło.

Jeszcze trzech, jeszcze trzech...

Można się napić?

Allan Edwall otworzył butelkę Hallands Fläder i już miał nalać sobie kielicha, *cholera, ale będzie impreza*, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili.

Jeszcze nie pijemy, okej?

Żadnego alkoholu przed rolą, zgadza się?

Jak by to wyglądało?

Stary mężczyzna potrząsnął głową z rezygnacją i odstawił butelkę tak wysoko, jak potrafił, do szafki nad kuchenką.

Podszedł z powrotem do ściany i już miał wybrać numer cztery, gdy nagle w całym pokoju rozległo się brzęczenie.

Co jest?

Wzdrygnął się i przez chwilę nie rozumiał, skąd dochodzi dźwięk.

Nowy telefon.

Komórkowy.

Praca.

Lekkim krokiem przeszedł po drewnianej podłodze i otworzył szufladę.

Niebieski.

Taki mały.

I taki piękny.

Na wyświetlaczu wiadomość tekstowa.

Strona 1. Scena 1. Okej?

Z uśmiechem wpisał odpowiedź.

Okej!

Staruszek z białymi włosami podszedł do półki pod oknem, wyjął czarny segregator, otworzył go na pierwszej stronie i wciągnął głęboko powietrze.

A potem usiadł przed swoim drugim telefonem.

7

MAŁY PORTAL Z KOLUMNAMI, potem dwie pary przesuwanych drzwi ze szkła i szarego metalu, a dalej otwarte foyer, które wyglądało na świeżo wyremontowane. Widziała, że przez całą drogę starał się nie dać po sobie niczego poznać, ale nie za bardzo mu to wychodziło, temu rudemu, brodatemu śledczemu o ciepłym uśmiechu. W jego zazwyczaj spokojnym, inteligentnym spojrzeniu dostrzegła połączenie ciekawości i radości, jakby nie wierzył w to, o czym sam niedawno pomyślał, a jednocześnie jakby się zastanawiał, co z tym fantem zrobić.

Nie zawsze wyjdzie ci to na dobre, Mio. To, że widzisz więcej niż inni.

Babcia w jeden ze swoich najgorszych dni, wtedy była już od dawna chora, ale oczywiście odmawiała pójścia do lekarza. Chuda, o niemal czarnych oczach, skulona na materacu na ziemi. Łóżka rzecz jasna nie chciała, ta wspaniała uparta dama, którą Mia tak bardzo kochała.

Możesz czuć lęk. I samotność. Inni nie rozumieją tego, co ty. Życia. Ludzi. I tego, jak wszystko się ze sobą łączy. Pomyśl o mnie, kiedy mnie już nie będzie, obiecasz mi to, Mio? Jeśli poczujesz się samotna.

Cała babcia. To ona była chora, ale nadal chciała pomagać. Na szczęście kilka tygodni później wyzdrowiała i wkrótce miała świętować osiemdziesiąte urodziny. W ten weekend. Mia Krüger cieszyła się. I lękała. Ponieważ wiedziała, co się stanie. Z mamą. Jeśli Sigrid tam nie będzie.

A jej oczywiście tam nie będzie.

Gdzie jesteś, Sigrid?

Mia Krüger rzuciła ukradkowe spojrzenie na swój telefon, kiedy łagodny śledczy uśmiechnął się i nacisnął przycisk windy.

– Mieścimy się na drugim piętrze. Jednostka została formalnie przeniesiona tutaj zeszłej jesieni, ale remont nadal trwa. Prace wykończeniowe, rozumiesz?

Polubiła go od pierwszej chwili.

Holger Munch.

Od razu wiemy, czy kogoś lubimy.

W każdym razie w jej przypadku tak było.

To jest człowiek, na którym można polegać, który jest uczciwy, przy którym można się czuć bezpiecznie, który pomoże w każdej sytuacji, jeśli kiedyś będziesz tego potrzebować.

Nie zawsze tak konkretnie, czasem to tylko przeczucie, ciepłe, dobre przeczucie, w przeciwieństwie do złego, ohydneho. Żadne hokus-pokus. W każdym razie nie w jej przypadku. Towarzyszyło jej to przez całe życie i właściwie nigdy nie traktowała tego jako coś, co można by wykorzystać. Kiedy była dzieckiem, sądziła, że wszyscy są tacy jak ona. Nie na zewnątrz, bo przecież widziała, że nie wszyscy wyglądają jak mali Indianie z intensywnie niebieskimi oczami, ale w środku. Dopiero jako nastolatka zrozumiała, że jest trochę inna.

Wkrótce skończy dwadzieścia dwa lata.

Za pół roku.

W listopadzie.

Sigrid i ona.

Poprzednim razem świętowała sama.

Tym razem będą we dwie.

Przysięgła to sobie.

Znajdę cię.

Bez względu na wszystko.

Mia Krüger zdławiła małe ziewnięcie, kiedy otworzyły się drzwi windy, ukazując szyl:

Komenda Policji w Oslo
Wydział do spraw przemocy
odd. Mariboos gate 13

– Tak, tu mieszkamy. – Munch z uśmiechem wpisał kod w panelu na szarej ścianie i przytrzymał Mii drzwi.

Zupełnie zwyczajne biuro, nawet lekko rozczarowujące, nudne. Resztki wykładziny na korytarzach wymienione na parkiet. Gabinety z oszklonymi ścianami, próba stworzenia czegoś w rodzaju otwartej przestrzeni, to, co było teraz takie nowe i hippie w korpoświecie – synergia, być razem, choć nie do końca. Wyraźna potrzeba

prywatnych rozmów, która nie pasowała do wizji architekta wewnątrz; okna większości gabinetów zasłaniały kremowobiałe, prostokątne pionowe taśmy, poza tymi gabinetami, które stały puste, a było ich kilka, *miejsca do rozwoju*, jak wyraził się Munch, kiedy ich rozmowa w kawiarni dobiegła końca. Spojrzał wtedy na nią tym samym zaciekawionym wzrokiem.

– Ile chciałabyś dostać?

Później sam z siebie się śmiał, taki niewinny żarcik. Uśmiechnęła się lekko, ale oczywiście rozumiała, że mówi poważnie.

– *Chcesz u nas pracować?*

Zmiana taktyki. Miała pójść z nim i obejrzeć ich siedzibę. Poznać resztę ekipy. Czy ma na to ochotę?

W samym środku śledztwa w sprawie zabójstwa.

Podczas gdy jego telefony bezustannie mrugały.

Prawie trzydzieści godzin od chwili znalezienia zwłok.

Dwaj jedenastoletni chłopcy.

Na polu.

Podobno pierwszych czterdzieści osiem godzin jest najważniejszych?

Przeczytała to w jakiejś książce.

Przecież nie była głupia. Ta na pozór przypadkowa, niewinna uwaga wykładowcy, kiedy przystępowali do testu UCLA. *Nie, to nic ważnego. Tylko taka zabawa. Żebyście oswoili się z miejscem zbrodni. Nie czujcie żadnej presji.*

Mia nie czuła presji, a jednak fotografie ją zaskoczyły. Były żywe. Jakby do niej mówiły. Rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy inne osoby na sali odniosły to samo wrażenie, czy były tak samo zdziwione, ale nic na to nie wskazywało. Z gorliwością małej dziewczynki trzymającej w ręce swoją pierwszą książkę z obrazkami zatopiła się w zdjęciach i przebudziła dopiero wtedy, gdy wykładowca stał obok niej z plikiem arkuszy, trzymając dłoń na jej ramieniu.

– A tutaj siedzę ja.

Munch niczym przewodnik wycieczki po policyjnych lokalach, wciąż tak samo miły i zaciekawiony, powaga na chwilę ustąpiła.

Znowu szklane boksy, większość chroniona przed spojrzeniami z zewnątrz długimi, białymi, sztywnymi taśmami, ale potem mała odmiana, zakręt, a za rogiem coś, co rzeczywiście było otwartą przestrzenią. Dwie osoby, lekko zestresowane, podniosły wzrok znad dużych ekranów, dwóch z w sumie czterech, ustawionych na wielkim stole na środku pomieszczenia tak, że tworzyły kwadrat.

– To Anja i Ludvig – przedstawił ich Munch.

Lekko podstarzały mężczyzna, chyba po pięćdziesiątce, podniósł się nieco i podał jej rękę. Miał okulary w półokrągłych stalowych oprawkach i burgundową kamizelkę z czerwonym krawatem wydzierganym na drutach. Mii przypomniał się dowcip: *Cześć, dzwonią lata siedemdziesiąte. Chcą odzyskać swoje ubrania, ale nie miała powodu, by z niego żartować, bo mężczyzna sprawiał wrażenie wyjątkowo miłego. Serdeczny uśmiech, ciepła dłoń, kontakt wzrokowy.*

– Ludvig Grønlie.

– Cześć, Mia Krüger.

– A to jest Anja.

– Cześć.

Młoda kobieta w okularach w rogowych oprawkach nie wstała, tylko rzuciła jej przelotne spojrzenie, a potem westchnęła i przeniosła wzrok z powrotem na ekran, podczas gdy jej szybkie palce poruszały się po klawiaturze jak po klawiszach fortepianu.

– Czy ty jesteś poważny, Munch?

– Anja Belichek. Nasz niecierpliwy geniusz komputerowy. Prosto z Harvardu.

– Nie. Harvard jest dla mało inteligentnych snobów, które dostają się tam tylko dlatego, że mają bogatych rodziców. Ja studiowałam na MIT. – Westchnęła i podrapała się po krótkich brązowych lokach.

Była ubrana w spódnicę w szkocką kratę i twarżową białą bluzkę, która wyglądała tak, jakby pochodziła z lat pięćdziesiątych. Na jej nadgarstku widniał tatuaż przedstawiający małe czerwone serce.

– Mamy już pięćdziesiąt tysięcy stron – powiedziała i w końcu odwróciła się od ekranu.

– Ma rację – odparł Grønlie.

Zdjął okulary i wytarł je w jasnoniebieską koszulę, która wystawała spod kamizelki.

– Potrzebujemy więcej ludzi.

– Ze śledztwa w Szwecji – wyjaśnił Munch. – Poprosiliśmy o przesłanie akt sprawy.

– I dokumenty nie przestają przychodzić – wymamrotała Anja Belichek.

Coś, co przypominało zrezygnowany, lekki uśmiech, kiedy zmarszczyła nos pod okularami o mocnych szklach. I dopiero wtedy zwróciła uwagę na Mię.

– A ty to kto?

– To jest Mia Krüger – odparł Munch.

– Okej.

– Ale poważnie, Holger?

To znowu Grønlie, w okularach z powrotem na nosie.

– Oczywiście – przytaknął Munch. – To już załatwione. Poprosiłem Wilkinsona, żeby zmontował dla was ekipę w Grønland. Siedem, osiem osób. W porządku?

– To lepsze niż nic – westchnęła Anja.

– Nie chcesz, żebym się tam przeniósł? – spytał Grønlie. – Dopilnował, żeby robili to, co do nich należy? Szukali tam, gdzie mają szukać? Tego jest cholernie dużo.

– Wilkinson to ogarnie. Ty jesteś mi potrzebny tutaj.

Munch wyprowadził Mię z pomieszczenia, ale zawrócił na rogu.

– A tak przy okazji: przygotuj dla niego listę priorytetów.

– Okej.

Grønlie przygotował notes i długopis.

– Ślady, podejrzani, przesłuchania świadków, rodziny. W tej kolejności. Wszystkie czerwone flagi bezpośrednio do mnie. Każdego wieczoru przed północą oczekuję pisemnego raportu na maila.

– Chyba żartujesz?

Anja odwróciła się. Mia zobaczyła, że grymas niezadowolenia był udawany.

– Butelka wódki Dworek, jeśli coś znajdziesz. – Munch mrugnął do niej.

– Powiedzmy, skrzynka i umowa stoi – skontrowała młoda dziewczyna i zniknęła za ekranem.

– Polka – wyjaśnił Munch, kiedy znaleźli się na korytarzu.

Zaprowadził ją do nowego dużego pokoju i wtedy Mia to zobaczyła. Powagę czającą się w jego spojrzeniu. Zegar tykający gdzieś za jego oczami. To całe show, ten uśmiech miał przyklejony do ust z jej powodu.

Trzydzieści godzin.

Widziała pierwsze strony gazet.

Przeczytała wystarczająco dużo książek, żeby rozumieć, o co toczy się gra.

Koniec zabawy.

Właśnie to zrobiła po przeżyciu, którego doznała podczas testu. Poszła do biblioteki. Tuż po zajęciach wybrała się do Deichmanske, przez wiele tygodni spędzała tam każde popołudnie. Czytała wszystko, co wpadło jej w ręce. O miejscach zbrodni. Seryjnych mordercach. Kryminologii. Medycynie sądowej. Technikach kryminalistycznych. Próbowwała zrozumieć, czego doświadczyła w głowie i ciele. I właśnie tam, między tymi wszystkimi zakurzonymi półkami, otworzył się przed nią fascynujący świat. Zupełnie jakby...

Nie, nie.

Zespół reagowania kryzysowego.

Delta.

To po to trenowała.

To właśnie na tym jej zależało.

Pierwsza kobieta.

Pokaże tym sukinsynom.

Koniec z jego lekko żartobliwym, łagodnym wyrazem twarzy korpulentnego śledczego, włączył więcej światła i nagle stanęła otoczona tym, nad czym pracowali. Wnętrze sprawy opisywanej w gazetach. Fotografie, której jej pokazał, przyczepione do jednej ze ścian. I dużo, dużo więcej. Rozejrzała się zafascynowana.

– Tu jest nasz briefing room, to tutaj wszystko się odbywa – wyjaśnił Munch wciąż z tym poważnym, nieobecnym wzrokiem.

Nagle poczuła, że im przeszkadza. Obejrzała kilka zdjęć, zgadza się, ale to była rzeczywistość. Chciała się pożegnać, zjechać windą

na parter i wyjść na ulicę, żeby pozwolić tym ludziom pracować w spokoju, ale ten pokój był tak atrakcyjny, że nie ruszyła się z miejsca.

– Chcę ci przypomnieć, że to, co tutaj widzisz, jest tajne.

– Jasne.

– Złamałem co najmniej milion przepisów, pozwalając ci tu wejść.

– Rozumiem.

– Ale to, co mi powiedziałaś...

Spojrzał na nią. Lekkość zupełnie zniknęła z jego okrągłej twarzy. Śmiertelna powaga. Wpatrujące się w nią, przepełnione bólem oczy. Niemal potrafiła czytać w jego myślach.

Dwie rodziny straciły swoje dzieci.

Już nigdy ich nie zobaczą.

A na mnie spoczywa odpowiedzialność za to, żeby go znaleźć.

Żeby rodziny doczekały się sprawiedliwości.

Cały świat na nas patrzy.

Rozumiesz?

– Rozumiem – wymamrotała cicho.

– Co?

– Sorry, ja tylko...

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, ponieważ drzwi za nimi otworzyły się i szybkim krokiem weszła do pokoju kobieta po trzydziestce. Surowe spojrzenie, blondynka, włosy do ramion, ubrana tak, że zdaniem Mii bardziej pasowała do banku niż do policji.

– Gdzie byłeś? Dzwoniłam do ciebie setki razy. Zdaje się, że mamy furgonetkę. Oxen ma...

Munch przerwał jej.

– Anette, poznaj Mię Krüger.

Blondynka zatrzymała się zaskoczona, po czym spojrzała na nią dziwnie.

– Mio, to jest Anette Goli. Moja prawa ręka.

– Cześć. – Mia nieśmiało skinęła głową.

– Co się dzieje? – spytała lekko zirytowana kobieta, wymachując rękami. – Mamy dwa przejazdy przez bramki tego samego pojazdu,

pierwszy raz przy Metrocenter w Lørenskog, a drugi tuż przed portem w Lillestrøm. Powinniśmy...

– Daj nam dwie sekundy – wszedł jej znowu w słowo i zwrócił się do Mii: – Możesz na nie spojrzeć? Jeszcze raz? Dla Anette? Powtórzysz jej to, co mi powiedziałaś?

W jego spojrzeniu znów pojawiła się serdeczność.

– Teraz? – zdziwiła się Mia.

– Tak.

Uśmiechnął się lekko i wskazał ręką fotografię wiszącą przed nimi na ścianie.

8

FREDRIK RIIS POKAZAŁ legitymację, przejechał przez blokadę i zaparkował samochód obok tablicy, na której widniał napis: Związek Strzelecki Lørenskog. Założony w 1891 roku. Dwa duże brązowe karabiny zdobiły owalne logo. Przywiodło mu ono – co lekko go zdenerwowało – na myśl ojca, który miał zamiłowanie do starej broni i całkiem okazały arsenał w piwnicy w Bærum. Oczywiście Fredrikowi nie było wolno tam wchodzić. Ojciec nigdy nie zaproponował, żeby wybrali się razem na polowanie. Nie żeby Fredrik miał wielką ochotę strzelać do ptaków ze starych winchesterów, ale jednak. Odsunął od siebie tę myśl i wysiadł z samochodu.

Zobaczył naprzeciw znajomą twarz. Spotkanie, bez którego mógłby się doskonale obejść. Erik Brun. Kolega z Wyższej Szkoły Policji. Chociaż kolega to za dużo powiedziane – idiota, z którym przyszło mu razem studiować, chyba tak należało to określić. Hałaśliwy policjant człapał przez plac. Na widok Fredrika mina mu zrzędła.

– Czyżby to był nasz snob?

Potarł dłonią szczękę, żeby nie podać mu ręki na powitanie.

– Cześć – odpowiedział Fredrik jak gdyby nigdy nic.

Najlepsza metoda na takich jak Brun. Przez jeden semestr razem patrolowali ulice. Stąd ta obrażona mina. Zazdrość, to oczywiste. Wolny etat w wydziale do spraw przemocy. Wymarzona praca. Wiedział, że Brun również aplikował, ale to Fredrik Riis dostał tę posadę.

Widzę, że nadal jeździsz w patrolu?

Ale był zbyt dobrze wychowany, żeby to powiedzieć. Uprzejmy i poprawny. Jedyna pozytywna rzecz, jaką wyniósł z domu.

Snob.

Oslo to jednak małe miasto. Fredrik Riis doskonale wiedział, czemu zawdzięcza to przezwisko i że anegdota z nim w roli głównej od dawna krąży w środowisku policyjnym. Dzień przed rozpoczęciem pracy, podekscytowany i szczęśliwy, zadzwonił do oficera dyżurnego i spytał o obowiązujący *dress code*. Oficer postanowił zabawić się kosztem głupiego żółtodzioba. *Garnitur i krawat. W wydziale do spraw przemocy rygorystycznie tego przestrzegają.* Fredrik powinien wyczuć podstęp, ale był wtedy młody, naiwny i nieco zdenerwowany. Następnego dnia zjawił się w pracy w swoim najlepszym garniturze i świeżo wyprasowanej koszuli. Przygotowywał się do tego przez wiele godzin. Zainwestował nawet w lepsze żelazko. Przyszedł w wypastowanych włoskich butach. Z elegancką poszetką w górnej kieszonce marynarki. Założył do krawata złotą spinkę, którą odziedziczył po dziadku. Dumny jak paw udał się na pierwsze zebranie w nowej pracy. Wysiadł z windy na trzecim piętrze tylko po to, by przywitały go pełne pobłażania spojrzenia. Jak klaun. Tak się czuł. Okropnie zawstydzony. Ekstremalnie upokorzony. W dużej sali panowała absolutna cisza. Tylko to skrzypienie nowiuteńkich brązowych butów o linoleum. Psychiczna chłosta aż do biurka z jego nazwiskiem i nagły wybuch śmiechu.

Ale okej.

Stało się.

Ludzie byli mili.

A on w chwili szaleństwa postanowił żyć zgodnie z przezwiskiem.

Właściwie dlaczego nie?

Od tamtego dnia codziennie przychodził do pracy dumnie wyprostowany i elegancki. To był jedyny sposób, żeby zamknęli jadaczki. Wciąż dbał o wygląd. Oczywiście, teraz pozwalał sobie na trochę większy luz: zrezygnował z krawata, ale pozostał wierny garniturowi.

– Co mamy?

– Obudowaną studnię, tam na dole – wskazał Erik Brun. – Technicy kryminalistyki są już na miejscu, ale my mamy się trzymać z daleka. Równi i równiejsi, co? Przyjemniaczki. Mamy się trzymać z daleka, żebyśmy *nie stali się źródłem kontaminacji*. Za kogo oni nas mają?

Policjant wsunął kciuki za pasek i splunął na ziemię.

Prawdopodobnie za bandę idiotów.

– Miło cię widzieć, Eriku.

Poklepał rosnącego funkcjonariusza po ramieniu i ruszył w stronę strzelnicy, gdzie pracowało troje techników ubranych w białe kombinezony ochronne.

W końcu przyszła wiosna. Wzdłuż zwirowej drogi rosły drzewa w różnych odcieniach świeżej zieleni. Dwie mewy zerwały się do lotu z dachu strzelnicy i z krzykiem zniknęły nad polami. Fredrik Riis, podobnie jak Munch, nie cierpiał zimy. Obaj dorastali w mieście, może to był powód. Tutaj zima wyglądała zupełnie inaczej. Pagórki pokryte śniegiem, z których można było zjeżdżać na sankach albo urządzać małe skocznie narciarskie. W centrum Oslo to było niemożliwe, tylko chlapa, ciemność, mokre ulice i trzęsący się z zimna ludzie. Gdzieś usłyszał, że teraz w szkołach nie uczy się dzieci, że śnieg jest biały. Bo przecież każdy widzi, że jest szary. Jeśli w ogóle jakiś spadnie. Miał kilku kumpli, którzy co roku namawiali go, żeby wybrał się z nimi na południe. W Alpy. Do St. Moritz. Seefeld. Slalom narciarski albo snowboard. Ale to nie było dla niego. Zimą spędzał głównie w pomieszczeniach. Przed kominkiem. Ze znaczkami. I ptakiem. Czekał, aż niebo znowu pojaśnieje. Żeby można było oddychać. W kieszeni marynarki zabrzączał telefon. Śledczy zatrzymał się w pół drogi, żeby sprawdzić, kto przysłał wiadomość.

Cholera jasna.

Spotkamy się dziś wieczorem?

Fredrik namyślał się przez krótką chwilę, chociaż pamiętał, co postanowił.

Nie.

Przez kilka sekund czekał na odpowiedź. Wiedział, co zaraz przeczyta.

Dlaczego nie?

Zrezygowany potrząsnął głową i wsunął telefon z powrotem do kieszeni.

– Jesteś z jednostki?

Podeszła do niego trzydziestoparoletnia kobieta.

– Tak. Riis.

– Cześć, Janne.

Ściągnęła niebieską plastikową rękawiczkę i uścisnęła mu dłoń.

– Co tu mamy?

– Starą obudowaną studnię. Kilka godzin temu natrafił na nią ktoś z ekipy poszukiwawczej. Obawiam się, że zdeptali miejsce na amen, ale robimy, co możemy, żeby coś uratować.

Zdjęła kaptur i z irytacją wskazała funkcjonariuszy, którzy właśnie opuszczali to miejsce.

– Niczego się w szkole nie nauczyli?

Dała znak, żeby Riis udał się z nią w stronę zagajnika.

– Ale już skończyliście? Mogę tam wejść?

Przytaknęła.

– Zdjęliśmy odciski z kłódki i z czego tylko się dało.

Pomalowana na złoty kolor mała kłódka leżała na ziemi przed zniszczoną, czerwoną, niewielką obudowaną studnią.

– Była zamknięta?

– Nie. Kłódka wisiała na skoblu.

– Okej – powiedział i włożył rękawiczki.

– To ci się przyda. – Janne podała mu dużą latarkę. – Jest tam zaskakująco ciemno. Studnia jest tak stara, że można by oczekiwać, że światło przedziera się przez szpary między zmurszałymi deskami, ale od wewnątrz ktoś wyłożył ją izolacją. Czarną papą dachową. Wygląda na to, że służyła do...

Wyciągnęła paczkę papierosów z kieszeni pod kombinezonem.

– Do czego?

– Ty mi powiedz. W każdym razie do czegoś. Rzadko zdarza mi się dostawać gęziej skórki na miejscu oględzin. A tak przy okazji...

Podeszła do dużej walizki i wyjęła z niej przezroczystą torebkę dowodową.

– Majtki?

– Nie wiemy, czy należały do któregoś z chłopców, ale są na to spore szanse. Jak myślisz?

Kobieta o blond włosach potrząsnęła głową i skinęła na jednego z techników, a on podszedł do niej z zapalniczką.

– Ale nie macie nic przeciwko, żebym tam wszedł?

– Proszę bardzo.

Fredrik Riis włączył latarkę, schylił się i ostrożnie wszedł przez wąskie drzwiczki.

O kurwa!

9

KLIKNIĘCIE. I ZNIKA ŚWIAT wokół ciebie. Zostają tylko te fotografie. Nie spiesz się. Nikogo innego tu nie ma. Tylko ty i te zdjęcia. Ułóż je jedno obok drugiego. Pionowo i poziomo, tak aby utworzyły kwadrat na stole przed tobą. Nie wybieraj zbyt wielu fotografii. Wyłącznie takie, które stworzą ogólne, możliwie najpełniejsze wrażenie. Nie wymieniaj zdjęć w trakcie seansu. Wszystko musi przebiegać płynnie, bez żadnych przerw. Przygotowałeś fotografie, których potrzebujesz? Masz pełny ogląd? Szczegóły, które jak sądzisz, mogą ci się przydać? Użyj zdania, dźwięku lub smaku czegoś, co masz w ustach, by pozbyć się resztek rzeczywistości, która cię otacza. Jeśli praktykujesz medytację, wiesz, o czym mowa. To może być coś całkowicie niedorzecznego. Dopóki twoje ciało i głowa wiedzą, o co chodzi, wszystko jest w porządku. Jesteś gotowa? W takim razie zaczynamy.

Pomyśl o babci.

Mia odcięła się od świata zewnętrznego i skupiła wyłącznie na zdjęciach ułożonych w odpowiedniej kolejności na stole. Tym razem czuła się lepiej. Właśnie tam była i przestała się bać, drzeć na myśl o tym, co znajdzie. Wejść w to całą sobą. Jeszcze dalej niż ostatnim razem? Bo było tam coś, czego wcześniej nie zauważyła, prawda? I nie chodziło tylko o brak fotografii. Nie, chodziło o coś innego. O dziurę. W historii. W zdjęciach, które zgromadziła. Jakiś błąd. Coś, czego wcześniej nie była świadoma. Coś, co dawało jej znaki, a ona ich nie dostrzegała. Mia zamknęła oczy na krótką chwilę i usiłowała nie irytować się na blondynkę, która wyciszyła dźwięk w telefonie, tak jak ją o to proszono, ale zapomniała wyłączyć wibracje. W komórce w kieszeni marynarki. Damskiego żakietu. Uszytego przez krawca, a nie kupionego na wyprzedaży, w każdym razie nie z taniej sieciówki. W błękitnym kolorze. Pasywnym i spokojnym. Żadnych decyzji pod wpływem impulsu. *Jestem spokojna. Rozważna.*

Znowu ten dźwięk z kieszeni zakietu. Połączenie wełny z wiskozą. Trzy guziki. Kieszenie po obu stronach, tuż nad biodrami.

– Sorry, ale czy mogłabyś...?

Mia odwróciła się w stronę kobiety o imieniu Anette i skinęła głową na zakiet z wibrującym telefonem w kieszeni.

– Oczywiście, przepraszam.

Sztywny uśmiech na wąskich ustach i jednocześnie przelotne spojrzenie na Muncha połączone z lekkim potrząsaniem głową.

What the f..., Holgerze?

Wiesz, że zaraz wszystko wokół nas zacznie się walić?

Okej, Mio.

Spokojnie.

Myśl o babci.

Na polu leży dwóch prawie nagich chłopców. Jeden ma krótkie jasne włosy. Leży na plecach. Z jedną ręką na piersi. Drugi krzywo, na boku. Twarz pierwszego wydaje się spokojna. Kilka piegów na małym nosie. Na pierwszy rzut oka przypomina anioła. Takiego, jakie kiedyś malowano. Takiego opierającego się o chmurę. Ten chłopiec ma na sobie ubranie. Jego penis jest mały, zdążyło mu wyrosnąć zaledwie kilka włosów łonowych. Są jasne, w takim samym odcieniu jak loki na głowie. Żadnych włosów na mosznie. Teraz to wiesz, ale gdybyś miała zgadywać, powiedziałaabyś, że to dziesięciolatek. Tymczasem to jedenastolatek. Ma długie ciało. Chude. Kruche. Tak, ty dałabyś mu mniej lat, nie więcej niż dziewięć. Ma wąskie wargi. Nogi wydają się zbyt długie w stosunku do reszty ciała. Teraz widzisz, jak biegnie. Biegnie szybko. Jest jak wiatr, uśmiecha się i oddycha ciężko, zmierzając do celu przed innymi. Skreśl to. Tego nie wiesz. Czy lubi rywalizować. Ale biegnie szybko. Potrafi szybko biegać. Wokół szyi ma niebieską kreskę. Był duszony. Od tyłu. Czymś cienkim. Ale nie metalową linką, bo ona zostawiłaby inne ślady na skórze. Żyłką wędkarską? Może. Czujesz, że chłopiec nie może nabrać tchu. Walczy o oddech. Dlaczego nie podnosi rąk, żeby się bronić? Żadnych zadrapań. Na żadnym palcu. Ani na ramionach. Ani w żadnym innym miejscu białego ciała. Owszem, ma kilka siniaków. Jeden na łokciu, jeden na lewym kolanie. Ale siniaki nie mają z tym nic wspólnego. Fotografia palców. Chętnie

zobaczyłabym je w jeszcze większym powiększeniu, pod mikroskopem, ale tyle i tak wystarczy. Bo to jest pierwsza rzecz, na którą zwracasz uwagę. Morderca poświęcił mu dużo czasu. Żaden chłopiec nie ma tak czystych paznokci. Obciął mu je. Opiłował. Ułożył jego palce, ładnie i starannie, w mały wachlarz, jak na jakimś obrazie. Portret dłoni. Martwa natura. Jak u Rembrandta. Albo Caravaggia. Ten chłopiec, teraz już wiesz, że ma na imię Ruben. Dłoń na piersi pokrywa biały gips. Palce ledwo wystają z otworu, ale są tak samo wypielęgnowane jak te u drugiej dłoni. Siedzi w klasie, Ruben, jest w samym centrum. Skaleczył się w dłoń. Złamał ją? Co ci się stało, Rubenie? Spadłeś z roweru? Uderzyłeś dłonią w ścianę? Nie, ty nie jesteś taki. Garbisz się lekko. Być może wstydzisz się tego, jak jesteś wysoki. Nie, może nie. Może chodzi o coś innego. Ktoś ci dokucza? Od dawna? Ktoś dorosły? Często się boisz? Tylko takie dzieci mają przygarbione ramiona, w ten sposób bronią się przed światem. Inne dzieci cię lubią. Wypisują coś na twoim gipsie. Różnymi pisakami. W wielu kolorach. Jest tu dziewczynka, w której się podkochujesz albo która podkochuje się w tobie. Sylvia. Jej imię na gipsie jest w środku czerwonego serduszka. Co się stało z twoją ręką, Rubenie? Czy to ma jakiś związek z tym, że się garbisz? Tak czy inaczej, jesteś głównym bohaterem tej sceny. Protagonistą. Tamten drugi chłopiec jest postacią drugoplanową. Nie jest tak ładny jak ty. Ani tak zadbany. Nawet nie jest całkiem obnażony. Ma na sobie stare granatowe majtki. Z luźną gumką. Widać wyraźnie, że były prane setki razy. Ledwo się na nim trzymają. Został rzucony niedbale obok ciebie. Nawet nie leży z twarzą w kierunku nieba. Rzut oka na tamtych dwóch chłopców, tych ze Szwecji. Leżą w tych samych pozycjach. Jeden jest całkiem nagi. Drugi nie. Nie zostali tutaj zamordowani. Z jakiegoś powodu ich ciała zostały tu zawleczone. To nie jest przypadkowe miejsce. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane. Wszystko. Każdy, nawet najmniejszy szczegół. Między chłopcami leży zwierzę. Mały rudy lis. Wygląda spokojnie. Jakby spał. Ma zamknięte oczy. Łapy wyciągnięte przed siebie. Skierowane w stronę tego chłopca, który przypomina anioła. Dlaczego ci, którzy robili te zdjęcia, nie rozumieli, że to jest ważne? Że musimy znaleźć się wyżej? Żeby widzieć całą scenę? Że wszystko ma tu znaczenie?

Mia Krüger nagle poczuła, że robi jej się niedobrze, jakby miała wymiotować. Musiała wycofać się ze zdjęć, posiedzieć przez chwilę na krześle, z jedną ręką przed twarzą. Miała problemy z oddychaniem.

– Wszystko w porządku?

Munch ze swoim serdecznym spojrzeniem, gdzieś w oddali, w rzeczywistym świecie. Zegar wiszący na krótszej ścianie obok białego ekranu pokazywał, że minęły zaledwie trzy minuty. Dla niej to była cała wieczność.

– Tak, tak, jest okej – wymamrotała, oddychając spokojnie przez nos, żeby uspokoić serce, które waliło pod białym swetrem.

Dlaczego się na to zgodziła?

Co to było? Pokaz cyrkowy?

Była jakimś dziwolągiem?

Miała tak siedzieć przed dwojgiem obcych ludzi?

Nie, kurwa.

Koniec tego dobrego.

Do domu.

Do swojego życia.

Spać.

Krążyć po ciemnych ulicach.

Szukać Sigrid.

– No i...? – wymamrotała blondynka.

Kobieta o nazwisku Goli siedziała na biurku, z ramionami skrzyżowanymi na błękitnym żakiecie. Swoją postawą dawała jasny sygnał, że jej zdaniem tylko marnują czas.

– Krótko mówiąc – powiedział Munch i podszedł do kserokopii zdjęć wiszących na ścianie. – Mia twierdzi, że to gdzieś tutaj...

Wskazał palcem jedno ze zdjęć.

– Musiało tam stać jakieś krzesło. Albo drabina do wieszania firan. Coś w tym stylu, prawda?

Mia skinęła szybko głową.

– I to jest ważne, ponieważ...? – westchnęła Goli.

– Chłopcy nie zostali tutaj zamordowani. Ich ciała zostały tu podrzucone. Właśnie to masz na myśli, Mio. Zgadza się?

– Owszem.

– Zabójca był wyjątkowo skrupulatny – mówił dalej Munch. Z coraz większym zaangażowaniem. – Palce. Zadbane. Ciało ułożone w odpowiedni sposób. Zamordowani tak, by nie było widać żadnych ran, obrażeń, krwi. Są tak czyści, jak to tylko możliwe, nie licząc linii wokół szyi. I to...

Spojrzał na Mię tak, jakby chciał oddać jej cześć, ale odgoniła go, machając ręką. Czuła, że niebezpieczeństwo minęło.

– To jest obraz – stwierdził Munch triumfującym tonem. – Dzieło sztuki. Dwóch martwych chłopców na polu. Chciał znaleźć się wyżej, żeby móc to udokumentować.

– I...? – Goli posłała mu pytające spojrzenie. Jej sceptycyzm wyraźnie zmalął.

Przeniosła zaciekawione spojrzenie na Mię, a potem z powrotem na fotografię.

– Ale co ze zwierzętami? Z lisem? I zającem? Z miejsca zbrodni w Szwecji?

– Nie wiem – odparła krótko Mia.

– Mówicie *on* – powiedziała Goli. – Czy mamy pewność, że chodzi o mężczyznę?

Munch zerknął na Mię.

– Tak – powiedziała szybko i wstała z krzesła. – Muszę już iść. Z mojej strony to wszystko. Dziękuję i powodzenia.

Opuściła pokój tak szybko, jak zdołała, i przeszła dość długi kawałek korytarza, gdy w końcu ją dogonił. Nie był w szczytowej formie. Oddychał ciężko nad swoim okrągłym brzuchem, przyglądając się jej z tym samym zaciekawieniem, z jakim patrzył na nią w windzie.

– Jesteś pewna, że nie...?

– Nie, dziękuję – odparła zdecydowanym tonem i otworzyła drzwi windy.

Wszedł za nią.

– Masz – powiedział i wycisnął jej do ręki swoją wizytówkę. – Zadzwoń do mnie. Kiedy tylko będziesz chciała. Jeśli zmienisz zdanie. Albo coś sobie przypomnisz. Okej?

– Okej – odparła i wsunęła wizytówkę do tylnej kieszeni dzinsów. Drzwi windy powoli się otworzyły. Wiosenne powietrze wydawało się

jeszcze bardziej rzeźkie niż zwykle.

Mia stała nieruchomo na asfalcie do czasu, aż serce przestało jej walić pod swetrem.

A potem ruszyła dalej w stronę Hausmanns gate, tak spokojnie, jak tylko umiała.

Żeby wrócić tramwajem na Torshov.

10

NASTAWIŁA BUDZIK NA wpół do dziesiątej, ale obudziła się około dziewiątej. Z sąsiedniego pokoju płynęła głośna muzyka. Przypomniało jej się, że jest poniedziałek. Jak mogła zapomnieć? We wtorki studenci drugiego roku zaczynali zajęcia późno, więc mogli zaszałeć. Poniedziałkowy browarek. Biforek na Vogts gate. Dziesięć–piętnaście wymalowanych, rozchichotanych studentek Wyższej Szkoły Policji tłoczyło się w małym wspólnym salonie. Mia rozważała, czy się nie odezwać, ale postanowiła odpuścić. Już wcześniej krzywo na nią patrzyły. Jeśli chciały upić się do nieprzytomności, miały do tego pełne prawo. Ale czy musiały to robić właśnie tutaj? W mieszkaniu, które już wcześniej było ciasne? Mieszkały tu we trójkę, ale czasem wydawało się, że jest ich o wiele więcej. Łazienka nigdy nie była wolna. Ubikacja też nie. Nigdy nie można było w spokoju przygotować sobie jedzenia. Mia mieszkała na Torshov od prawie półtora roku i kiedy tylko pozwalała na to pogoda, tyle samo czasu spędzała w środku, co na zewnątrz. Chętnie chodziła do parku, żeby przeczytać książkę. Albo jeździła rowerem do Maridalen, żeby się wykąpać. Wszystko było lepsze od siedzenia w ciasnym mieszkaniu i słuchania tej paplaniny. Trajkotania. Gadki szmatki. Mia miała alergię na takie osoby. Sto razy bardziej wolała spędzać czas sama. Włóczyć się po mieście. Również nocami. Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Pobyć sam na sam ze swoimi myślami.

I jednocześnie szukać Sigrid.

Miała ogromną ochotę wziąć prysznic, ale oczywiście tego wieczoru nie było o tym mowy, więc włożyła obcisłe czarne džinsy, odszukała czarny T-shirt i bardzo cienki, ale ciepły sweter. Ze swojej skrytki w szafie wyciągnęła dużą torbę i to, czego potrzebowała, włożyła wszystko do plecaka. Rękawiczki. Latarka. Ulotki. Ile? Pięćdziesiąt sztuk? W torbie było ich coraz mniej.

Widziałaś/-łeś tę dziewczynę?

Sigrid Krüger.

Zadzwoń do mnie, jeśli coś wiesz, please!

Wkrótce będzie musiała podejść do sekretariatu szkoły i wybłagać więcej kserokopii. Zapięła pochwę na ramieniu tak, aby rękojeść noża znajdowała się tuż pod lewą pachą. Czarny nóż marki EKA Nordic ze stałą klingą i rękojeścią z gumowanego plastiku, który czynił go lekkim, a jednocześnie umożliwiał wygodne i pewne oparcie dłoni. Chodzenie po ulicach Oslo z nożem było oczywiście niezgodne z prawem, mogła przez to wylecieć ze szkoły, ale nie zamierzała szwendać się przez całą noc po tym mieście, nie mając niczego, czym mogłaby się bronić. Boże, jacy ludzie byli naiwni! Tramwajem do pracy i z powrotem. Obiad z rodziną i przyjaciółmi. W świetle dnia. Miernej jakości rozrywka w telewizji, dla nich w sam raz, trochę głupszy, ale psychicznie zadowoleni kładą się spać. Piękne Oslo. Bezpieczna Norwegia. Gdzie wszyscy z uśmiechem na ustach chodzą na wycieczki ubrani w kurtki przeciwdeszczowe. *Hej, hej! Jak miło cię widzieć!*

Aż w końcu zapada zmrok.

I budzą się wszystkie karaluchy.

Mia wsunęła nóż do pochwy, zawiązała martensy, założyła czarną kurtkę z kapturem i naciągnęła czapkę mocno na głowę. Zanim wyszła, szybko przejrzała się w lustrze szafy ubraniowej.

Podobało jej się to, co zobaczyła.

Prawie jak przebranie.

Pancerz chroniący przed wszystkim, co mogła spotkać na ulicy.

Schyliła głowę, przeciskając się przez hałaśliwe towarzystwo, i już po chwili siedziała w tramwaju jadącym do centrum miasta.

Oslo S⁸.

Plata⁹.

Zawsze tam zaczynała.

Bo tam zbierały się ćpuny.

Heroina?

Mia nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy siostra pierwszy raz z tym wyskoczyła. Nie chciała, żeby Sigrid się o tym dowiedziała,

ale doprowadziła ją tym pytaniem do ostateczności. Co jest z tobą, kurwa, nie tak? Już prawie cię nie widuję? Nie miałyśmy trzymać się razem? Dobrze się bawić? Jak studentki? W Oslo? Zadzwoiłam do twojej szkoły – tak, zrobiłam to – i wiesz, co mi powiedzieli? Że już tam nie studiujesz! Że prawie cię tam nie widywano! Pielęgniarka? Nie chciałaś zostać pielęgniarką? Co tu się, kurwa, wyprawia?

Nie daję sobie w żyłę.

My tylko palimy.

Siostra, zmęczona i chuda, z mętным wzrokiem, pod kiedyś tak pięknymi, długimi, jasnymi włosami.

Dawać sobie w żyłę?

Palić?

O czym ty, do cholery, mówisz?

Sigrid.

Najmilsza, najzdolniejsza, najuczciwsza dziewczyna w całym Åsgårdstrand.

Która grała w piłkę ręczną, jeździła konno, świetnie się uczyła i pracowała jako wolontariuszka w domu seniora.

Nie.

W pierwszej chwili pomyślała, że to żart.

Że zaraz zjawi się ktoś z kamerą, zetrze tę matową szminkę z zapadniętej twarzy siostry, z sufitu posypie się konfetti, rozlegnie się aplauz i śmiech i okaże się, że Sigrid wymyśliła to wszystko, żeby się z niej ponabijać.

Skończę z tym.

Kurwa, Sigrid...

Oczywiście, że z tym skończę, ale jeszcze nie teraz. Tak, jestem winna trochę pieniędzy. Niedużo, tylko kilka tysięcy. Pożyczysz mi? Tylko na kilka dni? Please?

Poszły razem.

Do bankomatu.

Mia wypłaciła prawie wszystko, co miała na koncie.

Dziesięć tysięcy.

To było trzy miesiące temu.

Wtedy widziała ją po raz ostatni.

Gdzie jesteś, Sigrid?

Mia Krüger wyciągnęła kilka ulotek z plecaka i ruszyła w stronę tłumy. Plac Christiana Frederika. Między dworcem kolejowym i giełdą. Nazwany tak na cześć duńskiego króla, który kiedyś rządził Norwegią i pił herbatę w zadbanym pałacowym ogrodzie. Właśnie tu postanowiły się spotykać miejscowe ćpuny. Niewiele zostało z królewskiego przepychu. Śmietnik ludzkości. Przegrani. Turyści wciąż się na nich skarżyli. Właśnie tutaj wysiadali z pociągu jadącego z lotniska i mieli zwiedzać piękne Oslo, a tymczasem to było pierwsze, co widzieli w tym mieście. Helena, hel, mączka, hera, proszek, grzanie, *heroina*. Trzęsące się, chude, brudne palce na podziurawionych spodniach od dresu i starych, zniszczonych puchówkach. Tysiąc koron za jeden gram. Jeden gram to pięć dawek. Zapalniczka ukryta pod zmiętą folią aluminiową. Bulgotanie, syczenie. Czubek igły wciągającej żółtobrazową ciecz. Czerwona gumowa rurka zaciśnięta wokół chudych ramion. Żeby uwydatnić żyły. Przycięte słomki. Z pobliskiego Burger Kinga. Dla tych, którzy woleli palić. Trzęsące się postacie, ludzkie zombie, stojące w kręgu na zimnym asfalcie, pochylone nad tym, co najświętsze, z tymi białymi, domowej roboty fajkami w ustach. Mia o mało co nie zwymiotowała, kiedy po raz pierwszy poczuła ten intensywny zapach. Ktoś właśnie zapalił tuż obok niej. Młody chłopiec i młoda dziewczyna. Nie mieli więcej niż piętnaście, może szesnaście lat. Chryste Panie. Zrobiło jej się strasznie smutno. Zupełnie jakby wszystko, co piękne na tym świecie, zostało z niej wyssane. Cała dobroć. Całe piękno. Zniknęło w ciągu jednej krótkiej chwili. Widok tych dzieciaków na ulicy. Już teraz prawie martwych. Upodlenie. A potem uśmiechy, które nagle pojawiły się na młodych twarzach, kiedy prochy zaczęły działać i na moment uwolniły ich od całej nędzy tego świata.

– Hej, Polly! Jak leci?

Była tu wiele razy. Na początku jej unikali. Instynkt narkomana. Miała to wypisane na twarzy. Że nie przyszła tu po to, żeby coś kupić. Że była outsiderką. Ale z czasem przyzwyczaili się do jej obecności, wpuścili między siebie. *To tylko ta, która szuka swojej siostry. Hej, czy ktoś widział jej siostrę? Jak ona miała na imię? Ktoś coś wie? Nie masz przypadkiem kilku koron? Na autobus? Na kubek kawy?*

Kilku monet? Sigrid, czy ktoś widział jakąś Sigrid? Przyjeżdżną, z Horten?

Zmęczona dziewczyna stojąca przed nią pokiwała powoli głową. Miała problemy z otwarciem oczu, ale jakimś cudem udawało jej się utrzymać na nogach. Te ćpuny to byli mistrzowie świata. W wytrzymałości. Zero jedzenia. Zero snu. Zero składników odżywczych. A mimo to dzień w dzień na nogach, jak samonapędzające się silniki, tylko od czasu do czasu wspomagane strzałem.

Oczy młodej dziewczyny zaświeciły się, gdy zobaczyła Mię.

– Hej, to ty? Co tu robisz?

Ćpunka o imieniu Polly rozejrzała się niespokojnie wokół siebie i mocniej opatulila się szarym, wydzierganym na drutach swetrem. Przypominający mamrotanie bełkotliwy głos wydobywający się spomiędzy suchych, popękanych warg.

– Przecież byłyśmy umówione? – powiedziała ostrożnie Mia. – Miałam przyjść. Z prezentem dla ciebie. Nie pamiętasz?

Powolne obroty w głowie pod brudną czapkę.

– No tak. Kurwa.

Młoda dziewczyna nagle uśmiechnęła się nieśmiało.

– Przyniosłaś ją?

– Tak – potwierdziła Mia i skinęła głową na plecak. – Miałaś mi pomóc, pamiętasz? Powiedziałaś, że być może wiesz, gdzie jest Sigrid?

Zmarszczone brwi i znowu to niespokojne spojrzenie.

– Chodź. Nie tutaj.

Młoda ćpunka skinęła głową i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę rogu hali dworcowej.

Jeszcze jedno nerwowe spojrzenie za siebie.

Paranoja.

To akurat nie było najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Plata.

– Mogę ją zobaczyć? – Uśmiechnęła się z zaciekawieniem i podrapała po twarzy.

– Oczywiście – odparła Mia i zdjęła plecak. – Ale pomożesz mi, prawda?

– No jasne, oczywiście – przytaknęła nerwowo. – Jakiego jest koloru?

– Zdaje się, że chciałaś różową? – spytała i wyciągnęła z plecaka małą lalkę.

Polly. Z Bergen. Pierwsza, która podeszła do niej z ulotką w dłoni.

Wiem, kto to jest.

Sigrid.

Widziałam ją.

To było trzy tygodnie temu. Od tego czasu Mia była tu prawie każdego wieczoru, ale nie miała szczęścia. Młoda ćpunka z rozczochranymi włosami jakby zapadła się pod ziemię. Dopiero dzisiaj się pojawiła.

Mogę ci pomóc.

Tak myślę.

Ale chcę coś w zamian.

Prezent?

Możesz to załatwić?

Konto miała prawie wyzerowane. Znowu. Jak naiwna amatorka rozdała ludziom pieniądze. Za informacje. *Tak, znam ją. Daj mi trzysta koron, to dam ci jej telefon.* To nie byli miłosierni samarytanie. Oczywiście, chodziło o to, żeby przeżyć. Nieważne, kogo trzeba było oszukać. I dlatego z tym skończyła, wydorosłała, ale prośba tej dziewczyny była tak wyjątkowa, że nie potrafiła jej odmówić.

Lalka szmacianka.

Miałam taką, kiedy byłam mała.

Opiekowała się mną.

Możesz załatwić mi nową? Jak myślisz?

Mia Krüger nie płakała często, prawie nigdy, ale tamtego ranka w drodze do domu nie mogła powstrzymać łez. Była tak bardzo zmęczona. Prawie nie spała. Sigrid nigdzie nie było. Cała ta beznadziejna sytuacja. A ta biedna dziewczyna chciała lalkę?

Mój Boże.

Oczywiście.

Oczywiście, że dostaniesz lalkę.

Jak tylko się obudziła, natychmiast poszła do sklepu z zabawkami, nie zjadła nawet śniadania i wydała na nią swoje ostatnie pieniądze.

Zalegała trochę z czynszem, ale kurwa, co tam, czynsz mógł poczekać.

To wyglądało tak, jakby ktoś zapalił światło w zmęczonych oczach, kiedy młoda dziewczyna wzięła do ręki lalkę i przytuliła ją mocno do swojego policzka. Dwie krótkie sekundy i znowu to spojrzenie. Polly błyskawicznie podciągnęła sweter i schowała pod niego lalkę.

– Bardzo dziękuję.

– Nie ma za co. Ale mówiłaś, że może coś wiesz?

Dziewczyna ostrożnie skinęła głową i po raz kolejny rozejrzała się nerwowo wokół siebie.

– Ale nie wiesz tego ode mnie, okej?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bo inaczej mnie zabiją.

– Co?

Mamrotanie przeszło prawie w szept, Mia ledwo słyszała, co mówiła Polly.

– Mówią, że to jedna z nowych. Tych, co podróżują.

– Podróżują? Co masz na myśli?

Dziewczyna nagle podskoczyła. Jakaś wrzawa na placu, głośna kłótnia, ciężkie kroki na asfalcie, błysk.

I nagle również tutaj przestało być bezpiecznie.

Twarze skierowane w ich stronę.

Hej, Polly, co ty tam robisz?

– Markus Skog – wymamrotała dziewczyna, zgarbiła się, naciągnęła mocniej dziergany sweter, po czym truchtem pobiegła w ciemność i po chwili zniknęła.

Co?

Mia poczuła, że ogarnia ją wściekłość. Musiała się wycofać, zejść z widoku twarzom, które wpatrywały się w nią pytającym wzrokiem, bo inaczej coś by im zrobiła.

Markus Skog.

Markus *pieprzony* Skog.

Kiedy opuszczała plac i ćpunów, miała pianę wokół ust. Zatrzymała się, oddychając ciężko, przy wejściu do Centrum Handlowego Byporten. Starła się uspokoić.

Spokojnie, Mio.

Nie denerwuj się.

Chociaż masz ochotę go zabić.

Chociaż zasłużył na to, żeby się smażyć w piekle.

To nie pomoże Sigrid, wiesz o tym?

Naciągnęła kaptur na głowę i nabrała powietrza.

Nagle poczuła, że jest bardzo zmęczona.

Nie miała siły.

Chociaż przed wyjściem spała.

Tuż obok niej przejechał samochód z otwartymi oknami. Młodzi ludzie wymachujący butelkami i wydzierający się do dźwięków muzyki, wieśniacy na wycieczce do miasta, wieczorna impreza na ulicach Oslo. Nagły flashback, gdy usłyszała, czego słuchają.

Weezer.

Ten frajerski zespół z Kalifornii, do którego słuchania Sigrid ciągle ją namawiała.

Wtedy po raz pierwszy pomyślała: *Coś tu jest nie tak.*

Słodka Sigrid.

Która lubiła Céline Dion i Whitney Houston.

Która miała na ścianach plakaty Backstreet Boys i NSYNC.

– Posłuchaj tego, Mio, czy to nie jest *cool*?

Letni wieczór w ogrodzie w Åsgårdstrand. Kiedy były tylko we dwie. Mama i tata wyjechali i miały cały dom dla siebie. Impreza u sióstr. Szampan, truskawki i różowa zupa rybna, którą Sigrid ugotowała i która nie smakowała najlepiej, ale pasowała do imprezy.

Samochód z rozwrzeszczanymi młodymi ludźmi zniknął w głębi Fred. Olsens gate, ale w jej uszach wciąż rozbrzmiewała muzyka.

Weezer.

W ogrodzie pod latarniami.

Wtedy po raz pierwszy jej o nim opowiedziała.

Markus Skog.

Że się zakochała.

W muzyku z Horten.

Mia musiała jej obiecać, że nie powie nic mamie ani tacie, bo Markus na pewno by im się nie spodobał.

Bo był inny.

Bo miał ciężkie życie.

Ale wszystko się ułoży.
Bo ona obiecała, że mu pomoże.
Bo on tyle potrafił.
Był taki utalentowany.
Na przykład – ta muzyka?
Nie była odlotowa?
Posłuchaj, to logo...

Tańcząca boso w białej sukience na ciepłej trawie, uśmiechająca się w taki sposób, Mia nigdy jej takiej nie widziała. Prawie nieobecna, tak szczęśliwa, z palcami tworzącymi w powietrzu literę W.

Weezer.
Pierdolony Markus Skog.
Pieprzony śmieć.
Pieprzony ćpun.
To wszystko jego wina.

Mia ruszyła ciężkim krokiem w stronę przejścia dla pieszych i już miała wdusić przycisk, gdy nagle coś jej się przypomniało.

Cholera jasna...

Tylna kieszeń dzinsów. Prawie się trzęsała, kiedy wyciągała telefon z plecaka i drżącymi palcami wybierała numer.

- Munch, słucham?
- Myślę, że coś mam.
- Kto mówi?
- Mia. Mia Krüger. Wydaje mi się, że już rozumiem, czego nie widziałam.
- Tak?
- Gips, jego gips. Miał złamaną rękę, prawda?
- Ee, tak...?
- Pisał na nim.
- Kto?
- Sprawca. Podpisał się na nim.
- Jak?
- Wszyscy pozostali podpisali się pełnym imieniem – mówiła dalej. – Ale nie on. On napisał tylko jedną literę. Sam zobacz. Co za idiotka ze mnie, że nie zobaczyłam tego od razu.

– Nie możemy porozmawiać o tym jutro? – Było słycać, że jest śpiący. – O dziewiętej mamy wspólną odprawę. Przyjdiesz?

– Pomyślę.

– Okej, super.

Mia uśmiechnęła się do siebie i wrzuciła telefon do plecaka w chwili, gdy czerwone światło zmieniło się na zielone.

DWUNASTOLETνια LYDIA CLEMENS kucąła w niewielkim zagajniku, trzymając mocno napięty łuk, i czuła, że ogarnia ją smutek na myśl o tym, że świat niedługo się skończy. Że wszystko, co piękne wokół niej, wkrótce zniknie. Przyłasczki przy pniu drzewa. Sarny pasące się na wrzosowisku. Zielone liście wielkiej brzozy, pod którą często odpoczywała podczas swoich wypraw. Może to wszystko niedługo zniknie tylko dlatego, że ludzie nie są mili i że zniszczyli kulę ziemską. Kiedy dokładnie to się stanie, nie wiedziała, ale dziadek Willy powiedział, że nie zostało już dużo czasu. To dlatego mieszkali tutaj sami i nauczyli się żyć bez pomocy innych. To będzie jak długa, ciemna zima. *Długi czas*. Wieczny mróz, śnieg i zimno. I wszyscy będą musieli zatroszczyć się o siebie najlepiej, jak potrafią, dopóki matka ziemia nie pozbędzie się wszystkich złych ludzi, tych, którzy nie troszczyli się o siebie nawzajem ani o planetę. To było naprawdę głupie. Że to wszystko musi zniknąć. Zwłaszcza teraz, kiedy nadeszła wiosna.

Po drodze naliczyła aż szesnaście różnych gatunków wiosennych roślin. Złoc żółta, leszczyna pospolita, podbiał pospolity, zawilec gajowy, bluszcz kurdybanek, bażyna czarna, krokus, pierwiosnek bezłodygowy, śledziennica skrętolistna, wierzba iwa, wełnianka pochwowata, stokrotka łąkowa, wawrzynek wilczełyko, jaskier wiosenny, tobołek alpejski, turzyca wiosenna. A do tego jeszcze przyłasczki, które były najpiękniejsze. Dwunastolatka uwielbiała fioletowy kolor, a przecież przyłasczki były prawie fioletowe, z sześcioma listkami korony otaczającymi małe białe niełupki, prawda? No, może nie były całkiem fioletowe, ale na pewno piękne. Przyłasczka, podobnie jak wszystkie inne otaczające ją kwiaty i drzewa, miała swoją łacińską nazwę, a raczej *prawdziwą nazwę*, jak mawiał dziadek Willy, kiedy prowadził lekcje w małym domku. *Hepatica nobilis*. Hepatica, ponieważ to oznaczało wątrobę, to znaczy

duży narząd, który u wszystkich ludzi znajdował się pod klatką piersiową po prawej stronie i który pomagał ciału się oczyszczać. Liście przyłasczki miały kształt wątroby.

Dziadek Willy opowiedział jej o doktrynie sygnatur, panującym w dawnych czasach przekonaniu, że podobne leczy podobne. Ponieważ liście przyłasczki przypominały kształtem wątrobę, wykorzystywano je jako lek na schorzenia wątroby. Również inne rośliny występujące w lesie otrzymały nazwę zgodną z ich leczniczymi właściwościami, na przykład serdecznik pospolity, płucnik, inaczej miodunka lub złotorost ścienny, którym leczono żółtaczkę. Jednak najpopularniejszą i najważniejszą rośliną leczniczą była mandragora. Jej korzeń przypominał ciało człowieka i dlatego ludzie wierzyli, że mandragora jest w stanie wyleczyć z każdej choroby. Zanim człowiek ze swoimi nowymi technologiami zniszczył wszystko dookoła, korzeń mandragory był bardzo drogi i uznawany prawie za święty.

Przyglądali się jej z lekkim zdziwieniem, tych dwoje nauczycieli, z którymi musiała rozmawiać raz w roku, ci, którzy potrzęsali głowami, kiedy po raz pierwszy zjawili się w ich małym domku. Słyszała również, co do siebie mówią, chociaż nie miała tego usłyszeć: *to dziecko nie powinno chyba tutaj mieszkać?*

Dziadek Willy bardzo się na nich rozżłościł. Piana toczyła mu się z ust, kiedy mu powtórzyła, co usłyszała, i spytała, co to jest Urząd do spraw Ochrony Praw Dziecka. Zwykle taki nie był. Był miły, serdeczny i bardzo zabawny i Lydia uważała się za szczęściarę, mogąc spędzać *długi czas* właśnie z nim. Nikt nie był tak mądry jak dziadek Willy, który znał się na wszystkim. Podczas lekcji dwunastolatka często siedziała z otwartą buzią, będąc pod ogromnym wrażeniem jego wszechstronnej wiedzy. Był jak chodząca biblioteka. Lydia nie zwiedziła zbyt wielu miejsc, tylko kilka razy była w Vassenden, kiedy zaczynało im brakować produktów, których nie mogli sami uprawiać, na przykład cukru.

Ale wiedziała o świecie bardzo dużo. W kraju, który nazywał się Egipt, w mieście, które nazywało się Aleksandria, stała kiedyś najpiękniejsza biblioteka na świecie, która zawierała wszelką wiedzę potrzebną ludziom do tego, by żyć w zgodzie i harmonii. Ale potem

źli ludzie spalili ją i większość tej wiedzy zniknęła. Potem ci źli przekonali ludzi na ziemi, że w chmurach mieszka człowiek, który ich widzi. I jeśli nie będą robić tego, co im każe, wszyscy ludzie na ziemi spłoną w miejscu, które nazywa się piekłem. Ludzie na ziemi stali się bardzo nerwowi i przestraszeni, i chociaż znalazło się kilku śmiazków, którzy próbowali się przeciwstawić, mówiąc, że to nieprawda, na przykład dziadek Willy, to i tak ostatecznie wygrali ci źli. I teraz ludzie na ziemi musieli siedzieć ze spuszczoną głową i prosić człowieka w chmurach o pomoc i przebaczenie, jeśli zrobili coś złego, i musieli oddawać pieniądze, które zarobili, bo chociaż człowiek w chmurach wiedział wszystko i potrafił wszystko, najwyraźniej nie umiał na siebie zarobić i potrzebował mnóstwa pieniędzy, i wyznaczył specjalne osoby, które wiedziały, czego potrzebował, żeby zbierały dla niego te pieniądze.

Historię. I przyrodę. Te przedmioty Lydia lubiła najbardziej. I fizykę. No nie, prawie zapomniałaby o matematyce, a przecież to właśnie ją lubiła naj, naj, najbardziej. Dziadek Willy był najzabawniejszym nauczycielem na świecie, ponieważ potrafił sprawić, że wszystko, o czym opowiadał, wydawało się ekscytujące. Nie to co ci, którzy przychodzili do nich raz w roku, żeby sprawdzić jej wiedzę. Ci, którzy śmiali się z niej i nie wiedzieli nawet, co to jest doktryna sygnatur. Matematyka. Liczby, które były we wszystkim. W cięciwie, którą właśnie napinała przed prawym okiem. W liściach jesionów, które rosły po drugiej stronie torfowiska i które właśnie się zazieleniły. Lydia obserwowała je przez cały rok, ponieważ dziadek Willy powiedział, że jesiony są miłe i pomagają ludziom. I miał rację, jak zawsze, ponieważ kiedyś otoczyła jeden z jesionów ramionami i zdawało jej się, że słyszy jego szept: *Jesteś księżniczką. Długiego czasu*. Od tamtej pory odwiedzała je niemal codziennie, oczywiście jeśli nie miała zbyt dużo do zrobienia w małym domku. A często miała, ponieważ nie chodziło tylko o to, by przygotować się na to, co miało nadejść. Właściwie ile wszystkiego potrzebowali? W małym domku nie byli w stanie zgromadzić zbyt wiele, to było oczywiste. Mieściły się tam tylko kuchnia, łazienka, pokój dziadka Willy'ego, jej pokój i klasa lekcyjna. Dlatego wspaniale, że dziadek Willy prawie całe swoje życie poświęcił na wykopanie sekretnego bunkra

z wejściem, którego nikt nie był w stanie dostrzec, jeśli nie wiedział, gdzie się znajdowało. Ileż tam było miejsca! Jak w ogromnej sali! Mogli tam również spać i czuć się bezpiecznie, kiedy ci źli wypowiedzą swoje wojny, bo od tego wszystko się zacznie. Od wojen. Na świecie już teraz toczyły się wojny. Prawie każdego wieczoru, po tym, jak przeczytała kilka stron z jednej z książek, które dziadek Willy wypożyczył dla niej w Vassenden, i szła do łazienki, żeby przygotować się do spania, dziadek Willy opowiadał jej o tym, co wydarzyło się na świecie. Oczywiście Lydia wiedziała, co to są gazety, internet i telewizja, ale nie mieli tego wszystkiego w lesie, bo gazety, internet i telewizja karmiły ich samymi kłamstwami. Należały do ludzi, którzy wierzyli w człowieka w chmurach i chcieli wszystkich wykorzystać, zmusić ich do kupowania rzeczy, których nie potrzebowali i które koniec końców zniszczą całą planetę. Zamiast tego dziadek Willy miał radio. Nie takie z małą wystającą antenką, lecz prawdziwe radio. Radio nadające na długich falach. Stało w osobnym pokoju w bunkrze i dzięki niemu dziadek Willy mógł rozmawiać z ludźmi podobnymi do siebie. Tak samo miłymi, którzy również się przygotowywali. I kiedy będzie już po wszystkim, mieli się spotkać na nowej Ziemi, która będzie czysta, przyjazna i piękna.

Teraz prowadzą wojnę w Sri Lance.

Dziadek Willy stał za nią, kiedy czesała swoje jasne włosy, żeby się nie poplątały.

Teraz prowadzą wojnę w Angoli.

Kiedy zmywała z kości policzkowych popiół, który na nie nakładała, kiedy szła polować, żeby słońce nie świeciło jej za mocno w oczy.

Wciąż toczą wojny w Afganistanie.

Kiedy myła zęby.

Znowu zaczęli się zabijać na Zachodnim Brzegu Jordanu.

Lydia nigdy nie widziała wojny, tylko o niej czytała i słyszała, co opowiadał dziadek Willy. Wojna polegała na tym, że zwykli ludzie, tacy jak oni, zaczęli zabijać jedni drugich, bronią, ponieważ w czymś się nie zgadzali. Zwykle kłócili się o to, jaki kolor mają włosy człowieka w chmurach albo o to, czy człowiek w chmurach

powiedział, że *takie jest prawo* czy *takie jest prawo*. A ponieważ nie byli w stanie sami podjąć decyzji, zaczęli zabijać jedni drugich. Czasem nie mogli porozumieć się co do tego, do kogo należała jakaś część kraju albo jakaś góra lub rzeka i z tego powodu zaczęli ze sobą walczyć. Wojna była początkiem końca, a teraz tych wojen było tak dużo, że wkrótce miał nastąpić *długi czas*.

Lydia opuściła łuk i znowu poczuła smutek. Wszystko, co piękne wokół niej, zniknie. Nie miała żadnych przyjaciół, nie znała innych dzieci, więc to było wszystko, co miała. Nie żeby to było mało, wręcz przeciwnie: kochała drzewa, rzekę, ptaki – kochała wszystko, co ją otaczało – i wiedziała, że będzie jej bardzo smutno tego dnia, kiedy również tu nadejdzie ciemność. Dziwne to wszystko. Takie kruche. Na przykład to, co działo się właśnie teraz. Celowała w sarnę. Gdyby wypuściła strzałę, ta przeleciałaby nad wrzosowiskiem i wbiłaby się w głowę pięknego zwierzęcia. W ten sposób jego życie dobiegłoby końca. Nie mogłoby już dłużej oddychać, a jego serce przestałoby bić tylko dlatego, że Lydia poruszyła palcem i wypuściła strzałę. Czy to nie było dziwne? Dlaczego to, co ich otaczało, nie było bardziej – hmm, odporne? Może wtedy natura i wszystkie zwierzęta, i wszyscy mili ludzie mogliby przeciwstawić się tym złym? Kiedyś zapytała o to dziadka Willy’ego na wolnej godzinie, to znaczy takiej, na której nie przerabiali materiału z żadnego przedmiotu. To był czas, kiedy mogła spytać go, o co tylko chciała. Ale dziadek nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Widziała, że zrobiło mu się przykro. Podrapał się po długiej brodzie, potrząsnął głową, patrząc na nią ciepłymi, brązowymi oczami i powiedział: *Ja też chciałbym to wiedzieć, kochanie*.

I wtedy zrozumiała, że chociaż dziadek Willy jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie, nawet on nie wie wszystkiego.

Na przykład tego, że w głębi lasu stoi inny dom.

Nic o nim nie wiedział.

Ani o tym, że tęskniła za innymi dziećmi.

Za kimś, z kim mogłaby się bawić.

I że kilka razy w telewizji pokazywali programy, które były tak zabawne, że zaczęła się śmiać i poczuła przyjemne ciepło na sercu.

I że właśnie tam teraz szła.

Do domu w głębi lasu.

Odkryła go przez przypadek.

I odtąd chodziła tam, jeśli tylko udało jej się zebrać na odwagę.

Bo mogła zaglądać do środka przez okna.

I czasem mężczyzna, który w nim mieszkał, miał włączony telewizor. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, ale nie była w stanie odmówić sobie tej przyjemności.

Ostatnim razem zakradła się aż do samej szyby.

Och, jakie to było ekscytujące!

Zobaczyła maskotkę żabę, która rozmawiała z maskotką świnką, która była chyba księżniczką, bo miała na sobie prześliczną różową sukienkę i potrafiła sprawić, że rzeczy znikają, jak tylko pomachała czarodziejską różdżką.

Dwunastolatka spojrzała na słabo świecące słońce i obliczyła coś w pamięci.

Tak, wszystko będzie dobrze.

Zdąży wrócić przed kolacją.

Lydia Clemens uśmiechnęła się do siebie, wsunęła strzałę z powrotem do kołczanu, zarzuciła łuk na piersi i pobiegła przez torfowisko w stronę lasu po drugiej stronie.

12

WTOREK RANO. CZTERDZIEŚCI osiem godzin. Fredrik Riis wszedł do windy, żeby wjechać na drugie piętro. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak źle spał. Zwykle nie miał z tym żadnych problemów. Z tymi sprawami. Kiedy po raz pierwszy zobaczył zwłoki, owszem, to oczywiście, że zareagował: starsza pani zamordowana we własnym łóżku w Sagene, a on był jedną z pierwszych osób przybyłych na miejsce zbrodni. Ale to? Wdusił przycisk i próbował się uspokoić. Zobaczył odbicie swojej twarzy w błyszczących drzwiach, ale szybko odwrócił wzrok, dzisiaj nie był w stanie patrzeć na siebie. Całkiem niedawno robił to samo w łazience swojego domu, zmęczony i rozbity, szukając po omacku szczoteczki do zębów. Miał tę scenę przed oczami i nie potrafił się jej pozbyć. To, co zobaczył w małej, czerwonej, obudowanej studni. To było tak nierzeczywiste jak coś, co widzi się jedynie w filmach, tak straszne i mroczne. Nie był na to przygotowany, nie zdążył zmobilizować swoich sił obronnych. I od tego czasu ciągle przypominały mu się szczegóły. Dwie godziny. Może trzy. Wiercił się na łóżku jak desperat, doskonale wiedział, jaki to dzień i że musi być w szczytowej formie. Wspólna odprawa po czterdziestu ośmiu godzinach. Punkt zwrotny, zawsze, po upływie dwóch pierwszych dób od zdarzenia. Współpracował z Munchem przy pięciu sprawach i znał schemat działania szefa. Pełny profesjonalizm. Żadnych reakcji. Przez pierwsze dwa dni. Wyłącznie zbieranie informacji. Jeśli nie mieli bezpośredniego dowodu. Czegoś konkretnego, za czym mogliby pójść. Podczas pierwszego śledztwa w sprawie zabójstwa zareagował nieco impulsywnie. Munch – oaza spokoju, a on siedział na brzegu krzesła i przebierał nogami. Starsza pani zamordowana we własnym domu. Dlaczego nic nie robili? Chyba mogli coś zrobić? Cokolwiek? Ale szybko zrozumiał, że to tak nie funkcjonuje. *To nie jest sprint, tylko maraton.* Mimo wszystko gdy winda z brzękiem zatrzymała się na piętrze, Fredrik Riis przeniósł wzrok na błyszczące

jak lustro powierzchni, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście wygląda jak wrak człowieka, bo właśnie tak się czuł. Czy tym razem wypadnie na niego? Żeby to dostać? Słyszał historie o największych twardzielach wśród śledczych, których przez kilkadziesiąt lat nic nie było w stanie ruszyć, a potem nagle, bach, ni stąd, ni zowąd dostawali sprawę, która robiła na nich takie wrażenie, że musieli odejść ze służby. Czy to była taka sprawa? Dla niego?

Spuścił głowę. Do środka przez wąskie drzwi.

Zapach.

Nie wiedział, co to było, ale coś było.

Chłód.

Coś zgniłego.

Nieludzkiego.

Czasopisma na podłodze. Na okładce kobiety w toples. Prawdopodobnie wabik, erotyczne magazyny, ekscytujące dla jedenastoletnich chłopców.

Butelki wzdłuż jednej ze ścian.

Cola.

Oranzada.

Puste torebki.

Po słodyczach.

Zrobiło mu się niedobrze.

Zanim drzwi windy się otworzyły, Fredrik Riis wsunął koszulę do spodni, odgarnął blond grzywkę na bok i usiłował nadać twarzy normalny wygląd.

Pokój odpraw. Unikając wzrokiem nowych fotografii wiszących na krótszej ścianie, znalazł wolne krzesło z tyłu pomieszczenia. To chyba chwilowe? Niewielki szok i tyle? Na pewno mu przejdzie.

Pozostali już się zjawili. To było dziwnie przyjemne, to, że wszyscy tu są. Byli w tym razem.

– Okej, słuchajcie wszyscy – powiedział zniecierpliwionym tonem Munch, stojący przy ekranie. On też wyglądał tak, jakby tej nocy nie zmrużył oka.

Zmierzwił włosy, ten sam szary sweter i brązowe flanelowe spodnie. Tak samo był ubrany poprzedniego dnia. Gruby szef podrapał się po brodzie i sięgnął po pilot od projektora.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie dwóch chłopców.

– Ruben Lundgren. Jedenaście lat. Tommy Sivertsen. Jedenaście lat.

Nowa fotografia, tym razem z pola.

– Znalezieni na polu, kilkaset metrów od domu. Ruben był całkowicie obnażony. Tommy miał na sobie majtki.

Nowe zdjęcie. Tym razem zbliżenie.

– Obaj chłopcy zostali uduszeni, prawdopodobnie stalową linką, być może żyłką wędkarską.

Kolejna fotografia.

– Zdaniem Vika nic nie wskazuje na to, że chłopcy zostali wykorzystani seksualnie. Nie mają również żadnych widocznych obrażeń.

Munch znowu dotknął przycisku na pilocie i Fredrik na moment musiał odwrócić wzrok. Wnętrze obudowanej studni.

– Czterysta metrów na południe od miejsca znalezienia zwłok natknęliśmy się na to.

Nowe zdjęcia. Zbliżenia poszczególnych przedmiotów.

– W butelkach z oranżadą i tych małych buteleczkach z alkoholem znaleźliśmy pozostałości rohypnolu i valium¹⁰.

– Jebany skurwysyn.

Ciszę przerwał Karl Oxen.

Anette Goli zmierzyła go wzrokiem i położyła palec na ustach, ale umięśniony śledczy nie był w stanie się pohamować.

– Kurwa mać! Słodyczne, wóda i pornomagazyny? Zabił ich, kiedy byli odurzeni lekami?

– Karl? – przerwał mu Munch.

– Ja pierdolę! Kto, kurwa...?

Karl Oxen.

Ten, z którym Fredrik miał najmniejszą ochotę współpracować. Poczł ukłucie zawodu, kiedy dowiedział się, że stary bokser również ma należeć do zespołu. Właściwie nie rozumiał dlaczego. Przecież Munch wyżej od siły cenił inteligencję, zgadza się? Wystarczyło się rozejrzeć. Ludvig Grønlie? Anette Goli? Katja van den Burg? Nawet on, Fredrik? Ale ten solidnie zbudowany mężczyzna, metr

dziewięćdziesiąt wzrostu, z wąsem i marynarskimi tatuażami, który ubierał się tak, jakby był kanadyjskim drwalem? Oczywiście Fredrik był świadomy jego zasług. Karl Oxen. Policjant, który znał prawie wszystkie grupy przestępcze w całym Østlandet. Wszystkie szajki. Gangi motocyklowe. Z jakiegoś powodu traktowali go tak, jakby był jednym z nich. Zwykle unikali policji jak zarazy, ale nie Oxena, z nim chętnie rozmawiali. Kiedy ktoś dopuścił się kradzieży z włamaniem albo przyczepa pełna tabletek została zatrzymana na granicy, wystarczyło, że Oxen wykonał jeden telefon i wkrótce wiedział jeśli nie to, kto jest sprawcą, to przynajmniej kto na pewno nim *nie* jest. Absolutnie wyjątkowy człowiek, oczywiście, zasłużony policjant. Ale w ich zespole? Nie, Fredrik wciąż się z nim nie oswoił.

Nieważne. Tak czy inaczej, Oxen powiedział na głos to, co czuli wszyscy zgromadzeni w pokoju odpraw.

– Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków, ale tak to mogło wyglądać – powiedział Munch i dotknął przycisku.

Zdjęcie poglądowe.

Pole.

Stara szkoła.

Żwirowisko.

Strzelnica.

– Jak widzicie, studnia stoi tutaj. Ukryta w lesie. Nie widać jej, dopóki nie podejdzie się wystarczająco blisko. Jak powiedział Karl, wygląda na to, że sprawca zwabił ich i odurzył. Następnie udusił, rozebrał, przewiózł ciała na pole i ułożył je tak, jak chciał, żebyśmy je znaleźli.

– Białą furgonetką? – spytał Grønlie, który siedział przy ścianie z laptopem na kolanach.

– Możliwe – odparł Munch i znowu wduśił przycisk. – Jak wszyscy wiecie, czworo świadków widziało w pobliżu samochód dostawczy. Peugeot boxer.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie białej furgonetki.

Munch cofnął się do zdjęcia poglądowego.

– Świadcowie widzieli ją *tutaj* w sobotę około godziny szesnastej i *tutaj* w sobotę około godziny dwudziestej. Potem znowu *tutaj*,

w nocy z soboty na niedzielę, mniej więcej o pierwszej, i ostatni raz *tutaj* w niedzielny poranek o godzinie siódmej.

– Czyli zakładamy, że przetrzymywał ich przez całą noc? W tej małej studni?

Tym razem głos zabrała Katja van den Burg. Fredrik już dawno nie widział u niej tak poważnej miny. Inaczej niż w przypadku Oxena cieszył się, że będzie miał szansę ponownie współpracować z wysoką Holenderką. W Grønland od razu znaleźli wspólny język. Nie był pewny, jak Katja znalazła się w Norwegii, ale krążyły plotki, że odbywając służbę wojskową w Afganistanie, poznała jakiegoś Norwega, a potem uświadomiła sobie, że bardziej niż faceta kocha kraj, z którego pochodził. Teraz mówiła biegle po norwesku, chociaż zbyt dokładnie wymawiała i akcentowała poszczególne wyrazy, typowo dla cudzoziemców. Miała charakterystyczną holenderską urodę, była uderzająco piękna, wysoka, szczupła, z wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Energiczna, żywiołowa, zawsze gotowa rzucić jakąś uszczypliwą uwagę. Wiele razy śmiali się razem do rozpuku. To była właściwie jedyna osoba z ich zespołu, z którą spotykał się w wolnym czasie. Nie oglądali razem znaczków. Potrząsnęła przecząco głową i spytała go, ile ma lat, kiedy zdarzyło mu się wspomnieć, że właśnie zdobył niebieskozielonego króla Haakona z 1910 roku i że w drodze do niego jest już ostemplowany znaczek, dwadzieścia øre, z Lærdal z 1885 roku.

Natomiast oglądali razem filmy. Tak dobrze czuł się w jej towarzystwie, że przez chwilę myślał nawet, że jest w niej zakochany, aż pewnego wieczoru usiadł trochę za blisko niej na kanapie, a wtedy Katja odsunęła się od niego i spytała ironicznie: „Poważnie, Frikk?”. Ale nie przestała się z nim spotykać. Na szczęście. To było jakiś czas temu. W Gimle leciał film Kubricka *2001: Odyseja kosmiczna* i Fredrik miał zamiar spytać, czy wybrałaby się z nim do kina, ale oczywiście nie teraz.

Teraz mieli inne sprawy na głowie.

– Powtarzam: możemy założyć, że tak było, ale nie wiemy tego na pewno – powiedział Munch i wyświetlił kolejny slajd.

Na ekranie pojawił się napis: *Potencjalni podejrzeni*.

– Ludvig?

– Stworzyliśmy listę czternastu kandydatów, którzy w interesującym nas przedziale czasowym znajdowali się niedaleko miejsca zdarzenia. Chodzi o skazanych pedofilów i inne osoby, które obserwujemy.

– Jak wiecie, mamy w Grønland specjalny zespół – wtrąciła Anette – który zbiera zgłoszenia i informacje od potencjalnych świadków.

– Sprawdziliśmy dokładnie wszystkich czternastu gości z listy – mówił dalej Grønlie – i wytypowaliśmy jednego, który wydaje się bardzo interesujący.

Munch znowu wdusił przycisk.

– Philip Pettersen.

Fotografia przedstawiała pięćdziesięciokilkuletniego mężczyznę z włosami przyprószonymi siwizną i krzaczastymi brwiami. Zdjęcie było niewyraźne i wyglądało tak, jakby zostało zrobione z dużej odległości.

– Zgłoszenia w jego sprawie otrzymaliśmy od wielu osób – wyjaśniła Goli, zaglądając do swoich dokumentów. – Pracował jako woźny w szkole w Finstad, to znaczy w szkole, do której chodzili nasi chłopcy, ale kilka lat temu został zwolniony za tak zwane niestosowne zachowanie. Nie mamy wglądu w dokumentację, ale zdaniem okolicznych mieszkańców, spośród których wywodzą się nasi informatorzy, chodziło między innymi o filmowanie uczniów pod przysznicem i próbę kontaktu z dziećmi po szkole.

– Jak już wspomniałem, kiedy sprawdzaliśmy Philipa Pettersena w naszych archiwach, znaleźliśmy wiele spraw – kontynuował Grønlie. – Żadna nie zakończyła się wyrokiem, ale przeciwko Pettersenowi toczyły się w sumie cztery postępowania.

– Które dotyczyły? – spytała Katja.

– Tego samego, czyli niestosownego zachowania. Zapraszał dzieci do swojego domu, przesiadywał na placach zabaw, tego typu sprawy, ale podkreślam: nigdy nie został skazany.

– Wolno chyba przebywać na placu zabaw? – skomentował cierpkim tonem Oxen, z rękami założonymi na piersi.

– Dokładnie tak – przytaknęła Goli. – I dlatego nie siedzi w pudle, ale jego zachowanie wzbudziło niepokój, zwłaszcza po tym, jak

został zwolniony dyscyplinarnie ze szkoły.

– Okej – powiedział Munch i dotknął przycisku na pilocie. – Philip Pettersen.

Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych osób.

– Patrol śledzi go od niemal dwudziestu czterech godzin, a dzisiaj zamierzamy złożyć mu wizytę.

– Sorry – przerwała mu Anette. – Zapomniałam dodać, że osiem lat temu Pettersen mieszkał w Göteborgu. To znaczy zaledwie godzinę od miejsca dokonania poprzednich zbrodni. Wymeldował się, zaczekajcie, zaraz sprawdzę...

Rzut oka na kartki.

– Tak, z powrotem w Norwegii, a dokładniej w Lørenskog, zameldował się w sierpniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, trochę ponad miesiąc po zabójstwach, do których doszło w Szwecji.

Po sali przeszedł szmer.

– Podsumowując – mówił dalej Munch. – Philip Pettersen, pięćdziesiąt jeden lat, były woźny. Później pogadamy o tym, jak ostro wejdziemy. Dam wam znać, jak to zrobimy i kto w tym weźmie udział.

Napięcie i coś w rodzaju ulgi. Fredrik Riis czuł to, lekki uśmiech na zmęczonej twarzy.

W końcu coś mieli.

– Może...? – zaczął Oxen, ale mu przerwano.

– Jak już mówiłem, dam znać, jak i kto to zrobi, ale muszę powiedzieć, że jestem umiarkowanym optymistą.

Munch prawie się uśmiechał w świetle projektora.

– Przejdźmy do kolejnego punktu. Relacje łączące nasze ofiary z bliskimi i ze społecznością lokalną. Rodziny. Przyjaciele. Nauczyciele. Kto ma coś na ten temat?

Katja podniosła rękę.

– Tak, Katjo?

– Tommy Sivertsen mieszkał sam z matką, Hanną Sivertsen. Jak z pewnością wiecie, miałam się z nią spotkać na lotnisku, ale nagle źle się poczuła i nie wpuścili jej na pokład samolotu. Obecnie przebywa w...

Zajrzała szybko do notesu.

– W Hospital Vithas Alicante. Wczoraj wieczorem rozmawiałam z tamtejszym lekarzem. Nie chciał właściwie nic powiedzieć, ale jestem w kontakcie z przedstawicielem MSZ, który poleci tam dzisiaj i będzie mnie informować na bieżąco.

– Świetnie – przytaknął Munch.

– Jeśli chodzi o drugą rodzinę, niewiele znalazłam na jej temat. Nikt nie wie, kim jest ojciec chłopca. Hanna, to znaczy matka, ma siostrę, która mieszka w Finnmarku, ale ponoć od dawna się nie kontaktowały.

Przewróciła stronę w notesie.

– Jeśli chodzi o sąsiadów, tych, którzy mieli opiekować się chłopcem, to zmienili nieco swoje zeznania. Teraz mówią: *Tak, mieliśmy się nim zająć, ale nie wiedzieliśmy, że chodziło o ten tydzień...*

Holenderka potrząsnęła głową i udała, że przykłada do ust butelkę.

– Mają siano zamiast mózgu. Ledwo zdołałam wejść do mieszkania, bo wszędzie walają się puste butelki.

– Okej. Świetnie. Dziękuję – powiedział Munch i już miał przejść do kolejnego punktu na swojej liście, gdy nagle zadzwonił jego telefon.

Spojrzał na wyświetlacz i się uśmiechnął.

– Zatrzymajmy się na chwilę. Zróbmy pięciominutową przerwę. A potem kogoś wam przedstawię, okej?

13

MIA KRÜGER SIEDZIAŁA W gabinecie Muncha trochę przytłoczona tym, co przeżyła w ciągu ostatniej godziny. Poprzedniego dnia długo krążyła po Majorstuveien, ale nic nie znalazła. Wykończona padła na łóżko, na szczęście w pustym mieszkaniu – psiapsiółki imprezowiczki w końcu się wyniosły – znowu z tym przykrym uczuciem, że ktoś sobie z niej zakpił. Polly. Narkomanka z Bergen. Mia była wciąż nieco naiwna, prawda? Wierząc, że ludzie na Plata chcą jej pomóc. Jedna z osób stamtąd sama to przyznała którejś nocy, kiedy Mia do nich podeszła. *Ćpunom nie można ufać. Zrobimy wszystko, powiemy wszystko, byle tylko dostać działkę. Tylko to nas obchodzi. Niestety.* Krzywy uśmiech odsłaniający brązowe zęby i wyciągnięta ręka. Dała jej kilka koron. *Jedna z tych, co podróżują?* Co to miało znaczyć? Prawdopodobnie wymyśliła to na poczekaniu.

Mia zasnęła z obrazem gipsu przed oczami. Wszystkich imion. I tej jednej litery, takiej trochę na uboczu, na samym dole, przy końcu, z kropką.

W.

O dziewiątej mamy wspólną odprawę.

Przyjdiesz?

Obudziła się dziwnie wypoczęta.

Mój Boże, Mio.

O czym tu myśleć?

Oczywiście, że się zgodzisz.

Tramwaj pełen twarzy, które nie wyglądały tak, jakby cieszyły się z właśnie rozpoczętego dnia. Ale ona uśmiechała się przez całą drogę. Czuła, że jej serce mocniej bije pod skórzaną kurtką. Stała w niemal nabożnym skupieniu pod filarami i spoglądała na kremowożółty budynek. Nieco spóźniona, ale on się nie gniewał. Szeroki uśmiech okolony brodą barwy rudy blond, kiedy wysiadła z windy. Wyglądał tak, jakby chciał ją objąć.

Witaj, Mio.

Świetnie.

Bardzo się cieszę.

Chodź, przedstawię ci cały zespół.

Dziwnie nieśmiali, kiedy zrobiła rundę po dużym pokoju odpraw. Na ścianach nowe fotografie. Czasopism pornograficznych. Butelek po oranżadzie.

Nie była w stanie się skupić.

Dłonie, skinienie głową, uśmiech.

Katja.

Wysoka jak olimpijska lekkoatletka.

Hej, hej.

Fredrik.

Garnitur i słodki uśmiech.

Cześć.

Karl Oxen.

Tubalny głos i kotwica na przedramieniu.

Ludvig i Anja.

Hej, my już się znamy.

Anette Goli.

Ten sam strój pracownicy banku, ale znacznie, znacznie miłsza.

Przygotowałam dla ciebie propozycję umowy. Możemy zająć się tym po odprawie.

I znowu musiała zrobić z siebie widowisko.

Tym razem przed całą salą.

Znowu fotografie.

Munch przygotował całą serię specjalnie dla niej. Prawie jak dumny ojciec stał obok ekranu, naciskał guzik na pilocie i komentował prezentowane zdjęcia. Światło projektora padające na twarz.

Żadnego wrażenia, że jest w cyrku.

Na szczęście.

Wszystko wydawało się dziwnie poprawne.

Jakby tym razem było prawdziwie.

Na poważnie.

Przyjęli ją z otwartymi ramionami, a ona nie była w stanie się do tego ustosunkować, trochę za dużo emocji jak dla niej.

– Zaryzykowałem. – Uśmiechnął się Munch zza biurka, z niezapalonym papierosem zwisającym z kącika ust, i wyciągnął coś z szuflady.

Położył na blacie legitymację policyjną na łańcuszku.

– Dla mnie?

– Jeśli masz tu pracować, musisz mieć legitymację. I przynajmniej coś takiego.

Otworzył kluczykiem inną szufladę i wyjął z niej pistolet.

– Znasz?

– Tak.

Wyglądało na to, że nie był zbyt zadowolony z odpowiedzi, więc dodała:

– Glock siedemnastka, system *Safe Action*, spust z częściowym samonapinaniem, kaliber dziewięć milimetrów, magazynek na siedemnaście lub trzydzieści trzy naboje, produkowany przez austriacką firmę Glock GmbH. Używany na całym świecie, głównie w wyposażeniu wojska. Wspomniany przez Bruce'a Willisa w filmie *Szklana pułapka 2*.

– Ee...

– Tak, wiem, że w filmie mówią, że to siódemka, ale to była siedemnastka. Ta na biurku jest czwartej generacji.

Skinęła głową w kierunku broni i wyjęła z kieszeni pastylkę.

Munch zaśmiał się lekko.

– Pytałem o to, czy strzelasz.

– Ach tak, sorry. Owszem, strzelam. Ale policja norweska nie nosi przy sobie broni, prawda?

Znowu się uśmiechnął i wyjął magazynek z szuflady.

– Tak, tak. Zobaczysz, że mamy tutaj wiele przywilejów. Jeszcze jeden powód, dla którego jesteśmy oddzieleni od reszty. Korzystanie z broni.

Napisał coś na kartce i przesunął ją w stronę Mii.

– Co to jest?

– Twoje uposażenie.

Tym razem to ona zamilkła.

– Wystarczy?

Uśmiechnął się po raz kolejny i odchylił do tyłu.

– O, tak, Chryste Panie...

– Anette przyniesie później twój kontrakt. Czyli jesteśmy umówieni?

Znowu uśmiech, dłoń wyciągnięta nad biurkiem w jej stronę.

– Witamy w zespole. Przygotowaliśmy dla ciebie gabinet, narożny, na samym końcu korytarza. Poprosiłem Ludviga, żeby wybrał to, co najważniejsze ze szwedzkiej sprawy, żebyś miała od czego zacząć. Na twoim biurku powinna również leżećteczka Philipa Pettersena. To, co udało nam się zebrać do tej pory. Coś mi mówi, że on nie ma z tym nic wspólnego, ale na początek dobre i to.

Wyszła za swoim nowym szefem na korytarz.

– Daj znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować, okej?

– Tak, dziękuję. – Skinęła głową i ruszyła korytarzem do swojego gabinetu.

FREDRIK RIIS SIEDZIAŁ przed pokojem nauczycielskim w szkole w Finstad, bardzo zadowolony z zadania, które zlecił mu Munch. Szkoła. Nauczyciele. Uczniowie. Ludzie, którzy stykali się z tymi dwoma chłopcami. Chłopcami, których już z nimi nie było. Smutna norweska flaga spuszczone do połowy masztu, poruszana łagodną wiosenną bryzą. Nastrój panujący w żółtym budynku był podobny. Niemy szok. Dyrektorka mówiąca cichym głosem. *Silje zajmie się panem, kiedy tylko skończy lekcję z piątą klasą. Będzie do pana dyspozycji. Silje Simonsen, wychowawczyni klasy 6B. Ona wie najwięcej. Dyskutowaliśmy o obowiązku zachowania tajemnicy służbowej, ale policjanci, którzy zjawili się tu wczoraj, powiedzieli, że śmierć zwalnia nas z tego obowiązku. Czy tak jest w istocie? Rozmawiałam z kuratorium. Powiedzieli, że przyjrzą się sprawie, ale ich zdanie jest takie: wszystko w granicach rozsądku. Nie żebyśmy mieli coś do ukrycia, ale musimy mieć wzgląd na innych, prawda? Na naszych pozostałych uczniów. I rodziców. A tak przy okazji, wie pan coś o pogrzebie? Wszyscy chcą w nim uczestniczyć, to oczywiste, ale mamy tutaj trzystu uczniów i trzydziestu nauczycieli. Wszyscy chyba nie zmieszczą się w kościele? Na pierwszy rzut oka dość ostra kobieta, dobrze po pięćdziesiątce, z krótkimi włosami i białymi plastikowymi oprawkami okularów. Teraz nieobecna wzrokiem, emanująca udawanym autorytetem, wyglądała tak, jakby nie miała siły dłużej podtrzymać fikcji. Dyrektorka. Która straciła dwóch swoich uczniów. To nie potrwa dłużej niż dziesięć, piętnaście minut. Napije się pan czegoś? Podać szklanek wody? Filiżankę kawy?*

Fredrik Riis podziękował za jedno i drugie. Przypomniała mu, że obiecał zadzwonić do rodziny.

Pogrzeb.

Zakład medycyny sądowej przeprowadził już sekcję zwłok, ale Munch przekazał wiadomość, że nie jest zadowolony z jej wyniku

i że minie jeszcze kilka dni, zanim wyda ciała.

Komórka w kieszeni Riisa zabręczała dokładnie w chwili, gdy rozległ się dzwonek na przerwę. Drzwi otworzyły się ostrożnie. Ciche dzieci ubrały się i zniknęły powoli za głównymi drzwiami.

Zobaczymy się wieczorem?

Riis westchnął i potrząsnął przecząco głową.

– Dzień dobry. Czy to pan chciał ze mną rozmawiać?

Zaciekawiony wzrok nad ramionami obejmującymi stos książek. Wstał i skinął głową.

– Fredrik Riis.

– Silje.

– Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy...?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała z uśmiechem blondynka i zaprowadziła go do małej sali w głębi korytarza.

Trzy biurka podzielono tak, że powstało z nich sześć stanowisk pracy. Stoły były pełne po brzegi. Norweska szkoła, z pewnością jedna z najlepszych na świecie, ale wciąż niedofinansowana; kilka dni temu przeczytał w gazecie, że szkoły planowały strajk. Tym razem nie chodziło o pensje dla nauczycieli, lecz o pieniądze na nowe podręczniki szkolne. W najlepszym wypadku królem Norwegii był nadal Olaf¹¹, Ronald Reagan sprawował urząd prezydenta, a z książki do WOS-u uczniowie mogli się dowiedzieć, że *dla pań ważne było to, by mogły urządzić swoją kuchnię*. A więc tak. Dobrze ich rozumiał. Najwyraźniej jeszcze nie strajkowali, bo widział nauczycieli w ich małym pokoju, ale z pewnością zostali już powiadomieni, więc nie minie dużo czasu, a będą sami w całej szkole.

– Napije się pan czegoś? Kawy? Herbaty?

Fredrik Riis nie miał tego policyjnego spojrzenia, o którym wszyscy mówili, umiejętności dostrzegania szczegółów, opisywania twarzy łącznie z najmniejszymi znamionami. Męczył się z tym kilka razy, kiedy omawiali to w szkole. Zwracanie uwagi na cechy wyglądu zewnętrznego i ich odtwarzanie z pamięci nie było jego najmocniejszą stroną. Zawsze skupiał się na tym, jak się czuje w obecności poszczególnych osób i natychmiast zaczynał się

zastanawiać nad tym, jacy są naprawdę. Dlaczego i w jaki sposób znaleźli się w sytuacji, w której się znaleźli. Co sprawiło, że wybrali właśnie tę drogę życiową. Jacy byli jako dzieci. Jako nastolatki. Takie rzeczy. Co robili w domu, kiedy nikt ich nie widział.

To nie była reprimenda, raczej ciężkie westchnienie Muncha, gdy kilka lat temu został poproszony o to, by opisać starszego mężczyznę przesłuchiwanego w jakiejś sprawie. Wtedy postanowił wziąć się w garść i trochę podszkolić.

Silje Simonsen była piękną kobietą, chyba tuż po trzydziestce. Niebieskie oczy, włosy koloru ciemny blond sięgające do ramion. Żadnych pierścionków, więc może nie jest mężatką? Rzucił przelotne spojrzenie na zavalone książkami biurko, ale nie zobaczył fotografii męża ani dzieci. Beżowy bawełniany żakiet na szczupłych ramionach. Jeansy, lekko przetarte na kolanach, płaskie buty do biegania, czerwone adidas. Piegi.

– To nie zajmie dużo czasu – wyjaśnił i wyjął zdjęcie z kieszeni marynarki.

Spojrzała na nie lekko zaskoczona.

– Dlaczego...?

– Sprawa jest poufna, więc muszę panią prosić o to, żeby zachowała pani tę rozmowę dla siebie. W porządku?

– Oczywiście. – Skinęła ostrożnie głową.

– Tak konkretnie chciałbym panią prosić o to, żeby, o ile jest to możliwe, zidentyfikowała pani wszystkie podpisy na tym zdjęciu.

– Kto podpisał się na gipsie?

– Tak. Myśli pani, że jest to możliwe?

Wzięła do ręki fotografię i przyjrzała jej się z wyraźnym zaciekawieniem.

– Rozpoznaje pani któryś z podpisów?

– Co? Tak, oczywiście. Mamy tu Tronda, Sylvię, Bente, Einara...

Ale dlaczego...?

Widział po niej, że zna odpowiedź na swoje pytanie.

Przypuszczamy, że sprawca również się podpisał.

– Czyżbym szukała...?

Zmarszczyła poważnie brwi i zacisnęła usta.

– Tego nie wiemy. Chcemy tylko... Cóż, jesteśmy zmuszeni to wyjaśnić. Nic więcej.

– Oczywiście – wymamrotała i jeszcze raz przyjrzała się fotografii.

– Wydaje mi, się że rozpoznaję prawie wszystkie podpisy. To jest cała paczka, rozumie pan? Koledzy z klasy. Chłopcy grają w tej samej drużynie piłki nożnej. Trzech z nich chodzi dodatkowo na szermierkę.

– Czy Ruben też chodził na szermierkę?

– Tak.

Riis wyciągnął z kieszeni notes i pożyczył sobie długopis leżący na biurku.

– Domyślam się, że to jego siostra?

Uśmiechnęła się ostrożnie i przyłożyła palec do zdjęcia.

Sanne.

Napisane wyraźnymi literami. Pierwszy kontakt pięciolatki z alfabetem.

– Jedyne podpisy, którego nie jestem w stanie rozpoznać, to ten...

Jeszcze raz palec na zdjęciu i pytające spojrzenie.

– W?

– Nikt z klasy?

Simonsen zastanawiała się przez chwilę.

– Nie... Nie mamy nikogo na W.

Otworzyły się drzwi. Lekko zdziwiona twarz przeprosiła i już miała zniknąć na korytarzu, ale nauczycielka się odezwała.

– Słuchaj, Konradzie, macie w A kogoś na W?

– Ee, co?

– Czy do 6A chodzi ktoś, kogo imię lub nazwisko zaczyna się na W?

– Nie...

– A w C?

– Ee, nie wiem, a co...?

Riis wyjął jej fotografię z ręki i odwrócił ją awerssem do dołu. Uśmiechnął się i skinął głową na stojącego w progu nauczyciela, a ten zrozumiał aluzję i zamknął za sobą drzwi.

– Jak już mówiłem...

– Och, sorry – powiedziała Silje Simonsen. – Nie pomyślałam. Byłam tak podekscytowana...

– W porządku. Ale wie pani, jak szybko rozchodzą się informacje, prawda? Plotki. Na razie chcielibyśmy zachować to dla siebie.

– Ale szukacie kogoś, kogo imię lub nazwisko zaczyna się na W?

– Ja tego nie powiedziałem. Próbujemy ustalić, kto podpisał się Rubenowi na gipsie. To nie musi być nic ważnego. Możliwe, że to nie ma żadnego znaczenia. Może podpisał mu się jakiś bezdomny, któremu dał pieniądze. Albo chłopak pracujący w kiosku, w którym Ruben kupował gumę do żucia. Wiedząc, kim jest W, będziemy mogli zająć się innymi kwestiami. Okej?

– Rozumiem – przytaknęła poważnym tonem i wsunęła fotografię do książki leżącej na biurku, jakby chciała mu pokazać, że to zostanie między nimi.

– Jak to się stało?

– Co?

– Ręka? Jak ją złamał?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie wiecie tego?

– Nie.

– Cóż, to był prawdziwy dramat, to znaczy, zanim...

– Tak?

– Nawet w gazetach o tym pisano. Z Rubena zrobił się mały celebryta, w każdym razie w naszej szkole.

– Ponieważ?

– Ponieważ miał tyle szczęścia. To chyba oczywiste?

Spojrzała na niego pytająco, jakby nie dowierzała, że o tym nie słyszał.

– Tak? Spadł z czegoś czy...?

– Nie, skąd! Samochód, w którym siedział, został potrącony przez inny pojazd. Ruben miał sporo szczęścia, że skończyło się tylko na złamaniu. Trzeba było rozcinać samochód, żeby go wyciągnąć.

– Gdzie to się stało?

– Przy Grillen.

– To znaczy...?

Zaśmiała się lekko.

– Sorry, zapomniałam, że są ludzie, którzy nie wiedzą wszystkiego o wszystkich. Finstad to dziura.

– A więc przy Grillen. To jakiś fast food?

– Tak, na skrzyżowaniu Gamleveien i Nordliveien. Jego ojciec zaparkował. Ruben siedział z tyłu. Podobno jakiś samochód przejechał z ogromną prędkością przez plac i po prostu ich staranował. A potem zniknął. Kilka tygodni temu wszyscy tym żyli. Mówią, że Ruben miał nieprawdopodobne szczęście, że wyszedł z tego tylko ze złamaną ręką. Bo mogło z nim być naprawdę źle.

– Czyli... *hit-and-run*?

– Ponieważ uczę języka norweskiego, wolałabym, aby używano wyrażenia „ucieczka z miejsca wypadku”, ale owszem.

Uśmiechnęła się.

– I nie znaleziono tego kierowcy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale...

Zawahała się.

– Tak?

– Nie...

Tym razem niepewność w oczach. Jakby wahała się, czy powinna powiedzieć na głos, co myśli.

– Słyszeliście... sama nie wiem. Zdajecie sobie sprawę z tego, że ojciec Rubena... a może... może nie wiecie...?

– O co chodzi?

– Że on...

Nie dokończyła. Drzwi nagle się otworzyły i stanęła w nich dyrektorka, znowu w białych oprawkach.

– Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale Ragnar musiał iść do domu. Mogłabyś wziąć C? Jak myślisz? Od prawie dziesięciu minut siedzą sami w klasie. Nie mogę znaleźć innego zastępstwa.

Przepraszający uśmiech w ich stronę.

– Oczywiście – odparła Simonsen. – Co teraz mają?

– Religię, ale zobacz, co dasz radę zrobić.

Jeszcze jedno przepraszające spojrzenie, zanim dyrektorka zniknęła za drzwiami.

– Przykro mi – powiedziała Silje i wstała.

– Oczywiście rozumiem. – Riis skinął głową i wyjął z kieszeni wizytówkę. – Czy mogłaby pani zadzwonić do mnie później? Dziś wieczorem? Albo kiedy znajdzie pani czas?

– Zadzwonię, oczywiście.

Uśmiechnęła się i zniknęła na korytarzu.

Znowu na parkingu, przed żałośnie wyglądającą flagą spuszczoną do połowy masztu. Telefon w jego kieszeni wibrował kilka razy. Ta sama wiadomość.

Dlaczego nie?

Dlaczego nie?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym z lekką niechęcią wystukał odpowiedź.

Bo jesteś mężatką, okej?

Potem uruchomił silnik i ruszył w stronę Grillen.

15

LUDVIG GRØNLIE BYŁ ubrany tak samo jak dzień wcześniej. Mia zrozumiała dlaczego, kiedy stłumił ziewnięcie. Stał w małym pomieszczeniu i patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Najwyraźniej niewiele spał. Spędził tu całą noc. Poczwała wyrzuty sumienia, gdy uświadomiła sobie, kto się do tego przyczynił. To była jej wina. Najwidoczniej Munch zrozumiał to już wtedy, gdy zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru. Że przyjdzie. Że przyjmie propozycję pracy. Grønlie uśmiechnął się zmęczonymi oczami i przeczesał palcami rzadkie włosy, a potem skinął na teczki starannie ułożone przed nią na biurku. Czerwony krawat zwisał smętnie pod kołnierzykiem jasnoniebieskiej pogniecionej koszuli, która wystawała mu ze spodni. Chodził po biurze w kapciach w kratkę. Mia szybko zrozumiała, że Ludvig Grønlie nie jest tym członkiem zespołu, który biega po ulicach z bronią w ręku. Większość czasu spędzał w biurze.

– Nie przejmuj się tym – powiedział, opierając pośladki o krawędź biurka.

– Czym?

– Jeśli pojawią się komentarze dotyczące tego, jak szybko zostałam zatrudniona. Nie wszyscy tutaj są tak samo życzliwi. Zazdrość. Wiesz, jak to jest.

– Właściwie nie bardzo – odparła ostrożnie.

Zaśmiał się lekko.

– Nie, oczywiście, że nie. Ile ty masz właściwie lat?

– Dwadzieścia dwa. Niedługo.

– Ach, dwadzieścia dwa – powtórzył rozmarzonym głosem i zdjął okulary. – Młodość. Czas bez troski. Bez odpowiedzialności za innych. Naiwność. Pogoń za miłością. Wiara w to, że świat jest dobrym miejscem do życia. Że można go zmienić. Ciesz się nim, dopóki możesz.

– Ee, dzięki, chyba – odparła i zaśmiała się niepewnie.

– He, he – zamruczał i włożył okulary. – Nie słuchaj mnie. Kiedy jestem bardzo zmęczony, robię się zbyt egzystencjalny.

– Nie dał ci spać?

– Zadzwoił do mnie o wpół do pierwszej w nocy. Powiedział, że zaczynasz u nas pracę. Chciał, żeby na rano wszystko było gotowe.

– Ojej...

– Nie, nie, nie myśl o tym. Człowiek dokonuje w życiu wyborów. A potem musi być za te wybory odpowiedzialny. Mogłem zostać rybakiem. Wstawałbym o piątej rano i byłbym sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Albo pastorem. Głosiłbym kazania na temat ludzkich grzechów i miałbym wolne przez resztę tygodnia. Ale wybrałem pracę tutaj. Munch jest szefem. Ja go słucham. To mój wybór, więc nie powinienem narzekać.

Mrugnął do niej i podrapał się po czole.

– O czym to ja mówiłem?

Mia uśmiechnęła się i podała mu kubek z kawą, którą właściwie przyniosła dla siebie.

Wziął od niej kubek i zaczął niepewnie się rozglądać po pokoju.

– Teczki?

– A, tak, oczywiście. Munch chciał, żebym streścił ci sprawę, ale szczerze mówiąc, tak daleko jeszcze nie doszedłem. Osiem lat śledztwa, Chryste Panie, nie wyobrażam sobie, jak muszą się z tym czuć. Na szczęście jest tam kilka mądrych głów, które uporządkowały wszystkie dokumenty według ważności, bo inaczej siedzielibyśmy obłożeni papierami aż do Bożego Narodzenia.

– Co tu dla mnie masz? – spytała, spoglądając z ciekawością na biurko.

– Najważniejsze, co do tej pory udało się ustalić – wyjaśnił i pociągnął łyk kawy. – W pierwszej teczce mamy podejrzanych. Było ich całkiem sporo, ale udało nam się zredukować ich liczbę do trzech. To znaczy mamy tu trzech podejrzanych, na których skupili się szwedzcy śledczy w ciągu tych ośmiu lat. Dwóch z nich próbowano postawić w stan oskarżenia, ale w obu przypadkach prokurator okręgowy zablokował sprawę. Desperacja, Mio. Teraz wiem, że jesteś absolutnym świeżakiem w tej grze. Teraz wszystko

może ci się wydawać wspaniałe, ale zaczekaj, aż minie tydzień. Dwa tygodnie. Miesiąc. Rok...

Uniósł brwi.

– Rozumiem.

– Pierwsza sprawa, nad którą pracowałem, blisko trzydzieści lat temu, zajęła nam pięć lat.

– Aż tyle?

– I do dzisiaj nie rozumiem, jak udało nam się ją rozwiązać. Łut szczęścia. Sam się zgłosił. Poczł wyrzuty sumienia. Gdyby nic nie powiedział, kto wie, czy kiedykolwiek wyjaśnilibyśmy tę sprawę.

– Tym razem tego nie zrobi – powiedziała Mia i otworzyła pierwszą teczkę.

– Czego nie zrobi?

– Nie zgłosi się.

– Ach tak? Skąd ta pewność?

– Po prostu mam takie przeczucie.

Rozłżyła fotografie na stole, jedną obok drugiej.

– To ci trzej?

– *Yep* – przytaknął. Wyglądał tak, jakby kawa trochę go orzeźwiła. – Ściągnąłem wszystko ze ścian na wypadek, gdybyś chciała to sobie rozrysować.

Skinął głową w kierunku taśmy leżącej obok wyłączzonego komputera.

Mia powiesiła pierwszą fotografię na ścianie obok okna.

– Steinar Svensson – powiedział Grønlie i odstawił kubek. – Hydraulik. Pracował w domu u Hellbergów kilka tygodni wcześniej. Poza tym był widziany na miejscu zbrodni, zanim odnaleziono ciała chłopców. W swoim domu w jednym z pokoiów trzymał czasopisma, zdjęcia, rozumiesz. Okazało się, że to nie był taki typowy Medelsvensson¹². Dziewięć wycieczek do Tajlandii w ciągu ostatnich kilku lat. I nie robił tam nic nielegalnego, w każdym razie nie udało się mu przypisać żadnego przestępstwa. Same domniemania.

– Żadnych śladów technicznych?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Dziwne, prawda? Takie czyste miejsce znalezienia zwłok? Ani jednego włosa? Zupełnie jakby doskonale wiedział, co robi. Jak myślisz?

Uniósł pytająco brwi i sięgnął po kubek z kawą.

– Co masz na myśli? – zaciekawiła się.

– Cóż, powiedziałbym, że to niezwykle rzadkie. Bo właśnie przez to zazwyczaj wpadają. Krew. Nasienie. DNA uzyskane z pojedynczego włosa. Kiedyś pracowałem nad sprawą, w której sprawca splunął na ofiarę. Nawet ja byłem pod wrażeniem profesjonalizmu naszych techników. Lepiej zapomnij o wszystkim, co przeczytałaś i zobaczyłaś w telewizji, Mio. Jesteśmy *jeszcze* zdolniejsi, niż sądzą ludzie. Znalezienie igły w stogu siana to dla nas pestka. Widziałem... Dobra, wiem, że zrozumiałaś, o co mi chodzi. Ale tym razem?

Spojrzał na nią nieco dziwnym wzrokiem.

– Żadnego tropu?

– Nie.

– Ani w Szwecji, ani tutaj?

Wzruszył lekko ramionami i znowu spojrzał na nią dziwnie.

– Teraz Munch się nie podda. Poprosił ich, żeby jeszcze raz przyjrzeni się sprawie, ale...

– Co ma oznaczać to spojrzenie? – spytała i wyjęła pastylkę z kieszeni spodni.

– Co?

– Mówisz coś i jednocześnie patrzysz na mnie tak dziwnie.

Grønlie zaśmiał się głośno.

– Munch coś wspominał.

– Co takiego?

– Że nie jesteś taka jak inni.

Wyjrzał na korytarz, po czym zamknął drzwi.

– Chodzi mi o to, skoro już pytasz wprost, czy w tej całej sprawie nie ma czegoś, o czym się nie mówi.

– Okej.

– Te czyste miejsca znalezienia zwłok? Żadnych śladów technicznych?

Stał nieruchomo, jakby czekał, aż Mia coś powie.

– Nie do końca rozumiem...

Zrobił krok w jej stronę i ściszył głos.

– To wygląda tak, jakby wiedział, co robi. Jakby doskonale wiedział, czego szukamy. Tak na serio. Jakby znał procedury, o których nigdzie nie można przeczytać. Rzeczy, o których tylko my wiemy...

– Ach tak, myślisz, że on...

Przyłożył palec do ust i rzucił szybkie spojrzenie na drzwi.

– O takich sprawach nie mówi się na głos.

– Jest... policjantem? – zdziwiła się szeptem.

– Niewykluczone.

Wzruszył ramionami i wypił kolejny łyk kawy.

– Przyjrzymy się pozostałym podejrzanym?

16

KIEDY FREDRIK RIIS wszedł do Grillen, natychmiast owionął go intensywny zapach. W wieku piętnastu lat został wegetarianinem i nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w takim miejscu jak to. Menu wiszące nad zniszczonym kontuarem mówiło wyraźnie, że nie jest to jadłodajnia dla tych, którzy chcą utrzymać niski poziom cholesterolu i w ogóle zdrowo żyć. Kelnerem był młody mężczyzna w czerwonej koszuli i czerwonym daszku przeciwsłonecznym z logo Grillen: dużą literą G opierającą się o coś, co wyglądało jak potrójny burger otoczony dwiema zakrzywionymi żółtymi frytkami, co z kolei do złudzenia przypominało o wiele bardziej znane złociste łódeczki pewnej sieci fast food. Zapewne sprawa dla adwokatów, jeśli któryś z nich znajdzie się kiedykolwiek w tej okolicy, co Riis uznał za bardzo mało prawdopodobne. Klientela składała się głównie z młodych ludzi, którzy wyglądali tak, jakby nie mieli nic innego do roboty, niż wysiadywać tutaj i palić, i może jeszcze wydawać swoje ciężko zaoszczędzone pieniądze na *dwanaście nuggetsów z kurczaka za jedyne 29 koron* i być może *Mega Løren Colę (nie coca-colę)* – obecnie w promocji *za jedyne 8,99 korony + 1 korona za konsumpcję na miejscu*. Riis czekał cierpliwie, aż młody mężczyzna za ladą przyjmie zamówienia od klientów stojących przed nim w kolejce. Nagle przypomniał mu się artykuł przeczytany nie tak dawno temu w brytyjskim magazynie, w poczekalni. *The Founder*. Historia Raymonda Alberta „Raya” Kroca. Amerykańskiego sprzedawcy maszyn do koktajli mlecznych, który pewnego dnia trafił do absolutnie wyjątkowej restauracji w San Bernardino w Kalifornii, prowadzonej przez Richarda i Maurice’a McDonaldów. W tamtych czasach, w szczęśliwych latach pięćdziesiątych, takie miejsca były synonimem jadłodajni, w których kelnerki zносиły jedzenie ludziom siedzącym w swoich samochodach, co znacznie wydłużało czas oczekiwania na posiłek, a to z kolei przekładało się na niewielkie

zyski, więc bracia wymyślili coś, co nazwali Speedee Service System. Ray Kroc wykupił prawa od braci McDonaldów za kwotę dwóch milionów siedmiuset tysięcy dolarów. Ponadto obiecał im jeden procent od obrotów, pieczętując to uściskiem dłoni. Oczywiście bracia nigdy nie zobaczyli tych pieniędzy. Mało tego: oryginalna restauracja McDonaldów musiała zostać zamknięta, ponieważ bracia stracili prawa do własnej nazwy. Genialny pomysł, a potem pstryk! – i dzieło życia przepada. Kto robi takie rzeczy innym ludziom? Riis był tak pochłonięty tą historią, że prawie zapomniał, po co tu przyszedł. Czuł, że jest wściekły z powodu braci McDonaldów, których podstępem pozbawiono nazwy i dzieła życia. Zresztą taka postawa nie była niczym nowym w jego świecie. Długo usiłował stać się częścią swojej rodziny, jako młody chłopak uczestniczył w pełnych przepychu przyjęciach, na których szampan lał się strumieniami i rozmowy zawsze toczyły się wokół pieniędzy, kto ma ile i jak można zdobyć ich jeszcze więcej. Czyżby był adoptowany? Zdjęcia, które od dawna wisiały na ścianie jego domu, pokazywały fizyczne podobieństwo zarówno do matki, jak i do ojca, więc wykluczył tę ewentualność, jednak to nie rozwiewało wszystkich jego wątpliwości.

Nie żeby ich potrzebował. Dobrze radził sobie sam.

– Następny?

Chłopak za ladą wyrwał go z zamyślenia

– Fredrik Riis, policja – powiedział i pokazał legitymację. – Czy mógłbym rozmawiać z kierownikiem?

– Chodzi panu o Lailę? – spytał tamten z wahaniem i wytarł pot z czoła pod osłoną przeciwsłoneczną.

– Jeśli to ona jest kierowniczką, to tak – odparł.

– Nie ma jej.

Nad pobrudzonym kontuarem zapadła cisza.

– Okej. Kiedy przyjdzie?

– Nie wiem.

Znowu cisza. Zabrzęczały drzwi za jego plecami.

– Chce pan coś kupić?

– Nie, mam tylko kilka pytań. Może pan jest w stanie mi pomóc?

– Ee, okej – powiedział chłopak i podrapał się po policzku. – Ale mam klientów, więc...

– Na pewno mogą chwilę zaczekać. Chodzi o wypadek samochodowy, potrącenie na parkingu przed restauracją, do którego doszło parę tygodni temu. Nie był pan przypadkiem w pracy tamtego dnia?

– Ee, owszem.

– Widział pan, co się stało?

– Nie. Słyszałem tylko trzask. Chodzi o tamtego chłopca?

– Tak?

– Zawsze wydawało mi się to trochę dziwne – powiedział i potrząsnął lekko głową.

– Co pan ma na myśli?

– To, że mały nigdy nie wchodził do środka.

– Często tu bywali? Całą rodziną?

– Nie, tylko on i ojciec. Ale tak, chłopiec zawsze zostawał w samochodzie.

– Czy ja wiem? Może to nie jest aż tak dziwne? Ojciec kupuje jedzenie, a potem jedzą razem...?

– Skąd! – przerwał mu. – On zawsze kupował tylko dla siebie.

– Ojciec?

– Tak.

– Za każdym razem?

– Ale nie będę miał żadnych problemów?

– Nie. Skąd ta myśl?

– Przez to, że rozmawiam z gliniarzem, rozumie pan...

Chłopak wyjął z kieszeni szmatę i zaczął automatycznie wycierać blat.

– Bez obaw, nic panu nie grozi. Widziałem, że na zewnątrz jest kilka kamer. Czy to zdarzenie przypadkiem się nie nagrało?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie działają. To tylko atrapy.

– Okej. A ta Laila? Nie ma pan jej numeru?

– Nie.

– Nie? Nie ma telefonu?

Nie odpowiedział od razu.

– Proszę spytać, czy mogę pokazać panu coś na zewnątrz – powiedział cicho i po raz kolejny wytarł kontuar.

– Co?

Młody mężczyzna skinął głową na drzwi i powiedział półgłosem:

– Dobrze, już dobrze, ale szybko, okej? Mam klientów, których muszę obsłużyć.

Przerzucił ścierkę przez ramię, wyszedł zza lady i potrząsając głową, ruszył w stronę drzwi.

Grupa nastolatków siedzących przy stoliku w rogu lokalu zaśmiała się głośno.

– Sorry, ale nie chcę stracić zębów – powiedział ostrożnie, gdy skręcili za róg. – Tutaj gliniarze nie mają zbyt wysokich notowań, rozumie pan?

– Rozumiem – przytaknął Riis. – A więc to się stało tutaj?

– Tak. Samochód stał zaparkowany w tym miejscu i nie mam, kurwa, pojęcia, jak to się stało, ale to drugie auto nagle wyleciało od strony Gamleveien i przejechało prosto po trawie.

Wskazał kierunek.

– Zrobiło się cholerne zamieszanie. Policja, straż pożarna, pomoc drogowa i Bóg wie co jeszcze. Musieliśmy zamknąć lokal, bo ludzie nie mogli się tu dostać. Trzeba było rozciąć blachę, żeby go wyciągnąć.

– Rubena?

– Tak miał na imię? Biedny mały.

– I ten drugi samochód po prostu odjechał?

– Z tego, co wiem, to tak.

– I te kamery nie działają?

Riis skinął głową na kamery zamontowane na ścianie.

– Nie, już panu mówiłem. To tylko atrapy. Ale...

– Tak?

Chłopak rozejrzał się dookoła i podszedł o krok bliżej.

– Nie jestem kapusiem i nie donoszę glinom, ale na pana miejscu odwiedziłbym Kruppela. Mieszka w tamtym starym domu.

Skinął ostrożnie w kierunku domu stojącego po drugiej stronie drogi.

– Kruppel?

– Tak. Dziwak, ale ma kamery.

– Ach tak?

– Rzadko wychodzi. Ludzie mówią, że ma jakąś paranoję czy coś, podobno kiedyś został pobity we własnym domu i teraz wszędzie ma zamontowany sprzęt, rozumie pan, alarmy i mnóstwo kamer. Zobacz pan go stąd, jeśli...

Chłopak ponownie skinął w stronę domu w chwili, gdy jeden z gości lokalu wychynął zza drzwi.

– Ty, Kevin, można tu dostać burgera? Czy jesteś zajęty obciążaniem fiuta temu nowemu?

W otwartych drzwiach salwa śmiechu.

– Kruppel – powtórzył cicho chłopak i wrócił szybko do lokalu.

Fredrik Riis siedział za kierownicą audi, gdy zadzwonił jego telefon. Ściszony głos Muncha po drugiej stronie.

– Munch. Dzwoniłeś?

– Tak. Gdzie jesteś?

– Siedzimy przed posesją Philipa Pettersena. Właśnie wrócił do domu. Zaraz wchodzimy. Coś ważnego?

– Nie, to może poczekać.

– Okej, świetnie – wymamrotał Munch i się rozłączył.

Kruppel?

Czy już kiedyś nie słyszał tego nazwiska?

Riis wrzucił telefon do kieszeni marynarki i wsunął kluczyk do stacyjki.

MUNCH WSZEDŁ DO budynku przy Mariboes gate 13, czując wyrzuty sumienia – zniknęły, gdy tylko ujrzał młodą dziewczynę przez szklaną ścianę zaokrąglonego narożnego gabinetu. Pierwszy dzień w pracy, a on od razu rzucił ją na głęboką wodę. Na szczęście wyglądało na to, że nie czuła się onieśmielona. Zdążyła przesunąć biurko zupełnie pod ścianę, wynieść krzesło, postawić komputer w niewidocznym miejscu i udekorować prawie wszystkie ściany: kartkami formatu A4, karteczkami samoprzylepnymi i zdjęciami, ułożonymi starannie jedno pod drugim. Z miejsca, w którym stał, nie potrafił się doszukać żadnego systemu, ale nie miał najmniejszych wątpliwości, że Mia coś w tym widzi. Szeptala do siebie, przenosiła fotografie z jednego miejsca na drugie, siadała na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach, by po chwili poderwać się, podbiec do ściany i zmienić ułożenie zdjęć.

Munch musiał zapukać w ościeżnicę dwa razy, zanim Mia zwróciła na niego uwagę.

– Przeszkadzam?

– Tak – odparła.

Przyłożyła dłoń do ust, przymknęła lekko powieki i wbiła wzrok w coś, coś znajdowało się na ścianie, jakby usiłowała to coś ożywić.

Rozbawiła go jej odpowiedź. Tej dziewczyny po prostu nie dało się nie lubić. Jej sposobu bycia. Tego, że zupełnie nie przejmowała się konwenansami. Jakby w jej świecie obowiązywały zupełnie inne zasady.

To było niezwykle ożywcze. Czuł, że wraca mu dobry humor. Przez całą drogę powrotną denerwował się na myśl o wyprawie do domu Pettersena, która okazała się całkowitą porażką, ale teraz rozdrażnienie powoli mijało, kiedy tak stał i z zaciekawieniem przyglądał się, jak Mia po raz kolejny przenosi fotografię w inne miejsce pokoju.

– Czy to znaczy, że wolałabyś zostać sama?

– Ee... Co?

Rzuciła mu krótkie, nieobecne spojrzenie, jakby była zaskoczona tym, że go widzi.

– Nie, nie, ja tylko...

Przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się niebieskimi oczami w ścianę, jakby starała się uchwycić coś niewidocznego, ale w końcu zrezygnowała, westchnęła cicho i wróciła do rzeczywistości.

– Masz coś?

– Co? Tak, nie...

Przejechała palcami włosy i potrząsnęła lekko głową.

– Dużo elementów jest całkiem wyraźnych, tak sądzę, za to inne, cóż...

Munch zdjął kurtkę i oparł się o ścianę.

– Wprowadź mnie w to. Opowiedz mi, co widzisz.

– Okej. – Odchrząknęła i podeszła do grupy zdjęć.

Zając. Lis. Fotografie zrobione z każdej strony, wielu z nich nigdy wcześniej nie widział. Musiała poprosić Ludwiga o bezpośredni dostęp do dokumentacji fotograficznej.

– Zwierzęta – powiedziała i odwróciła się w jego stronę. – Wydaje mi się, że wiem, dlaczego je tam umieścił.

– Tak?

– Jeden z chłopców prowadził pamiętnik, zgadza się? Jedna ze szwedzkich ofiar?

– No i?

Zdjęła ze ściany jakąś kartkę i podała mu ją.

– Pamiętnik, który opublikowano. *Jutro wszędzie księżyc. Boję się Wilka.*

Szybkim krokiem podeszła do fotografii zwierząt i zdecydowanym ruchem wskazała zająca i lisa.

– Chyba nie nadążam...

– Wilk? – powtórzyła, spoglądając na zdjęcia. – Nie wydaje ci się...?

– Nie wydaje się: co...?

Uśmiechnął się lekko.

– Chyba musisz...

– Ach, tak, sorry. Wydaje mi się, że jeśli sprawca sam siebie postrzega jako *Wilka*, to wszystko się zgadza, prawda?

Szybki ruch palcem w stronę głowy zająca.

– A to?

Lis.

Powoli zrozumiał, do czego zmierzała.

– Zając i lis to ofiary? Zdobycz Wilka? To masz na myśli?

– Dokładnie tak.

Uśmiechnęła się triumfująco.

– Zdobycz. Właśnie tego słowa szukałam. To coś nam pokazuje, prawda? Miałeś kiedyś kota?

– Kota?

– Tak, w domu? Kota? My mieliśmy kota i on zawsze przynosił nam myszy. Kładł je przed nami na podłodze. Chciał nam pokazać, jaki jest zręczny. Do czego jest zdolny.

– A więc uważasz, że te zwierzęta znalazły się tam z naszego powodu?

Nie odpowiedziała od razu. Odwróciła twarz do ściany i wyłączyła się na moment.

– Może nie z naszego powodu – odezwała się po krótkiej chwili. – A może tak, sama nie wiem. Może robi to głównie dla siebie. *Spójrzcie, jestem Wilkiem. Zobaczcie, co potrafię.* To ma sens czy...?

Nagle straciła pewność siebie. Odwróciła się do Muncha i podrapała po czole.

– To brzmi bardzo przekonująco – wymamrotał powoli. Nie potrafił ukryć, że jest pod wrażeniem.

Ile godzin go nie było?

Trzy?

A ta młoda dziewczyna zdążyła...

– Okej, dobrze. – Uśmiechnęła się. – To była jedna sprawa.

Podeszła szybko do drugiej grupy fotografii wiszących obok mapy miejsca znalezienia zwłok i okolicy. Tym razem chodziło o ofiary. Wybrała zdjęcia zrobione nieco dalej, żadnych zbliżeń. Z zaciekawieniem wodził za nią wzrokiem.

– Druga sprawa, która przyszła mi do głowy, to...

Na moment zmarszczyła brwi.

– Na razie to nic konkretnego, bardziej przeczucie. Chcesz posłuchać?

– Tak, oczywiście.

– Okej. Spójrz tutaj. Chodzi o stronę wizualną. W tym jest ukryte jakieś piękno, prawda? Wydaje się, że to jest dla niego ważne. Estetyka. I do tego strona wizualna, widziałam to dwa razy, ale nie jestem pewna, jak należy...

– Nie ma problemu. Mów dalej.

– W porządku. Jestem prawie pewna, że stworzył to po to, żeby się tym delektować. Wizualnie. I dlatego pomyślałam...

Podeszła do mapy.

– Musiał skądś na to patrzeć.

– Co masz na myśli?

– Patrzeć.

Odwróciła się w jego stronę.

– Patrzeć na miejsce, gdzie zostawił zwłoki. Napawać się swoją kreacją artystyczną. Nie sądzisz? Wyobrażasz to sobie? Stworzyć coś takiego? A potem my to znajdujemy? To jest dopiero coś. On musiał tam być. Dlatego Ludvig dał mi mapę. Popatrz...

Przyłożyła palec do mapy i spojrzała na Muncha.

– To jedyne miejsce, które jest położone wyżej i dlatego myślę, że to było tu albo tu, nie, może jednak tu, ale zaczęłabym...

– Żwirowisko?

– Tak, chociaż może to trochę zbyt przerażające. Może lepiej zacząć od lasu, na przykład tutaj? Mógł się tam łatwo ukryć.

– A więc sądzisz, że nas śledził?

– Tak.

Jej niebieskie oczy błyszczały.

– A ty byś nie chciał? Delektować się tym? Patrzeć, jak odkrywamy to, co stworzyłeś?

Skinął głową i podszedł do ściany.

– Dobra robota, Mio.

– Tak?

– Bardzo dobra. Od razu ściągnijmy tutaj ludzi. Myślisz, że to tutaj, tak?

Przyłożył palec do mapy.

– Tak. Albo tutaj, nie wiem dokładnie, trzeba poszukać punktu obserwacyjnego, z którego dobrze widać miejsce znalezienia zwłok. Wygląda na to, że takich punktów nie jest zbyt dużo. Chodzi mi o to, że tu na dole jest za nisko, mam rację...?

– Dobrze, Mio. Bardzo, bardzo dobrze. Przez chwilę bałem się, że rzuciłem cię na głęboką wodę.

Spojrzała na niego jak na wariata.

– Dlaczego? Radzę sobie.

– Absolutnie. – Uśmiechnął się. – Bardzo dobra robota. Czy to wszystko?

– Tak. To znaczy nie.

– Hm?

– Jest jeszcze coś.

Przeszła na koniec pokoju.

– Dopiero zaczęłam się nad tym zastanawiać, ale sądzę, że to ważne.

Lista składająca się tylko z dwóch punktów.

– O co chodzi?

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. Dwa zabójstwa w Szwecji. Dwa tysiące pierwszy. Dwa zabójstwa w Norwegii. Osiem lat przerwy?

– Tak?

Rozłożyła ręce.

– Gdzie był w tym czasie?

– Jasne. Mnie też to męczy.

– Prawda?

Skinęła głową i odsunęła grzywkę z czoła.

– Co o tym sądzisz?

Zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała na pytanie.

– Trudno powiedzieć. Może nie miał ochoty. Może nie znalazł nikogo, kogo by polubił. Ale oczywiście...

– Tak?

– Najbardziej prawdopodobne jest to, że coś mu w tym przeszkodziło, nie uważasz?

– Co na przykład?

– Tego nie wiem. Mężczyzna nie jest zdrowy na umyśle, chociaż może jemu się tak wydaje. W każdym razie według naszych standardów jest zaburzony. Sądzę, że jeśli jest Wilkiem...

– Co ci chodzi po głowie?

Zawahała się.

– Nie, to trochę za proste wytłumaczenie. Ale może siedział w zamknięciu?

– W więzieniu?

– Tak. Albo tam, gdzie leczy się takich jak on.

– W szpitalu dla psychicznie chorych?

Uśmiechnęła się lekko.

– Wydaje mi się, że tak się już nie mówi, ale owszem, chodzi o coś takiego.

– Dobra robota, Mio, naprawdę.

– Och, o mały włos zapomniałabym o najważniejszym.

Potrząsnęła głową i wróciła do fotografii zwierząt. Wzięła do ręki jedno ze zdjęć i podała mu je.

– Widzisz?

Wyjęła jabłko z kieszeni, ugryzła kawałek i energicznym ruchem wskazała fotografię.

Lis.

Zbliżenie głowy.

– Nie całkiem...?

– Przyjrzyj się dokładniej – odparła z entuzjazmem i jeszcze raz wskazała zdjęcie. – Spójrz na ucho...

– Co z nim?

– Nie widzisz? Tamte znaki? Na samej górze?

Munch w końcu to dostrzegł i zrozumiał, o co jej chodzi.

Wow.

Aż tak.

– Myślisz, że ten lis był... znakowany?

– A to tak nie wygląda?

Znowu się uśmiechnęła i mówiła dalej z zapałem.

– Znak na uchu? Sprawdzali ten trop, prawda? Na jakim obszarze żyją rude lisy? Sprawca usunął znak, w każdym razie tak to wygląda,

ale kto wie? Co, jeśli to był aktywny mikrochip? Taki z GPS-em? Jeśli został usunięty...

Spojrzała na niego lekko kpiącym wzrokiem.

– Cholera jasna! – Munch się uśmiechnął.

– Prawda? Jeśli przestał działać, gdy został usunięty, to będziemy wiedzieć, gdzie...

– Do diabła!

Munch zaśmiał się lekko.

– Czy ty...?

Mia już była w drodze do swoich notatek, z jabłkiem w ustach.

– Zadzwońłam w kilka miejsc i jeśli chodzi o rude lisy, to zajmuje się nimi Wyższa Szkoła w Lillehammer, w każdym razie tutaj, w Østlandet. Prowadzą projekt we współpracy z Norweskim Instytutem Badań nad Przyrodą, podali mi nazwisko... Gdzie to było? O, mam, Nina Dobrov. Właśnie siedziała na jakimś zebraniu, ale jutro rano mogę się z nią spotkać.

– Cholernie dobra robota, Mio. – Munch się uśmiechnął i wyjął z kieszeni papierosa.

Nagle ktoś zapukał w ościeżnicę i do środka zajrzał podekscytowany Fredrik Riis.

– Przeszkadzam? Mam coś, co absolutnie powinniście zobaczyć...

Nie czekając na odpowiedź, ubrany w garnitur śledczy szybkim krokiem udał się do swojego gabinetu i włożył pendrive'a do swojego komputera. Munch i Mia poszli za nim.

– Okej, najpierw muszę wam coś wyjaśnić. Byłem w szkole, żeby zapytać o ten gips, gdy nagle uświadomiłem sobie, że nie wiemy, w jakich okolicznościach chłopak złamał rękę. Zakładałem, że to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą. Rozumiecie, jedenastoletni chłopiec mógł ją złamać gdziekolwiek, ale to, czego dowiedziałem się od jego wychowawczyni, bardzo mnie zaniepokoiło.

Udało mu się wzbudzić ich zainteresowanie. Munch odsunął krzesło i schował papierosa z powrotem do paczki.

– Okazuje się, że całkiem niedawno Ruben stał się małym celebrytą. Gips założono mu po wypadku drogowym. Bardzo dziwnym wypadku. Jego wychowawczyni, Silje Simonsen, powiedziała, że wszyscy się cieszyli, że chłopak wyszedł z tego cało.

Że mogło skończyć się o wiele gorzej. I dlatego postanowiłem przyjrzeć się sprawie. To, co zaraz zobaczycie, wydarzyło się obok Grillen, miejscowego fast foodu. Ruben i jego ojciec przyjechali tam, żeby kupić jedzenie. Ruben został w samochodzie na parkingu za rogiem...

– I uchwyciły to ich kamery?

– Nie. Nie były podłączone, to tylko atrapy. Ale dostałem cynk od jednego z pracowników. Pamiętacie Roya Kruppela?

Munch przytaknął.

– Czy to nie ten, który...?

– Dokładnie tak. – Riis uśmiechnął się podekscytowany.

– Kto to? – spytała Mia i spojrzała na nich obu.

Munch już chciał jej wytłumaczyć, ale Riis go ubiegł.

– Roy Kruppel. Brzydka sprawa sprzed kilku lat. Bardzo niezwykła jak na Norwegię. Wyjątkowo brutalna. To dlatego trąbiły o niej media. Roy Kruppel był zupełnie zwyczajnym facetem, pracował w ubezpieczeniach, jego żona była zatrudniona w pobliskim przedszkolu. Mieli dwoje dorosłych dzieci, które poszły już na swoje, dom, samochód, psa – rozumiesz, zwykli ludzie, zwyczajne życie. Aż do pewnego wieczoru, zdaje się, że w maju, kilka lat temu, tak, to było 18 maja, pamiętam, ponieważ świętowałem 17 maja razem z...

Munch chrząknął cicho.

– Tak, oczywiście, sorry...

Riis uśmiechnął się do Mai, lekko zawstydzony.

– Tak czy inaczej, tamtego wieczoru do jego domu włamało się trzech mężczyzn. Wyglądało na to, że zupełnie bez powodu. Może chodziło o kradzież z włamaniem, nie jestem pewny, Kruppel nie miał w domu nic cennego, w każdym razie tak wynika z protokołów, które czytałem. Małżonkowie zostali związani i zakneblowani, a ich psa uśpiono. Najpierw przez kilka godzin tak leżeli, a potem, znowu nie bardzo wiem dlaczego, sprawcy zaczęli ich bić. Najpierw psa. Zatłukli go na śmierć. Potem żonę Kruppla. Nie tyle w agresywny, co w brutalny sposób. To wszystko wydawało się całkowicie bezsensowne...

– Kobieta przeżyła atak, ale stała się niepełnosprawna – wtrącił lekko zniecierpliwiony Munch. – I to jest tak ważne, ponieważ...?

– Tak, przepraszam... W każdym razie po tym zdarzeniu Roy Kruppel stał się zupełnie innym człowiekiem. To absolutnie zrozumiałe, bo kto by się nie stał? Napadnięty we własnym domu? Gdzie człowiek powinien czuć się bezpieczny? Tak czy inaczej, Kruppel był na pewno śmiertelnie przerażony, że coś podobnego może się powtórzyć i dlatego teraz jego dom przypomina fortecę. Ogrodzenie z drutem kolczastym u góry, wszędzie kamery...

– I dzięki temu sfilmował wypadek na parkingu przy fast foodzie?

– Tak, ale nie tylko to...

– Możemy po prostu zobaczyć to nagranie? – spytał Munch, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów.

Młody śledczy wyglądał tak, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zrozumiał aluzję, odwrócił się do komputera i włączył nagranie.

Trochę ziarniste. Czarno-białe. Najwyraźniej kamera była ustawiona tak, by monitorować obszar wokół domu, a nie budynek po drugiej stronie drogi i dlatego to, co zobaczyli, działo się w rogu kadru i było ledwo widoczne. Jasny samochód, zaparkowany za fast foodem. Riis zatrzymał film.

– To jest volvo należące do rodziny Lundgrenów – wyjaśnił, pokazując palcem. – Na tylnym siedzeniu widać zarys sylwetki Rubena.

Znowu uruchomił nagranie.

Właściwie nic się nie działo. Przez wiele sekund. Jasny samochód stał na parkingu. Chłopiec siedzący na tylnej kanapie się nie poruszał.

– Patrzcie uważnie...

Nagle. Jak grom z jasnego nieba. Biały samochód dostawczy przejechał po trawie, z dużą prędkością skręcił na parking i wbił się w tylne drzwi volva.

– O cholera...

Mia się wzdrygnęła.

– Patrzcie teraz...

Riis przyłożył palec do ekranu i odwrócił się energicznie w ich stronę.

– Nie zatrzymuje się nawet na sekundę.

Koła białej furgonetki zabuksowały po asfalcie.

– Wygląda na to, że ma kłopot z biegami...

Auto dwa razy uderzyło w tylne drzwi.

– Tutaj wrzuca wsteczny...

Furgonetka wycofała się dynamicznie i zatrzymała.

– A teraz znowu rusza...

Samochód zakręcił, przez chwilę jego koła znowu buksowały po nawierzchni, po czym zniknął z kadru.

– Cholera – wymamrotał Munch.

– Dziwne, prawda? – skomentował młody śledczy. – Pojawia się znikąd. Taranuje volvo. W panice zawraca i po prostu odjeżdża. Nawet nie wysiada, żeby sprawdzić, co się stało.

– Wszczęto śledztwo?

Riis wyjął notes z kieszeni marynarki.

– Tak. Rozmawiałem z facetem z drogówki. Przyjęto zgłoszenie, przeprowadzono śledztwo i umorzono sprawę.

– A obrażenia ciała...?

– Tak, ja też o tym pomyślałem, ale taką uzyskałem odpowiedź. Facet nie był zorientowany w temacie, ale miał mi przysłać protokół mailem.

– To wszystko, co mamy? – spytał Munch, wskazując głową ekran.

– Nie, nie – zaprzeczył Riis. – Kruppel miał nagrany cały dzień, a właściwie cały tydzień. Pokazał mi swoje archiwum. Pełne wyposażenie w piwnicy domu. Wygląda jak centrum operacyjne. CIA by się nie powstydzilo.

– Biedny człowiek – wymamrotał Munch i wsunął papierosa między wargi. – I to wszystko, co wiemy o samym zdarzeniu?

– Tak – odparł Fredrik i otworzył nowy plik. – Ale mamy jeszcze to.

– To znaczy...?

– To, co działo się później. Przyjeżdża policja. Straż pożarna z tymi potężnymi metalowymi nożycami hydraulicznymi, których używają, kiedy muszą ciąć blachę. Dość szybko podjeżdża pomoc drogowa. Potem karetka, chociaż dziwnie długo każe na siebie czekać. Wyciągają chłopca z samochodu i kładą go na ziemi. Leży tak dobrą chwilę. Mnóstwo gapiów.

Riis wzruszył ramionami.

– Chłopiec jest w karetce. Wszyscy się rozchodzą. Volvo zostaje odholowane...

Munch wstał.

– Bardzo dobra robota, Fredriku. Bardzo dobra.

– Dziękuję. – Młody śledczy uśmiechnął się i rzucił przelotne spojrzenie na Mię, która siedziała ze wzrokiem utkwionym w ekran.

– Biała furgonetka – powiedziała ostrożnie. – Czy nie dostaliście zgłoszeń od świadków, którzy widzieli podobną na miejscu znalezienia zwłok?

– Owszem, *dostaliśmy* zgłoszenia. – Munch mrugnął porozumiewawczo i wyjął z kieszeni zapalniczkę.

– Tak, sorry. Czy nie *szukamy* właśnie takiej furgonetki? Białego peugeota boxera? Znaleźliśmy ją?

– Nie.

– Nie wiem, czy zwróciliście uwagę, ale brakuje przedniej tablicy rejestracyjnej – wtrącił Riis.

– Ale nie z tyłu, zgadza się? – spytała Mia i pochyliła się nad ekranem, na którym Fredrik zatrzymał nagranie w chwili, gdy samochód zniknął z pola widzenia. – Widać numer rejestracyjny?

– Niestety nie. Ale przesłałem film naszym technikom. Spróbują coś z niego wydobyć. Przy odrobinie szczęścia uda im się odczytać numer, oczywiście jeśli piksele nie będą za duże.

– Bardzo dobra robota, Fredriku – powtórzył Munch.

W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Śledczy wyszedł na korytarz, żeby odebrać.

– Tak?

– Tu Anette. Niestety, pudło.

– Pettersen?

– Tak. Potwierdziło się jego alibi.

– Cholera. Okej. W porządku. Wracasz na górę?

– Jestem w drodze.

– Świetnie. Słuchaj, ilu funkcjonariuszy mamy aktualnie na miejscu?

– W Finstadjordet?

– Tak. Którzy chodzą od drzwi do drzwi.

– Nie jestem pewna, około trzydziestu. Dlaczego pytasz?

Munch przytrzymał telefon brodą i wszedł do narożnego gabinetu.

– Możesz podesłać dziesięciu–dwunastu z nich do lasu?

– Okej. Coś konkretnego?

– Mia uważa, że sprawca mógł nas obserwować. Wytypowaliśmy najbardziej prawdopodobną lokalizację. Masz pod ręką długopis?

– *Yep.*

– Okej, wyślij ich tam – powiedział i odczytał współrzędne z dużej mapy, którą nowicjuszka powiesiła na ścianie.

LYDIA CLEMENS PORUSZAŁA się cicho i powoli. Zaczęła się w to bawić już jakiś czas temu: udawać, że jest tygrysem, który potrafi bezszelestnie skradać się po lesie – tak, aby nikt jej nie zauważył. Dwunastolatka szybko stała się specjalistką w tej dziedzinie, zresztą podobnie jak we wszystkim innym, czego spróbowała. Na przykład w strzelaniu z łuku. W krótkim czasie stała się lepsza nawet od dziadka Willy’ego. *O rety!*, powiedział, gdy wypuściła trzy strzały, jedną po drugiej, w sam środek tarczy, którą ustawił dla niej na trawiastej równinie za domem. Teraz trafiała, w co tylko chciała. Własnymi strzałami. Z własnymi piórami. Dziadek Willy wykuł groty w kuźni, tak jak nóż, który dostała na urodziny. Do końca życia nie zapomni wyrazu jego twarzy, gdy zobaczył, jak wielką radość jej tym sprawił. Dziadek Willy nigdy nie płakał, ale wtedy uronił łzę, przed kominkiem w salonie ich małego domku. *Jest absolutnie fantastyczny!*, zawołała i podbiegła, żeby pocałować go w policzek. *Tak? Na pewno? Podoba ci się? Przebardzo!* I to była prawda, bo ten nóż, którym zabijała jeleniowate, patroszyła ryby, ścinała trawę dla kóz, wyprawiała lisią skórę, strugała lalki z drewna, robiła wszystko, co tylko się dało, był na wykończeniu. Aż w końcu pożaliła się dziadkowi, gdy ten stał przed kamieniem szlifierskim. *Widzisz mój nóż? Prawie nic z niego nie zostało.* Rozzłościła się trochę na niego, gdy odpowiedział: *jeszcze dużo wytrzyma.* Ale potem zrobił dla niej nowy nóż. To po to były te wszystkie tajemnicze wyprawy do kuźni. *Zajrzę do kuźni, Lydio. A ty odrabiaj lekcje.*

Lekcje, ciągle lekcje. Czasem miała ich dość. Oczywiście, Lydia Clemens rozumiała, że to jest ważne, chociaż nie zawsze nauka sprawiała jej radość. Bo po *długim czasie* miało nastąpić *wieczne lato*, a wtedy Ziemia będzie potrzebowała takich ludzi jak ona. Którzy dużo potrafią. Dzięki nim cywilizacja nie będzie musiała zaczynać od zera. Będą potrzebni mądrzy ludzie, którzy przeczytali mnóstwo

książek i mają rozległą wiedzę. Z historii. Przyrody. Matematyki. Chemii. I którzy potrafią również mnóstwo praktycznych rzeczy, na przykład zbudować szałas i wykonać świece. I polować, oczywiście, to było najważniejsze, umieć posługiwać się zarówno łukiem, jak i nożem, zdobywać pożywienie dla siebie i swoich bliskich, nie tylko w *długim czasie*, lecz także później, kiedy będzie już po wszystkim. Bo zbudowanie nowego społeczeństwa zajmie sporo czasu, może nawet kilkaset lat. Po tym, jak ci źli wszystko zniszczą. I dlatego, chociaż nie lubiła zabijać zwierząt, rozumiała, że musi to robić.

Lydia ułożyła krótki wiersz, który zawsze mamrotała pod nosem, zanim zabiła jakieś zwierzę, po to tylko, żeby pokazać światu wokół niej, wszystkim duchom drzew i tym, które patrzyły na nich z gwiazd, że czuje szacunek do życia, które zaraz komuś odbierze. *Przepraszam, mój drogi. Z okiem tuż przy napiętej cięciwie. Bardzo cię kocham. Mam nadzieję, że istnieje niebo dla* (tutaj wymieniała nazwę zwierzęcia, na przykład *dla zajęcy*). *I że kiedy się tam znajdziesz, będziesz już zawsze szczęśliwy.* Zamknąć oczy. Chętnie by to zrobiła, ale oczywiście nie mogła. Musiała śledzić strzałę. Na tym polegała sztuka strzelania z łuku. Postanović, gdzie strzała ma trafić, a potem *widzieć* ją przez całą drogę do celu.

Dwadzieścia najdłuższych rzek Chin: Jangcy, nazywana Rzeką Błękitną, Huang He, inaczej Rzeką Żółta, Amur, Rzeką Perłowa, Mekong, Tarym, Argun, Han Shui, Wu Jiang, Selenga, Nen Jiang, Liao He, Hai He, Yalong Jiang, Kerulen, Orchon, Brahmaputra, Dadu, Jialing Jiang, Huai He.

Dwadzieścia pierwszych pierwiastków w układzie okresowym: 1. Wodór. 2. Hel. 3. Lit. 4. Beryl. 5. Bor. 6. Węgiel. 7. Azot. 8. Tlen. 9. Fluor. 10. Neon. 11. Sód. 12. Magnez. 13. Glin. 14. Krzem. 15. Fosfor. 16. Siarka. 17. Chlor. 18. Argon. 19. Potas. 20. Wapń.

Rewolucja październikowa w Rosji w 1917 roku: większość bogactw Rosji była skupiona w rękach wielkich właścicieli ziemskich i fabrykantów, a reszta ludności cierpiała głód i ubóstwo. Bogaci nie chcieli dzielić się z innymi i dlatego ludzie zbuntowali się przeciwko nim. Pod wodzą Władimira Iljicza Uljanowa (Włodzimierza Lenina) przejęli władzę nad krajem, dzięki czemu wszyscy mieli zapewnione

jedzenie i porządną pracę. Nie musieli już zginać karku i korzyć się przed kapitalistami.

Przepis na domowej roboty mydło: 150 g tłuszczu zwierzęcego, 360 g oleju rzepakowego, 150 g zimnej wody, 71 g ługu (jeśli mamy).

Ostatnie zadanie to był sprawdzian praktyczny. O rewolucji październikowej w Rosji musiała napisać pracę i trochę się z nią namęczyła, uważała, że dużo łatwiej jest mówić, niż pisać, ale jakoś przez to przebrnęła. Dziadek Willy był bardzo zadowolony. Powiedział nawet, że wkrótce użyją trochę cukru i upieką ciasto, a wtedy przestała się przejmować tymi wszystkimi głupimi słowami, które skakały po papierze i nie chciały się ustawić we właściwej kolejności.

Teraz cicha jak mysz pod miotłą, wciąż zręczna jak tygrys, zbliżała się do małego domku po drugiej stronie torfowiska. Ukucnęła ostrożnie za dużą starą sosną i wyjęła małą lornetkę. Cisza i spokój. Żadnego dymu z komina, tak jak ostatnim razem. Głupio. Szkoda. Na dworze nie było aż tak zimno, żeby trzeba było palić, chociaż mężczyzna, który tu mieszkał, zrobił to, kiedy zjawiała się tutaj ostatnio. Wsunęła lornetkę za skórzany pas i zaczęła się skradać po żółtych kępach. Uwielbiała zapach torfowiska. Było w nim coś niemal magicznego, jakby wilgotne szpary wypełniał zardzewiały metal. Oczywiście musiała zawsze uważać, by stawiać stopy na torfowym mchu i nie ulec pokusie, by przejść po grząskich bagnach, ponieważ można było zniknąć w nich na zawsze. Rzecz jasna, ona nie miała z tym żadnego problemu. Znała ten las jak własną kieszeń i zdążyła się zaprzyjaźnić ze wszystkimi kępami mchu na torfowisku. Stary. Brązowy. Nie za ładny. W wielu miejscach odchodziła farba. Mała, niepomalowana, szara obora po drugiej stronie niewielkiego podwórka. Żadnego ogrodu. Żadnych warzyw ani kwiatów. Ten, kto tu mieszkał, nie troszczył się o swoje rzeczy. Nie miał szacunku dla samego siebie, jak by powiedział dziadek Willy. Na drodze przy domu stał zaparkowany mały czterokołowiec, poza tym wszędzie panowała niczym niezmacona cisza. Lydia położyła się na brzuchu i podczołgała do ściany domu. Potem usiadła i poczuła, jak szybko bije jej serce pod kurtką z jeleniej skóry. Oczywiście już wiedziała, zobaczyła to, gdy była w połowie drogi. Telewizor nie był włączony,

bo ostatnim razem świeciło się w pokoju, a poza tym przez cienkie ściany docierał dźwięk, ale i tak podniosła się i szybko zajrzała do środka. Tak jak sądziła. Czarny ekran był zupełnie pozbawiony życia. *Cholera*. Tak bardzo cieszyła się na tę myśl. Westchnęła i osunęła się, rozczarowana, na brązową trawę przy ścianie. Słońce zaczęło zbliżać się do wierzchołków drzew, rzucały one długie cienie na żółto-brunatne torfowisko, więc może nie było czego żałować. Wróci do domu. Myjąc zęby, wysłucha wiadomości w radiu dziadka Willy'ego. Położy głowę na poduszce i poczuje miłe ciepło kołdry.

Wstała i w tym samym momencie usłyszała dziwny jęk. I szelest. I coś jakby uderzenie. Zakradła się ostrożnie za róg domu. Cisza.

Może tylko jej się...

Nie, znowu ten dźwięk.

Przemknęła przez podwórko.

Jej skórzane buty poruszały się niemal bezszelestnie po nierównym żwirowym podłożu. Nagle stanęła tuż przed nim.

Borsuk.

W klatce.

Zamknięty.

Dwoje małych oczu, mały pyszczek, który usiłował przecisnąć się przez druciane drzwiczki.

Niech to...

Lydię ogarnęła wściekłość.

Więzić zwierzęta?

Chwytać w pułapki?

Nie, tego było już za wiele.

Pomyślała z nienawiścią o mężczyźnie, który mieszkał w zrujnowanym domu, i otworzyła klatkę.

Najpierw ostrożne obwąchiwanie.

Potem, drepcząc, wyszedł na zewnątrz.

Borsuk spojrzał na nią z wdzięcznością, po czym pomknął w stronę wolności, która czekała na niego w zaroślach.

Co takiego?

Więzić zwierzę w klatce?

Krew się w niej zagotowała.

Lydia rzuciła gniewne spojrzenie na drzwi wejściowe, splunęła demonstracyjnie na żwir i ukucnęła.

I ruszyła z powrotem przez podmokłe torfowisko.

19

FREDRIK RIIS WSZEDŁ do mieszkania w Briskeby. Nie był tu od dwóch dni i chociaż dałby radę spędzić jeszcze jedną noc na małej kanapie w gabinecie, musiał wrócić do domu, żeby zająć się swoim ptaszkiem. Oczywiście nie wspomniał o tym nikomu. Wystarczyło, że uważali go za snoba, który zawsze chodzi ubrany w garnitur. Nie chciał, żeby zaczęli wołać na niego Ptasiek. Zrzucił włoskie buty i zaniósł aktówkę do kuchni, gdzie czekała na niego kakadu. Siedziała na okapie nad kuchenką i patrzyła na niego smętnym wzrokiem. Uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę. Przyjęła to z lekkim sceptycyzmem, jak zawsze, kiedy nie było go w domu przez dłuższy czas, ale ostatecznie przeniosła się, krocząc dumnie, na jego palce, potem na rękę, aż doszła do ramienia i przytuliła się do jego policzka, gdzie czuła się najlepiej. Sjöberg. Szarobiała kakadu, z żółtą głową i pomarańczowymi policzkami. Nazwana tak na cześć Patrika Sjöberga, skoczek wzwyż, który w 1987 roku w Sztokholmie ustanowił fantastyczny rekord świata: 2,42 metra. Mówiąc do papugi, podszedł do poidełka i pozwolił, żeby kakadu widziała, że nalał świeżej wody i nasypał ziarna z odrobiną przysmaku dla papug do małej miseczki pod dzwonkiem. Gdzieś wyczytał, że to ważne, aby jak najczęściej mówić do ptaka. Szara kakadu zaszumiała skrzydłami i wydała z siebie cichy dźwięk. Zadowolona. Fredrik wyjął sushi, które kupił w drodze do domu, a potem siedzieli tak w ciszy przez dłuższą chwilę i jedli razem. Właśnie wyszedł spod prysznic, gdy zadzwonił telefon. Nieznany numer. Fredrik zabrał komórkę ze sobą do sypialni.

– Fredrik Riis, słucham?

– Dobry wieczór. Z tej strony Silje Simonsen.

Męczące krótkie poszukiwanie w głowie, zanim ją umiejscowił. Nauczycielka blondynka ze szkoły.

– O, dobry wieczór. Jak się pani ma?

– Dziękuję, dobrze.

Brzmiała tak, jakby się uśmiechała.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno. To był intensywny dzień. Moja córka była niezadowolona, że późno odebrałam ją z przedszkola. Nie mogła zasnąć.

– Nic nie szkodzi – odparł.

– Chodzi o ten gips – mówiła dalej. – W, zgadza się?

– Owszem. Odkryła pani coś?

– Nie, nikt nie przychodzi mi do głowy. Na szermierkę chodzi jeden Erik z nazwiskiem na W. Nie jest moim uczniem, ale zadzwoniłam do niego. On się tak nie podpisał, więc to W to może być ważny trop.

– Zadzwoniła pani do chłopaka, który nie jest pani uczniem?

– Nie powinnam była tego robić?

– Nie, w porządku. – Uśmiechnął się. – Miło z pani strony, ale nie musiała pani tego robić.

Poszedł do kuchni, wyjął z lodówki butelkę wody i zaniósł ją do salonu.

– Chciałabym jakoś pomóc – powiedziała miłym głosem. – To jest nawet trochę zabawne. Zamienić się w detektywa. Nieczęsto mam okazję się rozerwać. Moja praca nie jest tak ekscytująca jak pańska.

– Och, czy ja wiem – stwierdził i opadł na kanapę.

– W zasadzie to wszystko, co chciałam panu powiedzieć.

– Okej, świetnie. Dziękuję za pomoc. Ma pani mój numer. Proszę dzwonić, gdyby na coś pani wpadła.

– Tak... – zawahała się.

– Coś jeszcze?

Milczała przez chwilę.

– Nie jestem pewna.

– Tak?

– Chodzi o to... mam w klasie kilku chłopców, którzy... Jak to powiedzieć? Zaczęli zachowywać się trochę inaczej.

– To znaczy jak?

– Nie wiem, czy potrafię wyjaśnić. Może to naturalna reakcja. Może przeżywają to, co się stało. Sama nie wiem. Zwykle rozmawiają

ze mną otwarcie, a tymczasem ostatnio wyraźnie mnie unikają. Czy to, co mówię, ma sens?

– Jak najbardziej – odparł i przeniósł się do sypialni.

– Dzisiaj, kiedy dyżurowałam na przerwie i skręciłam za róg, natychmiast zamilkli na mój widok. Wyglądali tak, jakby mieli coś na sumieniu. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Oczywiście – zapewnił. – Może powinienem z nimi porozmawiać?

– Może.

– Musimy mieć zgodę rodziców na formalne przesłuchanie dzieci, ale możemy przecież uciąć sobie z nimi luźną pogawędkę, prawda? Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Dobrze. – Simonsen się uśmiechnęła. – To dobry pomysł.

– Świetnie. W takim razie jesteśmy umówieni. Jutro do pani zadzwonię.

– Doskonale. Jeszcze raz przepraszam, że niepokoiłam pana o tak późnej porze.

– W porządku. I tak jeszcze nie spałem.

– Okej. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedział Riis i odłożył telefon na nocny stolik.

Dobranoc?

Nie za poufale?

Nie, był za bardzo zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać.

Musiał się położyć.

Poszedł do łazienki. Potem zasłonił klatkę Sjöberga, żeby móc się spokojnie wyspać, i w końcu wsunął się pod ciepłą kołdrę, gdy nagle pod lampką nocną zawibrowała komórka.

Możemy się spotkać?

Westchnął i niechętnie wystukał odpowiedź.

Nie da rady.

Następna wiadomość przyszła po kilku sekundach.

Tylko na chwilę? Bardzo proszę!

Rozwagał to przez moment, poczuł lekkie mdłości, ale podjął już decyzję.

Nie, nie możemy nawet na chwilę.

Natychmiast nowa wiadomość.

Dlaczego nie?

Usiadł na łóżku i ukrył twarz w dłoniach. Jak on się w to, kurwa, wpakował? Nie, to...

Przygryzł wargę i odpisał tak szybko, jak umiał.

Bo jesteś mężatką.

Żoną jednego z moich kolegów.

Okej?

SUSANNE HVAL PEDERSEN zerknęła nerwowo zza kuchennej zasłony w domu przy Timoteiveien 13 i żałowała, że nie pamięta, gdzie schowała swoje tabletki. Pamiętała jedynie, że sprytnie je ukryła, bo przecież miała ich już więcej brać. Lekarz wystawił jej receptę kilka tygodni temu. Jej? Valium? Nie, obyłyby się bez tego. Nie należała do osób, które potrzebują lekarstw, żeby zasnąć. Ale lekarz nalegał. Żeby mogła się trochę wyciszyć po tym wszystkim, co się wydarzyło. Jej mąż stracił pracę. A teraz, nagle, zaczął zachowywać się zupełnie inaczej. Bardzo dziwnie. Chwilami w ogóle go nie poznawała. Noce spędzał poza domem, a kiedy się budził, znowu zniknął, nie mówiąc ani słowa. Nie tłumaczył się, gdzie był. Ani dokąd się wybiera. *Gdzie ja położyłam te tabletki? Czy schowałam je gdzieś w łazience? W apteczce? Nie, przecież tam już szukałaś? Trzy razy? Nie było tam nic oprócz paracetamolu i lekarstwa Nory na astmę.*

Susanne jeszcze raz wyjrzała przez kuchenne okno, lecz szybko cofnęła głowę, gdy zobaczyła obcy samochód przejeżdżający powoli przed ich domem. Jeszcze to. Jakby nie miała innych spraw na głowie? Ruben? Z sąsiedniego domu? Syn Jana-Ottona i Vibeke? Zamordowany? Na pobliskich polach? Mój Boże. Taka niewyobrażalna tragedia. To musiała być pomyłka. To nie mogła być prawda. Chociaż w całym kraju nie mówiono w zasadzie o niczym innym. W radiu, kiedy wstała, żeby przygotować śniadanie. W lokalnej gazecie leżącej na schodach, kiedy wypuszczała kota. We wszystkich stacjach, kiedy odwoziła Norę do przedszkola i później, kiedy jechała do Lillestrøm, żeby otworzyć sklep. W telewizorach, które stały w równym rzędzie w oknie wystawowym sąsiedniego sklepu. Elkjøp. Które zwykle pokazywały piękne obrazki natury lub modne teledyski. Ale nie teraz. Wydanie specjalne. Przez całą dobę. Zarówno w NRK, jak i TV2. Znani dziennikarze z poważnymi minami mówiący do mikrofonu. Duże paski wyświetlane na ekranach.

Z OSTATNIEJ CHWILI: POLICJA UJAWNIA NAZWISKA ZAMORDOWANYCH CHŁOPCÓW. Nie można było się od tego uwolnić. Popularne twarze, ważne osoby. Policjanci w galowych mundurach. Minister sprawiedliwości. Czy to nie był on? Ten, który z twarzy przypominał trochę szczura? W kiosku na rogu, kiedy po lunchu poszła kupić papierosy. Tabloidy w równym rzędku. Krzykliwe nagłówki. PODEJRZANYCH BRAK. KRAJ W ŻAŁOBIE. Jakby to była wojna. Jakby cały naród stracił tych dwóch chłopców. Ludzie przed nią w kolejce w sklepie spożywczym. Szepczący, plotkujący. *Słyszała pani, że matka jednego z nich poleciała do Hiszpanii? I zostawiła chłopca samego w domu. Tak, tak mówią. Co? Nie, pod opieką sąsiadów, ale podobno pomieszały im się daty. Kto tak postępuje? Oczywiście ci, co mieszkają w blokach. Co? Nie, nie mam pojęcia, kim jest ten drugi chłopiec. Tommy. Ale Rubena wszyscy znają. Tak, nie wiedziała pani? Moja Anita chodzi do równoległej klasy. Tak, tak, kiedyś nas odwiedził. Ładny chłopiec. Piegowaty. Jasnowłosy. Jak aniołek.*

Susanne Hval Pedersen zaciągnęła zasłony i spojrzała na zegar nad kuchennym blatem. Kwadrans po dwudziestej pierwszej. Właśnie położyła Norę spać. Sama. Znowu. Chociaż mała wciąż dopytywała się o ojca. *Gdzie jest tata? Chcę, żeby tata poczytał mi przed snem.* Mała larwa Nienasycona. *Nie, nie ty, mamo, tylko tata.* Musiała śpiewać dwa razy dłużej niż zwykle, zanim córeczka zasnęła. Przestała do niego dzwonić, bo i tak nie odbierał. Ostatni raz widziała go – zaraz, kiedy to było? Wczoraj wieczorem? W niedzielę rano? Nie, właściwie go nie widziała, tylko słyszała, jak otwiera drzwi. Leżała pod kołdrą i miała nadzieję, że wejdzie do sypialni, położy się obok niej, obejmie ją ramieniem, jak to miał w zwyczaju, i to wszystko wreszcie się skończy. Cokolwiek to było. Nie, nie wszedł do sypialni. Słyszała na schodach jego ciężkie kroki. Na górę do pokoju gościnnego. A potem kroki na dół, na długo, zanim zwykła wstawać, ale już nie spała. Trzask ciężkich drzwi wyjściowych. Samochód, który ruszył i zniknął.

Gdzie ona schowała te tabletki?

Zeszła do salonu w piwnicy, a potem udała się do pokoju, w którym oddawał się swojemu hobby. Rzadko tam zaglądała, długo

trwało, zanim znalazła włącznik światła. To był jego pokój. To tutaj przechowywał swoje narzędzia. W rogu mały zestaw stereo. Płyty z czasów dzieciństwa, z chłopięcego pokoju. I plakaty, te, których nie pozwoliła mu trzymać w salonie. Led Zeppelin. The Rolling Stones. Jimi Hendrix. Thin Lizzy. Muzyka, której właściwie nie cierpiała. Nie, to nie było dobre określenie. Ten cały rock, trochę niemodny i w złym guście, nie przywykła do niego, w domu traktowano go z lekką pogardą, którą przesiąkła i którą poniosła dalej, w dorosłość. Muzyka klasyczna. To było to. Ogromny fortepian w salonie, wokół którego wszyscy się zbierali, kiedy matka zaczynała grać. Wielka choinka. Piękne suknie. Wyższe sfery. Trochę jak Fanny i Aleksander. Dzieci miało być widać, ale nie słyszeć. Nie miała nic przeciwko temu. Uwielbiała dorastać w tym domu. Ona sama grała na wiolonczeli. Oczywiście amatorsko, ale nie była najgorsza. Wiele razy wybierano ją, żeby grała na corocznym letnim koncercie Barratt Due¹³. I wtedy poznała tego mężczyznę. Który nie wiedział, który sztuciec do czego służy. Który ubierał się jak ktoś, kto wrzuca na siebie pierwszą lepszą rzecz z lumpeksu. Oddalili się od siebie? Czy właśnie to im się przydarzyło? Dopadła ich rutyna? Proza życia? Najpierw syn, który teraz miał dwadzieścia trzy lata i nie mieszkał już z nimi. Przeprowadził się do Bergen na studia. Medycyna. Susanne była dumna jak paw, kiedy jej o tym powiedział. Że się dostał. Nie w Oslo, ale Bergen było chyba fantastycznym numerem dwa? Ilu było chętnych? I jak mało miejsc? Syn dojeżdżał do prywatnej szkoły Bjørknes, codziennie, przez cały rok, i jeszcze raz przystąpił do egzaminu z przedmiotów, których za pierwszym razem nie zdał celująco. Lekarz? Kto by pomyślał? Jej matka taka zadowolona, Susanne nie pamiętała, kiedy widziała ją tak uśmiechniętą. Czy właśnie to się stało? Powoli oddalili się od siebie? Czy chodziło o coś więcej? Potem pojawiła się maleńka, fantastyczna Nora. Nawet się nie starali. Seks już dawno przestał być czymś, co odbywało się regularnie w pomalowanej na niebiesko sypialni. Normalna kolej rzeczy w przypadku par w ich wieku, jeśli dobrze rozumiała przyjaciółki, a jednak pewnego dnia. W ciąży? Niesamowite. Czy chce urodzić to dziecko? Co takiego? Oczywiście,

że chce, co to za pytanie? Trzydzieści dziewięć lat. Przecież nie jest za stara? Jej cukrzyca? Co ma do tego jej cukrzyca? Zirytowały ją te pytania, tak bardzo, że zmieniła lekarza. A teraz Nora spała smacznie w łóżeczku na górze. *Gdzie jest tata? Chcę, żeby przyszedł tata!*

Susanne westchnęła. Stała na środku pokoju i nie bardzo wiedziała, co tam robi. Przecież nie schowała tutaj tych tabletek. Nie zaglądała tu od lat. Wenche, jej przyjaciółka, która mieszkała na Kløverveien, powiedziała jej, że nie ona, tylko inna kobieta, której imienia nie chciała zdradzić, znalazła sekretny pokój za siłownią męża urządzoną w piwnicy. Susanne nie uwierzyła w tę historię, bo przecież to brzmiało absurdalnie, ale przyjaciółka zaklinała się, że mówi prawdę. Taka mała szafa. Z ukrytym włącznikiem światła. Takie rzeczy człowiek ogląda tylko w filmach. I w tym pomieszczeniu był sprzęt – nie, to co mówiła, było chore – do S&M, czy tak się to nazywa? Maski, łańcuchy, bicze, skórzane stroje i wielkie dilda, Wenche opowiadała o tym namiętnie i ze szczegółami, ale Susanne po jakimś czasie wyłączyła się i myślała o czymś innym. Tutaj? Na tym osiedlu? Na kwiatowych ulicach? Gdzie wszyscy się znajdują? Nie, to po prostu nie mieściło jej się w głowie. Ale teraz? Po tym, co się stało? Nie wiedziała już, w co wierzyć.

Susanne Hval Pedersen podniosła rękę, żeby wyłączyć światło, gdy nagle zauważyła coś w rogu pokoju. Na podłodze leżało zwinięte ubranie. Czy to nie była jego koszula? Podeszła ostrożnie bliżej. I spodnie? Sprane džinsy, których nie pozwolił jej wyrzucić? Podniosła ubranie z podłogi i przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Co tu robiło? Brudne ubranie zawsze zostawiał w pralni, tak jak go o to prosiła, bo chciała wiedzieć, czy musi już wstawić pralkę. Nie miała nic przeciwko temu, by prać rzeczy całej rodziny, ale wypracowała swój system, przecież dobrze o tym wiedział? Nie mógł tak po prostu rozrzucić ubrań po całym domu. Czy nie wyraziła się dość jasno?

Zirytowana rozprostowała koszulę i wtedy je zauważyła.

Plamy.

Coś czerwonego.

Zaschniętego.

A cóż to takiego?

Przecież te plamy są wszędzie.
Chryste Panie, co ty wyprawiasz, Gunnarze?
Nie, tego już za wiele.
Musimy o tym porozmawiać.
Podjęła decyzję.
Koniec z czekaniem w łóżku.
Poczeka na krześle.
Przy drzwiach.
I będzie tam siedzieć, dopóki on nie wróci.
Właśnie tak.
Nie ma innego wyjścia.
Zaniosła ubranie do pralni i nastawiła pralkę na sześćdziesiąt
stopni.
A potem poszła zrobić sobie kawę.

NORWESKI INSTYTUT BADAŃ nad Przyrodą mieścił się w budynku z czerwonej cegły tuż przy Stadionie Ullevaal. Mia Krüger nie potrafiła przestać myśleć o swoim ojcu, o rozmowie, którą przeprowadzili poprzedniego wieczoru, jak ohydnie się czuła, okłamując go, chociaż w gruncie rzeczy to nie była jej wina. Białe kłamstwo, ale jednak. Ullevaal. Piłka nożna. Norweska reprezentacja. Mię mało to obchodziło, ale kochała ojca i dlatego poszła z nim na ten mecz, ponieważ tak bardzo zależało mu na tym, żeby mu towarzyszyła. Nie Sigrid. Zaprosił ją, Mię, i właśnie to najlepiej zapamiętała z wizyty na Stadionie Ullevaal. Poczucie wspólnoty. Tata i ona. I wyjątkowo Norwegia całkiem nieźle sobie poradziła. Miała szansę zakwalifikować się do mistrzostw świata po raz pierwszy od... 1938 roku? Chyba tak. W każdym razie od strasznie dawna. Nowy trener. Dzięki któremu sprawy nabrały tempa. Nawet Mia wiedziała, kim jest ten facet. Drillo. Ekscentryk, który głosował na lewicę, chodził w gumiakach, miał geografie świata w małym palcu, wszystkie rodzaje muzyki nazywał hałasem i stworzył nowy rodzaj futbolu, którego reszta świata nienawidziła, lecz który przynosił rezultaty. Nie przejmowała się za bardzo tym, co działo się na boisku, ale pamiętała, jak miło było siedzieć na trybunach, ramię przy ramieniu, w otoczeniu flag, hełmów i ludzi z pomalowanymi twarzami. Norwegia–Anglia. Młodszy brat kontra starszy brat. Nie, to nie było dobre porównanie. Nikt kontra państwo, w którym wynaleziono futbol – takie porównanie było chyba właściwsze. A jednak, cholera jasna, wygrali. Mała Norwegia. 2:0. Czternastolatka, a już taka szczęśliwa, ponieważ wszyscy inni byli szczęśliwi. Trzydzieści tysięcy szczęśliwych ludzi zebranych na stadionie, a potem powrót samochodem do domu. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby ojciec tak się cieszył. Śpiewał przy otwartych oknach i właśnie tak cały kraj świętował przez wiele dni.

Nie mogłabyś porozmawiać z Sigrid? Powiedzieć jej, że mama nie mówiła poważnie? Że oboje za nią tęsknimy?

Jego miły głos w słuchawce. Musiała przygryźć wargę, żeby się nie wygadać.

Ta ich kłótnia była jej właściwie trochę na rękę. Bo dzięki temu zyskała na czasie. Żeby odnaleźć siostrę i wszystko wyprostować, zanim tata się dowie. Umarłby z żalu, po prostu, była tego niemal pewna.

Mama, ostra i surowa jak zwykle: *Tak długo, jak długo będziesz spotykać się z tym nierobem, nie chcę cię widzieć w moim domu, zrozumiano?*

Często mówiła takie rzeczy, a później tego żałowała, ale oczywiście nigdy nie cofała wypowiedzianych słów. Skoro raz powiedziała, że Sigrid nie ma czego szukać w ich domu, dopóki będzie dziewczyną Markusa Skoga, to nic nie dało się z tym zrobić. A teraz oczywiście tata, rodzinny mediator, który zawsze łądował w samym środku wszystkich takich kłótni, uważał, że Sigrid jest równie uparta jak matka.

Nawet nie odbiera ode mnie telefonu. Ode mnie też nie? Co ja jej zrobiłem? Tęsknię za moimi córeczkami! Możesz jej powiedzieć, że ma wracać do domu? Bardzo proszę?

Mia nie zamierzała właściwie nic mówić. Chciała poczekać, aż zjawi się w domu, ale wyskoczyła z tą wiadomością, głównie po to, by zmienić temat rozmowy.

Dostałam pracę, tato.

Co? Ale...?

Taki dumny z niej.

Cały tata. Kochany.

Słyszała, jaki jest wzruszony, nie mógł się jej nachwalić.

Musimy to uczcić!

Przyjdiesz w sobotę?

Sobota.

Osiemdziesiąte urodziny babci.

Jeszcze nie pytała o to Muncha, nie do końca wiedziała, jak to funkcjonuje. Wyglądało na to, że wszyscy w zespole pracowali

dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, ale mimo to na pytanie taty odpowiedziała twierdząco.

Szefowa projektu, Nina Dobrov, była kobietą po czterdziestce i wyglądała dokładnie tak, jak Mia ją sobie wyobrażała. Okulary w stalowych oprawkach. Półdługie włosy koloru ciemny blond. Bezbarwny sweter opadający na równie bezbarwne spodnie. Twarz bez makijażu i rozkojarzony wzrok, którym odpływała wiele razy w trakcie rozmowy. Oczywiście nie wszystkie badaczki odpowiadały temu stereotypowi, ale ta kobieta właśnie taka była. Wydawała się zupełnie niezainteresowana swoim wyglądem, często sprawiała wrażenie nieobecnej duchem, w jej gabinecie panował niewiarygodny wręcz bałagan, a o tym, nad czym pracowała, wypowiadała się ciepło i z ogromnym entuzjazmem.

Oprowadziła Mię po całym instytucie, pokazując wszystko i tłumacząc.

– Norweski Instytut Badań nad Przyrodą¹⁴, w skrócie NINA, dokładnie tak samo brzmi moje imię, czyż to nie zabawne? Szefowa NINA ma na imię Nina.

Kobieta miała na policzku resztki czegoś, co wyglądało jak jogurt, ale Mia nie odważyła się jej o tym powiedzieć. Kiwała tylko grzecznie głową, kiedy tamta prowadziła ją ciasnymi korytarzami do poszczególnych pomieszczeń, z których większość była pusta.

– Szefowa to nie najwłaściwsze określenie, ponieważ nasza główna siedziba znajduje się w Trondheim, ale tutaj też jest nas całkiem sporo. W sumie trzydzieści dwie osoby, łącznie ze stypendystami. Nasze główne obszary działań to ekologia, bioróżnorodność w lasach, górach, na mokradłach, krajobraz kulturowy, właściwie wszystko. Daniel, którego nie ma tu dzisiaj, pracuje nad taksonomią entomologiczną. Tutaj mamy Vibeke, która zajmuje się lądowym monitoringiem przyrody. Arnt – jak sama pani widzi, większość naszych badaczy pracuje w terenie, w lesie i na łące, to tam czują się jak w domu, a nie tutaj, w tych ciasnych gabinetach – a więc Arnt monitoruje owady, Berit, która zwykle siedzi *tam*, prowadzi wyjątkowo fascynujący projekt dotyczący zdrowia płoci i małych pstrągów w jeziorach zawierających siarkę.

NINA została założona w 1988 roku na wniosek parlamentu, co zakończyło bardzo długi proces. Chodziło o oddzielenie prac badawczych od zarządzania. O to, by w końcu wyprowadzić naukowców z Ministerstwa Ochrony Środowiska. Prawie jak rozdział Kościoła od państwa, prawda? Przecież nie możemy mieć ministerstwa, które kontroluje pracę badaczy. Nauka musi być przecież wolna. Weźmy na przykład łososa hodowlanego... Łosoś hodowlany ma kluczowe znaczenie dla norweskiej gospodarki, prawda? Ale czy to jest zdrowe? Dla środowiska? Dla ludzi? Nie możemy mieć państwa, które ustala wytyczne, prawda? Dla którego liczą się wyłącznie względy ekonomiczne? Nie, nasze...

To było nawet interesujące, ale Mia postanowiła jej przerwać. Wyglądało na to, że zaangażowana w swoją pracę szefowa Instytutu zupełnie zapomniała, jaki jest cel wizyty Mii.

– Jestem tu w sprawie tego lisa – powiedziała i poklepała ostrożnie swoją torbę.

– A, tak, oczywiście, przepraszam – powiedziała Dobrov i w końcu zdrapała z policzka resztki po jogurcie. – W zasadzie powinniśmy porozmawiać o tym z Larsem, bo to on jest specjalistą w tej dziedzinie, ale Lars pracuje w Lillehammer. Sama pani widzi, że jesteśmy rozsiani po całym kraju. Wyższa Szkoła w Lillehammer, to oni odpowiadają za znakowanie zwierzyny leśnej w Østlandet. Większość spraw administracyjnych załatwiamy tutaj, a ja przecież jestem szefową, więc co nieco wiem na ten temat.

Uśmiechnęła się i zaprowadziła Mię do małej sali konferencyjnej.

– Przyniosła pani kilka zdjęć, zgadza się?

Mia usiadła i wyjęła fotografie.

– Chodzi o tego lisa rudego – powiedziała i przesunęła jedno zdjęcie po stole. – Jak pani widzi, ma na uchu jakieś znaki, i dlatego pomyślałam, że może...

– Hmm, tak, dokładnie, dokładnie. Wilfred, powinien tu dzisiaj być...

Znowu się uśmiechnęła.

– Ach tak? A Wilfred to...

Mężczyzna we flanelowej koszuli w kratkę i ze zmierzwionymi włosami wsunął głowę do sali.

- Nie mieliśmy mieć dzisiaj zebrania?
- Nie, zostało przeniesione na przyszły tydzień. Ottar musiał pojechać do Vadsø.
- Do Vadsø? To po co tu przyjechałem?
- Nie dostałeś wiadomości? – Dobrov się uśmiechnęła.
- Nie. Jak zwykle. Gdyby tylko ktoś mógł...

Zrezygowany wymamrotał coś niezrozumiałego, potrząsnął głową i zniknął za drzwiami.

- O czym to ja mówiłam?
- Wspominała pani o jakimś Wilfredzie...
- Ach tak, Wilfred. – Znowu się uśmiechnęła. – To jeden z naszych zdolnych doktorantów. Wprost uwielbia lisy. Chętnie zatrudniłabym go tutaj na stałe, ale miłość nie wybiera, niestety. Teraz jest w Australii. Tak, tak, czasem tak bywa.
- Okej, ale myśli pani...

Mia przyłożyła palec do fotografii, tym razem trochę bardziej stanowczym ruchem.

- Tak, ma pani absolutną rację, że to wygląda tak, jakby w tym uchu coś było – zgodziła się Dobrov i zmrużyła oczy za grubymi szklami okularów. – Chociaż to trochę dziwne.

- Dlaczego?
- Właściwie już z tym skończyliśmy.
- Z czym?
- Z tego rodzaju biernym znakowaniem. W każdym razie jeśli chodzi o lisa rudego. Zeszłej jesieni otrzymaliśmy nowe transpondery. Takie...

Przeciągnęła palcami po swojej szyi.

- Obroże. Nadajniki GPS. Są lepsze zarówno dla zwierząt, jak i dla nas. Teraz możemy je śledzić, dokądkolwiek pójdą. Każdy krok. W dowolnym momencie możemy sprawdzić na komputerze, gdzie obecnie się znajdują. Fascynujące, nieprawdaż? Te nowe technologie?

- Powiedziała pani... bierne znakowanie?
- Istnieje wiele różnych rodzajów znakowań – zaczęła Dobrov, znowu tym swoim nauczycielskim tonem. – Na przykład obrączkowanie, które stosujemy w przypadku ptaków. Wcześniej

korzystano między innymi z nadajników radiowych, które wszczepiano w brzuchy biednych zwierząt. Nawiasem mówiąc, znaleźliśmy dwa niedźwiedzie brunatne, które padły w wyniku tej procedury. Implant nasiąkał wilgocią i rdzewiał, aż w końcu baterie skorodowały. Tragedia. I dlatego zarzuciliśmy tę metodę. Chodziło o to, by...

– A co z tym pasywnym znakowaniem? – odchrząknęła nieśmiało Mia. – Jak tym na zdjęciu. Czy to oznacza, że nie wiedzą państwo, gdzie znajdował się ten lis?

– Musiałyby mieć obrożę. Niestety.

– I teraz zakładacie je lisom rudym?

– Tak, zaczęliśmy rok temu. I dlatego to dość dziwne...

– A więc ten lis został oznakowany wcześniej? Co najmniej rok temu?

– Tak sędzę.

– W bierny sposób?

– Tak.

– To oznacza, że nie dowiemy się, skąd był ten lis?

– Jeśli chodzi o nas, znakujemy zwierzynę w Østlandet. Ale ten lis mógł pojawić się tutaj skądkolwiek. Na przykład ze Szwecji. Ściśle współpracujemy z tamtejszymi ośrodkami.

– Okej, tak czy inaczej, dziękuję za pomoc – powiedziała Mia, starając się ukryć rozczarowanie, gdy chowała zdjęcia do torby.

Już miała wsiąść do samochodu zaparkowanego przed Instytutem, gdy nagle zadzwonił jej telefon. Na wyświetlaczu pojawił się nieznanym numer.

– Mia, słucham?

– Halo?

Znajomy głos, który sprawił, że się uśmiechnęła.

– Babcia?

– Halo? Mia? Halo?

– Słyszę cię, babciu.

– Halo?

Mamrotanie po drugiej stronie, po którym połączenie zostało nagle przerwane.

Ucieszyła się, gdy telefon ponownie zadzwonił.

- Halo?
 - Cześć, babciu.
 - No, jesteś wreszcie. Chyba nacisnęłam niewłaściwy przycisk. Czy one muszą być takie małe? Te przyciski? Jaki to ma sens?
 - Dostałaś telefon komórkowy?
 - Tak, wyobraź sobie – potwierdziła z dumą ciepłym głosem. – Jest czerwony i mieści się w kieszeni mojej spódnicy.
 - To wspaniale, babciu. Co słychać?
 - U mnie? Chyba nie będziemy rozmawiać o mnie? Słyszałam, że dostałaś pracę? Gratuluję.
 - Dziękuję, babciu. Mam nadzieję, że zdążę wrócić do soboty.
 - A co ma być w sobotę?
 - Twoje urodziny?
- Starsza pani prychnęła do słuchawki.
- Nie, dziękuję, nie zamierzam urządzać żadnego przyjęcia.
 - Nie? Ale...?
 - Zamiast tego dam ci prezent.
 - Co?
 - Noszę się z tym od dawna. Najwyższy czas ci to dać. Jutro przyjeżdżam do Oslo. Możesz się ze mną spotkać?
 - Co masz na myśli...?
 - Dostaniesz ode mnie prezent. Możesz spotkać się ze mną o dwunastej?
 - Nie bardzo wiem...
- Starsza pani znowu zniknęła na moment, ale po chwili połączenie zostało przywrócone.
- Możesz, Mio? Za Pałacem? O godzinie dwunastej?
 - Postaram się...
 - Co?
 - Przyjdę – odparła z uśmiechem. – Ale nie będę mogła długo zostać.
 - To nie zajmie dużo czasu.
 - Świetnie. W takim razie do zobaczenia.
- Po drugiej stronie zapadła cisza, ale Mia nadal słyszała babcię.
- Babciu?
 - Tak?

- Rozłączysz się?
- Ee, tak...?
- Naciśnij ten czerwony przycisk.
- Aha, dziękuję, skarbie.
- W takim razie widzimy się jutro.
- Tak. Do jutra.

MUNCH STAŁ NA żwirowisku na Finstadjordet i spoglądał w dół na czerwony znacznik, który umieścili na polu. Był ciekawy tej nowej, musiał to przyznać. Musiał też znosić krytyczne komentarze Anette Goli. Policjantka była znana z tego, że nie owijała w bawełnę, i tak było również tym razem. *Proponujesz jej etat, chociaż znasz ją od – jak długo? Piętnastu minut? Ale w końcu wszystko się uspokoiło. Zarówno głos w jego głowie, jak i krytyka ze strony Anette, która w ciągu zaledwie dwóch dni z panny sceptycznej zamieniła się w największą fankę nowicjuszki. Co znalazła? W uchu lisa? I mówisz, że co zaproponowała? Co za umysł. Ja bym na to nie wpadła.*

Goli właśnie szła w jego stronę. Strój biurowy zastąpiła czymś praktyczniejszym. I to był kolejny powód, dla którego wybrał właśnie tych ludzi. Nie robili tylko tego, co musieli. Robili wszystko, co tylko było w ich mocy. Ponieważ im się chciało. Wcześniej pracował w miejscach o tak niskiej energii życiowej, że można było odnieść wrażenie, że weszło się do jadalni w domu spokojnej starości. Ale na Mariboës gate 13 było zupełnie inaczej. Czasem aż za dużo się działo, ale nie narzekał. Mia zasugerowała, że sprawca mógł ich obserwować. Gdy znaleźli ciała. Tę sugestię jego zespół potraktował jako osobistą zniewagę. *Ach tak?* Wszyscy, którzy nie mieli nic innego do roboty, włożyli kombinezony i właśnie przeczesywali las w poszukiwaniu śladów sprawcy. Munch odpalił kolejnego papierosa od poprzedniego w chwili, gdy Anette podeszła do niego i wskazała na coś ręką.

– Trzeba podejść aż do tamtego rzędu drzew, żeby zobaczyć znacznik. A stamtąd jest dobra widoczność w każdym kierunku na odległość około trzystu metrów. Oczywiście przy użyciu lornetki, ale na pewno ją ma. Muszę się zbierać, Dreyer dzwoniła. Przekazałam ci wiadomość, że chce widzieć cię w biurze, prawda?

– Nie mam czasu.

– Wiem, wiem, ale przekazałam ci wiadomość. Zgadza się?

– Zgadza.

– Świetnie. Przynajmniej *mnie* się nie dostanie, kiedy znowu zacznie nas ochrzaniać.

Uśmiechnęła się i ruszyła w dół żwirowiska, ale zatrzymała się po kilku metrach i wróciła do niego.

– Aha, byłabym zapomniała. Dzwonili z policji w Sztokholmie. Pytają, czy nie potrzebujemy ich pomocy.

– Tak? Którą z ekip, które nie rozwiązały sprawy, mogą nam podesłać?

Sarkazm w jego głosie nie był zamierzony.

– Mają tam człowieka, który pracuje nad tą sprawą od samego początku. Psycholog. Pracował jako profiler. Patrick jakiś tam. Dzięki temu Ludvig i Anja nie musieliby się wczytywać w ich akta. Dobry pomysł, nie sądzisz?

– Absolutnie.

– Liczyłam na taką właśnie reakcję i dlatego już go do nas zaprosiłam. Facet przyleci jutro przed południem. Załatwię dla niego jedno z mieszkań dla gości, jeśli jakieś jest wolne. Tak czy inaczej, spotkasz się z nim, prawda?

– Oczywiście.

– Okej, świetnie, podam ci czas i miejsce, jak tylko coś ustalę.

Goli skinęła głową i znowu ruszyła w dół żwirowiska, gdy zadzwonił jego telefon.

Marianne.

Munch spojrział w górę na las, gdzie pięćdziesięcioro kobiet i mężczyzn właśnie przeczesywało teren.

Szczerze mówiąc, nie lubił tego.

Tych zakłóceń z domu.

Z innego świata.

Którego nie należało mieszać z tym.

Potrzebował wyraźnego rozgraniczenia.

Nie tylko po to, by móc się maksymalnie skupić, zanurzyć we własnych myślach tak głęboko, jak to było konieczne, lecz także z innego powodu, równie ważnego: *dzięki temu w domu czekało na*

niego normalne życie. Życie, w którym nikt nie znajdował na polu martwych jedenastoletnich chłopców.

Telefon przestał dzwonić, ale na wyświetlaczu wciąż widział jej imię.

I wtedy go oświeciło.

Czy to było dzisiaj?

Dwudziesty trzeci kwietnia.

No tak, oczywiście.

Zupełnie o tym zapomniał.

Nacisnął zielony przycisk.

– Hej, Marianne.

– Hej, kochanie, jak leci?

– No cóż...

– Nie chciałam ci przeszkadzać, ale wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

W tym roku też się tam wybierzemy, jak zwykle, czy damy sobie spokój?

Zaciągnął się głęboko papierosem i zamilkł na chwilę.

Dwudziesty trzeci kwietnia 1992 roku.

Dziewięć lat temu jego ojciec stracił życie. Od tamtego czasu co roku cała rodzina zbierała się przy jego grobie. Taka tradycja. Podniosła chwila.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Odkąd znaleziono ciała chłopców, nie zmrużył oka i powoli zaczynał to zauważać. Niewielkie pęknięcie. Szczelinę, przez którą przedostawały się drobne negatywne myśli.

Osiem lat?

Tyle czasu zajęło to Szwedom?

Wciąż bez rozwiązania?

Czy jemu zajmie to kolejne osiem?

Bez odpowiedzi?

– Holgerze, jesteś tam?

– Co? Tak, tak, słuchaj, w tym roku chyba nie dam rady. Mam tutaj mnóstwo pracy...

W głosie żony słyszał lekkie rozczarowanie.

– Tak, jasne. Może wybierzemy się tam później? Ewentualnie w weekend?

Cień nadziei w słuchawce, ale oczywiście nie mógł jej niczego obiecać.

– Zobaczymy, okej?

– W porządku. Wrócisz wieczorem do domu czy raczej nie? Ugotować ci coś? Przygotować ci czyste ubranie?

A jednak się pojawiły, teraz, tamte myśli, chociaż starał się odsunąć je od siebie.

Jego ojciec.

Wszystko, co niewypowiedziane.

Widział go oczami wyobraźni.

Dumnego i uśmiechniętego.

Na jednej z tych nieśmiertelnych wypraw narciarskich, w których zawsze musiał uczestniczyć. Munch wychowywał się w skromnym mieszkaniu w domu szeregowym w Larviku, gdzie niedzielne wyprawy na łono przyrody były obowiązkowe. Ojciec, kroczący dumnie na czele, z termosem kakao i pomarańczami w plecaku. Matka, na szczęście cierpliwsza od niego, gdy niezdarne dziecko próbowało utrzymać się na nogach w pogoni za czymś, co znajdowało się przed nimi. *Jeszcze trochę. Wkrótce będziemy na miejscu.* Norwegia. Nacjonalizm. Nareszcie na szczycie jakiegoś wzgórza. Ojciec uśmiechnięty jak król i podziwiający krajobraz. *Spójrz na nasz kraj, Holgerze. To ojczyzna bojowników. Trzeba się nią dzielić, nie sądzisz? Kapitaliści nam tego nie odbiorą!* Ojciec pracował na kolei i był wysoko na liście Komunistycznej Partii Norwegii. Oczywiście do niczego go nie wybrano, a to z tego prostego powodu, że nikt już nie głosował na komunistów, ale wyglądało na to, że ojciec tego faktu nie zarejestrował. Za każdym razem w noc wyborczą zmuszał syna, by ten czuwał razem z nim. Zawsze z tym samym entuzjazmem, zawsze równie optymistyczny: *Dzisiaj to się wydarzy, Holgerze! Dzisiaj im pokażemy!* Plakat Lenina na korytarzu i ta dziwna zielona czapka z daszkiem z czerwoną gwiazdą z przodu, którą, ulegając naciskom matki, trzymał schowaną w głębi szafy, ale wyciągał ją za każdym razem, kiedy odbywały się wybory do parlamentu lub samorządu. I oczywiście zawsze mały kieliszek. Wiele lat trwało, zanim Munch zrozumiał, że ojciec był alkoholikiem. Nigdy nie podniósł na nikogo ręki, nigdy nie pił bez umiaru, zanim dzieci nie

usnęły. Matka wzięła to na siebie. To również zrozumiał zbyt późno, właściwie dopiero kiedy przyszedł protokół posekcyjny po wypadku samochodowym. Ponad dwa promile, ciężarówka jadąca przeciwległym pasem. Nigdy nie rozmawiali o tym, czy to było samobójstwo, czy nie, tylko taka sugestia lekarza, którego później odwiedził. Wątroba ojca nie działała i lekarze dawali mu mniej niż rok życia. Po wypadku matka stała się cieniem człowieka. Zmieniła się nie do poznania. Teraz mieszkała w domu opieki i odnalazła Jezusa. I prawie nie poznawała syna, kiedy do niej zaglądał, co niestety doprowadziło do tego, że jego wizyty stawały się coraz radsze.

Munch upił się tylko raz w życiu, jako czternastolatek, wiśniówką ojca.

Od tamtego czasu nie wypił ani kropli.

– Znowu zniknąłeś, Holgerze?

– Co? Nie, jestem tu. Postaram się wpaść na chwilę do domu.

– Wspaniale. Coś dla ciebie przygotuję.

Coś się stało.

Zobaczył, że Katja wymachuje rękami.

– Dziękuję. Słuchaj, muszę kończyć. Porozmawiamy wieczorem, dobrze?

– Doskonale.

– Holgerze!

Donośny głos Holenderki niósł się po żwirowisku.

– Znaleźliśmy coś! Chyba mamy to miejsce!

Munch rzucił papierosa na ziemię i z wysiłkiem zaczął się wspinać po stromym zboczu.

TO BYŁO DZIWNNE, ale zrobiło mu się miło na jej widok. Silje Simonsen zamknęła za nimi drzwi i zostali sami w klasie. Szkoła. Niezwykłe uczucie, pojawić się tu jako osoba dorosła. Miał wrażenie, że robi coś zakazanego, gdy Silje zdjęła ze ściany zdjęcie klasowe i położyła je przed nim. Fredrik Riis nie przepadał za autorytetami, może dlatego. Ojciec był surowy, bardzo surowy. I Fredrik wszedł z tym w dorosłe życie, z niemal nabożnym szacunkiem dla wszystkich, którzy byli od niego starsi lub wyżsi rangą. Grono nauczycielskie w jego własnej szkole reprezentowało starą gwardię kontynuującą tradycje pedagogiki lat pięćdziesiątych. Chociaż czy to w ogóle można było nazwać pedagogiką? W każdym razie dzieci nie znajdowały się w jej centrum. Miały wyrosnąć na zdolnych dorosłych, udzielać właściwych odpowiedzi, a poza tym siedzieć cicho. Dzięki Bogu teraz było inaczej. Jakiś czas temu miał okazję pójść z dzieckiem swojego wujka na dzień otwarty i był pozytywnie zaskoczony miłą, swobodną atmosferą, jaka panowała w szkole, tak inną w porównaniu z tą sprzed piętnastu lat. Na szczęście świat się zmieniał. Na lepsze.

– Chodzi o tych dwóch chłopców – powiedziała cicho Silje i przyłożyła palec do fotografii. – O Lassego. I Karla-Martina. Zwykle pełni życia chłopcy, ale jak już wspominałam, ostatnio zachowują się inaczej.

– Próbowała pani z nimi porozmawiać? – spytał Fredrik i obrócił zdjęcie w swoją stronę.

Dwadzieścioro dzieci w równym rzędzie, spoglądających prosto w obiektyw, uwiecznionych we wspólnocie, która za kilka lat przestanie istnieć.

– Myśli pan, że powinnam? – zdziwiła się i przygryzła lekko wargę. – Mam mętlik w głowie. Tyle się ostatnio wydarzyło, rozumie pan. Nie chciałam ich wystraszyć. Tyle przeszli.

– Oczywiście – przytaknął. – Dobrze, że poczekała pani na mnie. Sprawdziłem to jeszcze raz i okazuje się, że miałem rację. Rzeczywiście musimy mieć zgodę rodziców, ale tylko na formalne przesłuchanie. Na zwykłą, luźną rozmowę nie potrzebujemy ich zezwolenia.

– Okej, dobrze – powiedziała. – Mam ich przyprowadzić?

– Mogłaby pani?

– Tak, dogadałam się z Bente, wychowawczynią 6C. Powiedziała, że mam dać znać, kiedy pan przyjdzie.

– Świetnie – przytaknął.

Silje Simonsen wstała i podeszła do drzwi.

– Razem? Czy każdy osobno?

– Nie wiem. Chyba mogą przyjść razem? Nie chcemy ich przecież wystraszyć, a we dwóch na pewno będzie im różniej.

– Okej. – Uśmiechnęła się i zniknęła na korytarzu.

W kieszeni jego marynarki zawibrował telefon. Fredrik podszedł do okna, żeby odebrać połączenie.

– Riis.

– Cześć, tu Bernhard, technik, e-grupa. To ty przysłałeś film i chciałeś wyciągnąć z niego numer rejestracyjny?

– Tak? Jak idzie?

– Chcesz najpierw dobrą wiadomość? Czy złą? Czy *mashup* obu?

W młodym głosie słychać było śmiech.

– Że co?

– *Mashup? Bland? Good news? Bad news?*

Fredrik Riis westchnął i rzucił spojrzenie na dziedziniec szkolny. E-grupa. Kierownictwo policji w końcu zrozumiało, że jest daleko w tyle i że musi odrobić lekcje z cyberprzestępczości. Właściwie ze wszystkiego, co miało związek z cyfrowym prowadzeniem dochodzenia. I dlatego w panice przetrząsnęto internet w poszukiwaniu ludzi, których można od razu zatrudnić, co skończyło się tym, że szeregi policji zasilili dziewiętnastolatki, którzy prawie nie widywali światła dziennego. I ta ich nazwa? E-grupa. No może nie było aż tak źle, ale prawie. Słyszał, że sytuacja powoli się poprawia, ale najwyraźniej trafił na jednego z tych, którzy wciąż mieszkali z mamusią.

– To jak: *good news*? Czy *bad news*?

Wyraźnie słyszał, że chłopak coś żuje i że przytrzymuje telefon brodą, podczas gdy jego palce stukają w klawiaturę.

– Widzicie numery tablic czy nie?

– *Affirmative*.

– Co?

– Tak. Widzimy. Jestem tego pewny na 99,7 procent.

– Tak?

– Ale... system się zawiesił. Znowu.

– Windows? – spytał cierpkim tonem.

To był znany żart w wydziale na górze. Już wcześniej się z nimi kontaktował.

– Dokładnie tak – potwierdził przyjemniaczek. – Czy to nie dziwne, że staruszkowie tak nalegają, żeby jeździć na koniu Gatesa, chociaż to stara chabeta, sama skóra i kości?

Zaśmiał się z własnego dowcipu i pociągnął łyk jakiegoś napoju.

– Tak, bardzo dziwne – potwierdził. – Dlaczego nie robić wszystkiego na Linuksie?

– Właśnie! – zawołał chłopak. – Sto razy lepiej zrobiłbym to u siebie w domu, rozumiesz?

– Świetnie. Czyli zabierasz to ze sobą do domu?

– Ee, co? Nie... Ja...

– Jak myślisz, kiedy się z tym uwiniecie? – westchnął Riis w chwili, gdy z podwórka szkolnego w stronę okna nadleciała piłka.

Ciemnoskóra dziewczynka podbiegła i zabrała piłkę. Stała przez chwilę i przyglądała mu się, przekrzywiając głowę, po czym pomachała do niego i pobiegła z powrotem do reszty dzieci.

Jaka słodka.

Fredrik uśmiechnął się szeroko. Ostatni raz poczuł coś takiego, gdy bawił się z dzieckiem swojego wujka. Czy mężczyźni mieli taki sam tykający zegar? Jak kobiety? Który daje znać, że najwyższa pora postarać się o dziecko? Nie był pewny, ale kilka razy wyraźnie czuł coś takiego. Ostatnio przyłapał się na tym, że oglądał się za ludźmi pchającymi dziecięce wózki.

– To równie dobrze może potrwać godzinę, jak i całą noc. Najprawdopodobniej to drugie. No wiesz, koń Gatesa...

– Zadzwoń do mnie, jak tylko zdobędziesz ten numer.

– Jasne. Ja...

Riis rozłączył się w chwili, gdy otworzyły się drzwi i zobaczył w nich dwie zaciekawione, lekko spłoszone chłopięce twarze.

– Spójrzcie, to właśnie on – powiedziała Silje miłym tonem, ale po chwili włączył się jej dorosły, nauczycielski głos. – Ma na imię Fredrik i jest policjantem, ale to nie oznacza, że macie jakieś kłopoty. Pan policjant chce z wami tylko porozmawiać. *My* chcemy z wami chwilę porozmawiać.

Chłopcy przeszli przez salę i podali mu rękę.

– Lasse.

– Karl-Martin.

– Fredrik. – Riis się uśmiechnął. – Bardzo proszę, usiądźcie. Pani wychowawczyni ma rację. Chcemy z wami tylko porozmawiać.

Usiadł możliwie najswobodniej na biurku nauczycielki, a chłopcy zajęli miejsca w swoich ławkach. Spoglądali na siebie nerwowo i siedzieli tak wyprostowani, że aż żal mu było na nich patrzeć.

– Przyjaźniliście się z Rubenem, zgadza się?

Uśmiechnął się. Usiłował nadać swojemu głosowi możliwie najłagodniejszy ton.

– Tak – odparli zgodnie i wymienili spojrzenia.

– Z Tommym też?

– Nie, z Tommym nie bardzo – odparł chłopiec o imieniu Karl-Martin.

Miał jasne niebieskie oczy i sterczące na wszystkie strony włosy koloru blond. Przypominał trochę Emila¹⁵ z książek Astrid Lindgren.

– Dlaczego nie? Mieliście jakiś szczególny powód?

Chłopiec o imieniu Lasse się zawahał.

– Nie, on nie jest... nie był w naszej paczce, rozumie pan...

Rzucił ukradkowe spojrzenie Silje Simonsen, która w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

– On nie był *aż tak* zainteresowany Tommym – powiedział nagle Karl-Martin.

Kolega natychmiast zareagował.

– Kalle...

– No co? Nie mieliśmy...?

– On? – zaciekawiał się Fredrik. – Co za *on*? Inny chłopiec?

Obaj zaprzeczyli ruchem głowy.

– Mężczyzna – odparł Karl-Martin.

Teraz to po nich widział. Nerwowość. W pierwszej chwili pomyślał, że chodzi o podekscytowanie wywołane spotkaniem z policjantem, ale nagle zrozumiał, że ma do czynienia z czymś o wiele poważniejszym. Obaj wyglądali na porządnie wystraszonych. Czymś lub kimś.

– Chłopcy – powiedział spokojnie i przechylił się w ich stronę. – Po pierwsze, chcę wam powiedzieć, że jeśli widzieliście coś i do tej pory nie powiedzieliście o tym nikomu, to nic nie szkodzi. Nie powinniście mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Po drugie, jeśli macie...

Chłopiec o imieniu Lasse niespodziewanie się rozplakał.

– Powiedział, że nas zabije – łkał. – Jeśli komuś o tym powiemy.

– Ten mężczyzna? – upewnił się ostrożnie Fredrik.

Obaj przytaknęli.

Po chwili Karl-Martin odezwał się drżącym głosem:

– Chciał, żebyśmy przyprowadzili tam Rubena.

– Tam? – zdziwiła się Silje.

– Do studni – zaszlochał Lasse i wytarł nos dłonią.

Fredrik rzucił przelotne spojrzenie wychowawczyni, która siedziała z szeroko otwartymi oczami.

– Spotkaliście jakiegoś mężczyznę? Który chciał, żebyście poszli do studni? Tej czerwonej przy strzelnicy?

Chłopcy jednocześnie pokiwali twierdząco i potrząsnęli głowami.

– Nas nie chciał, tylko Rubena.

– Tak? Jesteście tego pewni?

Spojrzeli na niego.

– Co?

– Pytam o to, czy jesteście pewni, że chciał właśnie Rubena. A nie kogokolwiek?

– Tak. – Blondyn przytaknął z poważną miną. – Dokładnie tak powiedział. I powiedział, że dostaniemy pieniądze, jeśli mu pomożemy. To miała być niespodzianka. Chciał dać Rubenowi jakiś

prezent. Przy studni. A my mieliśmy dostać po sto koron, jeśli przyprowadzimy tam Rubena.

Fredrik widział, że drobne dłonie chłopca trzęsą się pod ławką.

– Czy to jest miejsce, które wszyscy znają? – spytał Fredrik. – Chodzi mi o studnię.

– Może nie każdy, ale większość tak. Przychodzą tam, żeby się obściskować. A my chodziliśmy tam ich szpiegować. Ale nie zrobiliśmy nic złego, prawda?

– Absolutnie nie – uspokoiła go Silje.

– Oczywiście, że nie – potwierdził Fredrik. – Jesteście prawdziwymi detektywami. Powinniście być z siebie dumni. Że teraz nam o tym mówicie. Okej?

Chłopcy spojrzeli na siebie niepewnie.

– Możemy zacząć od początku? Dacie radę? Jak myślicie?

Obaj przytaknęli. Wyglądało na to, że trochę się uspokoiili. Fredrik Riis wyjął notes z kieszeni marynarki.

– Gdzie po raz pierwszy spotkaliście tego mężczyznę?

– Na boisku do nogi.

– Nie, to nie było tam – zaprzeczył blondyn. – Pierwszy raz zobaczyliśmy go w Grillen.

– Co? Nie, ja go tam nie widziałem.

– Widziałeś, nie pamiętasz? Dostałem pięćdziesiąt koron od mamy i poszliśmy kupić sobie frytki.

– Nie, mnie tam nie było – odparł Lasse.

– Byłeś – upierał się Karl-Martin. – Else-Karin tam była, pamiętasz? I powiedziała, że Tove chce, żebyśmy przyszli do niej, do jej salonu w piwnicy?

– Odwiedziliście Tove w jej salonie w piwnicy?

– Nie, nic z tego nie wyszło, ale przecież ty też tam byłeś...?

– Nie, to musiał być Mats.

– To nie jest aż tak istotne – przerwał im ostrożnie Fredrik. – Wróćmy do tego mężczyzny, którego widzieliście na boisku.

– I w Grillen.

– I w Grillen. Czy potraficie opisać, jak wyglądał?

Chłopcy wyraźnie nabrali wigoru. Wyglądało na to, że największy strach już minął.

– Miał wąsy – powiedział Lasse.
– I dziwne zęby – dodał Karl-Martin.
– Tak, były bardzo dziwne – potwierdził Lasse. – Nachodziły na siebie z przodu.

Chłopiec otworzył usta i pokazał, co ma na myśli.

– Był stary?
– Tak – potwierdził Lasse.
– Ile mógł mieć lat, tak mniej więcej?
– Może tyle co pan – powiedział blondyn i wskazał na niego.
– Około trzydziestu lat?
– Tak. Albo czterdzieści.
– Był bardzo dziwny. Chciał się z nami kolegować, chociaż był taki stary, pytał o piłkę nożną, o to, czy lubimy Manchester United i w ogóle...

– I o Solskjæra.

– Tak – potwierdził gorliwie jego przyjaciel. – Spytał, czy lubimy Solskjæra. Powiedział, że jeśli tak, to może nam załatwić jego autograf.

– Autograf.

– Tak, jego autograf.

– Autograf?

– Powiedział, że chodził z Solskjærem do gimnazjum. Chwalił się, że dryblował lepiej od niego, że właściwie był znacznie lepszym napastnikiem i że to on powinien grać w Manchesterze United, ale coś się stało z jego stopą...

– Z kolanem – stwierdził Karl-Martin i pokazał na własną nogę.

– Trochę kulał, więc to musiała być prawda.

– Masz na myśli, że utykał? – wtrąciła Silje.

– Tak, sorry, utykał.

– A więc mieliście dostać autograf Solskjæra. A mówił też coś o Rubenie?

Chłopcy wymienili spojrzenia.

– Nie, nie za pierwszym razem.

– Czy to znaczy, że spotkaliście go ponownie?

– Tak, obok przystanku autobusowego. Zatrzymał nas, gdy byliśmy na dworze i jeździliśmy na rowerach. To wtedy nas o to

zapytał.

– Pokazał nam zdjęcie. – Karl-Martin ostrożnie skinął głową.

– Rubena?

– Tak. Spytał nas, czy go znamy, i tak w ogóle. I czy moglibyśmy pomóc...

– Przeprowadzić go do studni?

Obaj chłopcy skinęli w milczeniu głową.

– I co mu powiedzieliście? – spytała Silje.

– Odmówiliśmy.

– Okej – wtrącił Fredrik. – Czy mogę zapytać dlaczego? Dlaczego nie chcieliście mu pomóc?

Chwilę trwało, zanim odpowiedzieli.

– Bo nie był już taki przyjacielski.

– Nie? A jaki był?

– Inny. O wiele bardziej taki, hmm, dorosły i ostry, trochę jak...

Lasse rzucił okiem na Silje.

– Jak ja?

– Tak. A właściwie nie, nie taki jak pani, tylko jak nauczyciele, kiedy się złością...

– Agresywny? – podpowiedział ostrożnie Fredrik.

– Tak, dokładnie. Był tak zły, że aż piana toczyła mu się z ust.

– I właśnie wtedy to powiedział – dodał nerwowo Lasse. – Że nas zabije. Jeśli komuś powiemy, że rozmawialiśmy z nim.

– I wąsy miał jakieś inne.

– Co takiego?

– To znaczy takie...

Blondyn przeciągnął palcem pod nosem.

– Za pierwszym razem wąsy rosły mu tak, a za drugim jakoś tak...

– Czy myślicie – spytał spokojnie Fredrik – że gdybym przyprowadził rysowniczkę, moglibyście opisać tego mężczyznę?

– Rysowniczkę?

Spojrzeni na siebie pytającym wzrokiem.

– Tak, zdarza się, że policja korzysta z ich pomocy. Jeśli nie wiemy, jak wygląda osoba, której szukamy.

– Będziemy rysować?

– Nie, nie, musicie tylko opowiedzieć, jak wyglądał, a rysowniczka zrobi resztę. Okej?

Znowu wymienili spojrzenia.

– Możemy spróbować – odparł Lasse.

– Ale on się trochę zmieniał – stwierdził jego przyjaciel.

– Nic nie szkodzi. Możemy się tak umówić? Że przyślemy tu kogoś? A wy opiszecie wygląd tego mężczyzny?

– Okej – zgodzili się chłopcy. Teraz wyglądali niemal na zadowolonych.

– Jeszcze jedno. Jesteście pewni tego, co powiedzieliście? Że chodziło mu konkretnie o Rubena? A nie o kogoś innego?

– Tak. Właśnie tak powiedział.

– Czy wyjaśnił dlaczego?

Obaj potrząsnęli przecząco głową.

– W porządku – powiedział Fredrik i wstał. – Wiecie co, chłopcy? Bardzo dziękuję. Daliście sobie świetnie radę. A teraz naszym zadaniem jest was ochronić, więc nie musicie się już niczego obawiać. Obiecacie mi to, zgoda?

Na dziecinnych twarzach pojawiły się szerokie uśmiechy.

– Okej.

Uścisnął im mocno ręce i odprowadził wzrokiem, dopóki nie zniknęli razem z Silje w korytarzu.

Kiedy tylko zatrzasnęły się za nimi drzwi, drżącymi palcami wyjął z kieszeni telefon.

– Tak, Munch.

– Tu Fredrik. Mamy portret pamięciowy sprawcy.

– Co?

– Dwóch chłopców. Spotkali go kilka razy. Możesz ściągnąć rysowniczkę?

– Jasne.

– Super. I wiesz co?

– Tak?

– Polował na Rubena.

– Co takiego?

– Ofiary nie są przypadkowe. Wiedział, o kogo mu chodzi.

– O kurwa...

- Nieźle, co?
- Dobra robota. Wracasz?
- Niedługo. Tylko dogadam ostatnie szczegóły.

Fredrik Riis wsunął telefon z powrotem do kieszeni i energicznym krokiem wyszedł z pokoju, żeby poszukać Silje Simonsen.

24

STARY MĘŻCZYŻNA O BIAŁYCH włosach był przygotowany na to, że coś może się wydarzyć, ale że tak szybko wpadną na jego trop – nie, tego nie wyobrażał sobie nawet w najśmielszych snach. Oczywiście, to była z jego strony zuchwałość, że zaprosił na przyjęcie sześć najbardziej znanych szwedzkich osobistości, ale czy właśnie tak nie powinno się żyć? Odważnie? Ależ tak, do diabła, zwykły człowiek może i wybrałby bezpieczniejszą drogę, ale nie on, nie, tego nie można mu było zarzucić. Poszukiwacz przygód, oto kim był, śmiałkiem wymachującym maczetą w samym środku dziewiczej dżungli. Nauczył się tego jako dziecko, ponieważ często spał pod gołym niebem, jak lis w norze, za każdym razem, kiedy nie wolno mu było wejść do domu. Zdarzało się to również zimą, ale cóż to znaczyło dla takiego obieżyświata jak on? Co tam obludzone góry w Himalajach – w lasach pod Uddevallą też bywało zimno. Dwa palce lewej dłoni, które sobie odmroził, wciąż miał niesprawne, ale skoro matka twierdziła, że jest małym sukinsynem, który nie zasługuje na to, żeby spać w domu, to najwidoczniej miała rację. Bo matek należy słuchać, chociaż ich głos czasem wydobywa się z radia nawet wtedy, kiedy nie jest włączone.

Przyjęcie okazało się spektakularnym sukcesem. Oczywiście Mikael Persbrandt¹⁶ upił się i nalegał, żeby bawili się w butelkę, czemu stanowczo sprzeciwił się Allan Edwall i bardzo dobrze, bo Persbrandt i tak w kółko gadał o Marii Bonnevie¹⁷ i o tym, że bardzo chętnie dałby w nos temu grubasowi Fredrikowi Skavlanowi¹⁸. I oczywiście, wymachując pięścią, wchodził na krzesło. Stary mężczyzna uważał, że jedna runda zabawy w butelkę nie jest wcale takim złym pomysłem, przynajmniej goście zaczęliby słuchać innych, zamiast gadać w kółko o sobie, ale na szczęście Cornelis Vreeswijk wyciągnął swoją starą gitarę i zaśpiewał *Balladę o Fredriku*

Åkare i Cecilii Lind i wtedy wszyscy uronili łzę i wzniesli toast Hallands Fläder, aż w końcu zjawił się Ingmar Bergman z tą swoją depresją. Jednak przyszedł. Beznadziejny typ. Smutas psujący każdą zabawę. Ale połączyli siły i ostatecznie udało im się zamknąć go w piwnicy i chociaż od czasu do czasu słyszeli, jak wali miotłą w sufit, nikt się tym nie przejmował, zwłaszcza kiedy na stół wjechały raki, a stary mężczyzna wyciągnął beczkę bimbru, którą ukradł z szopy sąsiada mieszkającego po drugiej stronie lasu.

Stary mężczyzna wyrzął spod pokrytego aluminium parasola przeciwsłonecznego. Zastanawiał się, jak to się właściwie stało, że władze tak szybko go odnalazły. Obudził się na podłodze przykryty kurtką Maksa von Sydowa¹⁹ i właśnie wtedy je usłyszał. Głosy dolatujące spomiędzy desek w kuchennej ścianie. Nie była zbyt szczelna, to prawda. W najszersze szpary powtykał kiedyś zmiętą gazetę, ale z czasem wywiało ją na zewnątrz. Potem znalazł kilka rulonów wełny szklanej firmy Glava, która walała się w jednym z garażów obok nowo wybudowanego domu w Äspäröd, ale strasznie drapała i żółte kawałki wpadały do jedzenia, więc dobrze, że wiało. I pojawiły się dźwięki, ale szybko zrozumiał, że nie chodziło o zwykłe dźwięki. Nie, to były obce siły, które przybyły z Księżyca i innych miejsc, więc najlepsze, co mógł zrobić, to ukryć się szybko jak cholera. Folia aluminiowa. Słyszał o niej. Że pomaga. I dlatego wsiadł na rower i pomknął do ICA Kvantum przy Göteborgsvägen, a potem schował się w magazynie za skrzyniami z chipsami i siedział tam, aż zgasły światła. A wtedy mógł się spokojnie zaopatrzyć. W folię aluminiową.

Nowa praca.

Tak właśnie myślał.

Że to mógł być powód, dla którego władze go szukały.

Ten piękny nowy telefon.

Ten niebieski.

Ten, który leżał w kuchennej szufladzie i ciągle wydawał z siebie dźwięki.

Do diabła.

Już postanowił.

Telefon musi zniknąć.
Koniec z zadaniami aktorskimi.

Nowa praca.

Telefon komórkowy.

Musi się go pozbyć.

Właśnie to musi zrobić.

Stary mężczyzna o białych włosach wziął rozbieg, policzył do trzech i ile sił w nogach przebiegł przez podwórze.

Stał zwrócony plecami do drzwi.

Świetnie.

Jak dotąd szło jak z płatka.

Teraz żadnego dźwięku.

Zakradł się ostrożnie, unikając potrącenia wszystkich pustych butelek, które leżały na podłodze i pobrzękiwały, przez chwilę zasłaniał uszy rękami, gdy się zorientował, że Ingmar Bergman wciąż stoi w piwnicy i wali miotłą w sufit, ale w końcu dotarł na miejsce.

Przed kuchenną szufladę.

Myśl, myśl.

Jak to zrobić?

Rozejrzył się po kuchni. Na szczęście rozwiązanie miał tuż przed oczami.

Żółte rękawice do zmywania naczyń.

Idealnie.

Naciągnął mozolnie rękawice i właśnie otwierał szufladę, gdy telefon znowu zabrzączał.

Niech to szlag.

Rzucił ostrożne spojrzenie na mały niebieski telefon.

Strona 2. Scena 3. Okej?

Zamyślił się.

Bardzo nie chciał zawieść reżysera.

Musiał tak stać przez chwilę, ponieważ telefon znowu zadzwonił.

Strona 2. Scena 3. Okej?

Okej, okej.

Wóz albo przewóz.

Ostatnia rozmowa.

Stary mężczyzna podszedł do segregatora leżącego na ławce pod oknem.

Ostrożnie nabrał powietrza.

I wybrał numer w swoim drugim telefonie.

25

MIA WYSPAŁA SIĘ po raz pierwszy od dawna i udzielił jej się ten sam optymizm co reszcie zespołu, kiedy wszyscy zgromadzili się na pierwszej tego dnia odprawie. Uśmiechnięty Munch wszedł do pokoju i zajął miejsce przy projektorze.

– Witam wszystkich. Wczoraj mieliśmy fantastyczny dzień i dzisiaj musimy pójść za ciosem. Mamy mnóstwo spraw do omówienia, więc proponuję, żebyśmy przeszli od razu do rzeczy.

Nacisnął guzik na pilocie i na ekranie pojawiło się pierwsze zdjęcie.

Wielka sosna rosnąca nad żwirowiskiem.

– Sprawca nas obserwował.

Kolejne zdjęcie, tym razem zrobione pod drzewem.

– Wiem, że ta informacja wkurzyła część z was. Doskonale. Waszą irytację spożytkujemy w możliwie najlepszy sposób.

– Świnia – wymamrotał Karl Oxen i wsunął pod wargę sporą porcję snusu.

– Dokładnie, Karl, masz rację. Nie miał z góry najlepszego widoku, ale miejsce było idealne. Ukryte wśród drzew, a jednocześnie z wystarczająco szerokim prześwitem na pole, na którym leżeli chłopcy.

Wyświetlił kolejne zdjęcie. Widok z góry na miejsce znalezienia ciała.

– Ciekawe, czy najpierw wybrał to miejsce? – zastanawiała się na głos Katja van den Burg.

– Co?

Holenderka była dzisiaj ubrana na sportowo, w niebieski dres firmy Adidas, i wyglądała tak, jakby wróciła prosto z joggingu.

– Chodzi mi o to, że wszystko wydaje się szczegółowo zaplanowane, zgadza się? A skoro tak, to niby dlaczego miejsce na polu miałoby być zupełnie przypadkowe? Może to jest odpowiedź?

Dlaczego je wybrał. Może najpierw znalazł miejsce, z którego zamierzał nas obserwować.

Przez salę przeszedł cichy szmer połączony z potakiwaniem.

– Niezła myśl, Katjo.

– To by wiele tłumaczyło – wymamrotała Anette Goli.

– Na przykład co?

Znowu Karl Oxen. Mia poczuła, że powoli zaczyna mieć dość tego gburowatego gościa. Dziwiła się, że tak inteligentny Munch zaprosił go do swojego zespołu.

– Przecież wiesz. – Katja westchnęła.

Skrzyżowała ręce na piersiach, na niebieskiej bluzie od dresu.

– Nie?

– Ludzie, dajcie spokój. Weźcie się w garść. Nie mamy czasu na takie przepychanki.

Ludvig Grønlie, ze swojego miejsca pod ścianą. Starszy, lekko siwiejący śledczy nie mówił zbyt wiele, więc kiedy od czasu do czasu otwierał usta, wszyscy go słuchali.

– Co masz na myśli? – spytał zaczepnie Oxen i odwrócił się w jego stronę.

– Ma na myśli to, żebyś się zamknął – odparła Katja, wciąż z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Niby dlaczego, kurwa, miałbym się zamknąć? – warknął Oxen i spojrzał z wściekłością na Holenderkę. – To uzasadnione pytanie, nie sądzisz? Jakie to ma znaczenie, czy najpierw znalazł miejsce, z którego chciał patrzeć?

Katja westchnęła i potrząsnęła głową.

– Ludzie, naprawdę nie mamy na to czasu.

To znowu Ludvig Grønlie.

Karl Oxen wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Dziękuję, Ludvigu – powiedział Munch stojący obok ekranu. – W miejscu, gdzie znajdował się sprawca, znaleźliśmy to...

Kolejne zdjęcie.

Kilka niedopałków. Na ziemi pod drzewem.

– Oczywiście mogą pochodzić od kogoś innego, ale istnieje duża szansa, że pod tym drzewem stał nasz sprawca. Papierosy camel light. Wysłaliśmy je do analizy. Poprosiłem techników, żeby

potraktowali je absolutnie priorytetowo, więc jest nadzieja, że wyniki przyjdą jeszcze dziś.

Uśmiechy i kiwanie głową.

– Czy to jest takie proste?

Tym razem odezwała się Anja. Nerd w okularach. Ona również rzadko odzywała się na odprawach.

– Co masz na myśli?

– Wyizolowanie DNA z niedopałków. Czy to jest trochę tak jak z telewizją? Naprawdę da się to zrobić?

Wzruszyła lekko ramionami i rozejrzała się dookoła.

– Czy ty przypadkiem nie ukończyłaś Harvardu? – zaśmiał się Oxen.

– Nie, ukończyłam... Nieważne, chyba mam prawo zadać pytanie?

Wyglądała tak, jakby zrobiło jej się trochę przykro.

– Ślady biologiczne pozostawione na powierzchni można poddać analizie – wtrącił Ludvig. – Krew, ślinę, spermę, skórę, tkankę nabłonkową. Najważniejsze jest to, czy materiału biologicznego jest wystarczająca ilość. Jeśli tak, możemy wyizolować profil DNA.

– Okej. Czy z jednego niedopałka da się to zrobić?

Mii zrobiło się żal młodej dziewczyny, którą najwyraźniej zatrudniono nie z uwagi na jej wykształcenie politechniczne, lecz na to, co potrafiła wyczarować na komputerze.

– Przy odrobinie szczęścia materiału powinno wystarczyć – odparł Munch. – Mamy dwanaście niedopałków. Nie powiedziałbym, że to jest jak gra w ruletkę, ale przydałby nam się łut szczęścia. Jak już wspomniałem, mam nadzieję, że wyniki analizy otrzymamy dziś, najpóźniej jutro. Fredrik?

Skinął głową na ubranego w garnitur śledczego, który wstał i podszedł do ekranu.

– Jak na pewno wiecie, wczoraj przesłuchałem dwóch chłopców w szkole w Finstad.

Przejął pilota od Muncha.

– Chłopcy opowiedzieli, że mieli kontakt z mężczyzną, który usiłował namówić ich do tego, by zwabili Rubena do czerwonej studni. Przy pomocy rysowniczkii udało nam się wczoraj sporządzić te oto portrety pamięciowe podejrzanego.

Na ekranie pojawiły się dwa rysunki wykonane ołówkiem.

– Czekaj, czekaj – powiedział Oxen, wyciągając rękę do góry. – Co ty powiedziałaś? Że *ich* nie próbował zwabić?

– Nie.

– O kurwa! Przecież to oznacza, że... chodziło mu właśnie o Rubena?

Rozejrzał się po sali.

– Gratulacje, Sherlocku – powiedziała Katja i ugryzła kawałek jabłka.

Cichy rechot na sali.

– Ale to...

– Absolutnie – przerwał mu Riis i mówił dalej: – Ekstremalnie ważna informacja, moim skromnym zdaniem. Ten mężczyzna najwyraźniej kontaktował się z wieloma dziećmi, zanim zaatakował. I jak trzeźwo zauważył Karl, chodziło mu szczególnie o Rubena...

O kurwa, pomyślała Mia. Była zupełnie nieświadoma tego, że powiedziała to na głos.

Oczy wszystkich zwróciły się w jej stronę.

– Tak, Mio?

– Och, sorry, pomyślałam tylko...

– Tak?

– Pomyślałam o tym drugim chłopcu. O Tommym. Nie należał do ich paczki, prawda? Był, jak to określiłeś, Fredriku? *Z drugiej strony płotu*, zgadza się?

– Tak, rzeczywiście mieszkał po drugiej stronie – przytaknął Riis.

– O czym myślisz, Mio? – spytał Munch.

– To może nie jest jakoś szczególnie istotne, ale ci chłopcy, z którymi rozmawiałeś, nie spełnili prośby tamtego mężczyzny, mam rację?

– To znaczy?

– Nie zaprowadzili Rubena do studni?

– Nie, wyrazili się jasno.

– W takim razie może to był Tommy?

W sali zapadła cisza.

– Ten drugi chłopiec – kontynuowała Mia. – Pomyślałam, że może ponieważ nie należał do tych popularnych, słyszeliśmy przecież,

jakie w domu miał warunki, klienci opieki społecznej, matka stale nieobecna, był bardziej skłonny zrobić coś takiego. Zjawia się obcy mężczyzna i oferuje mu pieniądze i zainteresowanie, którego tak bardzo pragnął.

– Niezła myśl – pochwalił Munch.

– To wiele wyjaśnia – przytaknęła Goli. – Zastanawialiśmy się nad tą konfiguracją, to znaczy Ruben plus Tommy. Zdaje się, że nie byli przyjaciółmi.

– To by tłumaczyło również miejsce znalezienia zwłok – kontynuowała Mia. – Dwaj chłopcy. Leżeli zupełnie inaczej. Wyraźnie było widać, w każdym razie ja tak to odebrałam, że Ruben był w tej scenie postacią pierwszoplanową. I tylko on został rozebrany do naga.

– To znaczy, że Tommy był tylko...

– Kimś, kim sprawca się posłużył – dokończyła ostrożnie Mia. – Przypadkową ofiarą.

– Ostro powiedziane – skwitował Munch i ruchem głowy nakazał Riisowi wrócić na swoje miejsce. – Okej, zatrzymajmy się przy tym na chwilę, żeby nam to nie umknęło. Dwie ofiary, jedna wykorzystana do tego, by uwięzić drugą. Dlaczego?

– Ponieważ chodziło mu o Rubena – stwierdziła Katja.

– Ale dlaczego? Dlaczego właśnie o Rubena?

W pokoju znowu zrobiło się cicho.

– Wypadek samochodowy przed Grillen – mówił dalej Munch. – Wypadek, w którym Ruben został poszkodowany. Jak stoimy z tą sprawą?

– Technicy mieli małe problemy, ale wierzą głęboko, że jeszcze dziś uda im się ustalić numer rejestracyjny.

– Dobrze, to będzie nasz absolutny priorytet, kiedy dostaniemy ten numer, okej?

W sali zgodne potakiwanie.

– Ponawiam pytanie: dlaczego Ruben? Dlaczego właśnie on?

– Może powinniśmy przyjrzeć się jego rodzinie? – zaproponowała Goli. – Może właśnie tam należy szukać odpowiedzi.

– Dobrze – przytaknął Munch.

– Otrzymaliśmy kilka niepokojących informacji dotyczących jego ojca – dodał Grønlie.

– Prawda? – podchwycił Munch. – Postanowiłem, że trochę z tym zaczekamy, ale teraz dochodzę do wniosku, że warto pójść tym tropem. Ludvig i... Katja – możecie skontaktować się z osobami, które do nas dzwoniły?

Skinienie głowy pod ścianą i przytaknięcie Holenderki.

– Nie możemy zapominać o Szwecji – odezwała się Mia.

– Co masz na myśli?

– Wygląda na to, że wybrał Rubena, owszem, ale na którego z chłopców polował w Szwecji? Odpowiedzi na to pytanie chyba nie należy szukać wyłącznie w rodzinie Rubena w Norwegii, mam rację?

Cichy pomruk śledczych zgromadzonych w sali.

– Może istnieje jakiś związek między rodzinami ofiar: tymi w Szwecji i naszymi?

Znowu Karl Oxen. To było pierwsze mądre zdanie, jakie padło z jego ust tego dnia.

– Oczywiście przyszło mi to do głowy – przyznała Mia. – Ale miałam za mało czasu, żeby przejrzeć wszystko od dziewięćdziesiątego trzeciego.

Spojrzała na Ludviga, a on mówił dalej:

– Jak już wspominałem, zostaliśmy zasypani materiałami ze Szwecji. Mamy prawie...

– Sto tysięcy – dokończyła Anja.

– Tak, prawie sto tysięcy stron akt sprawy. To, gdzie należy zacząć szukać, jest...

– Zaczynajcie od tego – powiedział zdecydowanym głosem Munch. – Od wszystkiego, co może wskazywać na jakikolwiek związek między rodziną Lundgrenów i...

Odwrócił się do Mii.

– Jak myślisz, który ze szwedzkich chłopców był postacią pierwszoplanową?

– Oliver.

– Okej, czyli między rodziną Lundgrenów i Hellbergów. Sprawdźcie wszystko, co mamy. Może uda wam się coś znaleźć.

Katja i Ludvig skinęli głowami.

- Dzisiaj dostaniemy wsparcie – wtrąciła Anette.
- A, tak, zgadza się – potwierdził Munch i po raz kolejny powiódł wzrokiem po sali. – Szwecja oddelegowała człowieka, który pomoże nam w śledztwie. Jest psychologiem. Pracował jako profiler dla wszystkich trzech ekip, które zajmowały się tą sprawą. Myślę, że może nam się przydać. Nazywa się...
- Patrick Olsson – dokończyła Goli.
- Tak jest. Olsson przyleci dziś po południu i dlatego musimy opracować plan, jak go najefektywniej wykorzystać.
- Może najpierw skieruj go do nas? – zaproponował Ludvig i skinął głową na Katję.
- Dobry pomysł. Rodzinny trop. Lundgrenowie i Hellbergowie. Czy coś łączy te dwie rodziny? Dlaczego nasz sprawca wybrał właśnie Rubena? I Olivera?
- Jeśli jest tak, jak twierdzi nasza młodzież – skomentował sucho Oxen i wskazał głową Mię.
- Myślę, że młodzież ma rację – stwierdził Munch i uśmiechnął się do Mii. – Okej, mamy rodziny. Co jeszcze?
- Podrapał się lekko po głowie.
- Portrety pamięciowe – odezwał się Riis, wskazując zdjęcie szkiców, na które patrzyli od dłuższej chwili.
- Tak, oczywiście – przytaknął Munch. – Jak sami widzicie, portrety różnią się między sobą. To dlatego, że sprawca wyglądał inaczej za każdym razem, kiedy chłopcy go widzieli. Biorąc to pod uwagę, obawiam się, że nic nam one nie dadzą. Po prostu wygląda na to, że sprawca lubi się przebrania...
- Myślisz, że to są przebrania?
- Na to wygląda. W każdym razie jedno z nich. Musimy podyskutować o tym, czy warto opublikować oba portrety pamięciowe, czy mamy wystarczające zasoby kadrowe, żeby przyjmować wszystkie ewentualne zgłoszenia od świadków, w tym te nieprawdziwe.
- Spojrzał na Goli.
- Osobiście uważam, że powinniśmy opublikować oba. Porozmawiam z Dreyer, żeby oddelegowała więcej funkcjonariuszy do odbierania telefonów w Grønland.

– Okej, świetnie, w takim razie postanowione. Jeszcze dzisiaj opublikujemy w mediach oba portrety pamięciowe. Może sprawa nabierze jeszcze większego rozpędu.

Podrapał się po nosie i zamilkł.

– Okej, ktoś ma coś do dodania? – odezwał się po chwili.

Riis podniósł rękę.

– Tak?

– Jeszcze jedna mała rzecz. Nie wiem, czy to ma znaczenie. Równie dobrze to może być kłamstwo, ale coś mi mówi, że warto pójść tym tropem.

– O co chodzi?

– Chłopcy, z którymi rozmawiałem, wspomnieli coś o piłę nożnej. O Manchesterze United. Nasz sprawca posłużył się tym, żeby nawiązać z nimi kontakt. Podobno mówił coś o Solskjærze, że chodzili razem do szkoły. Chyba nawet, że grali w tej samej drużynie. W młodszych klasach, tak mi się wydaje. Nasz sprawca uszkodził sobie kolano i od tego czasu trochę utyka. To może być bzdura, ale jednak...

– Absolutnie warto to sprawdzić – odparł Munch.

– Clausenengen – wtrącił Oxen.

– Co?

– Ole Gunnar Solskjær. Grał w Clausenengen. Kiedy był mały. W Kristiansundzie.

– Doskonale. Ty się tym zajmiesz. Dawni trenerzy. Stare zdjęcia. Wiesz, co robić.

– Nie ma sprawy.

– Świetnie, mamy już dużo. W takim razie do roboty. Spotykamy się tutaj wieczorem, żeby wszystko podsumować. Oczywiście nie wykluczam narady w ciągu dnia, jeśli przyjdą wyniki analiz.

Wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni budrysówki.

– Mio? Chciałaś porozmawiać?

– To nic ważnego. Prywatna sprawa.

– Okej. W moim gabinecie za kilka minut. To wszystko. Powodzenia.

Uśmiechnął się, wsunął papierosa do ust i ruszył w kierunku werandy dla palaczy.

26

ZMIANA BYŁA NIEMAL szokiem dla zmysłów. Mia tak bardzo zaangażowała się w nową pracę, że prawie zapomniała, że istnieje inny świat. Ale powoli zaczęło to do niej docierać, kiedy zostawiła za sobą Karl Johans gate i ruszyła w stronę Parku Zamkowego. Duże, piękne drzewa witały wiosną błyszczącymi zielonymi liśćmi, które kołysały się lekko na wietrze. Nie widziała ptaków, chociaż miała wrażenie, że są wszędzie. Intensywne ćwierkanie, jakby wszystkie zebrały się właśnie tutaj, żeby świętować przed norweskim zamkiem. Flaga była wciągnięta na maszt, co oznaczało, że król w nim przebywał. Nauczyła się tego jako mała dziewczynka. Wtedy najbardziej ciekawiło ją to, jak się żyje w tak wielkim domu. Pójście do łazienki lub położenie się spać – trzeba było iść tak daleko, że już samo to zapewne męczyło. Albo kiedy człowiek szedł na śniadanie. Król musiał mieć wszystko z góry starannie zaplanowane, bo jak inaczej miałby wszędzie zdążyć? Byli tam raz, 17 maja, w dniu, kiedy wszyscy mieszkańcy kraju wkładali tradycyjne stroje i machali radośnie rodzinie królewskiej stojącej na balkonie. Czuła ogromne podekscytowanie na myśl, że ją zobaczy, ale to nie było wcale takie proste. Dźwięki klaksonów i odgłosy kopyt policji konnej, ludzie, którzy krzyczeli, wiwatowali i machali flagami. Przestraszyła się tego wszystkiego, uwięziona tuż przy ziemi, w nieprzebranym tłumie. Na szczęście one tam były. Jego silne ramiona. Tata. Wziął ją na rękę i od razu świat wydał się inny. Nie był rojalistą, z pewnością tak by się nie określił, ale wspierał monarchię, w każdym razie bardziej niż mama, która zawsze narzekała na to, jak dużo pieniędzy przeznaczają na rodziny królewskie. *Spójrzcie na Anglię. Tam poślubiają srebrne suknie i złote trony, przepych i splendor za miliony koron, podczas gdy ludzie w dzielnicach robotniczych głodują. Jaki to ma sens?* Tak, o wiele lepiej było z tatą, który przyjemnie pachniał, miał świeżo wyprasowany garnitur i hojną rękę. Później pociągi ze szkoły

w Åsgårdstrand, dość fajne, ale to już nigdy nie było to samo. *Córeczka tatusia*. Teraz, kiedy mijają Grotten, ogarnęły ją lekkie wyrzuty sumienia. Grotten, rezydencja dla zasłużonych artystów, zaprojektowana i wzniesiona przez Henrika Wergelanda²⁰ w 1841 roku i od tego czasu zarezerwowana dla garstki twórców, którzy byli na tyle ważni, by mieć własną siedzibę sąsiadującą z Pałacem Królewskim. Obecnie mieszkał tam kompozytor Arne Nordheim²¹ – tata nazywał jego muzykę rzepoleniem, a mama oczywiście była nią zachwycona. Podobało jej się wszystko, co wysublimowane i odrobinę elitarne. *On bardziej lubi ciebie niż mnie*. Sigrid przed garażem. Zawsze tak ją nazywała, kiedy chciała jej dopiec. *Córeczka tatusia*. Mia zawsze uważała to określenie za obraźliwe. *Córeczka tatusia*, tak? Owszem, lubiła przebywać w garażu, kiedy tata pucował swojego starego jaguara w kolorze jadeitu, którego kupił, chociaż mama stanowczo się temu sprzeciwiała. I prawie każdego wieczoru leżała i marzyła o tym, że pewnego dnia się nim przejedzie. Chłopczyca. To było trochę gorsze, ale z czasem przestała się tym przejmować. Koleżanki z klasy. Ponieważ w odróżnieniu od nich nie wystawała na Mobil, nie żuła różowej gumy i nie piła wódki, marząc o przejażdżce samochodem do południowego brzegu Borrevannet, żeby migdalić się z chłopakiem. Zamiast tego dostała swój własny motor, czerwoną hondę CB 100, przez którą mama dostawała białej gorączki. *Co? Chcesz, żeby się zabiła? Ty chyba oszalałeś, Kyrre!* Opanowany tata, również w tej sprawie po jej stronie. *Chyba ma prawo wydać pieniądze z confirmacji na co chce?* Sigrid ma tę swoją piłkę ręczną i jeździectwo. Czy Mia nie może mieć czegoś własnego? Owszem, była córeczką tatusia. Może właśnie dlatego tak dobrze dogadywała się z jego matką.

– Promień Księżycy²². – Babcia uśmiechnęła się szeroko i długo trzymała ją w ramionach.

Osiemdziesięciolatka wystroiła się na tę okazję. Czarne nieposkromione włosy upięła w węzeł i umalowała się jasnymi kolorami. Miała na sobie elegancki czerwony płaszcz, o którym Mia wiedziała, że za nim przepada, i kozaki, które zawsze lubiła, w złotym kolorze, z frędzelkami z tyłu. Ciemne, głębokie oczy

spoglądały na nią życzliwie, kiedy starsza pani pogłaskała ją pomarszczoną dłonią po policzku.

– Jaka ty jesteś piękna, babciu.

– Nie, to ty jesteś piękna, Mio – zaszczębiotała staruszka i wzięła ją za rękę. – Niech ci się przyjrzę. Moja mała Indianka aż tak urosła!

– Przecież widziałas mnie kilka tygodni temu, babciu.

– Tak, tak, ale jednak. Masz teraz pracę i w ogóle. Tak, najwyższy czas. Chodź. Nie mogłam się doczekać.

Wzięła Mię pod ramię i poprowadziła Parkveien do ulicy znajdującej się za parkiem.

– To, moja droga – powiedziała i uśmiechnęła się przebiegle – jest Inkognitogata.

– Okej.

– Tam – mówiła dalej, zamieniając się w przewodnika, gdy spacerowym krokiem skręciły w prestiżową ulicę – znajduje się koreańska ambasada. Tam dalej włoska. A jeszcze dalej rezydencja premiera. Następnie ambasady: chilijska, szwedzka i kubańska. Same placówki dyplomatyczne, więc, moja droga, to jest nie byle jakie miejsce. Nie mówiąc już o tym, że najbliższym sąsiadem jest sam król.

Staruszka mrugnęła i weszły przez bramę do małego ogrodu przed dużym białym budynkiem.

– Wzniesiony w 1879 roku, zaprojektowany przez architekta Stenera Lenschowa. Jak widzisz, posiada asymetryczną fasadę w stylu neorenesansowym.

Ostatnie słowa wypowiedziała przesadnie wyraźnie, jakby naśladowała prowadzącego jeden z programów telewizyjnych, które mama lubiła oglądać.

– Wszyscy mamy swoje tajemnice, nieprawdaż? A to jest moja.

Babcia znowu mrugnęła i wyciągnęła coś z kieszeni.

– To dla ciebie. Bardzo cię kocham.

Klucz.

– Co to jest?

Staruszka uśmiechnęła się zadowolona.

– Bardzo proszę, moja droga.

Mia spojrzała na klucz. Nic nie rozumiała. Podniosła wzrok na wyjątkowo piękny dom i znowu przeniosła wzrok na babcię.

– W latach pięćdziesiątych. – Babcia mrugnęła po raz trzeci. – To ciało było pełne życia. Swingujące Oslo. Tak to się wtedy nazywało. Powojenne lata sprawiły, że wszyscy – jak by to powiedzieć – robiliśmy nie do końca przemyślane, dziwne rzeczy.

Zaśmiała się lekko i zaczęła kaszleć.

– Wszystko w porządku, babciu?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała.

– Czy to... twój dom?

– Tak. – Uśmiechnęła się chytrze. – Ale nie cały. Musiałabym być jeszcze bogatsza, niż byłam w tamtych czasach, ale całe pierwsze piętro należy do mnie. Dwieście pięćdziesiąt metrów.

Klucz znowu pojawił się przed jej twarzą.

– I teraz jest twój.

– Nie, nie możesz...

Mia była w szoku. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Ależ tak, mogę.

Babcia złapała ją za ramię.

– Nie, o mój Boże, babciu, to...

– Chodź. – Staruszka z uśmiechem wspięła się na pierwszy stopień wytwornych schodów. – Nie chcesz zobaczyć, jak jest w środku?

FREDRIK RIIS WŁAŚNIE odebrał swój lunch z piekarni przy Wilses gate i jechał windą, gdy zadzwonił jego telefon. Znowu e-grupa, ale na szczęście tym razem jeden z przełożonych.

– Dzień dobry, mówi Morten Olsen. Czy rozmawiam z panem Riisem?

– Tak?

– Przepraszam, że to zajęło tyle czasu, ale mieliśmy awarię systemu.

– Słyszałem. Sytuacja opanowana?

– Tak, w końcu. Męczyliśmy się trochę z ostatnią cyfrą, czy chodzi o siódmkę, czy jedynkę, ale ostatecznie stwierdziliśmy, że to siódmka.

– Okej – odparł i właściwie zapomniał, że jest głodny.

Znaleźli samochód.

– Muszę przyznać, że trochę nas замуrowało – kontynuował mężczyzna po drugiej stronie.

– Tak?

– Zobaczyliśmy pańskie nazwisko na zleceniu i pomyśleliśmy, że to musi być jakiś żart.

– Ponieważ...?

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Grønlie wyszedł na korytarz, wyglądał tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale Fredrik pokręcił przepaszająco głową i wskazał na swój telefon.

– Pan się nazywa Fredrik Riis, zgadza się?

– Tak.

– I pracuje pan z Munchem?

– Tak.

– I to nie jest żart?

– Niech pan posłucha – powiedział Fredrik i poczuł, że zaczyna tracić cierpliwość. – Proszę mi powiedzieć, na kogo jest

zarejestrowany ten samochód.

– Już, musiałem się tylko upewnić. Biały furgon, który widzieliśmy na nagraniu przesłanym przez pana, jest zarejestrowany na *pana*.

– Co takiego?

– W każdym razie na pana nazwisko. Czy ma pan firmę na Alnabru?

– Nie.

– W takim razie chodzi o zbieżność nazwisk. Biały boxer o numerze rejestracyjnym DK 87127 jest zarejestrowany na Fredrik Riis AS, Verksmester Furulunds vei 12. Czyli ta firma należy do pana?

– Jeszcze raz powtarzam, że nie – odparł Fredrik, zostawił lunch i wyszedł na korytarz. – Wiecie, czym ta firma się zajmuje?

– Nie, mamy tylko nazwę i adres.

– Okej, świetnie, dziękuję za pomoc – powiedział i rozłączył się w chwili, gdy Ludvig Grønlie wystawił głowę zza drzwi.

– Masz dwie minuty?

– Właściwie nie. Znaleźliśmy dostawczaka, który spowodował wypadek przed Grillen. Właśnie tam jadę. Czy to coś ważnego?

– I tak, i nie. Pogrzeb chłopca został przyspieszony i odbędzie się jutro.

– Już jutro? Dlaczego?

Grønlie wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Co ty byś zrobił, gdybyś był rodzicem i stracił dziecko? Żałoba musi się rozpocząć. Może to jest powód? Munch chce, żebyśmy się tam pojawili. Czy ty i Katja możecie się tym zająć?

– Oczywiście. Ale na co właściwie liczymy? Że skoro obserwował nas na miejscu znalezienia ciała, to pojawi się również na pogrzebie?

– Coś w tym stylu – potwierdził Ludvig. – Ceremonia pogrzebowa zaczyna się w kościele w Lørenskog o dwunastej.

– Okej, dobrze, powiadomię Katję – obiecał Fredrik i zjechał windą na poziom parkingu.

Fredrik Riis AS?

Kiedy indziej być może uznałby to za niezły żart, ale dzisiaj nie miał humoru. Znowu obudziły go esemesy, lecz tym razem postanowił, że nie odpowie. Do diabła. Jak mu się to udało?

Wpakować się w coś takiego? Zbieg okoliczności? Jak właściwie do tego doszło? Jakie były szanse na coś takiego?

Koncert na Grünerløkka, trio jazzowe, nie pamiętał nazwy. Poszedł sam, często chodził sam, nie miał nic przeciwko temu, by siedzieć samotnie w otoczeniu muzyki. Później w holu. Był w dziwnym humorze. Miłym, ale trochę smutnym, melancholijnym, muzyka tak na niego wpłynęła. I ona właśnie tam siedziała. Nie było zbyt wielu pustych miejsc, więc spytał ostrożnie: *Czy to miejsce jest wolne?* Bez żadnego podtekstu, po prostu krzesło i miejsce, gdzie mógł postawić swoje piwo. Trzy godziny później wiedział o niej prawie wszystko. Rozmowa toczyła się w dziwnie niewymuszony sposób. Najpierw delikatny, niewinny flirt. Muzyka, filmy, trochę polityki, emocje, myśli. Klub jazzowy zamknięto, więc przenieśli się w kolejne miejsce, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, lekko wstawieni, ale jeszcze nie pijani, wciąż trzeźwo myślący, i wtedy znowu pojawiły się te smutne historie. Fredrik nie wiedział, co z nim było nie tak, ale coś musiało być, bo ludzie zawsze chętnie mu się zwierzali. Z najbardziej prywatnych spraw. Zupełnie jakby miał na szyi koloratkę. Albo po prostu emanował niezwykłą serdecznością, nie wiedział do końca, tak czy inaczej, przytrafiało mu się to, odkąd był nastolatkiem. Kumple z klasy ze swoimi tajemnicami w jego pokoju, na końcu zawsze padało zdanie: *Tylko nie mów o tym nikomu.* I teraz, w dorosłym życiu, było tak samo. Ostatecznie właśnie temu uległ. Temu smutkowi. Tej kruchej istocie siedzącej przed nim, która najwyraźniej potrzebowała kogoś, kto wzięłby ją w ramiona.

Mój mąż nie jest miły.

Gdyby nie nasza córka...

Chociaż w ogóle się nią nie interesuje.

Miękkie, obce ciało pod kołdrą w jego sypialni.

Niedługo potem.

Czwarty raz.

Czym właściwie zajmuje się twój mąż?

Niech to szlag.

Skreślił przed duży budynek magazynu i jeszcze raz sprawdził telefon, ale nie dostał więcej wiadomości.

Na szczęście.

Mała złota tabliczka i drzwi prowadzące na pierwsze piętro, rząd małych gabinetów. Zapukał ostrożnie do pierwszych drzwi, jakaś starsza pani zawołała „proszę”. Siedziała w czymś, co przypominało starodawną recepcję. Czym zajmowała się firma, tego nie wiedział, ale musiała działać na rynku od dawna, ponieważ wystrój wnętrza wyglądał tak, jakby nie był zmieniany od lat siedemdziesiątych. Siwa pani uśmiechnęła się i zakończyła rozmowę telefoniczną, którą prowadziła, gdy wszedł do małego pomieszczenia.

– Dzień dobry, nazywam się Fredrik Riis i jestem z policji.

Kobieta zaśmiała się lekko i wzięła do ręki jego legitymację służbową.

– Pan żartuje?

– Ee, nie, ja...

– Olav! – zawołała i zapukała w cienką jak papier ścianę działową. Po chwili do pokoju wsunął głowę mężczyzna w podobnym wieku jak ona, ubrany w kamizelkę i sztruksowe spodnie.

– Tak?

– Odwiedził nas twój dziadek – zaśmiała się.

– Ee, tak?

– Fredrik Riis – przedstawił się Fredrik i podał rękę mężczyźnie.

– Spójrz.

Kobieta wyszła z za biurka i pokazała przybyłemu legitymację policyjną.

– A niech mnie – zaśmiał się mężczyzna w kamizelce i włożył okulary zawieszane na sznurku wokół szyi. – Policja? Zrobiliśmy coś złego?

– Mam pytanie dotyczące tego pojazdu – wyjaśnił Fredrik i pokazał zdjęcie. – Jest zarejestrowany na tę firmę. Poznacie państwo ten samochód?

Mężczyzna w kamizelce zarechotał cicho i ruszył wąskim korytarzem. Podciągnął zakurzoną żaluzję, uśmiechnął się i wskazał podwórze znajdujące się na tyłach budynku.

– Ma pan na myśli jeden z tych tam?

Fredrik spojrzał na równy rząd samochodów zaparkowanych przed firmą.

– Mamy trzydzieści sztuk. – Starszy pan znowu się uśmiechnął. – Tak, całkiem możliwe, że to jeden z naszych samochodów.

– Czym zajmuje się państwa firma?

– Pranie na dużą skalę – wyjaśnił mężczyzna z dumą w głosie. – W przyszłym roku będzie już czterdzieści lat. Oprowadzić pana?

– Nie, nie trzeba – odparł Fredrik. – Pranie na dużą skalę... To znaczy?

– Hotele. Sześć tysięcy łóżek hotelowych w całym Østlandet, które każdego dnia bez wyjątku potrzebują świeżej pościeli. Kiedy mój dziadek zakładał firmę, oczywiście czasy były inne. Wtedy mieściliśmy się w centrum, zupełnie zwykła pralnia, lecz pewnego dnia, podczas lunchu w Kaffistova, rozumie pan, dziadek przeprowadził się tutaj z Seljord i nie przepadał za *tym całym nowoczesnym jedzeniem*, jak je nazywał...

– Tak, to wspaniale – przerwał ostrożnie Fredrik. – To dlatego mają państwo aż tyle furgonów?

– Odbieramy brudną pościel, dostarczamy czystą. To mogłoby być nasze motto. Każdego dnia bez wyjątku. Ruch wahadłowy. Oczywiście głównie w centrum, lecz także do Lillestrøm, Gardermoen, Drammen...

– A ten konkretny samochód? – spytał Fredrik, podnosząc zdjęcie.

Mężczyzna jeszcze raz zerknął na fotografię.

– Tak, to może być nasza furgonetka. Był pan na dole, w biurze kierowców?

– Nie? A to jest...?

– Proszę za mną – powiedział mężczyzna i zszedł przed policjantem po trzeszczących kręconych schodach do pokoju usytuowanego piętro niżej.

Prawie jak mała kawiarnia. Najwyraźniej pomieszczenie socjalne. W rogu dystrybutor z colą. Mały blat, z którego zgodnie z napisem na tabliczce można było wziąć kawę i kanapki, ale: *Maks. trzy na kierowcę. Jeśli bierzesz więcej, włóż kilka koron do koszyka.*

Zaciekawione spojrzenia znad papierowych kubków.

Na ich widok mężczyzna o ciemnych włosach i wąsie odłożył gazetę.

– Co sprowadza szanowne kierownictwo do nas, zwykłych śmiertelników? Kolejna podwyżka płac?

Śmiech kierowców dolatujący z ławek pod oknem.

– Nie dzisiaj – odparł szef. Nie dał się zbić z tropu tą sarkastyczną uwagą. – Szukamy samochodu.

Skinął głową na Fredrika, a ten pokazał zdjęcie mężczyźnie o wyglądzie pirata.

– DK 87127. Hmm...

Ciemnowłosa mężczyzna wstał i podszedł do listy wiszącej na ścianie.

– Tak, to nasz samochód. A o co chodzi?

Oddał fotografię i wytarł wąsy.

– Kto nim jeździ? – spytał Fredrik. – Czy każdy z was ma przypisany konkretny pojazd?

Facet zwrócił się do kierowców siedzących pod oknem.

– Czy ktoś wie, kto nim jeździ...?

Jeszcze raz spojrział na numer rejestracyjny.

– DK 87127?

Przeczące potrząsanie głowami nad kubkami z kawą.

– Mamy system rotacyjny – wyjaśnił i wskazał na ścianę, gdzie mnóstwo kluczy wisiało pod tabliczką z napisem WOLNE. – Jeśli potrzebujesz samochodu, po prostu bierzesz stąd kluczyki.

– Czyli nie wiecie, kto... – zaczął Fredrik, ale przerwał mu młody mężczyzna siedzący na ławce.

– A czy to nie ten, który został skradziony, he?

Znowu mamrotanie i kiwanie głowami.

– No jasne, cholera, to chyba ten.

Ciemnowłosa podrapał się nad wąsem.

– Skradziono nam samochód? – zdziwił się szef. – Kiedy to się stało?

Ten, który liczył na podwyżkę, lecz najwyraźniej nie wypełniał należycie swoich obowiązków, zwlekał z odpowiedzią, ale znowu jeden z kierowców przyszedł mu z pomocą.

– Kilka tygodni temu.

– Tak, jakieś dwa tygodnie temu. Właśnie szedłem to zgłosić, bo takie rzeczy trzeba przecież zgłaszać, żeby wszystko było

w porządku. Pan jest z policji? Możemy...?

Szef był wyraźnie zirytowany, bo postukiwał stopą o linoleum.

– Przecież to leży w zakresie twoich obowiązków, zgadza się?

– No tak... Ja tylko...

– Masz natychmiast zgłosić kradzież tego samochodu. Nie mówiłem ci, że masz mieć porządek tu na dole?

– Tak, tak...

Zawstydzony spuścił wzrok na podłogę, na co kierowcy przy oknie zareagowali wyraźnym rozbawieniem.

– Czyli brakuje samochodu i nikt nie wie, gdzie on jest?

Cisza na ławce.

– Natychmiast – powiedział mężczyzna w kamizelce i postukał palcem w stół przed ciemnowłosym.

Znowu na pierwszym piętrze. Przepraszał przez całą drogę, kiedy wspinali się po skrzypiących schodach.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Macie na zewnątrz kamery? – spytał Fredrik i znów rzucił okiem na stojące w rzędzie samochody.

– Tutaj nie. Trzeba mieć kartę, by móc wjechać na nasz plac. Ale przed zewnętrzną bramą są dwie. Zapytam ochronę, czy mamy jakieś nagrania.

– Albo listę? Chyba muszą podpisywać się na jakiejś liście, kiedy biorą auto...?

Starszy pan westchnął.

– Tak, tak powinno być. Ale sam pan widział. Za miękkie serce. Moja żona wciąż to powtarza: *Masz za miękkie serce, Olavie. Przecież nie zajmujesz się opieką społeczną, prawda?* Mój dziadek mówił zawsze...

– Może pan się ze mną skontaktować, gdy ustali pan, kto ostatni jeździł tym samochodem albo jeśli któryś z kierowców coś sobie przypomni?

Fredrik sięgnął do kieszeni po wizytówkę i podał ją właścicielowi firmy, a ten skinął głową.

– Oczywiście. Zrobię, co w mojej mocy.

– Dziękuję. Miło było pana spotkać.

Fredrik skinął głową na pożegnanie, również w stronę starszej pani w recepcji, i zszedł po wąskich schodach do swojego samochodu.

Do diabła.

Miał nadzieję, że zadzwoni do Muncha z dobrymi wieściami.

Przynajmniej wiedzieli, skąd pochodzi furgonetka.

To już coś.

Właśnie usiadł za kierownicą, gdy nagle ktoś zapukał w szybę.

Od razu rozpoznał twarz. Należała do kierowcy siedzącego pod oknem, który powiedział, że dostawczak zaginął.

Młody mężczyzna rozejrzał się nerwowo wokół siebie.

– Wiem, kto to był.

– Co?

– Wiem, kto to był. Wiem, kto zabrał samochód.

MIA KRÜGER ŻAŁOWAŁA, że nie może zatrzymać czasu i ponownie odtworzyć ostatniej godziny, którą spędziła z babcią w tym nowym mieszkaniu. Na zawsze. Wciąż była w szoku i nie wiedziała, co powiedzieć, gdy cudowna starsza pani rozłożyła ręce i wykonała mały piruet pod rozetą w jednym z przestronnych pokoiów.

– Jak widzisz: możesz się wprowadzić choćby dziś. – Babcia się uśmiechnęła. – Wynajmowałam je przez wiele lat, a teraz rozstawiłam wszystkie meble, które tu przechowywałam. Nie jestem pewna, czy są w twoim stylu, ale z czasem możesz je oczywiście wymienić. Pomyślałam, że będzie ci miło wprowadzić się do umeblowanego mieszkania.

– Jest bajecznie, babciu – odpowiedziała Mia z uśmiechem i ostrożnie zdjęła prześcieradło z żółtej kanapy.

– No, nie wiem. Może nie są zbyt nowoczesne, ale chyba lepsze takie niż żadne.

– Wszystko mi się podoba.

– Tak? – upewniła się babcia i przekrzywiła lekko głowę. – Myślisz, że będzie ci tu dobrze?

Nie wszystko jednak szło po myśli Mii, ponieważ dzwoniący w jej kieszeni telefon nagle przerwał idyllę. Weszła do ogromnej kuchni z widokiem na włoską ambasadę i odebrała połączenie.

– Cześć, tu Holger. Gdzie jesteś?

Milczała przez chwilę.

Gdzie ja właściwie jestem?

Rozejrzała się po fantastycznym mieszkaniu. Wprost nie posiadała się z radości.

– Razem z babcią. Przepraszam, jak mówiłam, musiałam coś załatwić. Wszystko w porządku?

– Tak, tak, świetnie. Namierzyliśmy białą furgonetkę.

– Tak?

– To zasługa Fredrika. Właśnie jedziemy przesłuchać kierowcę. Dlatego dzwonię...

– Tak?

– Miałem zająć się tym Szwedem, Patrickiem Olssonem. Właśnie do nas jedzie, ale my musimy się zwijać. Mogłabyś tu podjechać?

– Teraz?

– Tak, on zaraz będzie. Masz tam jakiś samochód?

– Nie, chodzę pieszo.

– W takim razie weź taksówkę.

W tle jakiś hałas, Munch na chwilę zniknął, ale zaraz wrócił.

– Musimy się zbierać. Jedziesz tu?

– Zaraz tam będę – odparła i poczuła ukłucie rozczarowania, kiedy wsuwała telefon do ciasnej kieszeni spodni.

– Praca? – spytała babcia.

– Tak, przepraszam. Muszę lecieć.

– Nic nie szkodzi. Zostanę tu jeszcze trochę. Przypomnę sobie swoje dawne życie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie. Zostań tak długo, jak masz ochotę. A może zamieszkałybyśmy razem? Nie byłoby miło?

Babcia zaśmiała się cicho.

– Miła jesteś, Promieniu Księżyca, ale najlepiej czuję się nad moim fiordem. Za to ty możesz się tu wprowadzić choćby dziś. Dużo masz rzeczy na stacji?

– Nie, prawie nic. Przewiozę je tak szybko, jak to będzie możliwe. Mam nadzieję, że już dziś wieczorem.

– Cudownie. – Starsza pani się uśmiechnęła. – Dałam ci klucze?

Mia długo ścisnęła ją na pożegnanie. Potem zabręczała wspaniałym pękiem kluczy, zeszła po schodach i już była na przepięknej ulicy. Ile sił w nogach pobiegła na Bogstadveien, żeby złapać taksówkę. Niemal nie mogąc złapać tchu, wyskoczyła z samochodu, trochę obawiając się wysokości rachunku, ale jak się okazało, zupełnie niepotrzebnie. Patrick Olsson sprawiał wrażenie bardzo spokojnego człowieka, kiedy stał z zamkniętymi oczami, opierając się o kremowożółtą ścianę budynku. Mia czekała, aż taksówka odjedzie. Postanowiła przyrzeć mu się z oddali. Psycholog. Nie domyśliłaby się. Raczej jakiś twórczy zawód.

Architekt. Projektant. Coś takiego. Miał styl, to dlatego. Szary wełniany płaszcz narzucony na czarny golf. Niebieskie jeansy, brązowe zamszowe buty za kostkę. Nie najgorzej. Nawet trochę jej zaimponował. Niewielu mężczyzn znało się na butach. Ładne dłonie, długie palce. Jak u pianisty. Niebieskie oczy. Szwed. Oczywiście. Ale nie blondyn. Ciemne włosy. Jak ona, może o ton jaśniejsze, gdzieś siwe pasma, które tylko dodawały mu uroku. Munch powiedział, że ile on ma lat? Około czterdziestki? Mogłoby się zgadzać. Oczywiście był dla niej za stary, ale jednak. Absolutnie wyjątkowy mężczyzna. Ale czy to naprawdę on? Specjalista od seryjnych morderców? Jedyne w szwedzkiej ekipie, który pracował przy sprawie od samego początku? Kiedy tak stał, bardziej przypominał modela. Dmuchięciem odgarnął grzywkę na bok i spojrzał na elegancki zegarek.

Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

– Patrick Olsson?

Przeszła przez ulicę i spokojnym krokiem zbliżyła się do przystojnego Szweda.

Jasnoniebieskie oczy zaświeciły się na jej widok.

– Tak?

– Mia Krüger – powiedziała i podała mu rękę.

– Miło mi. – Z uśmiechem podniósł z asfaltu zamszową torbę. – Munch nie przyjdzie?

– Niestety nie. Jest zajęty.

– Okej – odparł i zarzucił torbę na ramię.

– To cały twój bagaż?

Zaśmiał się lekko.

– Skąd, wpadłem do hotelu, żeby zostawić walizkę.

– Nie załatwili ci mieszkania? – spytała i przeciągnęła kartę przez czytnik przy drzwiach wejściowych.

– Mieli załatwić, ale mieszkanie nie było jeszcze gotowe. Nic nie szkodzi. Za hotel płaci stołeczna policja. Przynajmniej na razie.

Spokojny głos. Wzbudzał zaufanie. Nie była u psychologa, odkąd skończyła siedem lat, ale gdyby kiedykolwiek tego potrzebowała, chętnie zwróciłaby się do tego mężczyzny. Położyłaby się na kanapie i zdradziłaby mu wszystkie swoje sekrety. Charyzmatyczny błysk

w oku i zmarszczka od miłego uśmiechu w kącikach ust, kiedy spokojnie stał obok niej przed drzwiami windy.

– Jestem tu nowa – powiedziała i wdusiła przycisk. – Ale wydaje mi się, że powoli w to wchodzę. Odczuwam to fizycznie. Ma to jakiś sens?

Oczy Szweda znowu zabłyszczały.

– Okej. A więc ty jesteś...?

– Nie, nie jestem niczyją asystentką. – Uśmiechnęła się. – Munch jest mało precyzyjny, jeśli chodzi o terminologię kadrową, ale najtrafniejszym określeniem byłoby chyba *proflerka*. Zresztą sama nie wiem.

– Taka młoda?

Spojrzał na nią. Przyjrzał jej się od stóp do głów, ale nie w ten nieprzyjemny sposób, w jaki od czasu do czasu patrzyli na nią mężczyźni.

– *Yep* – przytaknęła i wsiadła do windy. – Zaledwie kilka dni temu studiowałam jeszcze w Wyższej Szkole Policji.

Olsson zaśmiał się lekko. Życzliwie, nie kpiąco.

– Poważnie?

– *Yep*. Jak już mówiłam, nie doszłam jeszcze za daleko, ale coś już mam. Chcesz zobaczyć, co udało mi się ustalić do tej pory? Czy najpierw oprowadzić cię po całym biurze?

– Nie czuję absolutnie żadnej potrzeby, by zwiedzać całe biuro – zaśmiał się Szwed.

– Okej, super – powiedziała i nacisnęła przycisk oznaczony cyfrą dwa.

SUSANNE HVAL PEDERSEN jednak tego nie zrobiła. Nie siedziała przy drzwiach i nie czekała, aż jej mąż wróci do domu. To znaczy próbowała, przygotowała się na dole w korytarzu, kuchenne krzesło, filiżanka herbaty plus kilka czasopism, ale po kilku godzinach uznała, że to absurd. Mój Boże, wszystkie pary przeżywają taki okres. Nie miała żadnych wątpliwości, że jej mąż właśnie przez coś takiego przechodzi, przez fazę czegoś bliżej nieokreślonego, ale przecież do tej pory zawsze udawało im się porozumieć. Nie podobało jej się to, co robił. I to bardzo. To, że wracał późno w nocy i tupiąc po schodach, znikał w pokoju gościnnym, nawet do niej nie zaglądając, to, że spał, kiedy przygotowywała Norę do przedszkola, i że zwykle go nie było, kiedy wracała z pracy. Ale to była jego sprawa, prawda? Mógł przyjść do niej, jeśli potrzebował pomocy. Kilka tygodni temu przeczytała w „KK”²³ artykuł: *Twój mąż jest nieobecny i nie okazuje ci zainteresowania?*. Napisano w nim, że mężczyźni często się tak zachowują, kiedy wkraczają w pewien wiek. Okres paniki, tak to nazywano. Kiedyś mówiono o tym „kryzys wieku średniego”, zresztą nieważne, jak to się fachowo nazywa. W każdym razie psycholożka, autorka artykułu, wyjaśniła, że mężczyźni często stają się nieobecni, kiedy dociera do nich, że nie ma już żadnej drogi odwrotu. Dom, praca, dzieci i wkrótce czterdziestka na karku. Nagle sobie uświadamiają, że jednak nie zostaną gwiazdą rocka. Ani piłkarzem zarabiającym miliony. Że to jest ich życie, ta codzienna rutyna, sobotnie sprzątanie domu, rachunki i nudne programy telewizyjne w piątkowy wieczór. Wszystko sprowadzało się właściwie do tego: *Zwróć szczególną uwagę na to, że właśnie w tym okresie życia twój mąż może szukać pocieszenia w ramionach innej, często młodszej kobiety.* Niewierny? Nie, do cholery. Poczula, że robi jej się niedobrze. Chociaż spełniał w zasadzie wszystkie kryteria, prawda? W nocy często nie było go w domu. *Check.* Na wszystkie pytania

odpowiadał wymijająco. *Check*. Był coraz mniej zainteresowany ich córką. *Check*. Nagle zaczął kupować sobie nowe ubrania, trenować na siłowni, zmienił fryzurę, zaczął się perfumować, zmienił zainteresowania. E, nie, absolutnie nie *check*. Prawdę mówiąc, kiedy ostatnio z nim rozmawiała, przez dwie sekundy na korytarzu, zanim wymamrotał coś i zwiął, pomyślała, że dawno tak źle nie wyglądał.

W takim razie co z nim jest nie tak?

Tak czy inaczej.

Dzisiaj to się wyjaśni.

Odwiozła Norę do przedszkola wcześniej niż zwykle, ale zamiast pojechać prosto do sklepu, zadzwoniła i powiedziała, że jest chora.

Została w domu.

Będzie tu, kiedy on wstanie.

Nie da mu szansy wysliznąć się bez słowa.

Będzie nieugięta, tak postanowiła.

Co się z tobą dzieje, Gunnarze?

Nora tęskni za tobą.

Ja tęsknię za tobą.

Mój Boże, długo zamierzasz się tak zachowywać?

Susanne nie opuściła ani jednego dnia pracy, ale teraz nie miała innego wyjścia.

Musiała się dowiedzieć, co się dzieje.

Dzisiaj.

Znowu ruch za kuchennym oknem, kiedy poszła odnieść do zlewu pustą filiżankę po herbacie.

Jeszcze jeden samochód.

Z fotografem na siedzeniu pasażera.

Co jest z tymi dziennikarzami?

Nie mogli zostawić rodziny w spokoju?

Wenche opowiedziała jej, że Holm spod jedenastki znalazł jednego z nich w swoim ogrodzie. Dziennikarz zamierzał zrobić zdjęcie domu Lundgrenów, ale Holm go przepędził.

Co za bezczelność.

Jaki będzie ich następny ruch?

Zaczną grzebać w koszach na śmieci?

Czy ta rodzina nie miała dość zmartwień?

Otworzyła drzwi lodówki i znowu to poczuła, lęk, z którym obudziła się kilka dni temu, niepokój, który nie chciał ustąpić.

A gdyby to była Nora?

Nie, kurwa...

Zaczęła to sobie wyobrażać, znowu biegała po domu w poszukiwaniu tabletek uspokajających, które zapisał jej lekarz, ale nadal bez skutku.

Niedługo mieli go pochować.

Rubena.

Już jutro.

Zastanawiała się przez chwilę, czy powinna tam pójść. Wypada pójść na pogrzeb? Czy skoro mieszkają w pobliżu, w pewnym sensie jest do tego zobligowana? Żeby okazać wsparcie? Czy wręcz przeciwnie? Może powinna trzymać się z dala? Z szacunku dla rodziny. Żeby nie czuli presji. Bo nagle wszyscy będą składać im kondolencje. Co nakazywał zwyczaj? I co było dla nich najlepsze?

Stanęło na *nie*.

Znała trochę Vibeke, ale w zasadzie mówiły sobie tylko „dzień dobry”. Jej mąż ledwo pozdrawiał ją skinieniem głowy, i to niechętnie i tylko wtedy, kiedy pierwsza go pozdrowiła. Jak on się nazywał? Jan-Ottar? Jan-Otto? Coś w tym stylu. Coś z nim było nie tak, prawda? Słyszała też różne plotki. Niby nie należy w nie wierzyć, ale jednak...

Wyjęła jajka, ubiła je razem z odrobiną mleka, tymiankiem i szczypiorkiem i wylała wszystko na patelnię stojącą na kuchence. Nieco spóźnione, smaczne śniadanie. Najpierw go nim poczęstuje, a potem ochrzani, he, he! Nie, uśmiechnęła się lekko i włączyła radio w chwili, gdy jakiś samochód zatrzymał się na ulicy przed ich domem. I jeszcze jeden. Odsunęła zasłonę nieco na bok. Co to ma być? Gruby mężczyzna z rudą brodą wysiadł z pierwszego auta i pokazywał na coś palcem. Dawał jakieś znaki ludziom w innym samochodzie, który zatrzymał się po drugiej stronie ulicy. Brodaty mężczyzna ruszył w stronę ich domu po wysypanej żwirem dróżce, tuż za nim szedł młody mężczyzna w garniturze. Kolejne samochody za ich plecami. Nagle tumult i wrzawa na ulicy.

Co u licha?

Susanne Hval Pedersen szybko wsunęła dłonie pod kran, wytarła je w nogawki spodni i ruszyła na korytarz. Ledwo doszła do drzwi, gdy rozległ się dzwonek.

– Gunnar Pedersen?

– Mieszka tutaj, owszem, ale teraz śpi. Mogę jakoś pomóc?

– Nazywam się Holger Munch, a to jest Fredrik Riis. Jesteśmy z policji.

– Słucham? Stało się coś?

W głębi ulicy dostrzegła poruszające się sylwetki.

Grupa dziennikarzy.

W drodze do jej domu.

– Ale dlaczego...?

Jakaś kartka wciśnięta w jej dłoń.

– Chyba będzie pani musiała go obudzić.

JEDENASTOLETNI KEVIN MYKLEBUST siedział na tylnej kanapie starej toyoty corolli i marzył tylko o tym, by zniknąć. Nie wiedział, jak by się to mogło stać, ale to byłoby najlepsze dla wszystkich. W każdym razie dla mamy. Bo to była jego wina, że musiała jeździć tym starym samochodem. Który był tak zardzewiały, że prawie się rozpadał. Który znowu stanął nagle w szczerym polu. Słyszał, jak rozmawiały w salonie poprzedniego wieczoru. Mama i Elsebet, jedna z jej przyjaciółek, która przychodziła do nich, żeby obejrzeć *Big Brothera*. I wtedy mama znów to powiedziała. *To mogłam być ja. W telewizji. Oczywiście nie z tym ciałem, nie, mój Boże, ale taka, jaka byłam kiedyś. Cieszę się, że przynajmniej nie karmiłam go piersią, bo dopiero bym wyglądała.* Cienkie jak papier ściany. Naciągnął kołdrę na głowę, jak zwykle. Trochę pomogło. A potem znowu miał ten sen, który zawsze sprawiał mu tyle radości. Ten, w którym przychodził anioł i zabierał go w jakieś inne miejsce, a gdy się budził, znowu miał tę myśl, że byłoby najlepiej dla wszystkich, gdyby zniknął. Ale jak miałby to zrobić, tego nie wiedział.

Bo wcześniej mama była młoda i piękna i wszyscy mężczyźni się za nią oglądali, a raz nawet jakiś facet zaczepił ją w Oslo i spytał, czy nie chciałaby zostać modelką. Miała zarobić mnóstwo pieniędzy, mieszkać w Nowym Jorku, w luksusowym apartamencie, a nie w tym małym gównianym mieszkaniu w piwnicy, ale wtedy niestety zaszła w ciążę, a potem było już za późno. Zmarnowała sobie życie i niewiele dało się na to poradzić.

Mama skończyła rozmawiać przez telefon i z westchnieniem wsiadła do samochodu. Skierowała lusterko w stronę swojej twarzy i sprawdziła, czy pomadka dobrze trzyma się ust, po czym znowu lekko je obróciła i zobaczył, że przygląda mu się intensywnie.

– Dlaczego ja mam takie popieprzone życie, Kevinie? Możesz mi to wyjaśnić?

Wzruszył lekko ramionami.

– Na przykład ten samochód. Dlaczego właśnie taki? Dlaczego nie mogę mieć porządnego samochodu jak wszyscy inni? Nowego? SUV-a? Z napędem na cztery koła, otwieranym dachem i mocowaniem na narty, na przykład mercedesa. Wyobrażasz to sobie? Czy nie byłoby miło? Nie chciałbyś widzieć, jak twoja mama jeździ pięknym dużym mercedesem?

– Chciałbym, mamo.

– No widzisz! A czy mam takie auto? Nie.

Potrząsnęła głową i wyjęła z torebki papierosy. Westchnęła lekko, gdy zobaczyła, że w paczce zostały tylko dwie sztuki.

– Kurwa mać...

Kevin wiele razy patrzył na paczki papierosów w sklepie i żałował, że nie jest dość odważny, by ukraść jedną dla matki, może nawet więcej niż jedną, żeby nie była taka smutna, że są tak bardzo biedni, że nie może palić tak często, jak by chciała. Widział, że wielu chłopców z klasy to robi, kradnie, ale jego na samą myśl zaczynał boleć brzuch i w drodze do domu robiło mu się trochę wstyd. Nie dość, że jest kamieniem u nogi, to jeszcze nie ma jaj, żeby ukraść dla niej paczkę papierosów?

Dzieci na jego ulicy miały dziadków. W każdym razie większość z nich. Wtedy to byłoby proste, prawda? Spakowałby plecak i nawet nic nie musiałby jej mówić. Po prostu wsiadłby na rower albo do autobusu i pojechał tam. Do babci. Albo do dziadka. Ale nigdy o nich nie słyszał, więc nie wiedział nawet, czy jeszcze żyją. Jediną starą osobą, jaką znał, była pani bibliotekarka, bardzo miła, ale przecież nie mógł tak po prostu przeprowadzić się do niej, prawda?

Nie, to nie było takie proste.

Mama uśmiechnęła się do lusterka i zapaliła jednego z dwóch ostatnich papierosów.

– Cóż, przynajmniej nadal mamy członkostwo w NAF²⁴. Ten palant zapomniał je anulować.

Jedenastolatek przytaknął i spróbował się uśmiechnąć. Cieszył się, że tym razem to nie na niego się wścieka. Próbował tej sztuczki kilka razy: kiedy była bardzo zła, niby przypadkiem pytał ją o jednego

z mężczyzn, którzy mieszkali tu przez krótką chwilę, ponieważ wiedział, że matka wkurzy się jeszcze bardziej i zamiast na niego zacznie się wydzierać na swojego byłego.

– Pieprzony nieudacznik. Dlaczego nie mogę trafić na porządnego mężczyznę? Nie, tutaj go nie znajdę. Nie na takim wygwizdowie. Może gdybyśmy mieszkali w Oslo? Dlaczego muszę mieszkać na takim zadupiu? Możesz mi to wyjaśnić? Dlaczego życie jest tak niesprawiedliwe?

Nie, Kevin nie umiał jej tego wyjaśnić, chociaż jedna z nauczycielek tłumaczyła kiedyś jego klasie, że wszystkie pieniądze, jakie są na świecie, zostały rozdzielone tak, że nieliczni mają ich dużo, a pozostali prawie nic, ale domyślił się, że mamie nie do końca o to chodzi. Tak czy inaczej, dużo o tym myślał, ale wciąż nie wiedział, co zrobić, żeby żyło jej się trochę lepiej.

– Cała pieprzona godzina. – Mama westchnęła i spojrzała na zegarek. – Jaki to ma sens? Dlaczego płacę za pomoc, skoro i tak muszę siedzieć i czekać tak długo?

Już miał powiedzieć, że to nie ona płaciła, tylko Jan-Erik. Tak jak za wszystko inne w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy u nich mieszkał. Czyszn i prąd, i nowy telewizor, i ubrania dla mamy, i chociaż mama powiedziała, że Jan-Erik był tylko złotą rybką, a nie prawdziwym facetem, płakała trochę tamtego dnia, gdy spakował swoje rzeczy i wyprowadził się od nich. Ale to nie trwało długo, bo zaledwie kilka dni później wprowadził się nowy facet, Rune, a potem Gunnar, ale Kevin najbardziej lubił Jana-Erika i było mu trochę przykro, że już z nimi nie mieszka.

Tak już z nimi było.

Nie mieszkali u nich długo.

Większość tylko przez kilka tygodni. Z mamą tak już było. Na początku bardzo się starała i okazywała im zainteresowanie, chodziła mocno umalowana i śmiała się głośno ze wszystkiego, kleiła się do nich, łąsała jak kot, chwaliła ich za wszystko, na przykład jeśli mieli ładny motocykl, chociaż Kevin wiedział, że mama nie interesuje się motocyklami. Albo jeśli byli mocno umięśnieni, chociaż to akurat robiło na niej wrażenie, bo mięśnie Ronny'ego, jednego z jego przyjaciół, też chwaliła i mówiła, że

kiedyś wyrośnie na wyjątkowo przystojnego faceta. I zawijała jego włosy na swoje palce. A potem matka Ronny'ego zapukała do ich drzwi i oznajmiła, że zabroniła synowi do nich przychodzić i że Kevin nie może więcej odwiedzać Ronny'ego w jego domu, co było bardzo przykre, bo w piwnicy mieli największy na świecie tor wyścigowy, który zbudował ojciec Ronny'ego. I Kevin uwielbiał tam chodzić, bo Ronny pozwalał mu jeździć po wielkim pokoju swoimi fantastycznymi samochodzikami. Ale to już się skończyło.

Złota rybka.

Dobrze wiedział, co to znaczy. Wcale nie chodziło o to, co wszyscy myśleli, to znaczy o małą rybkę pochodzącą z innego kraju, która pływa w kółko w akwarium, taką, jaką miała Nina i inni, to znaczy, o taką też. Ale mama *złotymi rybkami* nazywała mężczyzn, którzy się do nich wprowadzali, w każdym razie większość z nich, i to oznaczało, że przez krótki czas nie musieli się martwić o pieniądze, bo mieszkał z nimi ktoś, kto za wszystko płacił.

Kevin nie wiedział właściwie, co lubi bardziej. Oczywiście, lubił mieszkać sam z mamą, ale z czasem to się stawało męczące, bo za każdym razem, kiedy wyciągała ze skrzynki koperty, zaczynała płakać, chociaż większości z nich w ogóle nie otwierała, tylko wkładała je do szuflady, która prawie się już nie domykała. I dlatego mimo wszystko wolał, kiedy wprowadzał się do nich ktoś, kto mógł płacić, chociaż nie wszyscy byli tak samo mili i prawie zawsze wydawali się rozczarowani, kiedy odkrywali, że ona nie mieszka sama, tylko z małym chłopcem, który chowa się w swoim pokoju, kiedy oni zabawiają się w salonie. Zdarzało się, że od razu dawali nogę, nie mówiąc nawet „cześć”, ale nie Jan-Erik. On był zupełnie inny niż tamci.

Prawie jak tata.

Kevin nigdy nie spotkał swojego ojca, chociaż był prawie pewny, że jakiegoś ma, bo od czasu do czasu, kiedy z mamą było naprawdę źle, mówiła coś takiego: *Nie patrz na mnie tym swoim wzrokiem i tą swoją piegowatą twarzą. Przypominasz mi kogoś, o kim absolutnie nie mam siły teraz myśleć, okej?* Domyślał się, że chodziło jej o jego prawdziwego tatę. Kogoś, kto był do Kevina podobny. Z jasnymi kręconymi włosami i piegami. I wtedy robił to, co zawsze, kiedy

atmosfera w domu stawała się nie do zniesienia: chował się w szopie przy przystanku autobusowym i siedział tam, aż zrobiło się ciemno, i przez cały czas rozmyślał o tym, jaki był ten mężczyzna, a przede wszystkim, *gdzie* był. A może było tak, jak przeczytał w jednym z komiksów, że istnieją różne wymiary i że przez przypadek wylądował nie tam, gdzie powinien, i że gdzieś istnieje *zupełnie inny i właściwy* wymiar, w którym jego ojciec czeka na niego. Zawsze, kiedy o tym myślał, robiło mu się lżej na sercu.

Mama opuściła szybę, wyrzuciła niedopałek i jeszcze raz zajrzała do paczki, w której został już tylko jeden papieros. W pierwszej chwili odłożyła ją do torebki, ale potem zmieniła zdanie i zapaliła tego ostatniego, wzdychając przy tym jeszcze ciężiej niż poprzednim razem.

– Chryste Panie, co ze mną będzie, Kevinie?

Znowu spojrzała w lusterko i potrząsnęła głową.

– Spójrz, jak ja wyglądam! Widzisz?

Odwróciła się w jego stronę i podciągnęła lekko skórę pod oczami i na policzkach.

– Uważam, że wyglądasz pięknie.

– Tak sądzisz? Nie mam za dużo zmarszczek?

– Nie, nie masz za dużo.

– Co masz na myśli? A więc jednak mam zmarszczki? Gdzie?

– Nie masz żadnych zmarszczek, mamo.

– Ach tak? Przed chwilą powiedziałaś, że nie mam ich za dużo.

Zdecyduj się.

– Jesteś bardzo piękna, mamo.

Znowu zerknęła w lusterko i zrezygnowana potrząsnęła głową. Nagle zareagowała na coś, co zobaczyła za ich samochodem.

– No, nareszcie. Jedzie.

Szybko wyjęła z torebki pomadkę, nałożyła na czerwone wargi dodatkową warstwę i zsunęła sweter, odsłaniając jedno ramię.

– Zaczekaj tu na mnie.

Otworzyła drzwi i pomachała wesoło do mężczyzny, który podjechał żółtą lawetą pomocy drogowej.

Kevin otworzył okno, żeby wypuścić ze środka ciężki zapach dymu papierosowego, i usłyszał to w jej głosie, zobaczył w sposobie, w jaki

się poruszała.

Znowu jak kocica.

– Co tu się stało?

Mężczyzna podrapał się po głowie, jakby nie mógł uwierzyć, że ktoś jeszcze jeździ takim wrakiem.

– Nie mam pojęcia. Ale pan jest rycerzem, prawda? Wybawi pan damę z kłopotu?

– Cóż, chyba nie mamy wyboru – przytaknął mężczyzna i potrząsnął głową.

– Cudownie. – Mama się uśmiechnęła.

I położyła rękę na jego ramieniu.

31

KATJA WESZŁA DO pokoju, postawiła kawę na małym stoliku przy lustrze weneckim i stanęła obok Muncha, który przyglądał się z niepokojem czterdziestoletniemu mężczyźnie siedzącemu w niewielkim pokoju przesłuchań.

– Damy mu trochę czasu?

Munch skinął głową.

– Musi nieco ochłonać.

– Wygląda cholernie nieciekawie – skomentowała Holenderka i wyjęła jabłko z kieszeni dresu. – Powiedział coś?

– W samochodzie nie odezwał się ani słowem – odparł Fredrik, który zajął krzesło na końcu pokoju.

– I nie chce adwokata?

– Nie. Mówi, że nie – potwierdził Munch.

– Dziwne. Wygląda, jakby był winny jak diabli.

Katja ugryzła kawałek jabłka i zbliżyła twarz do lustra weneckiego.

– Jest blady jak ściana. Widzisz, jak się trzęsie? Na moje oko jest winny.

– Całkiem możliwe. – Munch westchnął. – Tylko z którego paragrafu?

Wzruszył lekko ramionami, zdjął kurtkę i wszedł do pokoju przesłuchań. Czterdziestolatek wzdrygnął się na jego widok i wstał.

– Nie wstawaj, Gunnarze – powiedział Munch i głową dał mu znak, żeby usiadł. – Napijesz się czegoś? Kawy? Może trochę wody?

– Nie, dziękuję – wymamrotał mężczyzna, trzęsąc się. – Albo tak, może trochę wody? Zaszło mi w ustach.

– Przynieście wodę – rozkazał Munch, wykonując ruch ręką w stronę lustra weneckiego, po czym opadł na krzesło naprzeciwko Gunnara i wduśił przycisk w blacie stołu.

– Jest dwudziesty czwarty kwietnia. Godzina piętnasta dwadzieścia. Rozpoczynamy przesłuchanie Gunnara Egila

Pedersena. W pokoju są obecni Pedersen i szef ekipy śledczej Holger Munch. Gunnar Egil Pedersen zrezygnował z prawa do adwokata.

Munch spojrzał na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Możesz powiedzieć to głośno, Gunnarze?

– Co?

Zamyślił się na chwilę i wyglądał tak, jakby nie do końca rozumiał, gdzie się znajduje.

– Do mikrofonu? Że nie życzysz sobie obecności adwokata?

– Co? Ee, nie, dziękuję. Nie potrzebuję żadnego adwokata.

– Okej – odparł Munch i otworzył teczkę, którą przyniósł ze sobą. – Gunnar Egil Pedersen. Urodzony dwunastego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku. Zgadza się?

– Co? Ee, tak.

– Zamieszkały na Timoteiveien 13? Żonaty z Susanne Hval Pedersen? Jedna córka? Nora, pięć lat?

Mężczyzna potarł zmarszczone czoło i skinął głową.

– Doskonale. W takim razie rozmawiamy z właściwą osobą. Zacznijmy od czegoś prostego. Wiesz, dlaczego tu jesteś?

Otworzyły się drzwi. Katja postawiła butelkę wody na stole i wyszła bez słowa.

Pedersen milczał. Wciąż wyglądał tak, jakby usiłował poskładać kawałki w jedną całość. Czy to się dzieje naprawdę, czy nadal leży w swoim łóżku?

– Nie...? – powiedział w końcu i spojrzał na śledczego.

– Nie? To nie zabrzmiało zbyt przekonująco, Gunnarze. Spróbujmy jeszcze raz. Czy wiesz, dlaczego tu jesteś?

Drobny mężczyzna przygryzł wargę i spojrzał w stronę nieistniejącego okna.

– Ja... chyba nie wiem.

– Musisz się zdecydować, Gunnarze. Nie wiesz, dlaczego tu jesteś? Czy chyba nie wiesz? Chcesz mi powiedzieć, że niczego się nie domyślasz? Że przywieźliśmy cię tutaj zupełnie przypadkowo?

– Nie, może niezupełnie przypadkowo – odparł cicho i utkwiał wzrok w blacie stołu.

– Może oszczędźmy sobie czasu, Gunnarze. Przecież nikomu z nas nie chce się tutaj siedzieć, prawda? Lepiej od razu się przyznaj

i będzie po sprawie, co ty na to? Nie byłoby miło?

– I wtedy będę mógł wrócić do domu? – spytał ostrożnie.

– Taa – odparł śledczy i skinął głową w kierunku butelki wody.

Mężczyzna był tak oszołomiony, że chyba nie zauważył, gdy do pokoju weszła policjantka.

– To zależy od tego, co nam powiesz, rozumiesz?

Pedersen zdjął zakrętkę, ale dłonie tak bardzo mu się trzęsły, że miał problem z utrzymaniem butelki przy ustach.

– Przecież nie miałem... – zaczął i podniósł nieśmiało wzrok na Muncha.

– Nie miałeś...?

– Nie miałem takiego zamiaru. Nie chciałem, żeby tak się stało.

Znowu wzrok wbity w podłogę.

– Pomyślałem tylko, że... Nie, to nie miało tak być. W żadnym wypadku. To nie było moim zamiarem.

– Chciałeś się tylko trochę zabawić?

– Ee, tak... a właściwie nie, nie zabawić, po prostu nie sądziłem, że to się tak potoczy. Na początku nie zdawałem sobie z tego sprawy, rozumie pan?

Znowu spojrzał ostrożnie na Muncha.

– Nie, nie rozumiem, Gunnarze. Ale to oznacza, że wiesz, dlaczego tu jesteś, zgadzasz się ze mną?

Pedersen z wysiłkiem zakręcił butelkę, postawił ją na podłodze obok swoich stóp i powoli skinął głową.

– Tak? Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Tak, wiem dlaczego.

To zabrzmiało tak, jakby mężczyźnie kamień spadł z serca. Drobne ciało drgnęło. Odetchnął ciężko z ulgą i posłał Munchowi coś na kształt nieśmiałego uśmiechu.

– Ale nie przypuszczałem, że... no, wie pan. Że sprawy potoczą się aż tak źle.

Znowu poważna mina na bladej twarzy, gdy odchrząknął lekko i dostrzegł spojrzenie śledczego.

– Chciałeś się tylko trochę zabawić, mam rację?

– Tak. To znaczy nie, nie zabawić, to nie jest właściwe słowo. Ale owszem, byłem wkurzony. Wściekły. To prawda. Przyznaję, że

chciałem się zemścić. Ale przecież powiedziałem, że wszystko zwrócę. Ale nie, w ogóle nie chcieli o tym słyszeć. A przecież tego nie było aż tak dużo. Tylko pięćdziesiąt tysięcy. Nie wyrzuca się nikogo z pracy z powodu takiej sumy, prawda? Pracowałem tam od dziesięciu lat. Myśli pan, że tego właśnie chciałem? Prowadzić księgowość dla pralni? Nie, kurwa, wypruwałem sobie żyły. Harowałem dzień w dzień...

Munch mu przerwał.

– O czym ty mówisz? Jakie pięćdziesiąt tysięcy?

Pedersen spojrział na niego lekko zdezorientowany.

– Mówię o pieniądzach. Tych, które zabrałem. Nie dlatego tu jestem?

– Nie, Gunnarze.

Munch wyjął zdjęcie z teczki i przesunął je po stole.

– To jest powód, dla którego tu jesteś.

Pedersen spojrział na fotografię i zrobił wielkie oczy.

– Co?

Miejsce znalezienia zwłok. Chłopcy leżący na polu, po obu stronach lisa.

– Czy pan oszalał...? Chyba nie sądzicie, że...?

– Chciałeś się tylko trochę zabawić? Na początku? Z chłopcami? Tak było? W zabudowanej studni? Chciałeś się trochę rozerwać? Taki miałeś zamiar? Upić ich? A potem tylko trochę z nimi pobaraszkować?

– Nie, nie... To...

Pedersen jeszcze szerzej otworzył oczy i gorączkowo potrząsnął głową.

– Ale sprawy wymknęły się spod kontroli? Tak było? Umarli w studni? Czy później? Czy jeszcze żyli, gdy zawlokłeś ich na pole?

Mężczyzna był teraz prawie czerwony na twarzy. Nie mógł usiedzieć spokojnie na miejscu.

– Nie, nie, nie...

Odchylił się do tyłu i zasłonił twarz rękami.

– Proszę to zabrać. Proszę to zabrać.

– A więc to nie ty? – spytał spokojnie Munch i położył nowe zdjęcie obok pierwszego.

– O kurwa!

Pedersen odwrócił się gwałtownie.

– Nie? – powtórzył Munch i położył trzecią fotografię. – To nie ty zabiłeś Rubena?

Palec wskazujący nagie ciało chłopca.

– Ani Tommy’ego?

Przesłuchiwany znowu zaczął się trząść.

– Jednak chcę – powiedział cicho.

– Czego chcesz, Gunnarze?

– Adwokata – wymamrotał drżącym głosem. – Chcę adwokata.

MIA KRÜGER SIEDZIAŁA W Mother India na Pilestredet pod brązowym popiersiem dewy Śiwy i czuła, że jest trochę spięta, ponieważ nie potrafiła go rozgryźć. Tego szwedzkiego psychologa. Tylko ona mówiła przez prawie dwie godziny przed zdjęciami w gabinecie. Odnosiła nieodparte wrażenie, że powtarza w kółko to samo, do znudzenia i przez cały ten czas Patrick Olsson nie powiedział ani słowa. Szary płaszcz na krześle obok niego. Okulary do czytania pod zmarszczonym czołem. Od czasu do czasu lekkie skinienie głową. Na kolanach notes, który czasem otwierał i coś w nim zapisywał, ale niczego nie komentował. W końcu miała dość. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i spytała prosto z mostu:

– Co o tym sądzisz? Wpadłam na jakiś trop czy nie?

Szwed tylko się uśmiechnął, ostrożnie włożył okulary do etui i wymamrotał nieśmiało:

– Myślę, że powinniśmy coś zjeść. Nie wiesz, czy w pobliżu jest jakaś dobra indyjska restauracja?

W innych okolicznościach zirytowałoby ją takie pytanie. Stała tak, lekko zdenerwowana, dopiero co przyjechała do pracy i dzieliła się swoimi przemyśleniami z kimś, kto pracuje w tym zawodzie od dawna: *No dalej, człowieku, powiesz coś w końcu? Zbliżam się do czegoś? Zrozumiałam, kim jest sprawca? Czy to, co wymyśliłam, to czyste szaleństwo?* Ale było w nim coś, co sprawiło, że nie zareagowała złością. Był tak spokojny. Tak życzliwy. Wzbudzający zaufanie. Jego milczenie wydawało się czymś najbardziej naturalnym pod słońcem. I co chyba najważniejsze: na żadnym etapie tej krótkiej prezentacji nie miała wrażenia, że nie traktuje jej jak równej sobie. Chociaż zajmowała się tym dopiero od trzech dni. Chociaż cała jej wiedza pochodziła z książek z biblioteki. Co prawda przeczytała ich całkiem sporo, ale to oczywiście coś zupełnie innego. To nie były zdjęcia z amerykańskiej encyklopedii. *Columbus, Ohio, 4*

kwietnia 1987 roku. Należy zauważyć, że dwie prostytutki, tak jak na poprzednim miejscu zbrodni, leżą zwrócone do siebie twarzami, z wyrwanymi paznokciami i dłońmi na biodrach tej drugiej. Nic takiego. Teraz to była rzeczywistość. I nawet jeśli pomyślał, że się do tego nie nadaje, ani razu nie dał jej tego odczuć.

– Curry z kurczaka z kolendrą brzmi nieźle – odezwał się Szwed zza menu. – Jadłaś tu kiedyś?

– Raz – przytaknęła.

– Co wtedy zamówiłaś?

– Kormę z jagnięciną. Numer pięćdziesiąt trzy.

– I była dobra?

Teraz poczuła zniecierpliwienie, pomyślała, że już długo nie wytrzyma.

– Jak najbardziej. Ale tutaj podobno wszystko jest smaczne.

– Kurczak tikka masala to zawsze dobry wybór – powiedział Olsson zza okularów do bliży, znowu wpatrując się w kartę.

Nieoczekiwanie wróciło to uczucie, które dawno nie dawało o sobie znać.

Wizyta u psychologa.

Siedem lat, nie rozumiała zbyt wiele. Wczesny niedzielny poranek, oboje rodzice już byli na nogach, nawet mama, która lubiła dłużej pospać.

Chcielibyśmy o czymś z tobą porozmawiać, Mio.

Powaga, której nigdy wcześniej u nich nie widziała. Oczywiście natychmiast przyszło jej do głowy mnóstwo myśli. Czy zrobiła coś złego? O co mogło im chodzić? O tych trzydzieści koron w bilonie, które leżały w dzbanku przy drzwiach wejściowych? To był pomysł Sigrid, ale ona też wzięła w tym udział, więc poczuła ucisk w żołądku. Słodycze z kiosku na dole, które ukryły w sekretnym miejscu na poddaszu. A może chodziło o rysę w oknie piwnicznym? Grały w krykieta w ogrodzie, po prostu miała pecha. Spudłowała na ostatniej bramce i kula poleciała dalej. Trzaśnięcie w okno, ale na szczęście go nie zbiła. Powstała tylko mała rysa. Zauważyli ją? Przecież była prawie niewidoczna.

Ale oni wcale nie zamierzali na nią krzyczeć.

Oboje tak spokojni, z miłymi twarzami, na talerzyku przed nią świeżo usmażony naleśnik z dżemem.

– Słuchaj, Mio, czasem, kiedy przez chwilę cię nie ma...

– Co to znaczy, tato?

– No, rozumiesz, kiedy nam znikasz.

– Znikam?

Wymienili spojrzenia.

– Tacie chodzi o to, że czasem się gapisz. To nie jest dobre.

– Gapię się?

I nagle naleśnik nie smakował już tak jak zwykle, zamienił się w zimną bryłkę w żołądku.

– Wiesz, o czym mówimy, Mio.

– To nic takiego, ale pomyśleliśmy, że byłoby dobrze, gdybyśmy z kimś o tym porozmawiali.

Ciepła dłoń taty na jej ręce, na szczęście.

– Wiesz, kto to jest psycholog?

A potem, przez kolejne pół roku, raz na dwa tygodnie. Ona w wielkim skórzanym fotelu, który dziwnie pachniał, przed obcym, dorosłym człowiekiem, który wydawał się miły, ale ona wiedziała, że on tylko udaje, że przede wszystkim jest ciekawy. W kółko zadawał jej to samo pytanie i nie było mu głupio, że ciągle to robi: „Ale co widzisz, kiedy wpatrujesz się w te rzeczy przez wiele godzin?”.

Szwed w końcu się zdecydował i uznał, że najwyższy czas powiedzieć jej, co o tym wszystkim sądzi. Nie zdejmując okularów, wyjął notes z beżowej torby i położył go obok talerza.

– Okej – powiedział i uśmiechnął się lekko. – Po pierwsze: wow!

Odchylił się do tyłu na krześle, rozłożył ręce i powiedział to jeszcze raz:

– Wow! Jestem, delikatnie mówiąc, pod ogromnym wrażeniem. Nie, to za mało, za mało...

Zaśmiał się, odsłaniając rząd białych zębów.

– Jestem zszokowany. Chyba można tak powiedzieć? Pracuję nad tą sprawą od blisko... no właśnie, jak długo?

Przeszkodził mu kelner, który przyniósł dzbanek wody.

– Od piętnastu lat? A ty zrobiłaś to w ciągu...?

Poczuła, że robi jej się gorąco pod swetrem, trochę się zawstydyła.

– Przeczytałam sporo na ten temat. – Uśmiechnęła się. – Przez chwilę nawet mieszkałam w bibliotece...

– Tak, tak, ale ty masz coś takiego... To spojrzenie...

Przyłożył palec do krawędzi oka.

– Tego nie da się wyczytać z książek.

– Sama nie wiem. – Znowu się uśmiechnęła i ukryła za łykiem wody z dużej szklanki.

– Masz już jednego fana – zaśmiał się cicho. – Przypomnij mi, ile masz lat.

– Niedługo skończę dwadzieścia dwa – odparła.

– A niech mnie! Powtarzam: to absolutnie niewiarygodne. Jestem pod ogromnym wrażeniem i nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę cię w akcji.

Ponownie lekko się zaśmiał w chwili, gdy wrócił kelner i nalał mu wina.

– Jesteś pewna, że nie chcesz się napić?

– Wina?

– Tak?

Pokręciła głową.

– Nie piję alkoholu.

– Nie?

– W każdym razie rzadko. Nie muszę się znieczulać. Lubię świat takim, jaki jest.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość niefortunnie. Widziała, że zmarszczył brwi i na moment jego twarz nabrała innego wyrazu, jakby swoją uwagę o czymś mu przypomniała.

– Moje ciało i głowa nie tolerują alkoholu. Większość osób, które znam, pije, cały świat pije, bo przecież to właśnie robią ludzie, prawda? Piją. Wygląda więc na to, że pod tym względem to ja odbiegam od normy.

Znowu się uśmiechnął, ale kiedy spróbował wina, wyglądał na nieco zawstydzonego.

Chryste Panie, Mio.

Weź się w garść.

Czy zawsze musisz mówić, co myślisz?

Odwróciła się, nagle onieśmielona, i udała, że uważnie przygląda się popiersiu za swoimi plecami. Śiwa. Mąż Parvati. Dewa przeciwności, zarówno kobieta, jak i mężczyzna, ascetyczny i zwierzęcy, stwórciel i niszczyciel. Niespodziewanie oczami wyobraźni zobaczyła Sigrid siedzącą w klasie, tuż przed nią. Lekcja religii. Nauczycielka westchnęła, ponieważ ona znowu miała jakieś pytanie. Zarówno twórcze, jak i niszczące. Odchrząknęła i kątem oka zerknęła na Szweda. Miała nadzieję, że właśnie tego nie zrobiła, nie zniszczyła czegoś między nimi. W końcu mieli współpracować, ściśle, być może długo, aż wyjaśnią sprawę, ale Szwed najwyraźniej przeszedł nad jej komentarzem do porządku dziennego. Notes leżał otwarty na stole, a on trzymał w ręce kieliszek wina.

– Chcesz otrzymać konkretną informację zwrotną?

Spojrzał na nią lekko kpiącym wzrokiem znad krawędzi kieliszka, gdy doleciał do nich zapach świeżo smażonej jagnięciny i czerwonego curry.

– Chętnie.

Po chwili stół ugiął się pod ciężarem jedzenia, wokół rozchodziły się kuszące zapachy z innego świata.

– Może najpierw zjemy?

– A musimy?

– Chcesz posłuchać od razu?

– Absolutnie. Szczerze mówiąc, już dłużej nie wytrzymam.

Zaśmiał się lekko.

– Zawsze jesteś taka szczerą?

– Tak. Niestety.

– Miły powiew świeżości. Myślę, że będzie nam się dobrze współpracować. Już się cieszę na dalszy ciąg.

Uśmiechnął się, podniósł kieliszek i ostrożnie przesunął notes po białym obrusie.

– Widzisz to?

– Tak.

– Myślę, że masz stuprocentową rację.

FREDRIK RIIS TAK długo siedział za lustrem weneckim, że aż cały zeszywniał, ale to, co działo się w pokoju przesłuchań, tak bardzo go fascynowało, że nie potrafił oderwać wzroku. Na początku czuł podekscytowanie, ponieważ był pewien, że schwytali właściwą osobę. Gunnar Pedersen trząsał się jak osika, kulił się i był blady jak ściana, gotowy wyznać swoje grzechy, jednak z czasem, gdy zjawił się jego adwokat i czterdziestoparolatek zdołał uporządkować swoje myśli i słowa, Fredrik zrozumiał, że sprawa nie jest tak prosta, jak mu się wydawało. Winny – tak. Ale nie zabójstwa. To stawało się coraz bardziej oczywiste. Zachowanie Muncha, który był absolutnym profesjonalistą w zakresie przesłuchań, również to potwierdzało. Im gęściej Pedersen się tłumaczył, tym łagodniejszy stawał się ton śledczego. Przesłuchanie dobiegało końca. Fredrik właśnie postanowił rozprostować nogi i pójść po kawę, gdy do małego pomieszczenia weszła Anette Goli z dwoma papierowymi kubkami, z których jeden, na szczęście, był przeznaczony dla niego.

– Jak im idzie? – spytała, opadła na krzesło obok niego i spojrzała z zaciekawieniem na pokój przesłuchań.

Dziwnie się poczuł, widząc ją taką. Siedzącą. Wiedział, że Anette była pierwszym wyborem Muncha, jeśli chodzi o skład nowej jednostki, i doskonale rozumiał dlaczego. W Grønland wołali na nią Królik Duracell. W teorii była tylko policyjną prawniczką, ale w praktyce nie istniało zadanie, którego by nie wykonywała. W ciągu tych kilku lat wspólnej pracy prawie nigdy nie widział, żeby siedziała, zawsze była w biegu, najczęściej z telefonem przyklejonym do ucha. Wszyscy widzieli, że Munch nie miał najlepszych relacji z komendantami w Grønland, ani ze starym, ani z nowym, i dlatego Anette wzięła to na siebie, to ona się z nimi kontaktowała i pilnowała, żeby współpraca przebiegała tak, jak powinna. Co tu dużo mówić, imponowała Fredrikowi pod każdym względem.

– Czy to nasz sprawca? – spytała cicho i przesunęła jeden kubek w jego stronę.

– Nie, niestety.

– To pewne?

Lekkie rozczarowanie w głosie, to samo uczucie, które jego ogarnęło kilka godzin wcześniej.

– Tak, niestety. W każdym razie według mojej oceny. I wygląda na to, że Munch jest tego samego zdania. Na pewno zatrzymamy go u nas na noc, chociaż jego adwokat dwoi się i troi, żebyśmy już teraz wysłali go do domu, do rodziny.

Goli zmarszczyła brwi i pociągnęła łyk kawy.

– Co to za historia?

Fredrik potrząsnął głową z rezygnacją.

– Właściwie bardzo smutna.

– Streść mi ją – powiedziała i rzuciła okiem na jeden z telefonów, które leżały przed nią na stole. – Tylko krótko. Bo zaraz muszę lecieć.

– Okej. Gunnar Pedersen. Księgowy we Fredrik Riis AS.

Uśmiechnęła się.

– Prawda? Niesamowity zbieg okoliczności. Może to tam powinienem pracować?

– Cieszę się, że pracujesz u nas – zapewniła go Anette i odpowiedziała szybko na esemesa, którego właśnie otrzymała.

– Nie wiem dlaczego, czy znudziło mu się małżeństwo, czy ogólnie życie, w każdym razie w ciągu ostatnich lat dość poważnie wkręcił się w hazard.

– Okej.

– Nie do końca wiadomo, o co chodziło, ale chyba o te automaty do gry, które można znaleźć wszędzie. No wiesz, wrzucasz kilka koron, potem maszyna mruga, a ty musisz spróbować trafić na trzy cytryny czy coś w ten deseń.

Anette zignorowała nową wiadomość.

– Czyli facet był uzależniony od jednoręcznych bandytów? Dorosły mężczyzna?

Fredrik wzruszył ramionami.

– To chyba częstsze, niż nam się wydaje. Prawdopodobnie ogólny stan przygnębienia. Krótkotrwałe szczęście. Przypływ dopaminy. Sam nie wiem.

– Smutne.

– Prawda? Do tego doszło kilka innych spraw, jakieś akcje, które się nie udały, szemrani kumple od pokera, którzy jak twierdzi, go oszukali...

– Czyli kłopoty finansowe?

– Tak. I dlatego w akcie desperacji ukradł pieniądze z firmy, moim zdaniem niezbyt dużo, pięćdziesiąt tysięcy, ale zauważyli kradzież i go zwolnili, a wtedy świat mu się zawalił.

– To on był w tamtym samochodzie? Staranował auto, w którym siedział Ruben?

Riis skinął głową i wypił łyk kawy.

– Był nietrzeźwy. Nie wiem, czy to wszystko prawda, ale wcześniej nie miał z tym żadnych problemów, a potem nagle to na niego spadło. Niewiele z tego pamięta, zdaje się, że wszystko mu się pomieszało. Ale przyznał się do kradzieży furgonetki z pralni, to miał być rodzaj zemsty, chyba. Twierdzi, że tamtego dnia prowadził po pijaku, w każdym razie tak mu się wydaje. Wjechał w samochód, w którym siedział Ruben, właściwie przypuszcza, że to zrobił, bo dzień później obudził się ze złamanym nosem i krwią na kolanach.

– Okej – przytaknęła i znowu spojrzała na swój telefon w chwili, gdy adwokat i przygarbiony Pedersen podnieśli się z krzeseł w pokoju przesłuchań.

– Cóż, przynajmniej coś się wyjaśniło – skwitowała Goli. – Kolejna rzecz, którą możemy wykreślić z listy.

– Przyszły wyniki DNA? Z niedopałków?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jutro mają je przesłać. Sorry, muszę odebrać telefon.

– Tak, Goli.

Prawniczka skinęła lekko głową i posłała mu przelotny uśmiech, po czym szybko wyszła na korytarz.

MUNCH ZAPARKOWAŁ SAMOCHÓD obok garażu przed białym domem. Zgasił silnik i przez chwilę siedział nieruchomo za kierownicą. Dom. Ogród. Fantastyczna żona. Cudowna czternastoletnia córka. W takie dni jak ten zastanawiał się, dlaczego robi to, co robi. Zamiast tego mógł być w domu. Słuchać symfonii. Otworzyć okna na ogród za domem. Podlewać róże. Tej jesieni skończy czterdzieści trzy lata, ale czuł się znacznie starzej. To, co wydarzyło się dzisiaj, nie poprawiło sytuacji. Nędza ludzka. Biedny facet, który szukając sensu życia, popełnił kilka błędów, stracił pracę i o mały włos stałby się zabójcą. Zwyczajny przypadek. Munch potrząsnął głową z rezygnacją, wysiadł z samochodu, zapalił papierosa i dłuższą chwilę spoglądał w niebo. Kwiecień w Oslo. Jaśniejsze dni. Łagodny, przyjemny zmierzch nad miastem i ten zapach wiosny. Czy popełnił błąd? Zgadza się na to? Na szefowanie jednostce? Czy to przez jego wygórowane ambicje? Widział ją w środku. Zrobił kilka kroków po żwirze w stronę okna. Na kanapie. Z podwiniętymi nogami. Światło lampy padało na książkę, która prawie wysunęła jej się z rąk. Zasnęła. Zmęczona. Nic dziwnego, oczywiście. Pełny etat w klasie integracyjnej. Ubiegające się o azyl dzieci, które uciekły przed nędzą świata. A teraz miała je nauczyć norweskiego, pomóc odnaleźć się w nowym kraju, w zupełnie innym świecie. Kochał ją za to. Za to, jaka była. Za to, że pomagała innym. Nie prosząc o nic w zamian.

Podszedł do żywoplotu, wyrzucił niedopałek na ulicę, zapalił nowego papierosa, gdy nagle zadzwonił jego telefon.

- Cześć, Mio.
- Cześć, Holgerze, przeszkadzam?
- Nie, nie, oczywiście, że nie. Wciąż pracujesz?
- Co?
- Jesteś jeszcze w biurze?
- Ee, tak.

– Wiesz, że nie musisz. Od czasu do czasu trzeba odpocząć. Śledztwo może trochę potrwać. Potrzebuję cię wypoczętą, wiesz o tym?

– Tak, wiem, tylko skończę coś, co zaczęliśmy razem z Patrickiem.

Patrick Olsson. Szwedzki profiler. Oczywiście Munch powinien wprowadzić go w sprawę, ale nie dał rady. Jutrzejsza wspólna odprawa będzie doskonałą okazją, by Olsson sam się wszystkim przedstawił. Ale miło było słyszeć, że Mia już z nim współpracuje.

– Jak poszło?

– Co?

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Ta młoda dziewczyna była członkiem zespołu zaledwie od paru dni, a tymczasem miał wrażenie, że już ją trochę poznał. Ciągłe nieobecna. Zadzwoiła do niego, ale sprawiała wrażenie, jakby już o tym zapomniała. Niemal ją widział. Długie czarne włosy. Błękitne oczy wpatrujące się intensywnie w fotografię wiszącą na ścianie, jakby oczekiwała, że na krótką chwilę ożyją, i za nic w świecie nie chciała tego przeoczyć.

– Mio, jesteś tam?

– Co? Tak, musiałam tylko...

– I jak? Wszystko w porządku z Olssonem? Zadomowił się już w mieszkaniu?

– Nie.

– Nie?

– Mieszkanie nie było jeszcze gotowe, więc musiał wynająć pokój w hotelu.

– Okej. Zobaczę, co da się zrobić.

W myślach zrobił notatkę i umieścił ją z tyłu wypełnionej po brzegi głowy. *Zapytać Anette o mieszkanie Olssona. Umówić się na rozmowę z Dreyer. Zapoznać się z dzisiejszą notatką sporządzoną przez Anję i Ludviga. Zawiadomić Katję i Fredrika o jutrzejszym pogrzebie: zdjęcia/aparat w samochodzie/poprosić Katję, żeby włożyła coś innego niż niebieski dres. Poprosić Anette, żeby skończyła raport na temat ojca Rubena. Plotki/czy coś w nich jest/czy powinniśmy go przesłuchać?*

– O, tak – powiedziała Mia.

– Tak, co?

– Wszystko w porządku. Z Patrickiem. Najpierw przez kilka godzin byliśmy tutaj. Przedstawiłam nasze, a raczej moje dotychczasowe przemyślenia, potem poszliśmy coś zjeść, stamtąd Olsson pojechał do hotelu, a ja wróciłam tutaj. Coś mi się nie zgadza...

Znowu się zawiesiła, lecz wróciła po chwili.

– Co takiego?

– Sama nie wiem. Patrick powiedział, że nie mamy wszystkich istotnych zdjęć ze Szwecji. Próbowałam skontaktować się z Ludvigiem, ale go nie złapałam. Wiesz coś o tym?

– O Ludvigu?

– Nie, o brakujących zdjęciach ze szwedzkiego śledztwa.

Zrobił w myślach kolejną notatkę i dodał do pozostałych.

– Sprawdzę to. Powiedział, o jakie zdjęcia chodzi?

– Nie...

Znowu odleciała. Słyszał, że coś przestawiła.

– Mio?

Robiło się coraz ciemniej. Zmierzch zamienił się w noc, włączono uliczne latarnie. Spojrzał z zazdrością do ogrodu sąsiadów. Telewizor rozświetlał pokój na niebiesko, dzięki czemu mógł ich w środku zobaczyć. Razem na kanapie.

– Ale miał kilka przy sobie.

– Co?

– Patrick. Przywiózł dużą część materiałów ze sprawy. Może powinniśmy z tego skorzystać? Nie sądzisz, że to byłoby najlepsze wyjście? Dzięki temu Ludvig i Anja nie musieliby całymi dniami przekopywać się przez to, co przysłali nam ze Szwecji.

– Oczywiście. Dobra myśl – powiedział Munch i odpalił nowego papierosa od poprzedniego.

– Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłam. Jeszcze z dwóch powodów, ale nad pierwszym muszę się zastanowić, okej?

– Nad czym musisz się zastanowić?

– Czy mogę spytać cię o obie rzeczy, czy tylko o jedną.

Uśmiechnął się lekko. Jej szczerłość była, łagodnie mówiąc, ożywcza. Zrobił w myślach kolejną notatkę, żeby wysłać Yttremu podziękowanie za to, że ją do nich skierował.

– Zapytaj mnie o tę pierwszą, myśląc nad tą drugą, zgoda? Bo zaczyna się robić trochę późno.

– Mam nowe mieszkanie.

– O cholera! Gratulacje! Czy to było pytanie?

Znowu się wyłączyła, lecz tym razem szybko wróciła do rozmowy.

– Tu jest tak ciasno. Nie ma na nic miejsca. I dlatego pomyślałam... W tym nowym mieszkaniu są ogromne ściany. Jak wielkie białe ekrany. Może to byłoby jakieś rozwiązanie? Zacząć od nowa? Spojrzeć na sprawę świeżym okiem, rozumiesz? A Patrick mógłby dostać inne ściany. Na swoje rzeczy. Dzięki temu moglibyśmy porównać te sprawy, jak myślisz?

Była teraz taka słodka i przypomniała mu o czymś, o czym absolutnie nie powinien był zapomnieć: że bez względu na to, jak bardzo jest bystra, utalentowana i na pozór silna, wciąż pozostaje kruchą młodą kobietą.

– Mio?

– Tak?

– Nie jesteś w szkole.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że możesz robić to, na co masz ochotę. To dobrze, że od czasu do czasu meldujesz mi, gdzie jesteś i co robisz, ale o pozostałych rzeczach sama decydujesz, okej? Chcesz przenieść wszystko do tego nowego mieszkania? Nie ma sprawy. Sądzę, że to doskonały pomysł. Zestaw to z tym, co ma Szwed. Idealnie. Uważam się za podwójnego szczęściarza, mając was oboje. Ale miej włączony telefon, okej?

– Aha – odparła nieobecny głosem.

– Zrozumiałaś?

– Co?

– Muszę mieć możliwość skontaktowania się z tobą, tylko o to proszę.

– Oczywiście. Słuchaj.

– Tak?

– Jak się czuje mama Tommy’ego Sivertsena?

– Pani z konsulatu była dzisiaj w szpitalu, ale nie pozwolono jej z nią rozmawiać.

– Szkoda. A wiemy, kiedy jej pozwolą?
– Anette jest z nimi w kontakcie. Dlaczego pytasz?
– Sama nie wiem...
– Powiedz, co ci chodzi po głowie.
– Chłopiec miał kilka śladów tuż nad kostkami. W pierwszej chwili ich nie zauważyłam, bo nie były widoczne, kiedy leżał na plecach, ale właśnie dostałam zdjęcia z sekcji zwłok i tam... Sama nie wiem...
– O jakich śladach mówisz?
– Chodzi o kilka... ukłuc...
– Wspomniano o nich w protokole posekcyjnym?
– Nie czytałam go.
Znowu wyłączyła się na chwilę.
– Zobacz, czy jest tam coś o tych ukłuciach. Jutro rano spojrzę na to, okej?
– Okej... Czy jutro rano będzie wspólna odprawa?
– Tak, o dziewiątej.
– Postaram się tam być, a jeśli nie, zostawię kopie zdjęć w twoim gabinecie, zgoda?
– Świetnie, Mio.
Począł chwilę, aż zada mu kolejne pytanie.
– Coś jeszcze?
Na drugim końcu zapadła cisza.
– A to drugie? To, o co chciałaś mnie zapytać?
Znowu cisza, zanim znowu się odezwała.
– Może innym razem. Nie teraz.
– Okej, Mio. Dobra robota. Dobranoc.
– Dobranoc, Holgerze.
Munch wsunął telefon do kieszeni budrysówki i wszedł do domu najciszej, jak to możliwe, żeby nie obudzić Marianne.

DZWONY KOŚCIELNE UMILKŁY dawno temu, ale ich dźwięk nadal rezonował w jego duszy, a w każdym razie tak się czuł, kiedy sprawdzał kamery zamontowane w samochodzie. Jedna na tablicy rozdzielczej, skierowana w stronę kościoła, i po jednej w górnej części każdego okna, które obejmowały ulice po obu stronach. Dzwony kościelne przypomniały mu czasy dzieciństwa i chociaż większości z tego oczywiście nie pamiętał, nadal wzdrygał się lekko za każdym razem, kiedy biły. Miał wrażenie, że słyszy jej głos. Babcia. Poczucie bezsilności i zdrady. Ponieważ rodzice nie chcieli ich słuchać, jego i młodszej siostry, każde lato w Telemarku, kiedy matka i ojciec wybierali się na południe Europy i zostawiali dzieci w tym chrześcijańskim więzieniu, jak z czasem zaczęli je nazywać. Rok w rok. Ta sama procedura. Podróż samochodem, mijają Ulefoss i docierają do miejsca, które mogłoby stanowić symbol norweskiego dobrobytu. Piękne wielkie gospodarstwo z widokiem na Nomevatn, jezioro pośrodku malowniczego Telemarkskanalen²⁵. Żółte łąny zbóż i pasące się krowy. Kury w kurniku i kozy na dachu spichlerza. Jak w jednej z baśni spisanych przez Asbjørnsena i Moego, uwiecznionej na obrazie Tidemanda i Gudego. Gdyby tylko był tam dziadek, mieliby świetną zabawę od rana do wieczora. Albo jeden z jego dwóch braci mieszkających na terenie gospodarstwa. Ale nie, w gospodarstwie Nedre Riis była tylko jedna władczyni: babcia. Nie dość, że pewnego wieczoru zobaczyła w lesie Jezusa, to jeszcze w trakcie tego objawienia usłyszała, że świat jest pełen grzechu i rozpusty i że właśnie jej zostaje powierzone zadanie, by tę sodomę i gomorę przemienić w królestwo Boże. Innymi słowy: było ostro. Trzy tygodnie piekła, delikatnie mówiąc. Na szczęście dawno temu, chociaż to wciąż w nim siedziało i robiło mu się niedobrze za każdym razem, kiedy słyszał dźwięk tych paskudnych dzwonów.

– Niezłe ciacho z tego Szweda. – Katja uśmiechnęła się zaczepnie.

– Tak sądzisz?

– Absolutnie. Jest w moim typie. Aż chce się pójść do psychologa. Zaśmiała się lekko i opuściła szybę.

Wspólna odprawa kilka godzin wcześniej, wszyscy podekscytowani faktem, że do zespołu dołączył kolejny członek, który na dodatek pracował nad sprawą w Szwecji. Różnie mogło się potoczyć, ale nawet Oxen siedział cicho, wyraźnie pod wrażeniem tego nowego.

Spokojny, sympatyczny i owszem, on też zauważył, że czarującemu profilerowi z wyglądu również niczego nie brakowało.

– Moim zdaniem to dobrze – wymamrotała Katja.

– Co takiego?

– Że przyjechał. Chodzi mi o to, że ma duże doświadczenie. Ona też wydaje się bystra, ta nasza młoda studentka, ale mimo wszystko...

– Co masz na myśli?

– Nic, przecież już o tym rozmawialiśmy. Ma dobre pomysły, ale nie możemy całego śledztwa opierać wyłącznie na jej... Jak to ująć...

– Przeczuciu?

– Nie, nie o to chodziło, tylko...

– Munch ma wszystko pod kontrolą.

– Wiem, mówię tylko, że moim zdaniem na jego obecności możemy tylko zyskać.

– Bo jest niezłym ciachem?

– Ha, ha.

Wyszczrzyła zęby i uderzyła go w ramię.

– Nie, miałam na myśli to, że jest doświadczonym profilerem. Który wie, co robi. Dobrze się z tym czuję. Mam wrażenie, że jesteśmy w dobrych rękach.

Fredrik nalał sobie kawy z termosu i spojrzał w stronę drzwi do kościoła.

– Jak długo to potrwa? – spytała Katja, spoglądając na swój telefon.

Właśnie na to czekali. Zarówno oni, jak i mundurowi, którzy zostali rozmieszczeni przede wszystkim na zewnątrz, żeby nie dopuszczać mediów do żałobników. Poprzedniego wieczoru przedstawiciel rodziny wystąpił w wieczornych wiadomościach

i poprosił wszystkich, którzy nie mieli tam nic do roboty, żeby nie przychodzili na pogrzeb. Wyraził się grzecznie, ale nikt nie miał wątpliwości, o co naprawdę chodziło. Między wierszami dało się wyczytać: czy wy, dziennikarze, moglibyście trzymać się od nas z daleka, do cholery? Wyglądało jednak na to, że prośba została zignorowana. Może nie było dzikich tłumów, ale zjawilo się wystarczająco dużo gapiów, żeby funkcjonariusze, którzy teraz kręcili się niespokojnie na chodniku po drugiej stronie ulicy, musieli rozciągnąć taśmę policyjną i wyłączyć ulicę z ruchu. Przed sfatygowanymi schodami stały zaparkowane trzy samochody, gotowe wywieźć najbliższych członków rodziny. Trochę jak w Hollywood. Albo na pogrzebie państwowym. Kościół w Lørenskog. Mogący pomieścić sto czterdzieści osób. A przyszło o wiele, wiele więcej. Zupełnie jakby cały kraj pogrążył się w żałobie po śmierci głowy państwa; duże skupiska płaczących ludzi, którzy nie bardzo wiedzieli, co ze sobą począć, gdy drzwi do kościoła w końcu się zamknęły. Stosy kwiatów, zdjęć i zniczy. Fotografowie z wielkimi obiektywami na statywach, zwróconymi w stronę cmentarza, zapewne w nadziei, że uda im się zrobić najlepsze zdjęcia twarzy żałobników w chwili, gdy trumna zostanie spuszczone do grobu. Fredrik oczywiście wiedział więcej od nich. Ze względów bezpieczeństwa postanowili, że rodzina nie wyniesie trumny z kościoła. Miało to nastąpić dopiero następnego dnia przed południem, zupełnie nieoficjalnie. Chcieli, żeby rodzina mogła się pożegnać z chłopcem bez obecności kamer.

– Nie mam pojęcia – odparł i zabębnił palcami w kierownicę. – Nie zaczęli przed... to chyba była pierwsza? A samo wyjście z kościoła zajmie ludziom...

– Tak, tak, ale najpierw wypuszczą rodzinę i najbliższych krewnych, zgadza się? – spytała i postukała lekko w teczkę, którą dał im Grønlie.

Pełna galeria członków rodziny, bliższych i dalszych. Większość z nich odhaczyli, ale kilka nazwisk jeszcze pozostało.

– Widzieliśmy go?

Położyła palec na zdjęciu wąsatego mężczyzny w okularach.

– Kto to jest? Wujek ze strony matki?

– Tak. Loki. Kto, do cholery, daje swojemu dziecku na imię Loki? Ty się lepiej znasz na mitologii nordyckiej ode mnie, ale Loki? Przecież to był oszust. I krętacz. To tak, jakby dać swojemu synowi na imię Judasz. Nie uważasz?

– Mitologia nordycka? Słyszałaś o niej? A niech mnie! Uczą o tym w holenderskich szkołach?

Wierciła się na siedzeniu. Było jej już trochę niewygodnie. Munch poprosił ją, żeby włożyła na siebie coś innego niż dres i godnie reprezentowała policję na pogrzebie. Wyglądała tak, jakby pożyczyła ubranie od Anette Goli i nie bardzo jej się to podobało.

Zaśmiała się lekko.

– Co? Mitologia nordycka? Nie żartuj! – Katja westchnęła. – Nie, w szkole ledwo o tym wspomnieli, ale miałam kiedyś chłopaka.

– Tak?

– Poważnie? Chcesz, żebym ci o tym opowiedziała?

– Oczywiście. Teraz jeszcze bardziej mnie zaciekałaś. Kiedy to było?

– Jakieś sześć, siedem lat temu.

– O, to świeża sprawa. No, dalej! Mitologia nordycka?

Znowu się trochę wierciła, i to nie tylko z powodu wyjątkowo niewygodnej spódnicy.

– Nie powinniśmy tego przejrzeć?

– Przecież już to zrobiliśmy. Mamy wszystkich, prawda? Poza tymi, którzy dali znać, że się nie zjawia. Babcia, bo jest w szpitalu. I jego ciocia, która mieszka... pamiętasz gdzie?

– W Nowej Zelandii.

– Właśnie. To co z tym Lokim?

Znowu się uśmiechnął, lubił tak się z nią droczyć. Dawno nigdzie razem nie wychodzili, właściwie ich związek osiadł na mieliźnie po tym nieporozumieniu na kanapie. Może to nie był kryzys, ale miło było dzielić z nią tę chwilę jako swego rodzaju przeciwwagę dla tragedii, która rozgrywała się w białym budynku tuż przed nimi.

Katja westchnęła.

– Ale nie chcę słyszeć o tym ani słowa w biurze, rozumiano?

– Oczywiście. Jestem coraz bardziej podekscytowany.

Potrząsnęła głową.

– Spotykałam się z takim jednym, okej? Lubił black metal. Norweski. Mayhem. Burzum. Darkthrone. Immortal. I nie tylko muzykę, ale wszystko, co się z nią wiązało. Sklep z płytami Helvete i mitologię nordycką, między innymi. Wiesz, co się wtedy robi? Stara się zaimponować chłopakowi, no nie? Ujmę to tak: naoglądałam się już w swoim życiu satanistów.

Mrugnęła i ugryzła kawałek jabłka, które leżało obok drążka zmiany biegów.

– O kurczę! Nigdy bym nie pomyślała.

– To moja mroczna przeszłość.

Zaśmiała się lekko.

– Mówisz poważnie? Ćwieki i czarne włosy?

– Całe to cholerstwo.

– Chodziłaś na koncerty pomalowana jak trup?

– I na tym kończymy dzisiejsze przesłuchanie.

– Poważnie? Z trupio bladą twarzą?

Udała, że zamyka usta na zamek błyskawiczny.

– No weź! To dlatego teraz ubierasz się jak Sporty Spice? Żeby to odreagować?

Tak mocno uderzyła go w ramię, że aż zabolalo, i już miał wyskoczyć z kolejnym żartem, gdy nagle zaczęły bić kościelne dzwony i w samochodzie znowu zrobiło się poważnie.

Katja zbliżyła aparat fotograficzny do oka i używając zoomu, rozejrzała się dookoła.

– Gdzie ty jesteś... Gdzie ty jesteś...

Niedopałki w zagajniku. To był główny powód, dla którego Munch przysłał ich tutaj.

Lubi patrzeć.

Przyglądać się temu, co stworzył.

A co może być lepsze od pogrzebu?

– Lubisz to, prawda? No, chodź do Katji.

Dźwięk migawki, lustro, które się podniosło, tak aby obrazy mogły przyczepić się do czujnika, jak trzask zamka karabinu.

Drzwi kościoła otworzyły się nagle i wypełniły ludźmi. Spuszczone głowy. Czarne ubrania. Szlochająca matka, którą trzeba było podtrzymywać, bo nie była w stanie sama iść. Poruszenie wśród

dziennikarzy, armada obiektywów wycelowanych w stronę żałobników idących po schodach do samochodów, które już tam na nich czekały. Potem wszystko przebiegło błyskawicznie.

Jak scena w filmie.

Jeden z fotografów pokonuje taśmę policyjną. Wyciągnięte ręce, które na próżno usiłują go powstrzymać. Szok na twarzy żałobników, którzy nagle stają oko w oko z jego aparatem, a potem to, o czym długo będzie mówić cały kraj.

Wuj.

Loki.

– Oddaj mi ten aparat, ty pieprzony sukinsynu!

Dłonie, które wrywają kamerę fotografowi i jednocześnie uderzają go w twarz, jeszcze raz i jeszcze raz, po chwili reporter osuwa się na kolana, krew bryzga na jego koszulę, aż w końcu mężczyzna leży skulony na asfalcie.

– Lubisz to, co? Dręczyć ludzi?

Wuj uniósł aparat i z ogromną siłą uderzył nim w głowę dziennikarza. Jeszcze raz. I jeszcze raz.

– To też lubisz? Co?

Stopa uniesiona w powietrze, zbliżająca się do zakrwawionej twarzy. Ale ona już była na miejscu.

Katja.

Jednym ruchem powaliła mężczyznę na ziemię i skinęła głową na Fredrika.

Zabierz ich stąd.

W mgnieniu oka był wśród tłumu.

Widział wszystko z bliska.

Pusty wzrok.

Łzy spływające po policzkach.

– Tędy. Bardzo proszę. Wsiądźcie do samochodów.

Kilka sekund później było po wszystkim.

Błyskawicznie oddalające się tylne światła.

Katja na plecach wuja, rzucająca ponure spojrzenia umundurowanym funkcjonariuszom, którzy dopiero teraz przybyli z pomocą.

– Co wy, kurwa, wyprawiacie? Podstawcie tu ten pieprzony radiowóz!

Fredrik zauważył krew na swoich butach dopiero wtedy, gdy lekko wstrząśnięty odszedł nieco na bok.

Żeby zadzwonić po karetkę.

MIA KRÜGER COFNĘŁA się o kilka kroków i spojrzała z dumą na swoją nową ścianę. W małym biurze panował totalny bałagan. Tutaj czuła się o wiele lepiej. Zupełnie inny ogląd sprawy. Przebiegła z uśmiechem po starej drewnianej podłodze do kuchni i zaniosiła świeżo zaparzoną kawę do salonu. Mieszkanie było ogromne, z wieloma salonami, ale postanowiła zacząć skromnie. Rozgościła się tylko w kilku pokojach. Zrobiła wieczorem trzy rundy, tramwajem do Torshov i z powrotem do Teatru Narodowego, i uświadomiła sobie, że właściwie nie ma zbyt wielu rzeczy. W drodze do drzwi ostatni raz pomyślała: *Mój Boże, jak ja miałam dość tego małego, ciasnego, wspólnego mieszkania, i jak cholernie dobrze jest przenieść się do takiego fantastycznego lokum.* Jej? Nie, wciąż nie mogła w to uwierzyć. W końcu będzie musiała porozmawiać z babcią. Przecież tak nie można. Przyjąć w prezencie coś tak fantastycznego. Może wynajmie je od babci. Zapłaci za siebie. Przecież ma pieniądze. Pierwsza wypłata już wpłynęła na jej konto, z góry. Trochę uderzył ją po kieszeni depozyt, który wpłaciła za stancję i którego prawdopodobnie już nie odzyska, ale okej. Mówi się trudno. Stały tu meble po babci, stare, stylowe krzesła i stoły przykryte białymi obrusami – zsunęła wszystko do jednego pokoju i zamknęła drzwi. Teraz było zupełnie pusto. Naprawdę fantastycznie. Nic jej nie rozpraszało. Wybrała sypialnię, która wychodziła na ogród. Duże łóżko na środku pokoju, tam też nic jej nie rozpraszało. Dwa wielkie pokoje i cudowna kuchnia. Wystarczy. Teraz chodziło przede wszystkim o to. O to, co wisiało na ścianach wokół niej. Życiem zajmie się później. Reszta może poczekać. Bosa usiadła na środku podłogi i położyła przed sobą telefon. Wysłała mu wiadomość, ale nie odpowiedział. Uśmiechała się, gdy go wysyłała. *Jestem gotowa.* Właśnie tak się czuła. Zwarta i gotowa. Obecna. Maksymalnie skoncentrowana. Z wyostrzonymi zmysłami. Jak myśliwy ze

zwierzyną na muszce. Nie mogła spać. Leżała w dużym białym łóżku i czekała, aż zrobi się jasno i wstanie nowy dzień. Oczywiście miała wyrzuty sumienia, że nie krąży po mieście i jej nie szuka. Ale przecież często to robiła, prawda? Wszędzie rozdawała ulotki. Gdyby Sigrid była w mieście, Mia na pewno by się o tym dowiedziała. Oslo nie jest przecież aż tak duże, w każdym razie środowisko narkomanów. Przecież zdążyła poznać większość z nich. Cholera jasna, Sigrid. Dlaczego mi to robisz? Gdy tylko o tym pomyślała, natychmiast znowu dopadły ją wyrzuty sumienia. Jakby się nad sobą użalała. A przecież nie miała powodu. Siedziała w swoim nowym pałacu, z nową pracą i w ogóle, a tymczasem siostra była gdzieś tam...

W tym miejscu się zatrzymała. Nie chciała wchodzić w to głębiej. Prawdziwy koszmar, nad którym wiele razy łamała sobie głowę. Zniekształcone obrazy Sigrid – odurzonej, otoczonej przez... *nie, kurwa*, odsunęła to od siebie. Znowu naląła sobie kawy. Na pewno powinna coś zjeść, ale coś ją powstrzymywało. Po jedzeniu robiła się senna. Otępiała. Lepiej czuła się tak jak teraz, po krótkim śnie, za to z ogromną ilością kawy, z otwartą głową, napiętymi nerwami, o krok od samozniszczenia. Podniosła się, ściągnęła ze ściany dwie fotografie i przyczepiła je do tej, która wychodziła na kuchnię i była pusta.

Martwy lis.

Martwy zając.

Lis.

Zając.

Jeden rudy.

Drugi biały.

Biały?

Czystość?

Niewinność?

Szybko zdjęła zębami nasadkę flamastra, który trzymała w ręce, i podbiegła do trzeciej ściany, którą zapełniła pustymi kartkami papieru.

Biały.

Dziecko.

Niewinność.

Tak, absolutnie.

Coś w tym jest.

Dlaczego lubisz to, co niewinne? To, co kruche? Czy to ci daje poczucie władzy? Lubisz to? Być tym, który decyduje? Chociaż raz? Wcześniej tak nie było? W twoim życiu?

Osiem lat?

Czy to dlatego?

Siedziałeś w zamknięciu?

Przez osiem lat?

Na oddziale psychiatrycznym?

Musiałeś robić to, co ci kazali?

Znowu poczułeś, że nic nie znaczysz?

Nieważny?

I dlatego musiałeś im pokazać?

Znowu?

Kiedy wyszedłeś na wolność?

Kim ty właściwie jesteś?

Że nie warto z tobą zadzierać?

Że jesteś...

Napisała WILK, dużymi literami, osobno, na jednym z wielkich arkuszy.

Jutro wzejdzie księżyc.

Boję się Wilka.

Z pamiętnika Olivera Hellberga.

Szwedzkiego blond anioła.

To było oczywiście proste, nie musiała nawet czytać akt sprawy.

Dwudziesty ósmy maja 1993 roku.

Wystarczyło zajrzeć do internetu.

Pełnia.

Opróżniła kubek z kawą i znowu przebiegła po eleganckiej podłodze, żeby wstawić wodę, czekała niecierpliwie, aż się zagotuje, nie chciała stracić *flow*.

Wilk.

To jest twoja wymówka, prawda?

Żeby kogoś zabić?

Tak jest lepiej?

Przeprowadzić to, co czujesz, że musisz zrobić?

Patrick. W indyjskiej restauracji. Właśnie to napisał w swoim notesie, który przesunął w jej kierunku po obrusie, to, z czym zgadzał się z nią w stu procentach.

Ty tylko udajesz.

Dla własnego dobra.

Wilk.

Który poluje na swoje ofiary.

Jakby to było coś naturalnego.

Jakby to, co robisz, było normalne.

Że to niby nie jest twoja wina?

Wracając, rozlała kawę, ale nie miała czasu wytrzeć plamy, nie teraz, znowu podbiegła do ściany.

On udaje.

Żeby się usprawiedliwić.

Ale to nic nie znaczy.

Nie dla mnie.

Właśnie tam muszę szukać.

DLACZEGO WŁAŚNIE CI CHŁOPCY?

Nie.

Zmazała to i zamiast tego napisała:

Dlaczego Oliver?

Dlaczego Sven-Olof?

Dlaczego Ruben?

Dlaczego Tommy?

Napełniła filiżankę kawą i znowu usiadła na podłodze.

Nie, nie.

To był błąd.

Przesłuchanie chłopców, które przeprowadził Fredrik, przyjaciele ze szkoły, którzy się z nim spotkali.

Ruben.

To on był ważny.

Tommy miał go tylko zwabić.

Czy w Szwecji było podobnie?

Sprawdziła telefon, ale Patrick nadal nie odpisał.

Cholera, był jej teraz potrzebny.

Ale...

Nie, nie...

O Boże, jak ona wolno myśli.

Przecież już to miała.

Zerwała się z podłogi i podbiegła do ściany, ściągnęła zdjęcia lisa i zająca i powiesiła na ich miejsce dwa inne, z obu miejsc znalezienia zwłok. Takie, na których widziała wszystkie ciała.

No dalej, Mio.

To jest gdzieś tam.

Przecież to widziałaś.

W dziele sztuki.

Jeden chłopiec nagi, na plecach, w centrum tego wszystkiego; drugi nieważny, nawet nie całkiem rozebrany.

Szybko podpisała zdjęcia.

Chcę Rubena.

Chcę Olivera.

Dlaczego?

Znowu to zmasała i napisała dużymi literami:

DLACZEGO?

Trzęsła się, prawie nie była w stanie wlać w siebie resztki kawy.

Patrz teraz, Mio.

Przecież to jest tutaj.

Masz to tuż przed oczami.

No, dalej.

Nagle zadzwonił jej telefon, nieznany numer, ale nie była w stanie odebrać, nie teraz.

Dlaczego Ruben?

Dlaczego Oliver?

Odsunęła się od ściany.

To *jest* gdzieś tutaj, Mio.

Musiał mieć jakiś powód, dla którego wybrał właśnie ich.

I wtedy to zobaczyła.

Chryste Panie!

Przebiegła przez pokój, ściągnęła zdjęcia ze ściany i przyjrzała im się dokładnie.

O kurwa.

Cholernie wolno myślisz.

Miałaś to tuż pod nosem.

Czy to możliwe?

Telefon leżący na podłodze znowu zawibrował. Zdecydowanym ruchem nacisnęła czerwony przycisk, żeby nieznane połączenie zniknęło, i odszukała numer do Muncha.

– Holger, słucham.

– Cześć, tu Mia.

Sama to zauważyła. To, jak szybko mówi. Serce biło mocno pod czarnym swetrem.

– Cześć, Mio. Wszystko okej?

– Wiem dlaczego.

– Dlaczego co?

– Dlaczego ich wybrał. Dlaczego wybrał właśnie ich.

– Jesteś w swoim nowym mieszkaniu?

– Tak.

– Gdzie to jest?

– Inkognitogata 12.

– Zostań tam. Już jadę. Daj mi dziesięć minut.

FREDRIK RIIS CZUŁ się dość niekomfortowo, kiedy tak siedział w pokoju odpraw, z butami na kolanach, i pocierał miękką skórzaną cholewkę zwilżoną szmatką, żeby usunąć krew. Katja również była w kiepskim humorze, skulona na krześle obok niego, podczas gdy Ludvig Grønlie potrząsał głową, zawieszając ostatnie zrobione przez nią zdjęcie przed nimi na ścianie.

– Niedobrze.

Westchnął i powtórzył to, tym razem zwrócony w ich stronę.

– Niedobrze.

– No co, do cholery? – Katja także westchnęła i rozłożyła ręce. – Byliśmy tam w charakterze opiekunek do dzieci czy jak? Do diabła, przecież to nie nasza wina!

– Tak czy inaczej, niedobrze. – Grønlie znowu westchnął i poprawił okulary. – Wiesz, jak teraz wyglądamy, prawda?

– Jak kompletni amatorzy – wymamrotał Fredrik, przyglądając się butowi, który na szczęście był już prawie czysty.

– Dokładnie tak – przytaknął.

Munch właśnie opuścił salę, gderając i utyskując, nieczęsto widywali szefa tak rozdrażnionego jak dzisiaj, ale na szczęście odebrał jakiś telefon i zniknął za drzwiami, zanim zrobiło się naprawdę nieciekawie.

– Idiota przeżyje – powiedziała Katja, która zdążyła zdjąć kostium i znowu miała na sobie dres. – Tyle musi wytrzymać. Mógłby mieć trochę szacunku, prawda? Zamiast najeżdżać kamerą na twarze biednych ludzi?

– Nie w tym rzecz – mówił dalej Grønlie. – Fakt, dostał to, na co zasłużył. Problem polega na tym, że były tam media z całej Norwegii. Wszystko, co się rusza. Oglądaliście wiadomości? To jest wszędzie! Wiecie, jak zareaguje na to Dreyer? Przecież ona od dawna

szuka na nas haka. Myślicie, że Munch będzie mógł szefować tej jednostce do emerytury? O nie. Gdyby to zależało od niej, to...

Przejechał palcem po szyi.

– Wiem, wiem, diabli nadali. Byliśmy tam przecież tylko po to, żeby robić zdjęcia. Czy Munch był odpowiedzialny za ochronę? Albo Anette? Nie zwalaj winy na nas.

– Tak tylko mówię. Muncha i tak już wezwali.

– Gdzie?

– Do naszej drogiej Hanne-Louise Dreyer. Krążą plotki, że chce przekazać sprawę.

– Phi!

– Nie, poważnie. Tak mówią. Podobno Kripos już zaproponowała wsparcie. Chcą, żeby ich wprowadzić w sprawę.

Właścicielka dresu przestała się odzywać. Fredrik nie wiedział dlaczego, ale Katja opuściła ich jednostkę na krótką chwilę, po zakończeniu poprzedniego śledztwa, i pracowała w Kripos.

– Okej, możemy to zostawić i zająć się tym, co do nas należy?

Fredrik wsunął stopy w buty i wstał. Podszedł do ściany i skinął głową w kierunku fotografii.

– Gapie? Jak się za nich zabierzemy?

Żadne z nich nie odpowiedziało na to pytanie.

– No, dalej. Odsuną nas, to odsuną, ale do tego czasu musimy, kurwa, zrobić, co się da. I tak, Katjo, zgadzam się z tobą. Nie bierzemy tego na siebie. Ochrona? Nie, do cholery! To nie był nasz obowiązek.

Wyglądało na to, że Katji wraca humor. Ona również wstała.

– Czy to są wszystkie zdjęcia, Ludvigu?

– Wszystkie, które dostałem.

– Okej, to od czego zaczynamy?

Ludvig wzruszył ramionami.

– Może tam? Od sektora dla prasy? Mogę się z nimi skontaktować. Przesłać zdjęcia wszystkim redakcjom i poprosić, żeby zaznaczyli swoich dziennikarzy? I fotografów? Zobaczymy, czy zostanie ktoś, do kogo nikt się nie przyzna.

– Dobry pomysł – przytaknął Fredrik.

– Ale to nam, kurwa, zajmie kilka tygodni.

– Nie, najwyżej kilka dni. Masz lepszy pomysł?

– Świetnie – stwierdził Fredrik. – W takim razie zaczniemy od tego. Ilu ich jest? Około pięćdziesięciorga? Kurczę, to nie powinno potrwać zbyt długo. Ja sam mógłbym skreślić prawie połowę z nich.

– Większą nadzieję pokładam w tej grupie – powiedziała Katja i przyłożyła palec do innego zdjęcia. – Ale jak się za to zabrać?

Goście. Z kwiatami, misiami i fotografiami. Żałobnicy, którzy nie zmieścili się w kościele.

– Cóż, może po prostu tak – odparł Ludvig. Wyjął z kieszeni długopis i podszedł do zdjęcia. – Kobiety i dzieci. Wykluczamy, prawda? To stanowi... jakieś sześćdziesiąt procent? Okej, kto nam zostaje? Na oko czterdziestu mężczyzn? Jeśli skreślimy wszystkie dzieci, nastolatków, to co mamy? Spójrzcie? Ha! Policzmy szybko, dwunastu–piętnastu delikwentów? Powinniśmy dać sobie z nimi radę, jak myślicie, słoneczka moje?

Katja wyszczerzyła do niego zęby i skinęła głową z uznaniem.

– Tak, to powinno się udać.

– Sami widzicie. Jak mawiają Amerykanie: jeśli życie daje ci cytryny, zrób z nich lemoniadę. Chyba nie macie takiego powiedzenia w Holandii?

– Nie, tego nie mamy, ale mamy inne.

Podeszła do niego i zabrała mu długopis.

– A ono brzmi...?

– Przestań być takim pieprzonym optymistą i przynieś mi colę, a obiecuję, że będę w dobrym humorze, kiedy wrócisz.

– O cholera! Prawdziwa poezja.

– Prawda?

Znowu wyszczerzyła zęby w geście przyjaźni i zaczęła skreślać twarze z wielkiej fotografii. Ludvig zachichotał i opuścił salę.

– Ma rację, prawda? – spytała Katja. – Spójrz. Niewielu tu dorosłych mężczyzn.

Fredrik już do niej podchodził, gdy zadzwonił jego telefon. Gdy zobaczył imię na wyświetlaczu, wyszedł na korytarz, żeby odebrać.

– Cześć, Silje.

– Cześć.

Jej głos brzmiał inaczej niż zwykle.

- Coś nie tak?
 - Ja...
 - Co się dzieje?
 - Obawiam się, że zrobiłam coś, czego nie powinnam. A nie znam innej osoby, do której mogłabym zadzwonić...
 - Dobrze, że dzwonisz do mnie. Co się stało?
- Przez moment cisza w słuchawce, zanim odpowiedziała:
- Znasz ojca Rubena?
 - Jana-Ottona? Co z nim?
 - Ech, fatalnie się teraz czuję, chyba nie miałam prawa...
- Zazwyczaj miły głos nauczycielki brzmiał tak, jakby miała się zaraz rozpłakać.
- Uspokój się. Na pewno da się to jakoś załatwić. Co takiego zrobiłaś?
- Zamknął drzwi do pokoju odpraw i przeszedł w głąb korytarza.
- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, że być może jego ojciec nie jest wcale taki miły? Krążyły plotki, że niezbyt dobrze traktował Rubena.
 - Tak?
- Znowu chwila ciszy.
- Moja przyjaciółka pracuje w Urzędzie do spraw Ochrony Praw Dziecka. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale namówiłam ją, żeby mi powiedziała, czy coś w tym jest.
 - Czy ma założoną sprawę?
 - Tak.
 - I?
 - Nie, ona oczywiście nie ma prawa mi tego powiedzieć, ale znam ją dobrze, przyjaźnimy się od dawna i...
 - Znaleźliście coś?
- Zniknęła na moment.
- Halo?
 - Przepraszam, ale... ee, chyba nie powinniśmy rozmawiać o tym przez telefon. Może moglibyśmy się gdzieś spotkać? W jakimś ustronnym miejscu? Bardziej prywatnie?
 - Gdzie teraz jesteś?

Ludvig przeszedł korytarzem, niosąc colę, i zniknął uśmiechnięty w pokoju odpraw.

– Jestem w mieście, w Oslo. Odwiozłam Siri do mamy, więc jestem sama. A gdzie ty jesteś?

– W pracy. Chcesz tu podjechać?

– Nie, nie wiem...

– Czy wolisz przyjść do mnie do domu? Może tak byłoby lepiej?

– Jestem taka zdenerwowana. Nie powinnam była tego robić.

– A może wskoczę w taksówkę i ty zrobisz to samo? Spotkamy się u mnie o... tak szybko, jak się da? Prześlę ci adres, okej?

Znowu cisza.

– Jesteś pewny, że tak można?

– Oczywiście. Już jadę.

– Okej. Świetnie. Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Do zobaczenia.

MUNCH ZAPARKOWAŁ SAMOCHÓD i patrząc z podziwem na biały majestatyczny dom, zastanawiał się, czy Mia nie pomyliła adresu. Inkognitogata? Nie mieszkali tu chyba zwykli ludzie? Zaledwie sto metrów dalej majaczyła rezydencja premiera. Nagle Mia zawołała do niego z okna na pierwszym piętrze.

– Jest otwarte, wejść na górę.

Skreślił za jadownicę zielonym żywoplotem, który wyglądał tak, jakby został wycięty z matematyczną precyzją, i już miał wejść przez wielkie drzwi, gdy zadzwonił jego telefon. Był sceptyczny, to prawda. Oxen uchodził za człowieka porywczego i aroganckiego, ale Munch pragnął różnorodności w swojej jednostce. Wyrazistych osobowości. Ale być może nadszedł czas, by uciąć sobie z nim pogawędkę. Wcześniej Katja nie wyjaśniła, dlaczego nagle przeszła do Kripos, ale krótka wymiana zdań podczas odprawy kilka dni temu sprawiła, że zrozumiał, iż prawdopodobnie to był jeden z powodów. Zderzenie czołowe. Prawdopodobnie popełnił błąd, nie zabierając się za to wcześniej, ale wszystko było takie świeże. Jednostka dopiero co powstała. Nie miał ochoty przyznawać się do porażki. Dokonywać zmian już w pierwszym roku. Ale może nadszedł czas.

– Cześć, Karl. Co tam?

Wyciągnął z kieszeni papierosa i zapalił go pod słońce, które właśnie wyjrzało zza chmury.

– Ole Gunnar Solstjær. Zaczynam mieć jakiś ogląd tej sprawy, ale nie wiem jeszcze wszystkiego. Coś mi mówi, że wykonałbym lepszą robotę, gdybym tam się zjawił. Namówił ludzi na rozmowę.

Chłopcy, których Fredrik przesłuchiwał w szkole. Mężczyzna z portretów pamięciowych, który chwalił się, że grał w piłkę z norweskim bohaterem narodowym, ale doznał jakiejś kontuzji, która oznaczała koniec kariery.

– Był w Clausenengen. To znaczy jako chłopiec. Zadebiutował w drużynie A jako siedemnastolatek. Zdaje się, że będę musiał się tam wybrać, żeby przejrzeć stare zdjęcia drużyny. Takie tam. Skontaktowałem się z jednym z dawnych trenerów. Jak myślisz, czy to jest coś warte?

– Nie jestem pewny – odparł. – Wszystko, co wskazuje na ten kierunek, to informacje z trzeciej ręki, które równie dobrze mogą być całkowicie wyssane z palca. Z drugiej strony są na tyle konkretne, że moim zdaniem powinniśmy dać im szansę.

– Chodzi ci o to, że jeśli kłamie, to dlaczego tak szczegółowo?

– Prawda? Uważam, że możesz przeznaczyć na to dzień lub dwa. Informuj mnie na bieżąco, okej?

– W porządku – burknął Oxen i rozłączył się w chwili, gdy Mia z pytającym wzrokiem zeszła po schodach. W ręce trzymała banana.

– Wchodzisz czy nie?

– Tak, tak.

Uśmiechnął się i wszedł za nią do eleganckiego domu.

– O cholera! Mieszkasz tutaj?

Wzruszyła lekko ramionami.

– Nie do końca rozumiem, jak do tego doszło, ale mam klucze, więc chwilowo owszem. Bądź tak miły i zdejmij buty przed wejściem.

Rzuciła skórkę banana na blat kuchenny i zaprowadziła go na bosaka do olbrzymiego białego salonu z rozetą na suficie. Jasny pokój był prawie pusty, nie licząc ścian pokrytych fotografiami i notatkami.

– O kurczę. – Munch wyraźnie był pod wrażeniem. – Może powinniśmy tu przenieść nasze biuro?

– Może – zgodziła się, chociaż wyglądała tak, jakby go nie słuchała.

Stała zwrócona twarzą do jednej ze ścian, na której wisiało tylko kilka zdjęć.

– Co masz? – spytał, stając obok niej.

– Hmm – mruknęła i odgarnęła włosy z oczu. – Mogę się mylić, zresztą kiedy skończyliśmy rozmawiać, znowu ogarnęły mnie wątpliwości, ale wszystkie teorie warto rozważyć, nie sądzisz?

– Absolutnie – przytaknął i wyłączył dźwięk w swoim telefonie.

– Przy okazji, dostałam odpowiedź od Patricka.

– Tak?

– Miał przyjść tu do mnie po zakończeniu odprawy, ale źle się poczuł. Coś z żołądkiem. Mam nadzieję, że to nie po indyjskim jedzeniu, bo mnie nic nie jest. Tak czy inaczej, Patrick uważa, że niedługo dojdzie do siebie, więc zrobiłam miejsce na jego fotografie na tamtej ścianie.

Wskazała fragment ściany, który nie był jeszcze pokryty zdjęciami.

– Opowiadaj – powiedział Munch.

– Okej. Najpierw przyjrzałam się miejscom znalezienia zwłok, rozumiesz? Temu, w jaki sposób chłopcy byli ułożeni. Dlaczego Ruben był zupełnie nagi? A Tommy miał na sobie majtki? To samo w Szwecji. Dlaczego Oliver był zupełnie nagi? Podczas gdy Sven-Olof miał na sobie bieliznę? Do tego to, co zeznali tamci chłopcy. Że chciał właśnie Rubena... A tak przy okazji, wiemy coś więcej na ten temat?

– Wilkinson i jego zespół wciąż przeczesują okolicę – odparł. – Chodzą od drzwi do drzwi, starają się wyciągnąć coś z ludzi, no wiesz. Na razie mnóstwo plotek, a mało konkretów. Kilkoro świadków widziało tego samego mężczyznę, co prawda z dużej odległości, ale mam nadzieję, że coś z tego będzie. Zawsze jest tak, że ktoś coś wie, chociaż nie wie, że wie. W każdym razie tak mi podpowiada doświadczenie.

– Dobrze. A co z portretami pamięciowymi? Mamy coś?

– Ha! Lepiej spytaj, czego nie mamy? Ludzie dzwonią i zgłaszają wszystkich: od podejrzanych wujków do facetów, którzy kręcili się przy garażu sąsiada. Wiesz, jak to jest.

– Właściwie nie bardzo.

Uśmiechnął się lekko.

– Prawda. Jesteś tu zaledwie od tygodnia, ale jesteś taką profesjonalistką, że o tym zapominam.

– To miała być pochwała?

Odwróciła się i spojrzała na niego przyjaznym wzrokiem.

– Chyba tak.

– Dziękuję. Okej. Miejsca znalezienia zwłok. Może się wydawać – nie, to za słabe określenie – widać wyraźnie, że w obu sprawach

zależało mu tylko na jednym z chłopców. Może chciał zabić obu, ale mam nieodparte wrażenie, że na jednego z nich *miał szczególną ochotę*. Nadążasz?

– Absolutnie.

– Dlatego wpatrywałam się w te zdjęcia całymi godzinami – i prawie od tego ośleplam – aż w końcu zrozumiałam, że... Halo? Jaka ja byłam nierozgarnięta: to na *te* zdjęcia miałam patrzeć. Na *żywych* chłopców, rozumiesz?

Zdjęła kilka fotografii ze ściany, potrzywała je chwilę w górze i powiesiła z powrotem, tylko po to, by podkreślić swoje odkrycie.

– Spójrz.

Stała z boku i wskazała ręką cztery fotografie wiszące na ścianie.

– No i?

Portrety żywych chłopców.

– Czego mam szukać?

– Patrz teraz.

Usunęła dwa zdjęcia, tak że na ścianie zostali tylko Ruben i Oliver.

– Nie, zaczekaj chwilę.

Pobiegła do drugiej ściany i wróciła z fotografią zrobioną na miejscu znalezienia zwłok.

– Tak jest lepiej. Wydaje mi się, że zdjęcie Olivera jest stare. Wyobraź sobie, że w chwili śmierci jego włosy wyglądały tak. Były dłuższe.

– O cholera! – zawołał Munch. Dopiero teraz to zobaczył.

Mia uśmiechnęła się triumfująco.

– To uderzające, jak bardzo są do siebie podobni, prawda?

– Dlaczego wcześniej tego nie zauważyłem? – wymamrotał.

– Bo nie tak łatwo to dostrzec. Nie są identyczni i wcale nie o to chodzi. Mają tylko ten sam... jak to powiedzieć? Patrząc na nich, ma się to samo wrażenie, prawda?

– O mój Boże...

– Obaj są blondynami. Mają dość długie włosy i intensywnie niebieskie oczy. Spójrz tutaj: w pierwszej chwili nie zwróciłam na to uwagi, ponieważ po śmierci oczy mętnieją, poza tym na tamtym zdjęciu Rubena coś jest nie tak ze światłem, ale na *tym*? I znowu, to

jest zdjęcie Olivera, spójrz na jego oczy. Widzisz? Jaskrawoniebieskie. A popatrz tu. I tu. Piegi. Mnóstwo u Rubena, nie tak dużo u Olivera, ale jednak są, mam rację?

Wskazywała szczegóły z entuzjazmem. Munch powoli pokiwał głową.

– Poza tym obaj są wątlej budowy ciała. Drobnii. Może również ostrożni. Czy ja wiem?

– Co masz na myśli, mówiąc *ostrożni*?

– Jako osoby, w swoim zachowaniu. Wielu chłopców w tym wieku jest... jak to powiedzieć? Udają twardzieli? Popisują się? Niektórzy zachowują się jak małe zwierzęta. Ale mogę się założyć, że gdybyśmy spotkali tych dwóch chłopców, okazałoby się, że są delikatni. Mili. Skromni. I właśnie to mu się podoba...

– Cholera, Mio, to jest dobre – wymamrotał Munch.

– Prawda? Coś w tym musi być. Mają w sobie coś z aniołków, mam rację? Jak na tych obrazkach. Jak one się nazywają? Cherubinki?

– A więc lubi ten typ... – powiedział powoli.

– Drobnych, kruchych, blondynów, skromnych, miłych...

– Cholera, to jest naprawdę dobre, Mio!

– Właściwie to nie moja zasługa – odparła i pobiegła do kuchni.

Wróciła z jogurtem.

– Sorry, muszę coś zjeść. Czasem o tym zapominam. Jestem strasznie głodna.

– Dlaczego uważasz, że to nie twoja zasługa?

– Jodie Foster.

– Słucham?

– Nie widziałeś tego filmu? *Milczenie owiec*?

– Nie, niestety.

– No coś ty? Musisz go zobaczyć. Hannibal Lecter. Seryjny morderca. Pomaga jej i daje wskazówkę. *You covet what you see...*

– To znaczy?

– Pożądasz tego, co widzisz. *Chcesz to mieć, musisz to mieć*, nie możesz się powstrzymać – coś w tym stylu. Film opowiada historię prawdziwego seryjnego mordercy. W rzeczywistości nazywał się Ed Gein. Oczywiście mieszkał w Stanach. W stanie Wisconsin, na samotnej farmie w Plainfield. Przeszukując jego dom, znaleźli sporo

mebli obciągniętych ludzką skórą, maski zrobione z kobiecych twarzy, pasek wykonany z ludzkich sutków, lampę z abażurem ze skóry twarzy. Wszędzie leżały części ciała, wargi, palce, organy płciowe...

– O kurwa – zaklął Munch i podniósł kurtkę, żeby odszukać papierosy.

– Prawda? I stąd myśl, że może coś w tym jest, skoro film był oparty na faktach. Podsumowując, widzi ich...

Postukała palcem w fotografie.

– Zaczyna ich pożądać. I postanawia ich zdobyć...

Munch wsunął papierosa między wargi.

– Ale jak?

– No właśnie. Jak ich wybiera? – mówiła dalej.

– Nie mam pojęcia. W szkole? Na boisku?

Zwlekała z odpowiedzią.

– Mam przeczucie, że nie robi tego w sposób aktywny. Że z jakichś powodów po prostu wpada na te dzieci i nagle coś się z nim dzieje. Gdyby było inaczej, ofiar byłoby znacznie więcej, mam rację? Gdyby jego popęd był tak silny, to goniłby za nimi, przeczesywał place zabaw i inne miejsca, żeby zobaczyć, czy kogoś tam nie znajdzie.

– Może masz rację...

– Wiesz, co Ed Kemper powiedział, kiedy po raz pierwszy był przesłuchiwany i zapytano go, dlaczego odciął matce głowę, a potem uprawiał z nią seks?

– Kolejny seryjny?

– Tak.

– Ile czasu temu poświęciłaś?

– Mnóstwo. Ale do rzeczy. *It's like a sneeze. You just kind of have to, don't you?*

– Porównał to do kichania?

– Tak. Tego nie da się powstrzymać, prawda?

– O mój Boże.

– Może nasz sprawca też tak reaguje? Może nawet nie jest tego do końca świadomy, rozumiesz? Może Szwecja to był jego pierwszy raz? Zobaczył Olivera, to piękne, kruche dziecko – sama nie wiem – i po prostu *musiał* to zrobić.

- Okej, ale dlaczego czekał aż osiem lat, żeby to powtórzyć?
- Może się przestraszył? Swojej własnej porywczoci? Jeśli to był jego pierwszy raz.
- Ale tego przecież nie wiemy.
- Nie, ale czy widziałeś podobne zbrodnie? Młodzi chłopcy, z których jeden jest nagi, i zwierzę między nimi? Mam rację? A więc to *mógł* być jego pierwszy raz. A jak to jest za pierwszym razem? Po pierwszym razie?

Przyjrzała mu się tak, jakby oczekiwała, że coś powie, ale on milczał.

- Pierwszy raz? - kontynuowała. - Silne przeżycie. Bez względu na to, czego dotyczy. Skoku na spadochronie, seksu, skoku na bungee, nurkowania na głębokość czterdziestu metrów bez tlenu. Cholerny przypływ adrenaliny, prawda? Niezły kop. Ale w przeciwieństwie do rzeczy, które właśnie wymieniłam, to jest przecież...

Znowu przyłożyła palec do fotografii z miejsca znalezienia zwłok.

- Tego nie da się porównać z niczym innym, mam rację? Pozbawić kogoś życia? To musi być wstrząs. Ale teraz wiesz, kim jesteś, rozumiesz? Być może w głębi serca wiedziałeś to już wcześniej. Łatwo temu zaprzeczać, dopóki się tego nie *zrobi*, ale właśnie to zrobiłeś, prawda? Teraz wiesz, kim jesteś.

- Myślisz, że dał się zamknąć?

- Bingo - przytaknęła. - Może się przestraszył. Tego, kim się stał. Jestem chory. Potrzebuję pomocy.

- W zakładzie psychiatrycznym?

- Dobrze kombinuję? I jest tam długo, wiele lat. Czuje się lepiej. Może nawet myśli, że wyzdrowiał? I znowu staje się częścią społeczeństwa. Może nawet pracuje. Aż pewnego dnia to spada na niego jak grom z jasnego nieba.

Przyłożyła palec do zdjęcia Rubena.

- I wszystko się powtarza? - podsumował Munch.

- Dokładnie tak.

- Nowy obiekt pożądania.

- *You covet what you see...*

- Mnie to przekonuje.

– Tak?

– Poważnie. Świetna robota.

Munch wyjął papierosa z ust i rozejrzał się dookoła. Nagle zawibrował jej telefon leżący na podłodze.

– Chyba muszę odebrać. Ten sam numer dobija się przez cały dzień.

– Gdzie mogę zapalić?

– Wyjdź tamtędy, kilka pokoiów dalej jest weranda, na rogu.

Gdy poszedł, przygryzła wargę i przez moment wyglądała tak, jakby zbierała się na odwagę. W końcu nacisnęła zielony przycisk w swojej komórce.

JEDENASTOLETNIEGO KEVINA MYKLEBUSTA obudziły odgłosy dochodzące z łazienki. Zrozumiał, że to się znowu stało. Nowy mężczyzna w domu. Przez kilka dni będzie zachowywała się inaczej. Właściwie się ucieszył, bo kiedy w domu zjawiał się nowy mężczyzna, była zawsze miłsza i nie narzekała na niego tak często jak zwykle, chociaż z drugiej strony miał cichą nadzieję, że to, co powiedziała tamtego wieczoru kilka tygodni temu, okaże się prawdą. Była mamą w wielu osobach. A w każdym razie w dwóch. Jedną, kiedy była sama, a drugą, kiedy ona i Elsebet piły czerwone wino, bo wtedy nagle okazywała mu trochę czułości, przynajmniej w obecności Elsebet. *Ty i ja, Kevinie, co? Świetnie dajemy sobie sami radę, prawda? Nie potrzebujemy w domu żadnego mężczyzny, żeby nam się dobrze żyło. W tym domu ty jesteś mężczyzną, zgadza się? A Elsebet jej wtórowała: Jesteś prawdziwą szczęściarą, że masz tego chłopaka. Jest śliczniutki, sama chciałabym mieć takiego aniołka jak on.* I chociaż paliły w mieszkaniu, a drzwi do alkowy pod schodami, gdzie spał, były zniszczone, tak że jego pościel przez wiele dni pachniała dymem papierosowym, w ogóle mu to nie przeszkadzało, nie wtedy. Kiedy mama przytulała go i mówiła, że może wziąć sobie z lodówki colę, która właściwie była jej, w dodatku to nie była nawet sobota. W takie dni robił się gorący. I miękki. I mógł siedzieć z nimi do późna. Butelki brzęczały, mama całowała go w policzek i przytulała jeszcze mocniej i chociaż brzydko pachniała, to też mu nie przeszkadzało, ponieważ w takich chwilach kochała go, z odpływającymi, sennymi oczami. *Jesteś moim chłopcem, Kevinie. Mama jest szczęściarą, że ciebie ma.*

I próbował taki być. Od tamtego wieczoru. Być mężczyzną w domu. Nie do końca wiedział, co to właściwie oznacza, ale starał się robić to, co inni mężczyźni, którzy u nich mieszkali. Na przykład Rune. I Gunnar. I Jan-Erik – jego lubił najbardziej – który powiedział

nawet, że sprawi mu rower, porządny, nie taki jak stara damka mamy, która była dla niego za duża i miała wygiętą ramię. Nie, prawdziwy rower, terenowy. Już to sobie wyobrażał. Prawdziwy *off-road*. Wtedy na pewno by się zamknęli i daliby mu spokój, chłopacy ze starszej klasy, którzy zawsze szeptali między sobą i pokazywali na niego palcem, kiedy przyjeżdżał do szkoły na dużej, rozklekotanej damce. I co? Nie jest wam teraz do śmiechu? Widzicie? Rower terenowy. Z płomieniami! Łyso wam, co? Może w końcu się zamkniecie.

Ale to wcale nie było takie proste, jak przypuszczał. Być mężczyzną w domu. Robił to, co do tej pory. Przygotowywał śniadania. Sprzątał po śniadaniu. Sprzątał w salonie po wyjściu Elsebet lub jakiejś innej przyjaciółki mamy. Kieliszki, które leżały przewrócone na dywanie. Popielniczki, z których niedopałki wysypywały się na stół. Nauczył się korzystać z odkurzacza tak, żeby nie robić przy tym zbyt dużo hałasu, bo mamę mogła od niego rozboleć głowa. Wystarczyło nastawić pokrętko na najniższe obroty, te z obrazkiem firanek. Ale było jeszcze to, co najtrudniejsze. Płacenie rachunków. Tego nie potrafił. Bez względu na to, jak bardzo dwoił się i troił, bo po prostu nie miał żadnych pieniędzy, a to co zarobił za butelki, które zbierał obok boiska, na nic nie wystarczało.

Może to był powód.

Że mimo wszystko zaprosiła nowego mężczyznę do domu.

Słyszał ich teraz wyraźniej, ściana, która ich dzieliła, prawie nie była ścianą. Mama leżała i mówiła rzeczy, które do tej pory słyszał tylko w telewizji. Włożył sobie palce do uszu i policzył do dziesięciu tysięcy, najwyraźniej skończyli, bo teraz byli w kuchni, zapach bekonu i kawy – to był sygnał dla niego. Nie chciał widzieć nikogo bez ubrania, nie mógł tego znieść, ale chyba było już po wszystkim. Teraz mógł wstać.

Ubrał się na leżąc w wąskim łóżku i siląc się na uśmiech, wszedł do kuchni.

– Hej, hej.

– O, cześć, skarbie. Pamiętasz Ulfa?

Dłoń wyciągnięta w jego stronę.

– Tak, dzień dobry, hej, hej. Oczywiście.

Mężczyzna z pomocy drogowej.

Rycerz ratujący damę w opałach.

Ktoś przecież musiał nim zostać.

Skoro on, Kevin, nie potrafił być mężczyzną w ich domu.

– Siadaj, kotku, zaraz dostaniesz śniadanie.

Mama aktorka z tym swoim sztucznym głosem, którego zawsze używała, kiedy w domu pojawiał się nowy mężczyzna.

– Nie, dziękuję. Nie jestem głodny. Poza tym muszę lecieć. Jestem umówiony i nie chcę się spóźnić.

– O, a dokąd się wybierasz, skarbie?

W drodze do drzwi wziął jabłko.

Miał ochotę powiedzieć: *Chętnie odwiedziłbym Ronny'ego, ale nie wolno mi tam przychodzić, mam, przez ciebie*, ale się powstrzymał. Nie chciał być złośliwy.

– Idę do biblioteki. Mam projekt do zrobienia. Do szkoły. Chcę dostać dobrą ocenę.

– Och, jaki ty jesteś pilny, Kevinie.

Z jakiegoś powodu miała na sobie fartuszek. Przeszła przez pokój i położyła rękę na jego głowie.

– On tak dobrze radzi sobie w szkole. Nie wiem, po kim to ma, ale na pewno nie po mnie.

Zachichotała, wśliznęła się w ramiona nowego mężczyzny i pocałowała go w policzek, jak zapewne zrobiłaby prawdziwa pani domu.

– To dobrze – powiedział mężczyzna o imieniu Ulf. – Może nie będziesz musiał jeździć jako pomoc drogowa.

Wybuchnął głośnym śmiechem, a mama trąciła go lekko w ramię.

– Ach, ty głuptasku. Praca w pomocy drogowej jest okej. Pomagasz ludziom w potrzebie.

– Niby tak – odparł Ulf i wzruszył lekko ramionami, a potem znowu ją objął, zaśmiał się i zaczął ją podszczypywać tu i ówdzie.

Kevin zobaczył już wystarczająco dużo.

I tym razem nie obejrzał się za siebie, bo teraz to nie było ważne. Czy ona patrzyła za nim. Wszystko zaczynało się od nowa. Dobrze wiedział, jak to działa. Przez chwilę będzie miło. Dopóki facet się nie zorientuje, jaka ona jest. A wtedy zwieje z podkulonym ogonem,

nawet Jan-Erik, który wytrzymał całkiem długo, bo prawie rok, nie był w stanie cały czas tego znosić.

Udał, że idzie w stronę drogi, tak na wszelki wypadek, gdyby jednak za nim patrzyli, ale gdy dotarł do małej szopy, nie skręcił w prawo, w stronę centrum, lecz kucnął, odczekał krótką chwilę, po czym skuliwszy się jeszcze bardziej, przeczołgał się za żywopłot, z powrotem do domu, i pobiegł co sił w nogach połą drogą w kierunku lasu.

Przez chwilę był smutny, ale już mu przeszło, ponieważ miał plan.

Na małej twarzy pojawił się szeroki uśmiech na myśl o odkryciu, którego dokonał.

Miejsce tylko dla niego.

Jego własny dom.

Mógłby nim być, czemu nie?

Dlaczego wcześniej nie zauważył tego małego domu, nie wiedział. A właściwie wiedział: bo był dobrze ukryty, prawie niewidoczny pod niewielkim urwiskiem, dlatego. Serce zamarło mu w piersi pod swetrem, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Rozpadająca się chata wśród kilku rozłożystych drzew. W tej samej chwili promień słońca przedarł się między chmurami i oświetlił domek, jakby ktoś tam w górze wskazał mu drogę. *Spójrz, Kevinie. Sekretne miejsce, o którym wiesz tylko ty.*

Pół godziny później był na miejscu. Znowu się uśmiechnął, prawie się roześmiał w duchu, bo tu było wprost idealnie. Malutki domek ukryty w głębi lasu. O którym tylko on wiedział. Który był tylko jego. Kevin otworzył ostrożnie drzwi, odszukał zapałki, które ukrył w środku, zapalił świecę i powiesił kurtkę na kołku przy uszkodzonym kuchennym blacie. Odbył wiele takich wypraw. W plecaku przyniósł kilka rzeczy. Powoli zaczynało się tu robić całkiem fajnie. Miał karimatę w jednym rogu, śpiwór, który znalazł w garażu sąsiada. Naprawdę przytulnie. Co prawda nie było tu prądu, ale za to stał piecyk, dlatego przyniósł w plecaku kilka polan i siekiere, żeby porąbać stare, uschnięte sosny. Rondel. Półmisek. Kilka sztućców. Był też stół, a także krzesło – trochę zbutwiałe, ale wiedział, jak je zreperować. Jak tylko nadejdzie lato i słońce zacznie mocniej świecić, wyniesie wszystko na zewnątrz, żeby się nagrzało

i porządnie wysuszyło. Podszedł do szafki bez drzwi i wyciągnął puszkę, które zgromadził. Brzoskwinie. Fasolka w sosie pomidorowym. Przeszedł szybko przez pomieszczenie, odszukał ogryzek ołówka i napisał zręcznymi palcami. Rzeczy, których potrzebuję: Patelnia. Duże wiadro, którym mógłbym czerpać wodę ze strumienia. Mydło. Ręczniki. Odłożył ołówek na miejsce i stanął przed małym lustrem, które wisiało na ścianie. Było stare, popękane, trochę zaśniedziałe, tak że widział tylko zarys swojej twarzy.

Nowe życie.

Własny dom.

Może powinien stać się kimś innym?

Zmienić wygląd?

Obciąć włosy?

Może je przefarbować?

W szkole dokuczali mu również z tego powodu, ale mama tak bardzo lubiła jego włosy, że nie odważył się nic z nimi zrobić, tak miło było dostać za coś pochwałę.

Długie, jasne włosy.

Pięgi na nosie.

Jak u dziewczyny.

Trochę zmężnieć.

Kevin Myklebust uśmiechnął się szeroko do siebie, wyciągnął jabłko z plecaka i wyszedł na schody.

A potem skierował twarz w stronę niepozornego wiosennego słońca.

TAKSÓWKA WŁAŚNIE ZATRZYMAŁA się na czerwonym świetle tuż przy cukierni Pascal na ulicy Henrika Ibsena, gdy nagle niebo się rozwarło i na przednią szybę i maskę samochodu spadł ulewny deszcz, tak gwałtowny, że zarówno Fredrik Riis, jak i taksówkarz się wzdrygnęli.

– *Pakao!* – krzyknął młody mężczyzna siedzący za kierownicą.

– Zgadza się – przytaknął Fredrik i spojrzał ukradkiem przez okna na ciemnogramatowe chmury, które tak niespodziewanie zasnuły niebo nad stolicą. – Nie wiem, co to znaczy, ale zabrzmiało sensownie.

Kierowca uśmiechnął się przepaszająco w lusterku.

– Sorry.

– Nie, nie, wszystko w porządku. *Pakao?*

– Kurwa – wymamrotał taksówkarz. – Po chorwacku.

– Aż tak? Okej. W sumie to dobre podsumowanie.

Riis jeszcze raz rzucił okiem na chmury w chwili, gdy nowa fala deszczu zalała samochód. Zapaliło się zielone światło, ale samochody obok nich nie ruszyły z miejsca. Kilkusekundowy wodospad sprawił, że cała ulica płynęła.

Miał nadzieję, że Silje tego uniknęła, a przynajmniej znalazła jakieś tymczasowe schronienie, ale niestety wyglądało na to, że nie. Nauczycielka, drżąc z zimna, stała pod małym daszkiem przed wejściem do budynku, gdy wyskoczył z taksówki z rękami nad głową i zaczął szukać klucza.

– O Boże!

– Cholera jasna!

Biegli razem po schodach, przemoczeni do suchej nitki, gdy nagle przez małe okna dostrzegli błyskawicę i chwilę później usłyszeli grzmot.

– Skąd to się, u licha, wzięło? – zaśmiała się Silje Simonsen, obejmując swoją torebkę przed drzwiami jego mieszkania. Woda

ściekała z niej strumieniami.

W końcu udało mu się otworzyć drzwi.

– I po makijażu – skwitowała, widząc swoje odbicie w lustrze wiszącym w korytarzu. Zdjęła całkowicie przemoczone półbuty.

– Sądny dzień? – podsunął Fredrik i potrząsnął głową.

Silje w spływającym makijażu spojrzała na niego i mrugnęła.

– Całkiem możliwe. Jeśli tak, to nie najgorzej trafiłam, mogąc spędzić z tobą tę ostatnią godzinę.

Fredrik zaśmiał się lekko i wskazał na jej torebkę.

– Teczka jest w środku? Przeżyła?

– Mam nadzieję. – Silje skinęła głową i drżąc z zimna, weszła do kuchni. Zostawili za sobą mokre ślady na pięknej dębowej podłodze. Położyła torebkę na stole, potrząsnęła mokrymi włosami i zlustrowała się wzrokiem. – Nie chcę wydać ci się kompletnie *cheesy*, poza tym nie znam cię zbyt dobrze, ale czy mógłbyś pożyczyć mi jakieś ubranie?

Pół godziny później najgorsze mieli już za sobą. Czarne chmury zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Teraz zmierzały na południe, żeby dać się we znaki turystom płynącym promem do Danii. Po chwili nieśmiało wyjrzało słońce i oświetliło kuchenny stół. Nagle wyglądali tak, jakby grali w komedii romantycznej: ona siedząca przy stole w jego jasnoniebieskiej koszuli, za dużej na nią, i ogrzewająca się kubkiem herbaty, w tle trzeszczący kominek; oboje przemarznięci do szpiku kości.

– Sorry – odezwała się w końcu i jej twarz znowu zrobiła się poważna, tak jak jej głos w słuchawce, gdy do niego zadzwoniła.

– Za co?

– Za to, że tak cię męczę. To na pewno moja wina, nie sądzisz? To kara za to, że byłam taka wredna?

Skinęła głową w kierunku okna, na ostatnie pomrukiwania burzy odchodzącej w stronę Oslofjorden.

– Wierzysz w to? Że tam u góry ktoś mieszka? Ktoś, to wymierza ci karę? Kto taki? Meteorolog?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Czemu nie?

– Blondynka, która wymachuje rękami przed green screenem, ostrzega przed niskim i wysokim ciśnieniem i od czasu do czasu zsyła kary na ludzkość?

Zaśmiała się lekko.

Lubił jej śmiech. Właściwie całą ją lubił. Dziwna sytuacja. Czuł, że najbardziej by chciał, żeby rzeczywistość chwilę poczekała. Żeby mógł delektować się tą chwilą.

– Wspomniałaś coś o Siri.

– Co?

– To twoja córka?

Spuściła wzrok na stół i potrząsnęła głową.

– Znowu czuję wyrzuty sumienia.

– Dlaczego?

– Bo okłamałam matkę. Powiedziałam jej, że muszę jechać do miasta, żeby załatwić jakąś sprawę. Bzdury. Po prostu musiałam się stamtąd wyrwać. Ten pogrzeb mnie dobił.

– Rzeczywiście, działo się.

– Byłeś tam?

Przytaknął.

– Widziałeś, co się stało?

– Słaba ochrona. Z pewnością nasz błąd. Zresztą sam nie wiem.

– Jest tam.

Silje zerknęła na niego, a potem wskazała głową teczkę leżącą na stole.

– Kto?

– Wujek Rubena. Loki.

– Poważnie?

Znowu skinęła głową i wypila łyk herbaty.

– Zaglądałaś do środka?

– Ja nie, ale Nina tak. Ech, jesteśmy okropne, prawda? Na pewno obie wylecimy przez to z pracy.

Odstawiła kubek z herbatą i rozejrzała się nieśmiało wokół siebie.

– Nie masz przypadkiem jakiegoś wina?

– Owszem.

Wstał i podszedł do półki nad kuchennym blatem.

– Co powiesz na pinot noir?

– Chętnie. Uff, przepraszam, chyba jestem trochę roztrzęsiona. Właściwie nie mam w zwyczaju pić o tej porze dnia.

– Przecież jest już po siedemnastej.

Uśmiechnął się i wyjął korkociąg z szuflady. Potem przyniósł dwa kieliszki i nalał im obojgu.

– Masz jej zdjęcie?

– Czyje?

– Twojej córki. Siri.

Jej piękna twarz znowu zajaśniała.

– Owszem, mam.

Wyjęła z torebki portfel, w którym nosiła zdjęcie córki, i przesunęła je po blacie w jego stronę.

– Ale słodziak. Ile ma lat?

– Pięć. Jesienią idzie do szkoły. Właśnie ją zapisałam.

– Ekscytujące.

– Czy ja wiem? Szczerze mówiąc, uważam, że jest trochę za mała.

Biedulka.

Przycisnęła zdjęcie do piersi, a potem schowała je z powrotem do portfela.

– A... ojciec?

Wyszło niezręcznie. Przez moment żałował, że zadał to pytanie, ale z jej spojrzenia wywnioskował, że nie ma z tym problemu.

– Nigdy nie stał się częścią naszej rodziny.

– Okej.

– I dlatego jestem... singielką i zadowoloną z życia samodzielną matką. A ty?

Zatoczył ręką po mieszkaniu.

– Kawaler, jak widać. Tylko ja i...

Patrik Sjöberg.

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniał o ptaku. Biedaczysko, musiał być śmiertelnie przerażony tym hałasem na dworze. Przeprosił Silje i poszedł do sypialni po klatkę, ściągnął zasłonę i wypuścił papugę.

– Sorry.

Silje uśmiechnęła się i sięgnęła po kieliszek.

– Żadnych problemów. A więc żadnych dzieci? Żadnej dziewczyny?

– Dziewczyny brak. Dzieci chciałbym mieć, ale to zwykle łączy się z tym pierwszym, prawda?

– Tak mówią.

Znowu się zaśmiała.

– Cóż... – Odchrząknął i spojrzał na teczkę. – Zajmiemy się...?

– A musimy? Nadal trochę się trzęsę.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie musimy się spieszyć.

– Na pewno?

Pociągnęła łyk wina i rzuciła mu ukradkowe spojrzenie.

– Nigdzie się nie spieszę. – Uśmiechnął się, trochę nieśmiało, po czym uniósł ostrożnie swój kieliszek, by wznieść skromny toast.

EMILIE SKOG SIEDZIAŁA na skałach przybrzeżnych nieopodal kąpieliska Hvalstrand Bad i czuła żal, że to wszystko niedługo się skończy. Środek marca, a w Asker wciąż było zimno, ale w ogóle się tym nie przejmowała, ponieważ lubiła siedzieć i myśleć, tutaj, nad fiordem, przykryta kocem, wczesnym rankiem, zanim pozostali się obudzili. Akademia Sztuki Amunda Andersena. Prywatna szkoła dla malarzy. Dwuletnia. Siedmioro uczniów w każdym roczniku, czternaście osób w wielkiej willi. Nie wszyscy tu mieszkali, ale zdecydowana większość, ci, którzy pochodzili z innych części kraju, tak jak ona, która dorastała w uwiecznianej na widokówkach wsi Grimo w Vestlandet. Wkrótce będzie musiała wrócić do domu. Do tego, co stanie się jej życiem. Gospodarstwo. Matka i ojciec. Jabłka. Wiedziała o tym, była tego świadoma. Że tam spędzi resztę życia. Nie dlatego, że musiała, ale dlatego, że tego pragnęła. Nie wyobrażała sobie, by mogła żyć w jakimś innym miejscu. Czy tak trudno było to zrozumieć? Że zanim to nastąpi, chciała przeżyć dwa lata po swojemu? Kiedy im o tym powiedziała, potrząsali głowami. Matka i ojciec. Do Oslo? Żeby co robić? Żeby malować? Po co? Miny wszystkich jak znaki zapytania, przyjaciółek również: *Mówisz, że co będziesz tam robić?* Zresztą nieważne, bo Emilie już podjęła decyzję. Dwa lata. Na własnych zasadach w szkole dla malarzy, a potem wróci i przejmie gospodarstwo, nie tylko dlatego, że obiecała to ojcu. Nie, ponieważ sama tego chciała, czy oni tego nie rozumieli? Machali czapkami, stojąc na werandzie wielkiego białego domu, jak na jakimś dziewiętnastowiecznym obrazie albo w opowiadaniu Olava Duuna²⁶. Ona z torbą, na przystanku autobusowym. Nie, no dajcie spokój, to nie tak. Po pierwsze, nie wiem, czy zauważyliście, ale wkrótce wejdziemy w dwudziesty pierwszy wiek. Dziewczyny nie muszą już kompletować posagu w nadziei, że zostaną wybrane przez jakiegoś wędrownego zalotnika lub chłopca z sąsiedniego

gospodarstwa. Halo, mamó. Halo, tato. Wróćę. Mokre od łez twarze pod haftowanymi chustkami, babcia włożyła nawet bunad²⁷ ze wszystkimi srebrnymi ozdobami. Były też flagi. Nie, nie, dajcie spokój. W końcu nadjechał autobus i rozpoczęła się podróż.

Emilie podniosła kamień i wrzuciła go do spokojnego fiordu. Była inna niż reszta, to prawda, a mimo to zdobyła przyjaciół na całe życie. A o to przecież chodzi, prawda? Zobaczyć coś innego. Poznać innych ludzi. Ależ taaak, tato, wróćę, dlaczego miałabym nie wrócić? Dlaczego miałabym porzucić to miejsce? Popchnęła go w stronę okna, żeby mu pokazać, o co jej chodzi. Widok na jabłonie. Fantastyczne jabłka hardanger, drobne i czerwone, jak czysta miłość na drzewach. Najlepsze w całym Vestlandet. A teraz również własny cydr, który rozchodził się jak ciepłe bułeczki. Nawet właściciele eleganckich restauracji w Bergen otwierali szeroko oczy, zdumieni jego wyjątkowym smakiem. Góry spadające do błyszczącego fiordu. Teraz mnie rozumiesz, tato? Wróćę!

Na początku myślała o Akademii Sztuk Pięknych w Oslo, ale szybko odrzuciła ten pomysł. Zakrwawione rękawiczki na pustej ścianie albo zwłoki myszy na słoiku ogórków – to nie dla niej. Ona lubiła malować. Nic głębokiego. Po prostu opowiadać o tym, co widzi przed sobą. Stwarzać to na nowo. Uwielbiała stronę wizualną. Lubiła patrzeć, jak jej dłoń porusza się po płótnie. Jak farby stapiają się ze sobą na jej palcu, tworząc nową barwę. Nic głębokiego. Na przykład jak Hansi. Lęk. Pustka. Niewyobrażalny smutek człowieka i strach przed śmiercią. Miała dopiero dziewiętnaście lat, ale to nieważne. Hansi pochodził z Trøndelag i był taki słodki, a jednocześnie bardzo smutny i nie potrafił się sobą zaopiekować. Nie chciał jeść, nie chciał pić wody ani cydru jabłkowego, żadnego innego zdrowego napoju, ponieważ: życie takie nie jest, życie nie jest piękne, życie jest trudne i ciężkie, a w końcu i tak wszyscy, kurwa, umieramy, chociaż nikt nie wie dlaczego. Mam tu siedzieć i jeść tort, popijając oranżadą? Takiego wała!

W bloku, który trzymała przed sobą, napisała „Hansi?”.

Może jeden z jego obrazów duchów?

Bo właśnie to malował. Ludzi tak chudych, że aż przezroczystych, sama skóra i kości. Rzuciło ją na kolana, kiedy zobaczyła, jak porusza się przed płótnem. Cóż za niesamowita technika prowadzenia pędzla! Od czasu do czasu przestawała malować swój obraz, żeby móc poobserwować go przy pracy.

Mój Boże, jakie to smutne.

Biedny.

Postanowiła kupić jeden z jego obrazów, zanim wróci do domu. Tak postanowiła. Hansi był jedną z tych osób, które otrzymały stypendium. Od samego Andersena. Każdego roku tylko jeden uczeń. Dwa lata temu stypendium trafiło właśnie do Hansiego. Oczywiście nie zamierzała mu tego mówić, że to ona kupiła jego obraz. Chciała mu tylko zanieść pomarańczową kartkę.

– Zobacz, Hansi, sprzedałeś obraz!

Zobaczyć radość w jego oczach.

Nie mogła się tego doczekać.

A może Amalie?

Jej prawie imienniczka z północnej Norwegii?

Napisała jej imię na kartce.

Wystawa dyplomowa. To dlatego siedziała tutaj tego ranka. Ponieważ Andersen powierzył jej to zaszczytne zadanie.

Ty, Vestland.

Właśnie tak nazywał ją od pierwszego dnia szkoły.

Ty, Vestland, zlituj się. Co ty malujesz? Łosie o zachodzie słońca? Spójrz na twoje światło! Okropne. Beznadziejne. Daj mi twoje pędzle. Zaraz je spalę.

Emilie uśmiechnęła się pod nosem i okryła szczelniej kocem, gdy słońce zaczęło powoli wstawać nad Konglungen po drugiej stronie błyszczącego teraz fiordu.

Potrafił być taki.

Andersen.

Osiemdziesięcioletni ekscentryk, który stawiał sztukę ponad wszystko inne w świecie i który zawsze mówił to, co myślał.

Chwała Bogu, że nie rozmawiał w ten sposób z Hansim, ponieważ Hansi by się załamał i rozpadł na kawałki, a ona za bardzo się tym nie przejmowała.

Vestland, powiedziałem światło! Światło, światło, światło, kurwa mać!

Pomarszczony palec uderzający mocno w jej płótno.

Co ty wyprawiasz, Vestland? Wracaj do domu, na swoją świńską farmę, nie chcę patrzeć na te twoje bohomyzy!

Jabłka.

Co?

Uprawiamy jabłka.

A co to, kurwa, za różnica? Natychmiast zabierz ten swój okropny obraz z mojego atelier!

Ale to właśnie ją wybrał.

Ty, Vestland.

Tak?

Słyszałaś o wystawie dyplomowej?

Tak?

Potrzebujemy plakatu.

Okej.

Chcę, żebyś to ty go zrobiła.

Plakat na wystawę dyplomową.

Wow.

Ona?

Wiedziała przecież, co to znaczy.

Że można wybrać swój własny obraz.

Że właśnie to będą pokazywać, w tym roku i już zawsze.

Akademia Sztuki Amunda Andersena.

Wystawa dyplomowa rocznik 2001.

Tegoroczny plakat wykonała Emilie Skog.

Może Amalie?

Już miała napisać imię przyjaciółki na kartce, gdy nagle zmieniła zdanie. Po co właściwie trzymała tę kartkę, skoro już się zdecydowała?

Bo nie sposób było wybrać.

Między nimi.

Spytała nieśmiało Andersena: czy można wybrać dwa obrazy na plakat? Ale starzec prychnął pogardliwie. Nie chciał *żadnego pieprzonego kolazu*. Co to miało być? Podstawówka?

Emilia westchnęła i schowała ołówek do kieszeni.

Nie, zrobi tak, jak postanowiła.

Chłopiec z borsukiem.

Znalazła ten obraz w magazynie, kiedy została wyznaczona do sprzątanania. Stary Andersen był w tym niezły, w zrzucaniu swoich obowiązków na uczniów, czy chodziło o koszenie trawnika, czy o wyprowadzenie jego psa. Tak czy inaczej, obraz leżał zakurzony w kącie magazynu.

Jasnowłosa, nagi chłopiec.

Który wpatrywał się w nią ze smutkiem.

Trzymając w ramionach borsuka.

Spytała Andersena, kto namalował ten obraz, ale odesłał ją z kwitkiem. *Jakiś idiota. Chodził tu przez kilka miesięcy, nie był w stanie za siebie zapłacić.* Od tego czasu obraz wisiał nad jej łóżkiem.

Zostało sześć tygodni.

Było wspaniale.

Przyjaciele na całe życie.

Może jednak powinna wybrać Hansiego?

On chyba najbardziej tego potrzebował?

Nie, nie mogła tego zrobić Amalie.

Musiało tak zostać.

Chłopiec z borsukiem.

Emilie Skog wstała, wyciągnęła ramiona ku niebu, uśmiechnęła się do słońca i zaczęła wspinać się powoli w stronę wielkiej willi, żeby przygotować śniadanie.

W MAŁEJ WSPÓLNOCIE WYZNANIOWEJ doszło do poważnego podziału po tym, jak czternastoletnia córka pastora miała wizję. Już wcześniej zdarzały się spory, jeśli nie kłótnie, to przynajmniej ostre dyskusje, ale nigdy coś takiego. Tym razem członkowie wspólnoty podzielili się na dwa obozy. Na tych, którzy wierzyli w objawienie, i tych, którzy je odrzucali, twierdząc, że to fałszywe proroctwo. I właśnie ci pierwsi zebrali się teraz przy wieży widokowej na szczycie Marifjellet. Drewniana konstrukcja, która jeśli człowiek przyjrzał się uważnie, przypominała wieżę Babel, znajdowała się w najwyższym punkcie pokrytej lasami okolicy, zaledwie kilka kilometrów od nowego kościoła, wybudowanego niecałe dwa lata temu. Kiedy zakończyła się dyskusja na temat tego, czy wizja córki pastora była prawdziwa, czy nie, część wspólnoty przekonana o jej prawdziwości nie zastanawiała się długo, *gdzie* powinno się odbyć przejście. Wieża była w zasadzie koronnym argumentem, który przekonał wiernych. Bo po co właściwie została zbudowana? I dlaczego właśnie tam? Na szczycie Marifjellet? Jak nazywała się córka pastora? Właśnie. Mari. A jak wysoka była góra? Siedemset osiemnaście metrów nad poziomem morza? A co zapisano w Ewangelii Mateusza 7,18? *Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców.*

Karoline uśmiechnęła się do siebie, gdy jeden z chłopców podszedł do kamienia, na którym siedziała, i zaproponował jej łyk herbaty. Chłopiec, Erik, był w jej wieku, miał dwadzieścia jeden lat. Właśnie to wydarzyło się w tej wspólnotcie – spór doprowadził do rozłamu, a linia podziału przebiegała pomiędzy młodymi i starymi. Tak było przez długi czas, ale nikt nie mówił tego na głos. Młodszy członkowie wspólnoty szeptali o tym po kątach. Ale tak chyba myślano w dawnych czasach? Przecież to nie może być prawda? Naprawdę wierzysz, że Bóg wysyła anioły, żeby nas zabrały, kiedy

tak się zachowujemy? Z czasem wyodrębniła się mała grupa, która postępowała zgodnie z tym, jak uczono na kazaniach, a jej członkowie zaczęli się spotykać potajemnie. Wieczorami. Kiedy starsi szli spać. Spotkania prowadził Marius, który prawie został usunięty ze wspólnoty za poglądy – pozwolono mu pozostać na skutek protestów właśnie tych najmłodszych. Jeśli będzie przestrzegał reguł i robił to, co powiedzą starsi. Oczywiście sedno konfliktu stanowiła arka, która miała się pojawić. Bo czyż Bóg tak nie powiedział, czy nie napisano o tym w Biblii? O arce Noego? Na której uratowało się z powodzi po parze każdego gatunku zwierząt i ludzie wybrani przez Boga? Często się z tego śmiali podczas sekretnych spotkań, kiedy siedzieli blisko siebie na podłodze w małym domku oświetlonym świecami. Arka? Tak, oczywiście. Że niby wielka łódź miałaby się tu pojawić? W której wszyscy by się zmieścili? Serio? To była przecież *metafora*, chyba każdy to rozumiał. Teraz były inne czasy. Żyli w nowoczesnym świecie. Przecież Bóg nie jest głupi, jest światłością, więc na pewno nie przyśle żadnej łodzi.

– A może chodzi o UFO?

Pierwszy wspomniał o tym Erik, cicho, w małym domku, wyszeptał myśl, którą niebezpiecznie było wypowiadać na głos.

I wtedy ogarnęła ich radość, duchowe uniesienie, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Wszyscy poczuli, że ta idea opanowała ich serca, wzbudzając w nich niemal euforię.

– Tak!

– Oczywiście!

– To wszystko wyjaśnia, prawda?

Nie tak dawno temu dyskutowali o tym również w małym kościele po tym, jak Marius ogłosił, że widział coś świetlistego, co leciało wysoko nad wzgórzem. Zobaczył nie tylko światło, lecz także pojazd. Metaliczny i wirujący, mieniący się w samym środku mnóstwem kolorów, prawie jak kula dyskotekowa. I właśnie z tego powodu chcieli go usunąć, ponieważ to przeczyło wszystkiemu, w co wierzyli. Bóg nie bawi się w takie rzeczy. Latające spodki, zielone ludziki i życie na innych planetach, przecież każdy wiedział, że za tym wszystkim stoi Szatan, który chce namieszać ludziom w głowach i sprawić, żeby zaczęli wątpić w dzieło stworzenia. Ale Marius nie to

miał na myśli. Jego zdaniem UFO to był sam Bóg, a to tylko pogorszyło sytuację. Marius otrzymał kolejne ostrzeżenie, ale na szczęście teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Oto co widziała Mari, czternastoletnia córka pastora. Spała głębokim snem w swoim łóżku, gdy w środku nocy obudził ją czyjś głos i polecił, by udała się nad rzekę. Córka pastora nie przestraszyła się, poczuła coś, co opisała jako *bezpieczne ciepło*, i zrobiła to, co nakazał jej głos. W długiej, białej nocnej koszuli poszła boso przez las. Jak sama mówiła: *Nie miałam na nogach butów, ale nie doświadczałam żadnego bólu. Bez względu na to, gdzie postawiłam stopę, czułam się tak, jakby to sam Bóg przygotował ścieżkę z bawełny, tylko dla mnie.*

Kiedy schodziła w stronę rzeki, niespodziewanie las wokół niej wypełniła przecudna muzyka. Chóry anielskie i smyczki. Mari tak się wzruszyła, że łzy zaczęły spływać jej po policzkach. W końcu dotarła do rzeki, której nurt stał się rwący po wiosennych roztopach. Głos kazał jej do niej wejść. I choć trudno w to uwierzyć, stała w niej pewnie, chociaż woda wokół niej pieniała się i wirowała. I właśnie wtedy Mari to zobaczyła. Na dole. W wodzie.

Płonące cyfry.

24040424.

– Przecież w wodzie nic nie płonie, prawda? – mrugnął Erik, usiadł na pniaku obok niej i zwrócił twarz ku słońcu.

To stało się czymś w rodzaju ich sekretnego hasła.

Przecież w wodzie nic nie płonie, prawda?

W znaczeniu: kto, jako jedyny, ma moc, by zesłać taki znak?

Przecież to oczywiste.

BÓG.

I wtedy znowu wrócili do dyskusji, którą ciągle toczyli, odkąd przeprowadzili się tu kilka lat temu. Dokąd przybędzie Bóg? Kiedy przybędzie Bóg? I co musimy zrobić, żeby właśnie nas zabrał ze sobą do nieba?

O to ostatnie byli raczej spokojni. W końcu są Jego wybrańcami. Nikt nie służył Panu lepiej niż oni. Na pytanie, dokąd przybędzie, właśnie otrzymali odpowiedź, nieprawdaż? Mari? Marifjellet? Czy to przypadek, że pastor wybrał właśnie ten las, by zbudować w nim

nowy kościół? Nie, oczywiście, że nie. Pozostawało ostatnie ważne pytanie: Kiedy?

Kiedy to wszystko się stanie?

Kiedy otrzymają swoją nagrodę?

24040424.

– A może to znaczy dwudziesty czwarty kwietnia? O godzinie czwartej dwadzieścia cztery w nocy?

Nowe, eksplodujące objawienie w małym domku, Karoline niemal rozpłakała się z radości.

Rzadko czuła taką pewność.

– To już niedługo.

– Tylko kilka tygodni.

– Nie mamy czasu do stracenia.

I wtedy zaczęli.

Znowu w tajemnicy.

Zbierać swoje rzeczy.

Tych parę drobiazgów, których potrzebowali.

I teraz siedzieli tam, drżąc z ekscytacji.

Czternaścioro młodych ludzi.

Na dworze było ciemno choć oko wykol, tylko kilka gwiazd oświetlało górę i wybrańców, którzy zbili się w ciasną gromadę.

4:20

4:21

Czuła bicie serca pod kurtką, dłonie zaczęły chwytać jedna drugą.

4:22

4:23

4:24...

4:25...

Ale...?

4:26...

Czy to nie było...?

Zdezorientowane spojrzenia na towarzyszy i na bezkresne niebo nad nimi.

Mariusz pierwszy to zauważył.

– Spójrzcie!

Palce wyciągnięte w stronę płomieni w dole, w lesie.

Najpierw tylko trochę, potem coraz bardziej, gwałtowniej.

Uśmiechy, gdy zrozumieli, co się stało.

Wieża widokowa na Marifjellet.

To nie miało tutaj wylądować.

Oczywiście, że nie.

Stąd mieli to ujrzeć!

Karoline wydała z siebie krótki okrzyk radości i szybko chwyciła to, co miała przy sobie.

I co sił w nogach zaczęła zbiegać ze wzgórza.

W stronę płonącego znaku.

43

HOLGER MUNCH WYSIADŁ z samochodu i zapalił papierosa w chwili, gdy Fredrik Riis wdrapał się na górę wąską leśną ścieżką. Tym razem młody śledczy nie miał na sobie garnituru. Kierując się głosem rozsądku, wybrał strój bardziej pasujący do okoliczności.

– Daleko tam jest? – spytał Munch.

Otworzył bagażnik i wyjął kalosze.

– Jakiś kilometr.

– Teren ogrodzony?

– Tak. Tyle, ile było konieczne. Jak widzisz, to rzadko uczęszczane miejsce.

Riis wskazał głową na las wokół nich. Rezerwat przyrody Marifjell, tuż przy jeziorze Hurdalssjøen, położony na północ od Oslo. Dało się tu dotrzeć w zaledwie półtorej godziny, a mimo to odnosiło się wrażenie, że przebywa się w środku pustkowia. Miejscowa policja skontaktowała się z nimi niemal natychmiast, ponieważ szybko dostrzegła związek z ich sprawą. Biały dostawczak peugeot boxer. Podobny do tego, którego szukali.

– Kto go znalazł?

Fredrik sprawiał wrażenie, jakby musiał się nad tym chwilę zastanowić.

– Grupa nastolatków. Podobno biwakowali, ale nie jestem pewny. Nie było tam żadnego namiotu, za to widziałem całe mnóstwo krzyży zawieszonych na szyi, a to mi mówi, że zjawili się tam po to, żeby... Sam nie wiem. Zresztą to nie ma znaczenia. W każdym razie zawiadomili straż pożarną, a potem nas, więc mieliśmy szczęście, że tam byli. Kiedy przyjechałem, pożar został już ugaszony.

Munch ruszył za nim leśną ścieżką. Dawno nie był tak daleko od miasta. Zapach norweskiej przyrody. Powietrze tak świeże, że prawie rozrywało mu płuca. Na pewno dobrze mu to zrobiło, bo ostatnio

wypalił sporo papierosów. Marianne patrzyła na niego z niepokojem, kiedy odprowadzała go do wyjścia.

Bardzo ciężko oddychasz, kiedy śpisz, Holgerze. Może powinniśmy umówić cię znowu do lekarza?

Kolejna niedotrzymana umowa. Obiecał jej to jakiś czas temu przy śniadaniu, w obecności rodziny.

Spakowałam ci trochę jedzenia.

Tuż przed nimi po pniu zbiegła wiewiórka i przemknęła na drugą stronę ścieżki.

– Ale obstawiamy, że to nasz człowiek?

– Trudno powiedzieć – odparł Riis. – Z drugiej strony po co miałby przyjechać prawie nowym dostawczakiem w sam środek głuszy i go podpalać? W najgorszym razie czyni go to podejrzanym. Bystrzaki z miejscowych, że tak szybko powiązali sprawę z naszym śledztwem.

Munch oddychał coraz ciężej. Ledwo nadązał za młodym kolegą.

– Dlaczego nie zjechaliśmy samochodem na sam dół?

– Co?

– On przyjechał furgonetką. Dlaczego my nie mogliśmy tam pojechać?

Riis się zatrzymał, odwrócił i uśmiechnął pod nosem.

– Krótki trening dobrze ci zrobi, nie sądzisz?

– Owszem, na pewno, ale mimo wszystko...

– Odpowiedź poznasz tuż za zakrętem.

Dwieście metrów dalej Fredrik zatrzymał się przed dużym świerkiem, który zagradzał drogę.

– Takie buty – wymamrotał Munch.

– Ściął drzewo, żeby uniemożliwić dojazd.

– Dziwne.

Wyjął papierosa z kieszeni budrysówki i zapalił.

– Tutaj?

Rozejrzał się dookoła.

– Czy to coś znaczy?

– Co masz na myśli?

– To, że ściął drzewo właśnie w tym miejscu. Czy to może mieć jakieś znaczenie?

– Nie pomyślałem o tym.

Riis rozejrzał się wokół i wzruszył ramionami.

– Wygląda na przypadkowe miejsce, nie uważasz? To mogło być którekolwiek drzewo. Po prostu zagroził drogę, żeby nikt nie mógł tędy przejechać. Może chciał zyskać na czasie? Żebyśmy tak szybko nie dotarli do spalonego samochodu? Wiesz, było wpół do piątej nad ranem, mieliśmy farta, że byli tu ci młodzi, cokolwiek ich tu przywiało. Gdyby nie oni, minęłyby tygodnie, zanim ktoś odnalazłby furgonetkę.

– Nic, co robi ten facet, nie jest przypadkowe – wymamrotał Munch, obracając papierosa w palcach. – Jak wrócił?

– Co?

– Przyjechał tutaj samochodem. Na to wygwizdowo. Jak wrócił do domu? Pieszko? Czy ktoś czekał na niego przy drodze?

– Właśnie – podchwycił Fredrik i zaczął przyglądać się ziemi, dopóki nie znalazł tego, czego szukał. – Są świeże. I jest ich więcej, na całej drodze w dół.

Ślady na mokrej ziemi.

– Myślę, że w furgonetce miał quada. Zjechał. Podpalił. A potem oddalił się na czterokołowcu. W każdym razie taka jest moja teoria.

– Mówiłeś, że o której to było?

Munch znowu się rozejrzał.

– Młodzi twierdzą, że o wpół do piątej nad ranem. To znaczy około pięciu godzin temu.

– Prowadzą tu jakieś inne drogi?

– Według miejscowych tylko ta, którą przyjechałeś. Ale jeśli moja teoria z quadem jest właściwa, to mógł odjechać po bezdrożach w dowolnym kierunku.

Riis rozłożył ręce i ruszył dalej. Nagle zadzwonił telefon Muncha. Anette.

– Cześć, tu Holger.

– Hej, jesteś na miejscu?

– Już niedaleko. Co jest?

– Właśnie dzwonili z kryminalistyki. Mamy trafienie. Niedopałki. Profil DNA jest w bazie. Facet był notowany. Zdaje się, że go znaleźliśmy. Właśnie przyglądam się jego zdjęciu.

– Czekał tam na mnie – powiedział podekscytowany Munch. – Już jadę.

Zawołał do Riisa:

– Muszę wracać! Mamy trafienie. Poproś miejscowych, żeby zabezpieczyli ślady i sprawdzili, dokąd prowadzą. I zadzwoń do mnie, jeśli technicy znajdą coś w samochodzie, okej?

– Jasne.

Munch wsunął telefon do kieszeni budrysówki, jeszcze raz zaciągnął się papierosem i pobiegł truchtem z powrotem przez las.

MIA KRÜGER FATALNIE spała tej nocy i obudziła się cała obolała. Łóżko w wielkiej białej sypialni miała tylko dla siebie, a tak okropnie się czuła. Jakby dopadła ją samotność. Znowu ta nadzieja. Gdy zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił. Ten sam numer.

Sigrid?

Ale nie, oczywiście, że nie.

Dzień dobry, dzwonię z...

Pieprzony telemarketing.

Zmusiła się, żeby wstać, i powlokła się do kuchni. Wyjęła jogurt z lodówki. Było jej niedobrze, ale musiała coś zjeść. Wzdrygnęła się, gdy telefon znowu zadzwonił, ale na szczęście na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Muncha.

– Cześć, tu Mia.

– Z tej strony Holger. Jesteś w domu?

– Tak.

– Mamy trafienie. Niedopałki z lasu.

– Poważnie?

– Jadę po ciebie.

– Już schodzę.

I potem, kilka minut później, niejasne przecucie, że coś tu się nie zgadza. Kiedy wsiadła do czarnego audi, Munch patrzył przed siebie pustym wzrokiem. Nie takiej reakcji się spodziewała. Mają trafienie? W takim razie dlaczego nie siedzi w pracy? Skąd ta dziwna mina? Ani cienia radości, tylko te przymknięte oczy. W końcu spojrzał na nią, kiedy zapięła pas bezpieczeństwa.

– Tak?

– Co? – spytał prawie ponurym tonem i włączył silnik.

– Kto to jest? Do kogo należy profil DNA?

Skinieniem głowy wskazał małą teczkę leżącą między nimi, skręcił spokojnie w Parkveien i dalej w kierunku Majorstua. Bez pośpiechu.

Z jakiegoś powodu.

Mia wyjęła dokumenty z teczki.

– Paul Iverson?

Spojrzała na zdjęcia. Mężczyzna po trzydziestce. Ogolona głowa. Zmęczone oczy. Tatuaze: jeden obok oka, kilka na karku. Fotografie zostały prawdopodobnie zrobione w chwili aresztowania, ponieważ policjanci zadali sobie niemało trudu, by udokumentować wszystkie szczegóły jego wyglądu. Sporo blizn, zarówno na klatce piersiowej, jak i na udach. Być może po nożu.

Munch zatrzymał się na czerwonym świetle i nadal zachowywał się tak, jakby nigdzie się nie spieszył.

– Pamiętasz sprawę sprzed kilku lat? – wymamrotał, gdy samochód znowu ruszył.

– Jaką sprawę?

– Napad na bank w Lillestrøm. Trąbiono o tym we wszystkich mediach, ale nie dlatego, że bandyci dużo zrabowali, tylko dlatego, że daleko nie uciekli.

W końcu przelotny uśmiech, ale po chwili znowu pełna powaga.

– O, to on?

Doskonale pamiętała tamtą sprawę. Siedzieli w domu przed telewizorem, całą rodziną, bo ten napad na bank był jak najlepszy sobotni program rozrywkowy. Mówiono o tym całymi tygodniami. Po tym, jak serwisy informacyjne zapomniały o sprawie, temat podjęli komicy. Najgorsi rabusie na świecie. Najgorszy kierowca w historii. Pamiętała, jak się z tego śmiali. Do rozpuku. Lato w Åsgårdstrand. Cudownie było spędzić je znowu razem. Zdjęcia z kamer monitoringu w banku migały w kółko na ekranie. Złodzieje, machając bronią, rozkazali ludziom położyć się na podłodze. Alarmy wyłączone, profesjonalizm w każdym calu, jak w filmie. Wszystko pod kontrolą. A potem zdjęcia sprzed budynku. Samochód, którym poruszali się złodzieje, podjechał z piskiem opon pod drzwi i kierowca wyłączył silnik. Rabusie w kominiarkach wybiegli z banku i wymachując bronią, dopadli do czekającego na nich auta. Wcześniej kierowca spacerował przed budynkiem z odsłoniętą twarzą, raz zdarzyło mu się nawet spojrzeć ze zdziwieniem prosto w jedną z kamer. Potem podniósł maskę pojazdu. Grzebał przez

chwilę przy silniku. W końcu usiadł za kierownicą. Potem nawet udało mu się uruchomić samochód, ale gdy ruszył, stracił panowanie nad pojazdem i wjechał prosto w latarnię dwadzieścia metrów dalej.

Najkrótszy napad na bank *ever*.

– On?

Munch skinął głową i skręcił w Sørkedalsveien.

– On był tym kierowcą?

– Owszem, Paul Iverson był tym kierowcą. Dostał osiemnaście miesięcy, chyba głównie za bycie idiotą. Tak czy inaczej, to dlatego mamy go w naszej bazie. Obecnie jest na wolności, ma rentę i mieszka w Østerås.

– I...?

– Co i?

Nadal nie rozumiała, co się stało.

Niedopałki?

Z punktu obserwacyjnego?

W zagajniku?

Halo?

Wyjące niebieskie światło?

Po co, u licha, po nią przyjechał?

Munch zmarszczył brwi, opuścił szybę i zapalił papierosa, gdy znowu zatrzymali się na czerwonym świetle.

– Okej – powiedziała. – Mamy pewność? To jego DNA zabezpieczono na niedopałkach?

– Podobno mamy stuprocentową zgodność.

– A więc to on?

– Najwyraźniej.

Do cholery, Munch!

– I wiemy, gdzie mieszka?

– Eiksveien 88C. Drugie piętro.

– Wysłałeś tam już patrol?

– Nie.

– To skąd wiesz, że jest w domu?

– Dzwoniłem do niego.

– Co takiego?

– Żeby wstawił wodę na kawę.

– Zadzwoń i powiedz, że do niego jedziemy?

– Tak.

Miała tego serdecznie dość.

– Dlaczego się nie cieszysz?

– Co masz na myśli?

– Mamy trafienie. DNA. A ty zachowujesz się jak dziadek na niedzielnej przejażdżce! Po co po mnie przyjechałeś?

Znowu zmarszczył brwi.

– Ponieważ chciałem, żebyś zobaczyła to na własne oczy.

– Niby co?

– To, co ujrzysz, kiedy otworzy drzwi.

DZIWNA ATMOSFERA PANOWAŁA od wielu dni i chociaż Lydia Clemens myślała, że może to jej wina, wcale tak nie było. Raz w roku. Ponieważ była dzieckiem. Może właśnie dlatego to jednak była jej wina, bo to z jej powodu przychodzili, ale dziadek Willy musiał chyba rozumieć, że to nie ona o tym decydowała? Że *kontrolerzy* przychodzili z wizytą? Przecież o tym decydowało *państwo*, nie ona? Od czasu do czasu była na niego okropnie zła. Teraz, kiedy nadeszła wiosna i powróciły wszystkie zaprzyjaźnione z nią ptaki, kiedy mogła biegać boso po lesie, on tak okropnie gderał i marudził. *Postaraj się być trochę miłszy, dziadku*, powiedziała nieco bezczelnie podczas śniadania, ale on jeszcze bardziej się rozgniewał i od tamtej pory go nie widziała. Ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Przez całą zimę pracowała, ślęczała nad ciężką maszyną do szycia, która nie była na prąd, tylko miała taki pedał, który trzeba było naciskać, a ona ledwo do niego sięgała i dlatego musiała przymocować do niego duży drewniany klocek. Ale teraz to nie miało większego znaczenia, ponieważ dzisiaj po raz pierwszy miała ją przymierzyć, pokazać się w niej komuś.

Sukienka.

Lydia uśmiechnęła się i poczuła, że palą ją policzki. Gotowa sukienka już od jakiegoś czasu wisiała w szafie, ale ona nie chciała jej wyciągać. Czekwała na okazję. Wizyta *kontrolerów* nie była powodem do świętowania, ale po co wkładać sukienkę, jeśli nikt jej nie zobaczy, prawda? A dziadek Willy nie przejmował się takimi rzeczami. Zresztą miał ku temu powód, wiedziała o tym. Przemysł modowy w znacznym stopniu przyczynił się do tego, że kuli ziemskiej grozi zagłada i że wkrótce nastanie *długi czas*. Gdyby wszyscy kupowali tylko te rzeczy, których naprawdę *potrzebują*, przyroda wciąż by rozkwitała. Ale ludzie tak nie myśleli. Byli zarozumiałymi, egoistycznymi istotami, które lubiły udowodniać, że

są ładniejsze lub lepsze od innych. Dawali temu wyraz na zewnątrz, nierzadko za pomocą ozdób, do których wykonania używano surowców wydobywanych w afrykańskich kopalniach przez niewolników, lub szminek testowanych na zwierzętach, które z tego powodu umierały. Ale najczęściej posługiwali się ubraniami albo *modą*, jak mówili. Moda była czymś, co podlegało ciągłym zmianom, ale nie z konieczności, lecz dlatego, że ci, którzy produkowali ubrania, nie zarabialiby kroci, gdyby ludzie przez cały czas chodzili w tych samych rzeczach i nie kupowali nowych. I dlatego projektanci zawarli podstępłą umowę z gazetami i magazynami na całym świecie, że będą udawać, iż moda jest niezbędna do życia. I jeśli ludzie nie ulegają tej modzie, są głupi i mniej warci od innych. W ten sposób zarówno czasopisma, jak i sprzedawcy ubrań zarabiali pieniądze na czymś, czego właściwie ludzie nie potrzebowali. Wyjątkowo chytry plan, stwierdził dziadek Willy, kiedy tłumaczył jej, jak to wszystko się ze sobą łączy. *Chciwi ludzie są z jakiegoś powodu niewiarygodnie sprytni, na czym cierpi cała reszta społeczeństwa.* Mądrze powiedziane, pomyślała Lydia i natychmiast zapisała to zdanie w swojej książce, w której wklejała znalezione drobiazgi i zapisywała myśli, które przychodziły jej do głowy podczas wycieczek po okolicy. Na przykład, kiedy zobaczyła orła, który tak cudownie, lekko i majestatycznie szybował po niebie, pomyślała, że to dziwne, dlaczego orły nie decydują o tym, co dzieje się na ziemi, zamiast tych głupich ludzi, przez których wkrótce nastanie *długi czas*.

I dlatego Lydia zrobiła to, co zawsze powtarzał dziadek Willy: *Zanim stworzymy coś nowego, musimy wykorzystać to, co mamy.* Na początku to było nieco trudne, ponieważ wszystkie ubrania, które mieli, własnoręcznie uszył dziadek Willy lub ona i większość z nich była ze skóry upolowanych zwierząt albo z owczej wełny, więc nie prezentowały się jakoś szczególnie elegancko, a kiedy ktoś przychodzi z wizytą, człowiek chce wyglądać ładniej niż zwykle. Lydia długo się nad tym głowiła, aż w końcu wpadła na pomysł. Wiedziała, że nie powinna tego robić, ponieważ *zakazana skrzynia* właśnie taka była – bardzo zakazana i zamknięta na klucz i wszystko, co się w niej znajdowało, okrywała tajemnica, i nikt nie powinien do

niej zaglądać, nigdy, przenigdy. Ale Lydia wiedziała, gdzie dziadek Willy przechowuje każdą rzecz. On już taki był. Zapominalski. Dlatego stworzył system i każda rzecz miała swoje miejsce. Sekretne rzeczy również. Na przykład klucz do *zakazanej skrzyni*. Wiedziała, że nie powinna, że nie wolno jej tego robić, ale od tak dawna na dworze panowały ciemności, wszędzie leżał śnieg, ale nie taki cichy, zabawny, pokrywający ziemię, nie, wilgotny i wirujący, który sprawiał, że wracała przemoczona do suchej nitki, kiedy wychodziła z domu, żeby wydoić kozy. Poza tym nie miała nikogo, z kim mogłaby się pobawić. Żadnych innych dzieci. Bo inne dzieci były albo głupie, albo złośliwe, prawda? Miały różne choroby w ciele i w głowie i jeśli człowiek się od nich zaraził, to albo stawał się taki jak one, albo chorował tak ciężko, że nie zdoła przeżyć *długiego czasu*.

I dlatego to zrobiła.

W dniu, w którym dziadek Willy udał się do Vassenden, żeby kupić towary, których nie mogli sami zrobić lub wyhodować.

Chociaż nie miała prawa.

Wdrapała się na krzesło, wyjęła klucz ze starej papierošnicy leżącej na szafce, zeszła po stromej drabinie do piwnicy, usunęła chodniki i drżącymi palcami otworzyła skrzynię, na której były wymalowane róże. Zrobiła to już kiedyś, raz, i stąd wiedziała, co znajduje się w środku. Kwieciste zasłony. Za pierwszym razem odważyła się jedynie zajrzeć do skrzyni, ale teraz, zimą, była odważniejsza. Zresztą nic w tym dziwnego, bo przecież skończyła dwanaście lat. A dwanaście lat to ważny wiek. Bo od tej pory dziecko mogło samo o sobie decydować. Dziadek Willy mówił, że w życiu ważne są dwa dni. Dzień dwunastych urodzin, bo od tej chwili można decydować o tym, gdzie chce się mieszkać, gdyby w domu pojawiły się jakieś problemy i mama i tata postanowili przeprowadzić się każdy do swojego domu. Na świecie wiele się działo, ponieważ miłość nie była prosta i wiele osób wiązało się z kimś za wcześnie, a potem rodziły się dzieci, ponieważ dorośli wierzyli, że zawsze będą się lubić, ale ludzie się zmieniają i nagle okazywało się, że już tak bardzo się nie lubią i wtedy dochodziło do czegoś, co nazywa się rozwodem. I dorośli, którzy nie byli zbyt

mądrzy ani mili, wyładowywali się na dzieciach. Dlatego państwo zdecydowało, że dwunastoletnie dzieci mogą decydować o sobie. Czuła się wyjątkowo tamtego dnia. Dziadek Willy wstał jeszcze wcześniej niż zwykle, upiekł dla niej ciasto i posprzątał cały dom, a kiedy zdmuchnęła wszystkie świece, rozpłakał się, pogłaskał ją po włosach i powiedział: *Jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie*. Wtedy poczuła ciepło w całym ciele i to uczucie towarzyszyło jej przez wiele dni. Przyszło jej do głowy, że w sumie to trochę dziwne, że dziadek Willy wypowiadał się pochlebnie o czymś, o czym zdecydowało państwo, o tym prawie dwunastolatku do decydowania, ale nie chciała więcej go o to pytać. Osiemnaście lat. To był drugi wielki dzień w życiu. Dwunaste urodziny były najważniejsze, a osiemnaste liczyły się głównie dla tych, którzy mieszkali w wielkim świecie, ale i tak nie mogła się ich doczekać. Chociaż przypuszczała, że *długi czas* nastanie przed jej osiemnastymi urodzinami, miło było mieć coś, na co się czeka. To było lepsze, niż nie cieszyć się z niczego.

Drżała z podekscytowania, gdy niemal z nabożną czcią wyciągnęła suknię z szafy i pozwoliła, by ubranie ze skóry jelenia opadło na podłogę. Lustro było nieduże i dość brudne, ale udało jej się w nim przejrzeć, gdy ostrożnie włożyła kwiecistą sukienkę i stanęła w najlepiej oświetlonym miejscu pod oknem.

Och.

Jaka była piękna.

Obróciła się i uśmiechnęła.

Czy zapukać do drzwi dziadka Willy'ego?

Pokazać mu, jak cudownie wygląda?

Nie.

Lepiej nie.

Chciała nacieszyć się chwilą.

Lydia Clemens uśmiechnęła się szeroko, pobiegła w podskokach na korytarz i włożyła kozaki.

A potem pobiegła aż do bramy.

Żeby czekać.

Fredrik Riis stał pochylony nad ziemią w miejscu, gdzie mokra leśna ścieżka przechodziła w utwardzoną szutrową drogę, i z ulgą odnotował fakt, że tym razem pogoda jest po jego stronie. Deszcz. Deszcz sprawił, że zarówno błotnista ścieżka, jak i szutrowa droga zrobiły się grząskie, dzięki czemu wystarczyła chwila obserwacji, by je zauważyć. Ślady pozostawione przez quada. Prowadziły na południe. Wrócił do samochodu i rozłożył mapę na masce. To jak szukanie igły w stogu siana, oczywiście. Ze wszystkich stron był otoczony lasami. Szutrowa droga biegła na północ, do rezerwatu przyrody Gullenhaugen, po czym skręcała na zachód do Øyangen i dalej do drogi krajowej 120 w pobliżu jeziora Hurdalssjøen. Stamtąd sprawca mógł udać się właściwie w każdą stronę: w dół do Eidsvoll, w górę do Hurdal. Właściwie ile benzyny mieściło się w zbiorniku takiego czterokołowca? Ile to mogło być? Trzy litry? Maks? Poszczególne modele miały na pewno różną pojemność, ale nie były przecież skonstruowane z myślą o długich dystansach, więc jak daleko mógł na nim dojechać? Fredrik wyprostował się i rozejrzał wokół siebie.

Ta świnia gdzieś tam jest.

W pobliżu.

Znowu pochylił się nad mapą. Zjazd z Gamle Hurdalsveg. Jak daleko było stąd do tego miejsca? Trzy kilometry? Sześć? Okej. To znaczy, że sprawca miał do pokonania około sześciu kilometrów, zanim dotarł do asfaltowej drogi. Tam zapewne urwą się ślady. To musi być gdzieś tam. Na szutrowej drodze. Ile zjazdów naliczył, jadąc tutaj? Jeden do miejsca wycinki, z wielkimi stosami drewna na końcu drogi. Jeden do czegoś, co wyglądało jak zbiornik retencyjny. W każdym razie tablice informacyjne należały do gminy. Na ostatnim zjeździe, z którego w porę się wycofał, prawie utknął.

Fredrik Riis upewnił się, że widzi ślady, po czym wsiadł do samochodu.

Wciąż czuł jej zapach.

Miękka skóra pod prześcieradłem.

Potem jej uśmiech na poduszce.

Nauczycielka.

Silje Simonsen.

Cholera, Fredrik, jakbyś nie miał wystarczająco dużo na głowie.

Jedna butelka wina zamieniła się w dwie. Świat zatrzymał się na chwilę nad kuchennym stołem, a on dał się porwać temu, jak lekko i łatwo im się rozmawiało. Banał. Zupełnie jakby znali się od dawna. Z czasem był coraz bardziej zamroczony, cicha muzyka płynąca w tle, Billie Holiday, w kółko ta sama płyta, palce Silje coraz bliżej jego dłoni na stole.

Na szczęścieteczka z Urzędu do spraw Ochrony Praw Dziecka nie była takim dramatem, jak się spodziewał. To znaczy było źle, owszem, na tyle źle, że kierownictwo w końcu zrobiło aferę. Wezwało ojca na rozmowę. Nie mieli wystarczających dowodów przeciwko niemu, ale zwrócił uwagę na końcową opinię kuratorki. *Wydaje się, że ojciec cierpi na brak empatii, dlatego zalecam dalszą uważną obserwację jego relacji z synem.* Wyznaczono datę kolejnego spotkania, ale wyglądało na to, że do niego nie doszło. Fredrik również odniósł wrażenie, że coś jest nie tak, gdy się dowiedział, że chłopiec zostawał w samochodzie, podczas gdy ojciec kupował jedzenie tylko dla siebie, ale żeby zaraz zabójstwo? Nie, nie znalazł nic, co by na to wskazywało. Musiał porozmawiać z Munchem. Tak czy inaczej, nie zaszkodziło ściągnąć faceta na przesłuchanie. Jeśli do tego czasu nie schwytają sprawcy. Niedopałki. Z zagajnika. Stuprocentowa zgodność DNA. Nadal nie do końca rozumiał, jak ona na to wpadła. Studentka. Mia Krüger. Pierwszego dnia ludzie szeptali na korytarzach, ale teraz panowała całkowita cisza. Dziewczyna oczarowała ich wszystkich, nawet Oxen przestał zrzędzić.

Oxen.

Nie, nie był w stanie teraz o tym myśleć.

Zaklął cicho nad kierownicą. Ślady nagle się urwały. Droga była zbyt twarda. Wsiadł szybko z samochodu i rzucił się na kolana.

Nie.

Cholera.

Kałuża na samym dole przy wyjeździe na Gamle Hurdalsveg wyglądała obiecująco, ale tutaj na asfalcie niczego nie znalazł.

Chwilę później odebrał wiadomość, która wybiła go nieco z rytmu.

Hej, przystojniaku. Jestem dziś „chora”. Myślę o tobie. S.

Znowu wyszedł na asfalt, stanął i spojrzał na las.

Czyżby coś przeoczył?

Czy był tam jeszcze jakiś zjazd, którego nie zauważył?

Niech to szlag.

Okej.

Wsunął telefon do kieszeni kurtki, usiadł za kierownicą i włączył silnik.

Powoli ruszył z powrotem wąską szutrową drogą.

MUNCHOWI PRAWIE ZROBIŁO się jej żal, gdy siedziała ze spuszczoną głową na masce audi, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach czarnej skórzanej kurtki. Przypomniał sobie, że musi opiekować się tą młodą dziewczyną, bo jest delikatna i wcale nie tak twarda, za jaką chciała uchodzić. Kiedy podniosła wzrok i zaczęła się przyglądać niskim blokom stojącym przed nimi, wydawała mu się niemal przezroczyta. Głos Anette w telefonie, chociaż właściwie jej nie słuchał.

– Dreyer jest wściekła. Czytałeś dzisiejsze gazety?

– Co?

– Weź się w garść. Dreyer chce się z tobą spotkać. Powiedziałam jej, że wpadniesz jutro do Grønland, okej?

Westchnął i zapalił kolejnego papierosa.

– Mam się z nią spotkać? Po co?

Anette prychnęła z rezygnacją.

– Na litość boską, Holgerze, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Czytałeś dzisiejsze gazety?

Pierwsze strony obu największych gazet.

Wciąż brak ustaleń w sprawie zabójstwa chłopców.

Policja nie chce rozmawiać z prasą.

Czy władze mają coś do ukrycia?

– Co mówiłaś?

– Do jasnej cholery! Wiesz, że dla niej to ważne. Żebyśmy dobrze wypadli. Obowiązek wobec społeczeństwa. Ja mam to gdzieś, ale z jakiegoś powodu to stało się moją pracą. Jestem łącznikiem między tobą a Dreyer. Może od tej pory sam zaczniesz odbierać wszystkie telefony od niej? Bo ja powoli mam tego dość.

Brzmiała tak, jakby wstała lewą nogą, jeśli w ogóle spała tej nocy.

Prasa?

Co, do cholery, prasa ma z tym wspólnego?

– Jesteś tam?

Mia uniosła głowę i znowu wpatrywała się w piętro bloku, skąd niedawno wyszli.

– Tak, wyluzuj. Spotkam się z nią jutro, okej?

– Nie mów mi, że mam wyluzować.

– W porządku. Zajmę się tym, Anette, okej?

– I mogę zwołać konferencję prasową na dziś wieczór?

– Po co?

– Po co?

Słyszała, że aż się zapowietrzyła.

– Możesz ją zwołać, ale nie będę z nikim rozmawiać. Do cholery! Nie jestem żadnym celebrytą. Mam zadanie do wykonania...

– Owszem, ale tym razem wypadałoby...

– Możesz mnie zastąpić. Albo niech Oxen to zrobi. Albo Ludvig?

– Ale...

– Nie, nie zmienię zdania. Wpadnę jutro do Dreyer, w porządku, ale na tym koniec. Udało ci się zrobić tę drugą rzecz, o którą cię prosiłem?

Przez chwilę cisza po drugiej stronie. Najwyraźniej prawniczka znowu musiała nabrać głęboko powietrza.

– Tak, rozmawiałam z Ullersmo²⁸.

– I?

– Zaczekaj, czy na pewno dobrze cię zrozumiałam? Wpadniesz do niej jutro? Mogę przekazać jej tę wiadomość?

– Jasne, możesz.

Odpalił nowego papierosa od poprzedniego.

– Naprawdę jeździ na wózku?

– Tak.

– Do diabła!

– Właśnie.

– W takim razie jak jego niedopałki wylądowały w lesie?

– Nie mam pojęcia. Mamy stuprocentową pewność?

Anette westchnęła.

– Powtarzam ci już piąty raz, rozmawiałam z nimi trzykrotnie, dla pewności powtórzyli badanie i tak, Paul Iverson to poszukiwany

przez nas człowiek. Jego DNA ujawniono nie na jednym, lecz na wszystkich trzynastu niedopałkach, które znaleźliśmy w zagajniku.

– Kurwa!

– Jaka jest nasza teoria? Jak niedopałki się tam znalazły?

– Tak, to jest pytanie za sto punktów. Niech Katja weźmie ze sobą ekipę z Grønland i sprawdzi, czy Iverson może nam podać nazwiska znanych mu osób należących do środowiska przestępczego. Był totalnie zamroczony. W mieszkaniu śmierdziało, wszędzie walały się butelki. Zresztą może nie ma w tym nic dziwnego.

– Myślisz, że ktoś wyniósł niedopałki z jego mieszkania?

– Możliwe. Bo jak inaczej to wytłumaczyć? Nie wiem. Tak czy inaczej, mamy do czynienia z czymś zupełnie innym, niż początkowo zakładałem. Mam na myśli również to, że musimy być bardziej czujni niż do tej pory.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To wszystko wydaje się dużo lepiej zaplanowane, niż sądziłem. Facet jest bystrzejszy, niż przypuszczałem. Sama studnia jest dowodem na to, że zbrodni nie dokonano w afekcie, a jednak podrzucenie niedopałków to coś zupełnie innego, nie uważasz? Zupełnie jakby się z nami bawił. Musimy być ostrożniejsi. Chcę być natychmiast informowany o wszystkim, co może choćby *przypominać* zaginięcie, okej?

– W porządku. Chłopcy i dziewczynki w wieku od ośmiu do dwunastu lat?

– Tak.

Znowu spojrzął na pochyloną głowę Mii.

– Albo nie. Tylko chłopcy. On lubi chłopców. I to muszą być blondyni.

– Dlaczego tak uważasz?

– Okej, niech będą wszyscy chłopcy. Od ośmiu do dwunastu lat.

– Chcesz wtajemniczyć media? Przekazać ostrzeżenie całemu społeczeństwu?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, na razie się z tym wstrzymajmy. Jutro przedyskutuję tę sprawę z Dreyer.

Anette zaśmiała się pogardliwie.

- Chciałabym to zobaczyć.
- A co z Ullersmo? To tam złamał kręgosłup?
- Tak. Na siłowni. W aktach napisali, że to był nieszczęśliwy wypadek, ale nie bardzo w to wierzę. W końcu znaleźli go z dwudziestokilogramową sztangą na plecach.
- Do diabła!
- No właśnie.
- Myślisz, że chodziło o porachunki? Mamy jakieś informacje stamtąd?
- Nie rozmawiałam z najlepiej poinformowanymi ludźmi na świecie, ale w papierach, które przesłali, nic nie znalazłam. Może to było podziękowanie?
- Za napad na bank?
- Znowu westchnęła.
- Nie wiem. Tak czy inaczej, dla nas to nie ma chyba większego znaczenia. Rozmawiałaś z nią? Z Katją?
- Tak, już tu jedzie. Mamy przybliżony czas?
- Czego?
- Wiemy, jak stare były te niedopałki? Kiedy je tam pozostawiono?
- Nie, ale ty powinieneś znać się na tym lepiej ode mnie. Możemy sprawdzić twoje popielniczki na werandzie. Zobaczymy, jaką przeszły metamorfozę od zeszłej jesieni, odkąd zacząłeś palić na zewnątrz.
- Ha, ha.
- Wątpię, czy są w stanie superdokładnie określić czas, ale zapytam.
- Kiedy wyszedł?
- Sześć miesięcy temu.
- Okej. Dowiedz się, czy mogą nam coś dać sprzed odsiadki albo przynajmniej z okresu po jego wyjściu na wolność.
- Zrobi się.
- Zapadła cisza.
- Tak? – odezwała się w końcu Anette.
- Co?
- Dziękuję, Anette. Za wszystko, co dla mnie robisz.

– Sorry. Oczywiście. Dziękuję, Anette. Za wszystko, co dla mnie robisz.

– Tak lepiej. To nie było wcale takie trudne, prawda? Wspólna odprawa u nas o osiemnastej?

Spojrzał na zegarek.

– Powiedzmy o dziewiętnastej.

– Okej.

Ledwo zdążył nacisnąć czerwony guzik, gdy telefon znowu zadzwonił.

Tym razem to był Fredrik Riis.

– Cześć, jak poszło?

Zdyszany głos w słuchawce.

– Mam go.

– Co?

– To znaczy, nie dosłownie, ale mam go. Na nagraniu z kamery monitoringu.

– Gdzie jesteś?

– Na stacji ESSO na Maura. Jesteś w biurze?

– Właśnie tam jadę.

– Okej, zaraz będę.

MIA KRÜGER WYSIADŁA z samochodu przed willą na Inkognitogata, okrążyła auto i podeszła do Muncha.

– Spotkasz się teraz z Patrickiem? – zapytał Munch.

– Tak, już tu jest. Porównamy to, co mamy. Zanurzymy się w to razem.

– Świetnie – przytaknął Munch. – O dziewiętnastej mamy wspólną odprawę, ale wy nie musicie przychodzić. Róbcie to, co do was należy.

– Dzięki – powiedziała i otuliła się szczelniej kurtką.

Na dworze nie było wcale tak zimno, ale z jakiegoś powodu zmarzła.

Munch rzucił jej zaciekawione spojrzenie.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

– Tak, jasne.

– Wyciągnęłaś coś z tego?

– Z czego?

– Z naszego spotkania? Z Iversonem? Może powinienem cię uprzedzić i nakreślić sytuację, ale chciałem...

Wzruszył lekko ramionami.

– Chciałeś dobrze?

– Nie. Chciałem zobaczyć, czy przyjdą ci do głowy jakieś myśli, sam nie wiem...

– Czy będę miała wizję?

Zaśmiał się lekko.

– Chyba tak...

– To tak nie działa.

– Właściwie nie wiem, co sobie myślałem.

Podrapał się po czole i spojrzał na nią przepaszającym wzrokiem.

– Na co liczyłeś? Że doznam szoku, widząc go na wózku, i rzucę się na podłogę, zacznę trząść i mówić językami? *Zrobił to jednoręki*

mężczyzna. Coś w tym stylu?

Zaśmiał się znowu.

– Nie wiem, Mio.

– Patrzę na rzeczy i rozumiem rzeczy. Czasem to działa, a czasem nie.

– Rozumiem. Przepraszam, powinienem był cię uprzedzić. Tak byłoby lepiej. Ale powiedz mi, co o tym sądzisz?

– O tym, że jeździ na wózku? A mimo to znaleźliśmy jego niedopałki w zagajniku?

– Tak.

Wzruszyła lekko ramionami.

– To oczywiste. Ktoś inny musiał je tam podrzucić.

– Prawda? Ale czy to czyni sprawę wyjątkową? – Zmarszczył brwi i wyjął z paczki nowego papierosa. Nie zamierzał tak łatwo odpuścić. – Czy jest coś, czego mi nie mówisz? – spytał w końcu.

– Co masz na myśli?

– Co prawda znamy się dopiero od kilku dni, ale pierwszy raz widzę cię taką. Muszę mieć pewność, że dasz sobie radę. Biorę za ciebie pełną odpowiedzialność. Czy u tego faceta dostrzegłaś coś, o czym mi nie powiedziałaś? A może to dla ciebie za wcześnie? Może wolałabyś wrócić do szkoły? Zawsze będzie czekało na ciebie miejsce w moim zespole. To wszystko stało się bardzo szybko. Może w przyszłym roku wrócimy do tematu? Czy to byłoby dla ciebie lepsze rozwiązanie?

– Dziękuję, ale radzę sobie. Prześlij mi nagranie ze stacji benzynowej, to, które znalazł Fredrik, okej?

– Oczywiście.

Czuła jego wzrok na swoich plecach, gdy zaczęła się oddalać.

Miał rację?

To było dla niej za wcześnie?

Zamknęła za sobą drzwi.

Nie.

Pieprzyć to.

Najwyższy czas wydorosnąć.

– Patricku, jesteś tu?

– Na górze.

Szwed stał na środku pokoju, obejmując dłońmi kubek z kawą. Twarz miał zwróconą w stronę nowych fotografii wiszących na ścianie.

– Zaczynajmy – zaproponowała i stanęła obok niego.

FREDRIK RIIS NIE należał do próżnych osób, chociaż najwyraźniej wszyscy uważali inaczej z uwagi na strój, w którym pojawiał się w pracy każdego dnia. Podobały mu się jednak pełne uznania spojrzenia, jakie rzucano w jego stronę w sali odpraw. Nawet Oxen dał wyraz swojej aprobacie lekkim skinieniem głowy.

– Okej, słuchajcie – odezwał się Munch stojący obok ekranu. – Wszyscy widzieliśmy film i oczywiście obejrzymy go jeszcze raz, ale najpierw musimy wszystko poukładać i dlatego zaczniemy od początku. Bo chociaż wydawało nam się, że coś już ustaliliśmy, byliśmy w błędzie, prawda? Jeśli wierzyć mediom, jesteśmy bandą idiotów, chociaż śledztwo trwa dopiero od tygodnia. Ale oczywiście czuję, wy na pewno również, że nie siedzimy już w fotelu kierowcy. Ślady, które zebraliśmy, do niczego nas nie doprowadziły, a sądząc po nagraniu, które załatwił nam Fredrik, w tej sprawie chodzi o coś więcej, niż początkowo zakładaliśmy. Przepięknie zostało zaplanowane, zgadzacie się? Nie chcę przez to powiedzieć, że sprawca bawi się z nami, ale na pewno jest o wiele bardziej świadomy, niż przypuszczaliśmy, to znaczy świadomy *nas* i wie, jak wyprowadzić nas w pole. Dwanaście niedopałków w zagajniku? Serio? Dziś wieczorem pozwoliłem Mii pracować razem z Patrickiem i mam nadzieję, że wkrótce wrócimy na właściwy kurs, bo szczerze mówiąc, w tym momencie jestem lekko zdezorientowany.

Rozejrzał się wśród zgromadzonych osób i skinął głową Ludvigowi, a ten wyłączył światło.

– I dlatego zrobimy tak: zaczniemy od nowa. Nikt się nigdzie nie wybiera. Jeśli macie do załatwienia jakieś inne sprawy, odwołajcie je. Zostajemy na miejscu, dopóki nie poczujemy, że znowu jesteśmy na tropie.

Przez salę przeszedł szmer, szczególnie głośno mamrotał Oxen, ale Munch go zignorował.

– Zaczynamy – powiedział i włączył projektor.

Znowu zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok.

Powrót do dnia numer jeden.

– W niedzielny poranek na polu zostały znalezione ciała Rubena i Tommy’ego. Chłopcy zostali zamordowani. Wiemy, że wcześniej byli w studni i że sprawca zwabił ich tam podstępem, a następnie udusił.

Nowy slajd.

– Jak długo przetrzymywał ich w studni, tego nie wiemy, ale wiele wskazuje na to, że się nie spieszył.

Kolejny slajd.

– To znaleźli w studni nasi technicy.

Majtki w przezroczystej torebce dowodowej.

– Wiemy, że należały do Rubena i że chłopiec miał je na sobie tamtego wieczoru, gdy zaginął. A to znaczy...

Powrót do zdjęć ciał na polu.

– Ile czasu mu to zabrało, tego nie wiemy, ale możemy przypuszczać, że zdarzenie miało właśnie taki przebieg.

Czerwona obudowana studnia. Fredrik przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. Zapach. Wrażenie, że dusi się w ciasnym pomieszczeniu.

– Jeśli Mia ma rację, sprawca lubi patrzeć. Strona wizualna z jakiegoś powodu daje mu kopa. I znowu, jak widzicie...

Wrócili do dokumentacji fotograficznej z pola, do zdjęcia zrobionego w pewnej odległości od miejsca znalezienia zwłok.

– ...ułożenie ciał najwyraźniej było dla niego ważne. Być może starał się odtworzyć jakieś dzieło sztuki albo to, co zrobił, samo w sobie jest dziełem sztuki. Moim zdaniem najbardziej prawdopodobna jest ta druga wersja. Chcąc zrozumieć sprawcę, musimy najpierw zrozumieć, co wywołuje u niego przyływ adrenaliny. Co lubi? Nie wiem, czy pamiętacie Dennisa Nilsena.

Kilka osób skinęło głową.

– No właśnie. Seryjny morderca z Londynu, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dwudziestego wieku pozbawił

życia co najmniej piętnastu chłopców i mężczyzn. Był homoseksualistą. A także nekrofilem. Były policjant. Wyleciał po tym, jak złapali go na gorącym uczynku, kiedy zabawiał się z ciałami w kostnicy.

– Ja pierdolę...

– Podrywał mężczyzn, zwykle narkomanów albo bezdomnych, a najprawdopodobniej bezdomnych narkomanów, zapraszał ich do swojego domu, pił z nimi, zabawiał się, a potem – i tu uwaga – faszerował prochami, a następnie dusił.

Znowu szepty na sali.

– Ale ten tutaj nie robił tego ze zwłokami?

Anja Belichek, prawie piszczącym głosem.

– Nie, nic nie wskazuje na to, żeby nasz sprawca to lubił. I znowu, jak powiedziała Mia, wygląda na to, że kręci go strona wizualna. W ten sposób się realizuje, że tak to ujmę. Ale wróćmy na chwilę do Dennisa Nilsena. Po tym, jak już zabił swoje ofiary, często robił z nimi różne rzeczy. Kąpał się ze zwłokami, spał z nimi, oglądał z nimi telewizję...

– Ee, jak już nie żyli?

– Tak, ze zwłokami. A potem rozczłonkowywał ich ciała w swoim mieszkaniu, gotował ich głowy i zakopywał w przydomowym ogrodzie. Większości ofiar nie udało się zidentyfikować.

– O kurwa...

– Rozumiem, że to może być dla ciebie trochę za dużo, Anju, więc lepiej zamknij oczy. Chcę tu mieć was wszystkich. To bardzo ważne, żebyśmy wszyscy dobrze to zrozumieli.

Przyłożył palec do zdjęcia obudowanej studni.

– A więc tutaj się to rozegrało. Najprawdopodobniej czekał na to od dawna. Żeby znowu poczuć się w swoim żywiole. Tak jak w przypadku Dennisa Nilsena. Zgadza się ze mną?

Zbiorowe skinienie głową.

– A więc tutaj. Zastawia pułapkę. Pornomagazyny i oranżada. Valium i rohypnol. I znowu, zwróćcie na to uwagę, te substancje nie zabijają, ale są tak silne, że chłopcy nie mieli praktycznie żadnej szansy, by się bronić i, miejmy nadzieję, tak bardzo byli oszołomieni, że nie rozumieli, co się dzieje.

– Naprawdę muszę...

Maniaczka komputerowa Anja wstała i opuściła salę.

– Okej, w porządku. Krążyliśmy wokół tego przez chwilę, ale uważam, że najwyższy czas zmierzyć się z tym, kim właściwie jest sprawca. Ja to widzę tak, że nie samo zabójstwo daje mu kopa. Wydaje mi się, że on delectuje się tą chwilą, kiedy jeszcze oddychają, ale są tak odurzeni, że może z nimi robić, co chce.

Cofnął się o kilka slajdów.

– Jak widzicie, starannie się nimi zajął. W każdym razie Rubenem, który zdaniem Mii jest główną postacią tego makabrycznego przedstawienia. Myślę, że Mia ma rację. Sprawca uczesał Rubena. Wypielęgnował paznokcie u jego rąk. Zajął się nawet palcami u stóp. Zwróciliście na to uwagę za pierwszym razem? Wszystkie drobne rany zostały przemyte. Technicy znaleźli ślady chloroheksydyny²⁹. Na początku nie rozumiałem, po co to zrobił, ale teraz odpowiedź sama się nasuwa, prawda? Chciał, żeby ciało było nieskazitelnie czyste. A więc robi to wszystko w środku. Spójrzcie tutaj...

Wnętrze obudowanej studni.

– Tak, Karl, wiem, że wszyscy to widzieliśmy i rozmawialiśmy o tym wcześniej, ale zrobimy to jeszcze raz, więc zetrzyj z twarzy tę minę, bo szybko stąd nie wyjdziemy.

Tego wieczoru Munch najwyraźniej nie miał dobrego humoru.

Oxen skinął głową i poprawił się na krześle.

– Spójrzcie.

Znowu palec na ekranie.

– Zamek, od wewnątrz. Zamykał się od środka, by móc delectować się tą chwilą tak długo, jak to tylko było możliwe. Jak wicie, znaleźliśmy tam resztki świec i jeśli były nowe, chociaż tego oczywiście nie wiemy, to kiedy zaczynał, robił to przez...

Spojrzał na Anette.

– Około pięciu godzin – dokończyła Goli.

– Dziękuję. Zgodnie z tym, co zeznali Lundgrenowie, Ruben uciekł przez okno w swoim pokoju około...

– Jakoś po dwudziestej drugiej trzydziści – uzupełnił Fredrik.

– Dokładnie tak. Załóżmy, że chwilę odczekał, aż rodzice pójdą spać. Powiedzmy, że czekał do północy. Odurzenie chłopców zajęło mu około dwudziestu minut, do pół godziny. W końcu chłopcy zasypiają, a on przystępuje do pracy. Robi to przez mniej więcej pięć godzin, aż do, powiedzmy, szóstej nad ranem.

Nowy slajd, powrót na pole.

– Chwila minęła. W każdym razie pierwszy punkt kulminacyjny. Ale potem przychodzi następny. Ten, którego na początku nie byliśmy świadomi, a o którym wiemy teraz. Dla niego to wcale nie był koniec. Przetransportował ciała na pole białą furgonetką. Musiał ją gdzieś ukryć. Przypuszczamy, że właśnie ten dostawczak był widziany za warsztatem samochodowym.

– Za jakim warsztatem samochodowym?

Fredrik nachylił się nad Katją, a ona przewróciła oczami i szepnęła:

– Dzisiaj nadeszła. Z Grønland. Informacja od świadka, której do końca nie zrozumieli.

Na ekranie mapa.

– Jak widać, warsztat znajduje się tutaj. Powrót zabrał mu około trzydziestu minut. Następnie sprawca udał się tu...

Teraz zagajnik.

– ...gdzie zajął miejsce, żeby nas obserwować.

– Chory sukinsyn.

Oxen ponuro potrząsnął głową.

– Ale jakim cudem udało mu się nas minąć? Jeśli był tam na górze, kiedy my przebywaliśmy na polu?

Anja Belichek stanęła w drzwiach.

– Właśnie, zastanówmy się nad tym. Szczerze mówiąc, możliwości jest cała masa. Nie mijał nas, przypuszczam, że nie odważyłby się tego zrobić, ale jeśli przyjrzy się mapie, zobaczycie, że okolica jest usiana ścieżkami. Na przykład jedna biegnie tutaj i prowadzi na pole. Jak widzicie, mógł z łatwością zejść spacerkiem do warsztatu i odjechać.

– Ale dlaczego...?

– Tak, Katjo?

– Nie, po prostu zastanawiam się, po co tak ryzykował? Do cholery, przecież my tam byliśmy.

Munch wzruszył lekko ramionami.

– Może wkalkulował to ryzyko? I znowu, jeśli Mia ma rację, niemal tak samo ważna jak zabójstwo była dla niego obserwacja. Przyglądanie się, jak odnajdujemy jego dzieło sztuki. Jak kot, który przynosi upolowaną mysz. Duma. Patrzcie, czego dokonałem.

– O Boże...

– A teraz chciałbym, żebyśmy omówili szybko to, co zobaczyliśmy dzisiaj na nagraniu z kamer monitoringu, zwłaszcza końcówkę. Co robi nasz sprawca po napełnieniu benzyną dodatkowych kanistrów? Wciąż ma na głowie kask, ale...?

Spojrzeli na niego.

– Staje przed kamerą – mówił dalej Munch – z kanistrami w obu rękach. Zakładał, że dotrzemy do tego nagrania, i wysłał nam jakąś wiadomość, zgadza się? Co to za wiadomość?

Rozejrzał się po sali.

Znowu wszystkie pary oczu utkwione w niego.

– Mogę jechać tak daleko, jak zechcę. Jeśli wydawało wam się, że mnie tutaj znajdziecie, to byliście w błędzie.

– Dokładnie tak – przytaknął Munch i nacisnął guzik pilota.

Zdjęcie rodziny Lundgrenów.

– Zaczynamy od początku. Sprawdzamy każdy najmniejszy szczegół. Począwszy od najbliższych. Fredrik?

– Tak.

Fredrik Riis wyjął z torby notatki i podszedł do projektora.

MIA SIEDZIAŁA NA podłodze przed pustą filiżanką po kawie i czuła, że ta myśl ciągle w niej siedzi. Że może jednak jest za wcześnie. Może faktycznie nie jest jeszcze gotowa. Wydawało jej się, że zobaczyła to w jego spojrzeniu. Zwątpienie. *Owszem, masz talent, ale to nie jest czytelnia w bibliotece, to rzeczywistość.*

– Czemu tak nagle zamilkłaś?

Patrick podniósł wzrok znad notatek.

Mia przygryzła wargę. Nie wiedziała, czy podzielić się z nim tymi myślami, ale w końcu się poddała.

– Obawiam się, że nie dam rady.

– Co masz na myśli?

Szwed położył notes na podłokietniku.

– Sama nie wiem.

Kiwnęła głową w kierunku zdjęć wiszących na ścianie.

– Mam wrażenie, że nic więcej tam nie zobaczę. Żadnych powiązań. W głowie mam jeden wielki chaos.

– To się zdarza nawet najlepszym.

Wstał i otworzył okno, które mieli za plecami. Dźwięki miasta, bliskie, a mimo to dolatujące jakby z oddali. Będąc tu z nim, czuła się dziwnie bezpieczna. Znali się zaledwie od tygodnia, a jednak miała wrażenie, że może na nim polegać w stu procentach. Chociaż to nie było w jej stylu. W każdym razie raczej nie. Zwykle podchodziła do ludzi ze sceptycyzmem. Bardzo długo trwało, zanim dopuściła kogoś do siebie. W większości przypadków za długo. Pewnie dlatego miała niewielu przyjaciół.

– Może zrobimy sobie przerwę?

– Nie – odparła stanowczym tonem i podniosła się z podłogi.

Podeszła do ściany i zaczęła ściągać fotografie.

– Co robisz?

– Zaczynam od nowa. Nic tu nie widzę. Może zdjęcia wiszą w niewłaściwej kolejności?

Stała tuż przy niej.

– Może zresetujemy głowy? Przewietrzmy się? Pójdziemy na spacer?

– Nie – powtórzyła i zaczęła porządkować zdjęcia na podłodze.

Cholera jasna.

Przecież to musi gdzieś tu być, prawda?

– Czego nie widzisz? – spytał, kładąc po przyjacielsku dłoń na jej ramieniu.

– Dlaczego.

– Dlaczego to robi?

Odwróciła się w jego stronę i skinęła głową. Przeszła bosą po pokoju i z westchnieniem osunęła się na krzesło, na którym przed chwilą siedział Patrick.

– Nie zawsze chodzi o odpowiedź na pytanie dlaczego – powiedział. – To takie typowe dla nas.

Uśmiechnęła się lekko, żeby ją pocieszyć.

– Dla nas, to znaczy dla kogo? Co jest typowe?

– Dla nas, ludzi. Zdrowych na umyśle. Którzy nie chcemy nikogo skrzywdzić. To nas przeraża, prawda? Kto robi takie okrutne rzeczy? Zabija jedenastoletnich chłopców? Potrzebujemy wytłumaczenia. Żeby każdego ranka mieć odwagę wstać z łóżka i wyjść z domu bez strachu. Odpowiedź na pytanie *dla czego* pomaga nam w tym, ale nie zawsze o to chodzi, nie uważasz? Czasem zło jest tylko złem. Jak myślisz, po co wynaleziono religię?

– Chętnie się dowiem.

– Żeby stworzyć iluzję, że gdzieś tam w górze istnieje coś dobrego, co ostatecznie zwycięży. Żebyśmy my, normalni ludzie, byli w stanie funkcjonować w świecie. Kiedy tracimy wiarę w dobro, tracimy wszystko, czyż nie?

– O matko, to było głębokie – odparła.

Zabrzmiało sarkastycznie, choć nie miała takiej intencji. Poczowała wyrzuty sumienia.

Przecież to nie jego wina.

Był w tym wszystkim jedynym pozytywnym elementem.

Do cholery, Mio.

Czego nie dostrzegasz?

– Jesteś pewna, że nie potrzebujesz przerwy? Może przejdziemy się po parku?

– Nie.

– Okej – odrzekł i stanął tyłem do w połowie pustej ściany. – Zastanówmy się nad tym razem. Nad motywem. Co wymyśliłaś do tej pory?

– Odnoszę wrażenie, że to wszystko to tylko spekulacje i domysły. Nie ma w tym żadnych konkretów.

– Och, daj spokój. – Westchnął i po raz pierwszy wydał jej się lekko zirytowany. – Przecież ty dostrzegłaś najwięcej. Ucho lisa? Litera?

– Tak, ale...

– Nie, naprawdę wyluzuj.

Wyjął flamaster z kieszeni spodni i podszedł do ściany z notatkami.

– Jedenaście lat. Wszyscy chłopcy mieli jedenaście lat. Co ci się z tym kojarzy?

No dalej, Mio.

To do ciebie niepodobne.

Wzięła się w garść.

– Może wtedy coś mu się stało?

– Co masz na myśli?

– Gdy sam miał jedenaście lat. Może to jest coś, co chce przeżyć jeszcze raz?

– Dobrze. – Uśmiechnął się i przyłożył flamaster do kartki.

– Jakież traumatyczne wydarzenie? Może je bada? Chce spojrzeć na nie z zewnątrz? Może to dlatego wszystko jest takie wystylizowane? Może chce nabrać dystansu do wydarzenia, którego sam był kiedyś ofiarą?

– W końcu ruszyliśmy z miejsca...

Uśmiechnął się i zanotował szybko.

– Coś więcej? Inne myśli?

– Sztuka – powiedziała i wyprostowała się lekko na krześle.

– Okej. Co z nią?

– Społeczeństwo wielbi artystów, prawda? Są tajemniczy, inni. Wcześniej wierzono, że artyści mają kontakt z bogami, prawda?

Była coraz bardziej podekscytowana.

– Tak, kontynuuj...

Patrick machał flamastrem.

– Chodzi mi o to, że obrazy Edvarda Muncha sprzedają się za setki milionów, każdego dnia ludzie przez wiele godzin stoją w kolejkach, żeby zobaczyć maleńką Monę Lisę...

Wstała i zaczęła chodzić w kółko.

– Co, jeśli on...?

Zamilkła.

– Jeśli on co?

– Może to jest prostsze, niż myślimy?

– To znaczy?

– Może on jest nikim. Ale ma ogromne ambicje. Chce stać się kimś wielkim, kim nie jest nawet w najmniejszym stopniu. Może właśnie kogoś takiego powinniśmy szukać?

– Jakiego?

– Nic nieznaczącego zera. Kogoś, kto jest nikim. Albo uważa, że jest kimś.

– Chodzi ci o... jego pracę?

Wzruszyła ramionami.

– Tak. Jeśli w ogóle ma jakąś pracę.

– Dobrze, Mio. – Uśmiechnął się. – To już jest coś.

– Tak?

Wyglądał tak, jakby chciał ją wyściskać.

– Absolutnie. Okej, mów dalej.

Odwzajemniła uśmiech.

– Okej, ale najpierw przyniosę sobie kawę.

DZIENNIKARZ „VG”, ALF Inge Myhren, czterdzieści lat, wciąż nie wiedział, jak ustosunkować się do informacji, którą otrzymał dwa dni temu, o planowanym zamknięciu oddziału w Molde. Sięgnął po budzik, wyłączył go i leżąc na wznak, wpatrywał się w sufit. Trzydzieści etatów w skali kraju, cała firma musiała zostać okrojona i oczywiście ci, którzy dali z siebie najmniej, musieli odejść jako pierwsi. Myhren wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Wyjął wszystko, czego potrzebował na śniadanie: jajka, mleko, sok i bułki, które kupił poprzedniego wieczoru. Prawie sama zdrowa żywność. Butelka whisky wciąż stała nieotwarta na parapecie. Robił, co mógł, żeby trochę wyluzować. Jakkolwiek na to spojrzeć, groziła mu utrata pracy, dobrze wiedział, że brakuje mu genu rasowego dziennikarza. Nie lubił przesiadywać w barze przez całą noc i dyskutować o polityce i całej nędzy świata; wolał kłaść się wcześniej każdego wieczoru, tak aby następnego dnia być w dobrej formie. Wrzucił ziarna kawy do młynka i wyjął z szafki zaparzaczkę. Nie, żadnego svirowania. Butelkę whisky komuś sprezentuje.

Molde. Wyjątkowo piękne miasto, właściwie cały region. Strome góry wpadające do błyszczących fiordów w środkowej części, a po drugiej stronie, za linią brzegową, morze. Drużyny piłkarskiej właściwie nie lubił, ponieważ od zawsze kibicował Vålerendze, ale Molde FK niewątpliwie nadała miastu koloryt. I oczywiście Festiwal Jazzowy³⁰. Najlepszy w Europie? Tak, w każdym razie blisko pierwszego miejsca. Każdego roku na kilka lipcowych dni to spokojne małe miasto zamieniało się w prawdziwe Rio de Janeiro, ze spektaklami ulicznymi i gwiazdami światowego formatu na plakatach. Miles Davis. Dwukrotnie. Wywiady, które z nim przeprowadził, były jego największymi osiągnięciami jako dziennikarza. Seria o miejscowym kierowcy również została dobrze przyjęta. Cieszył się na myśl o tegorocznym festiwalu, oczywiście

o ile jeszcze wtedy tu będzie. Wciąż nie wyznaczyli terminu. *Wkrótce*, taką przekazali mu wiadomość, co w praktyce mogło oznaczać wszystko: od kilku tygodni aż do początku jesieni.

Alf Inge Myhren zasnurował buty do biegania, ziewając, zszedł po schodach, i już miał wychodzić, gdy zadzwonił telefon.

– Alf Inge, słucham?

– Halo. Czy to „VG”?

Głos starszego mężczyzny.

– Tak. Z kim rozmawiam?

– Nazywam się Olaf Eriksen i dzwonię z Kristiansundu.

– Miło mi. W czym mogę pomóc?

– Czy to prawda, że płacicie tysiąc koron za informację?

– Tak, to prawda, ale musi pan zadzwonić na inny numer. Jeśli ma pan przed sobą gazetę, właściwy numer znajdzie pan na ostatniej stronie.

Na chwilę zapadła cisza.

– Tak, widzę go, ale to numer do Oslo, prawda?

– Tak, to...

– Nie, z tymi ludźmi nie mam zamiaru rozmawiać.

– Cóż, rozumiem. Jaką wiadomość ma pan dla nas?

– Czyli pieniądze dostanę od pana, zgadza się?

Alf Inge zastanawiał się przez chwilę.

– Tak, to się chyba da zrobić. Ale nie płacimy wszystkim, którzy do nas dzwonią, tylko tym, których informacje możemy wykorzystać. Co to za wiadomość?

Znowu cisza, tym razem trochę krótsza.

– Byłem trenerem Olego Gunnara Sol skjæra, kiedy ten był dzieckiem.

– Okej. Nie wiem tylko, czy to...

– Tak, tak – przerwał mu raźnie zirytowany mężczyzna. – Rozumiem. Ale właśnie z tego powodu odwiedził mnie ten policjant z Oslo. Chodziło o tych chłopców. Wie pan, tych znalezionych na polu.

W Alfie Ingem natychmiast obudził się dziennikarz.

– Ach tak? Odwiedził pana śledczy pracujący nad sprawą?

– Tak.

- I mówi pan, że czego chciał?
- Chodziło o kogoś, kto utyka.
- Tak?
- Podejrzewają jakiegoś faceta. Który utyka i twierdzi, że grał z Solskjærem jako dziecko.

- Tak?

Myhren obrócił się na pięcie, pobiegł po schodach na górę i zabrał z kuchni notes.

- Jak brzmiało jego nazwisko?
- Czyje?
- Tego policjanta, który pana odwiedził.
- Oxen. Karl Oxen. Nieprzyjemny typ. Najbardziej interesowały go inne rzeczy, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

- Nie, nie bardzo rozumiem. A więc pytał pana o to, czy...?

- Czy któryś z chłopców z drużyny był tego samego kalibru. Co Ole Gunnar. Czy któryś z nich mógł być równie dobry, ale doznał kontuzji. Która zniszczyła mu karierę. Jak już mówiłem, nie podobał mi się ten typ i nikogo takiego sobie nie przypominałem. W każdym razie w tamtym momencie. Ale teraz, kiedy przejrzałem stare zdjęcia drużyny, nagle mnie olśniło. Do diabła! Facet miał rację. Nagle zrozumiałem, o kim mówił.

- Chce pan powiedzieć, że zna pan kogoś, kto doznał kontuzji i z tego powodu utyka, zgadza się?

- Tak.

- Przepraszam, skąd pan dzwoni?

- Z Kristiansundu.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym złożył panu wizytę?

- Nie, skąd, proszę bardzo. O której mam się pana spodziewać?

Alf Inge zrzucił buty do biegania, wyciągnął koszulę i jeansy, które leżały złożone w szafie, i rzucił okiem na zegar wiszący obok lodówki.

Kristiansund?

Godzina dwadzieścia?

- Mogę być u pana trochę przed dziesiątą. Pasuje panu?

- Tak, tak, będę czekać.

– Doskonale. Dziękuję, że pan zadzwonił. Do zobaczenia wkrótce.

MIA KRÜGER WYSZŁA spod lodowatego prysznic i stała naga, drżąc z zimna, przed dużym lustrem. Niech to szlag. Przypomniała sobie o tym w bolesny sposób. Dlaczego nigdy nie pije alkoholu. Lubiła, kiedy jej ciało jest w formie. Umysł jasny, a krążąca w niej krew czysta. Tymczasem teraz w głowie tak jej waliło, że musiała przytrzymać się ściany, żeby nie upaść. Wymiotować? Muszę wymiotować? Pochyliła się nad muszlą, ale żołądek miała pusty. Poprzedniego dnia nic nie jadła. Zapomniała o jedzeniu. Dwie doby. Patrick i ona. Zamknięci w wielkim mieszkaniu, aż w końcu doszli do ściany.

– Otworzymy ją? Może to nam pomoże?

– Co to jest?

– Królowa armaniaków. Domaine de Pantagnan tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć Labeyrie. Trzydziestopięcioletnia. Wiem, że nie pijesz, ale...

– W najwyższej szafce stoją kieliszki. Dla mnie też węź.

Mia odkręciła zimną wodę w kranie i jeszcze raz pochyliła twarz. Do diabła. Na chwiejnych nogach wróciła naga do sypialni i wygrzebała z torby ubranie. Czarne legginsy i bluzę od dresu. Jogging. Tylko to mogło jej teraz pomóc. Usunąć z ciała ten syf. Drzwi pokoju do pracy były otwarte na oścież. Słyszała, jak Patrick chrapie. Poprzedniego wieczoru w jednym z pokoiów znalazła materac. Koc i poduszkę. Nie było sensu, żeby wracał do hotelu. Tak głęboko w to weszli. Przez dwie doby. Jechali na jedzeniu na wynos i kofeinie. Byli tak blisko, tak cholernie blisko, przynajmniej tak jej się wydawało, ale on za każdym razem się wymykał, przelatował jak piasek między palcami.

– Do diabła, przecież to się nie zgadza.

– Co się nie zgadza?

– Że niby on jest nieśmiały. Że czuje, że nie pasuje do społeczeństwa. Że powinniśmy mu raczej współczuć. Musimy z tym skończyć. Ty musisz z tym skończyć.

– Ja?

– Tak, ty, z tym twoim cholernym psychologizowaniem. Chcesz go jak najlepiej *zrozumieć*. Co mogło mu się *przydarzyć*. Jak trudne musiał mieć życie. Pieprzyć to!

– Ale przecież ja tego nie mówię...

– Tak, właśnie tego szukasz. Usprawiedliwienia. Facet myje i obcina paznokcie odurzonym dzieciakom, zanim położy je nagie na swoich kolanach i z satysfakcją zabija je powoli pieprzoną żyłką wędkarską. Pieprzyć to! Przestańmy szukać usprawiedliwienia. Pieprzyć jego pierdolone dzieciństwo! Mam je głęboko w dupie!

– Zamówimy coś do jedzenia?

– Nie, ale mamy jeszcze kawę?

– Może woda byłaby lepsza?

Mia nałożyła czarną bejsbolówkę, ukryła czerwone oczy za okularami przeciwsłonecznymi i chwając się, weszła do kuchni. Wsunęła głowę pod kran i zaczęła łapczywie pić. Cholerny kac. Alkohol? Nie, to się więcej nie powtórzy. Bez względu na to, jak wykwintny jest ten jego pieprzony koniak. Oczywiście nie jego wina. To ona sama sięgnęła po kieliszek.

– Co to za zdjęcia? Nie widziałam ich wcześniej.

– To Oliver, przed swoim domem. Kilka miesięcy przed zabójstwem.

– Nowy samochód?

– Tak, widać, że jest dumny. Lubił samochody. Właściwie wszystko, co miało silnik. Chciał zostać kierowcą Formuły 1.

– Masz jakieś inne zdjęcie tego drugiego? Svena-Olofa?

– Nie, w archiwum były tylko te.

– Widzisz?

– Co?

– Mam rację, prawda?

– W czym?

– Wybiera ich, kierując się wyglądem zewnętrznym. Blondynów z lokami. I piegami. Szczupłych. Chudych. Niewinnych. Słabych.

Lubi to, sukinsyn, prawda? Dzieci, które nie potrafią się bronić.

– Może się trochę przewietrzysz? Wydaje mi się, że przestajesz być obiektywna.

– Pieprzyć to. Nigdy wcześniej nie myślałam tak trzeźwo jak teraz.

Intensywne światło wbiło jej się w mózg pomimo okularów przeciwsłonecznych. Przez chwilę stała, przytrzymując się drzwi, aż w końcu udało jej się zrobić kilka niepewnych kroków i wyjść do ogrodu.

Samochody. Dźwięki. Spaliny. Ludzie.

Naciągnęła bejsbolówkę mocniej na czoło, wsunęła ręce do kieszeni bluzy i pobiegła w górę Uranienborgveien. Wszędzie pieprzeni ludzie. Dlaczego nie siedzą w domach? I gdzie była przyroda, kiedy jej potrzebowała? Cudowne, kołyszące się na wietrze drzewa? Mech? Szemrząca rzeka? Chociaż najlepiej, gdyby obok niej przepływała nieco ciszej.

Okej, Frognerparken.

Nadawał się.

Co on właściwie miał w tej butelce?

Trzydziestopięcioletnie cholerstwo?

Prezent z Mordoru?

Wzdrygnęła się, kiedy jakiś samochód zatrafił na nią. Przeszła przez ulicę chwiejnym krokiem, nie rozglądając się na boki.

Ja pierdziele.

To był jej ostatni raz.

Alkohol.

Nie, kurwa.

Nie w tym ciele.

– Okej, ale co, jeśli to nie jest ten sam mężczyzna?

– Coś nie halo? Dlaczego nie?

– Ustaliliśmy przecież, że rozłożymy wszystko na czynniki pierwsze i przyjrzymy się sprawie na nowo. No więc załóżmy, że znajdziemy dowód na to, że to nie jest ten sam człowiek.

– To nie przejdzie.

– Chociaż spróbuj. Spójrz tutaj: u ofiar w Szwecji ramię nie znajduje się pod tym samym kątem. Ani u Olivera, ani u Svena-

Olofa. A teraz przyjrzyj się miejscu znalezienia zwłok w Norwegii. Jest o wiele bardziej... Jak to ująć? Czystsze?

– Bardziej perfekcyjne.

– O cholera!

– Co?

– Sama właśnie to powiedziałaś. Wyrabia się. Jest bardziej świadomy tego, czego chce. Popatrz tu, nie uważasz, że mam rację?

– W końcu czekał na to osiem lat.

– No właśnie. Nie dlatego, że chciał, tylko dlatego, że nie miał innego wyboru. Tak myślę.

– Nadal uważasz, że siedział w zamknięciu?

– Absolutnie. I dlatego miał dużo czasu. Żeby dojść do perfekcji. Stać się wyrazistszym. Osiągnąć zamierzony efekt. Musiał tęsknić. Musiał tak cholernie tęsknić...

Znowu klakson samochodu, teraz na skrzyżowaniu Majorstua. Znowu się wzdrygnęła, czuła się tak samo podle jak poprzednim razem, Chryste Panie! Ludzie naprawdę mieli to w sobie? Tydzień w tydzień? Czy właśnie to było tym spoiwem, które scalało społeczeństwo? Alkohol? We wszystkich warstwach społecznych? Nie, zapomnijcie o sklepach monopolowych, zabrońcie tego gówna. Na zawsze. To nikomu nie wychodzi na dobre. Nigdy.

Frognerparken, w końcu. Mogła trochę przyspieszyć. Nieznacznie. To nie był bieg, bardziej dreptanie emerytki z balkonikiem. Czuła dudnienie w skroniach za każdym razem, gdy podeszwa trafiała w asfalt, w końcu musiała się poddać. Żółwie tempo. Spuszczona głowa pod czapką z daszkiem. Zgarbione ramiona pod bluzą dresową.

– Czytałaś jego pamiętnik?

– Tak, wiele razy.

– Dziwne, prawda?

– Co takiego?

– To, że o Wilku jest mowa tylko na ostatniej stronie. Że w całym pamiętniku nie ma właściwie nic niepokojącego. Wszystko jest cacy, pełny luz, wyścigówki i motocykle. I dlatego zupełnie nie rozumiem tego...

– Że?

– Że nigdzie indziej o nim nie wspomina. Tylko na ostatniej stronie. Właśnie na tej. Co wydarzyło się tamtego dnia?

Nagle w jej kieszeni rozległo się bicie kościelnych dzwonów. Zeszła ze ścieżki i stanęła w cieniu drzewa, żeby odebrać telefon.

– Mia, słucham?

Głos miała zardzewiały, nie chciało jej się rozmawiać.

– Hej, tu Anette, co słychać?

– Dzięki... W porządku...

– Nie chcę naciskać, ale macie coś? Wpadliście na jakiś trop?

– Nie, niestety... Nie... My...

Właściciel psa pozwolił swojemu pupilowi załatwić się pod drzewem i doleciał do niej okropny smród.

– Jesteś tam, Mio?

– Tak, musiałam się tylko przenieść w inne miejsce. Nie, nic nie znaleźliśmy. Zero. A wy?

– Kompletna posucha. Sprawdziliśmy wszystko. Frustracja.

– Munch?

– Tak, dzisiaj nie gada. Nie wychodzi ze swojego gabinetu.

– Dreyer?

– Oczywiście nie zjawiała się na spotkaniu, które zorganizowałam. Za to dzwonili z Kripos. Są gotowi przejąć śledztwo. Już postawiła ich w stan gotowości.

– Ale przecież minęło tylko... nie tak dużo...

– Wiem, ale używa Szwecji jako argumentu. Nie chce, żeby minęło kolejnych osiem lat, woli chwycić byka za rogi. Zerwać plaster jednym ruchem. Coś w tym stylu. Sama nie wiem, prawie nie śpimy. Zadzwoń do mnie, kiedy tylko coś znajdziecie, okej?

– Jasne.

Kiosk przy wejściu na basen. Dwie butelki wody. Nie patrzeć na nagłówki gazet. To nie twoja wina. Odejdź. Napij się wody. Spróbuj trochę pobiegać. To za chwilę przejdzie.

Ostrożnie stawiała stopy na asfalcie. Teraz trochę lepiej. Przynajmniej zaczęło przypominać jogging. Wszędzie ludzie. Korzystali z ładnej pogody. Jak tańczące krowy na wiosennym wypasie. Długa zima była już za nimi.

Park Vigelanda³¹.

Duma miasta.

Gdy była małą dziewczynką, zawsze bardzo się cieszyła, kiedy tu przychodzili.

Teraz wszystko zabudowane, każdy, nawet najmniejszy skrawek centrum, spekulanci od rynku nieruchomości w siódmym niebie.

Ale ktoś miał głowę na karku.

Kiedyś.

Stworzył tę oazę.

Znowu musiała się zatrzymać.

Wczoraj podchodziło jej do gardła.

Sinnataggen³².

Mały rozżłoszczony celebryta otoczony przez fotografujących go turystów z całego świata.

Chyba gdzieś tu jest toaleta.

Restauracje na świeżym powietrzu.

Zapach piwa nad uśmiechniętymi twarzami, znowu, to była długa zima.

Panowie.

Panie.

Zajęte, kurwa.

I kolejka.

Nie dopuszczała do siebie myśli o wymiotowaniu przy ludziach, publicznie. Wycofała się z tłumu i skryła w cieniu.

Ciężkie drzewa.

Ściana z plakatami.

Elton John w Oslo Spektrum.

Koreańska wersja Ibsena w Teatrze Narodowym.

Wyprowadzanie psów. Tanio i solidnie.

Zasłoniła ręką usta i zerknęła na kolejkę, która w ogóle się nie przesuwała.

Nowa butelka wody.

Okej.

Teraz lepiej.

Już miała ponownie przyłożyć butelkę do ust, gdy nagle go zauważyła.

Co do...?

Podeszła bliżej, z otwartymi ustami.

Plakat.

Akademia Sztuki Amunda Andersena.

Wystawa dyplomowa rocznik 2001.

Opuściła butelkę na ziemię, wyciągnęła telefon z kieszeni bluzy i drżącymi palcami odszukała jego numer.

Obraz.

Jasnowłosy chłopczyk.

Czy to nie był...?

Tak, kurwa...

– Munch.

– Cześć, tu Mia, wsiadaj w samochód.

– Co?

– Spotkajmy się przed parkiem Vigelanda.

– Mam...

– Nie, teraz, natychmiast. Właśnie stoję i patrzę na obraz. Jest na nim Oliver Hellberg. Mały Szwed.

– Co?

– Jest nagi. I trzyma w ramionach borsuka.

– Które wejście?

– Majorstuveien. Tam, gdzie stoją autokary.

– Już jadę.

DOM JEDNORODZINNY, DO którego w końcu dotarł, był niewiarygodnie dobrze utrzymany i idyllicznie usytuowany, z widokiem na zatokę Dalabukta, kilka kilometrów za centrum Kristiansundu. Duży, pomalowany na biało budynek, absolutnie w jego guście, nie jakoś szczególnie wyjątkowy, ale też nie taki sam jak wszystkie inne domy na osiedlu. Tak, podobał mu się. Dziennikarz Alf Inge Myhren zaparkował samochód na poboczu drogi i ruszył zwirową alejką do starannie wypielegnowanego ogrodu. A niech mnie! Zatrzymał się na chwilę. Pochylił się, żeby sprawdzić, czy się nie pomylił. Róże angielskie? Tak daleko na północy? Jaskrawożółta Teasing Georgia? Wyjął z futerału nikonu i zrobił zdjęcie, wyszło całkiem nieźle. Kiedyś mieli w oddziale własnego fotografa, do którego mógł zadzwonić w razie potrzeby, ale tam też zredukowano etaty. Chcąc nie chcąc, musiał się nauczyć fotografować. Nie był w tym dobry, ale od czasu do czasu udawało mu się zrobić nie najgorsze zdjęcie. Czyżby to była...? Zaciekawiony ruszył dalej po idealnie przystrzyżonym trawniku. Nie, to niewiarygodne. Róża stulistna, dwa duże krzewy z – policzył szybko – prawie dwudziestoma pąkami kwiatowymi. Uśmiechnął się i znowu przyłożył oko do obiektywu. Jakiego oni tu używają nawozu? Zwrócił twarz ku niebu, a potem rozejrzał się dookoła. No tak, jasno przez całą dobę, idealne warunki, ale chyba jednak trochę za zimno? Właśnie zauważył kolejną unikatową roślinę, różę okrywową (Frankfurt, czy to naprawdę ta odmiana?), gdy nagle otworzyły się drzwi za jego plecami i z zamyślenia wyrwał go męski głos.

– Halo? Co pan robi w moim ogrodzie?

Alf Inge wzdrygnął się lekko i podniósł szybko futerał z trawy.

– Przepraszam, Myhren. Z „VG”. Pan Olaf Eriksen?

Na surowej twarzy pojawił się uśmiech.

– Zgadza się. Nie chciałem być nieuprzejmy, po prostu mam problem z młodzieżą, która włóczy się tu nocami. Właśnie zamontowałem to.

Starszy mężczyzna w okularach wskazał kamerę monitoringu umieszczoną tuż nad drzwiami.

– Absolutnie imponujące – powiedział Myhren i kiwnął głową, wskazując kwiaty.

– Tak? Lubi pan róże?

Przenikliwy głos dolatujący z domu.

– Olafie, będziecie pić kawę?!

– Później, Marit.

W drzwiach stanęła miła pani w tym samym wieku co mężczyzna. Wytarła dłonie w ręcznik kuchenny i przedstawiła się:

– Marit Eriksen.

Dziennikarz uśmiechnął się i podał jej rękę.

– Alf Inge Myhren, z „VG”.

– Ach tak – zaszczębiotała. – Jak miło, że złożył nam pan wizytę. Staniemy się teraz sławni?

– Marit... – Zawstydzony mężczyzna chrząknął.

– No co? Chyba wolno trochę pozartować? Będziecie pić kawę w środku czy na zewnątrz?

Eriksen wzruszył lekko ramionami i spojrział na dziennikarza.

– Dziękuję, chętnie napiję się na dworze. Dzisiaj jest tak pięknie.

– Lubi róże.

– Naprawdę?

Marit Eriksen przerzuciła ręcznik przez ramię i chwyciła się pod boki.

– To ja je wszystkie zasadziłam.

Mężczyzna zareagował instynktownie.

– Wcale nie!

Kobieta wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Nie, to nie moja zasługa. Do kwiatów mam dwie lewe ręce. Zaraz przyniosę wam kubki.

Jej śmiech słyhać było nawet wtedy, gdy zniknęła w korytarzu.

– A więc lubi pan róże, zgadza się?

– Bardzo. Sam uprawiam tę odmianę. I to od wielu lat.

– Którą?

Eriksen wsunął stopy w drewniaki i ruszył za dziennikarzem po trawniku.

– Różę angielską. Przepraszam, zrobiłem kilka zdjęć. Oczywiście powinienem był najpierw poprosić o pozwolenie, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Nic nie szkodzi. – Mężczyzna z dumą skinął głową. – Tak, z tą różą było sporo zachodu, proszę mi wierzyć.

– Domyślam się. Zna pan jakieś triki, którymi chciałby się pan podzielić?

– Hmm, taa... Nie chcę, żeby moje porady znalazły się w ogólnokrajowej gazecie...

– Nie, nie, będę milczał jak grób. Pytam wyłącznie w swoim własnym interesie. Następnym razem zastosuję się do pańskich rad.

– Ma pan duży ogród?

– Tak. To znaczy nie, już nie. Ale miałem. I liczę na to, że pewnego dnia znowu będę mieć.

– Okej, coś panu pokażę.

Olaf Eriksen uśmiechnął się przebiegle i ruszył przed dziennikarzem do świeżo pomalowanej szopy, tak samo dobrze utrzymanej jak reszta posiadłości.

– Próbował pan szklarni?

– Owszem.

– Nie udało się?

– Nie. Wielka szkoda.

– Prawda?

Mężczyzna znowu się roześmiał i jednocześnie potrząsnął głową.

– Angielska róża nie czuje się dobrze w towarzystwie innych kwiatów. Jest zbyt kapryśna. Jak ja. Chce, żeby wszystko było po jej myśli, rozumie pan? Nie może stać z innymi, ściśnięta w jakiejś szklarni. Nie to światło, zbyt duża wilgotność. Nie, jeśli chce pan uprawiać Teasing Georgia, musi pan traktować ją jak rozpieszczone dziecko, a może nawet lepiej.

Myhren zajrzał zaciekawiony do szopy.

– Widzi pan to?

– Tak.

- Sam to zbudowałem. Nazywam to antyszklarnią.
- Co to takiego?

Mężczyzna znowu się roześmiał.

- To jest szklarnia, tak, ale nie taka zwyczajna. Stworzyłem ją specjalnie z myślą o różach angielskich. Dach jest zbudowany z małych kłapek, które się otwierają, kiedy jest zbyt duża wilgotność. Podpiąłem je do tamtego barometru. Z kolei rury wewnątrz szklarni są podłączone do termometru, oczywiście wszystko odbywa się automatycznie. Kiedy temperatura na zewnątrz spadnie poniżej ustalonej wartości, pstryk i włączają się rury rozprowadzające ciepło, kiedy wzrasta, pstryk i rury się wyłączają.

- Niezłe.
- Prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- O jakich temperaturach granicznych mówimy?
- He, he, nie mogę zdradzić panu wszystkich tajemnic.

Zamknął uroczyście drzwi szopy i dwa razy przekręcił klucz w zamku.

- Chcieliście pić kawę na zewnątrz?

Marit otworzyła okno kuchenne.

- Wypijemy na werandzie! - odkrzyknął Eriksen.

Kilka minut później siedzieli na wygodnych krzesłach pod dużym parasolem ogrodowym, z kawą i trzema rodzajami ciasteczek na stole.

- A więc odwiedził pana policjant? - zaczął dziennikarz, wyciągając z torby notes.

- Tak, wysoki, solidnie zbudowany, bardzo nieprzyjemny facet.
- I wypytywał pana o Solskjæra? O dawnego kolegę z drużyny, zgadza się? Proszę opowiedzieć wszystko od początku, dobrze?
- Oczywiście - przytaknął mężczyzna i wrzucił do kawy kostkę cukru.

HOLGER MUNCH ZAUWAŻYŁ jakąś postać skradającą się w stronę jego samochodu. Rozpoznał ją dopiero, gdy otworzyła drzwi. Twarz miała ukrytą za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi i czapką z daszkiem i śmierdziało jej z ust.

– Cholera jasna, Mio, co się stało?

– Mów ciszej – wymamrotała i zasłoniła usta ręką.

– Chyba nie zamierzasz rzygać w moim samochodzie?

Pokręciła przecząco głową i rzuciła mu na kolana zrolowany plakat. Munch rozwinął go przed sobą na kierownicy i wzdrygnął się.

– Wow!

Podobieństwo do szwedzkiego chłopca było uderzające.

– Prawda? – wymamrotała.

– Akademia Sztuki Amunda Andersena?

– Siedzibę ma w Asker.

– A konkretniej?

– Hvalsbakken. Zjazd na Holmen. Wiesz, gdzie to jest?

Przytaknął i uruchomił silnik.

Oglądali domy w tamtej okolicy, Marianne i on, kiedyś, dawno temu. Eleganckie, stare posiadłości z ogrodami, nad fiordem, blisko stolicy. Oczywiście nie na ich kieszeń. Wciąż pamiętał rozczarowanie malujące się na jej twarzy w drodze powrotnej.

– Tam jest jakiś hotel, zgadza się?

Mia przytaknęła i na próbę odsunęła dłoń od ust.

– Holmen Fjord. Ale nie masz zjeżdżać do hotelu, tylko pojechać w górę i w prawo.

Munch włączył się do ruchu i obrał kurs na Skøyen.

– Skąd wiesz aż tyle o tym miejscu? Byłaś tam?

Ostrożnie skinęła głową.

– Odwiedzałam tam kogoś. Dawno temu. Miałam... znajomego, który rozważał naukę w akademii, gdyby dostał stypendium. Nie

dostał. Nie było go stać na chesne.

– To prywatna uczelnia?

Mia opuściła szybę i wysunęła głowę na zewnątrz.

– Tak. Założył ją malarz Amund Andersen, dawno temu, chyba w latach siedemdziesiątych. Odziedziczył dużą willę po rodzicach i potrzebował pieniędzy na remont. Coś w tym stylu.

Wychyliła się jeszcze bardziej.

– Niech to szlag.

– Siedzieliście do późna?

– Nie mam pojęcia, kiedy skończyliśmy. Nie pamiętam ostatnich godzin. Patrick coś przyniósł, za cholerę nie pamiętam nazwy tego syfu. Ostatni raz w życiu piłam alkohol. Co za gówno! Dorośli robią to z własnej i nieprzymuszonej woli?

Uśmiechnął się lekko.

– Prawdę mówiąc, to dość powszechne zjawisko.

Upił się tylko raz w życiu, jako czternastolatek, wiśniówką ojca. Od tamtej pory nie wypił ani kropli alkoholu.

– Co o tym sądzisz?

Skinęła głową na plakat leżący między nimi.

– W tym musi coś być, prawda?

Właściwie chciał powiedzieć, że dostał gęziej skórki, gdy zobaczył zdjęcie obrazu, ale starał się uspokoić. Ostatnio spotkało ich wiele rozczarowań. Czuł, że jego psychika nie wytrzyma kolejnej porażki. Nie dzisiaj.

– Jest podobny – stwierdził, studząc własne emocje.

– Tak?

– Jest bardzo podobny, ale...

– Co?

– Jakie są szanse?

Spojrzała na niego z irytacją.

– O co ci chodzi? Jakie są szanse na co?

– Że to nasz sprawca.

Skreślił w Drammensveien i zajął lewy pas.

– Daj spokój! Jakie są szanse, że nasz sprawca, który tworzy dzieła sztuki z martwych ciał i któremu daje kopa strona wizualna, uczył

się malarstwa w akademii sztuki? I namalował nagiego Olivera Hellberga z borsukiem?

– No właśnie, jakie są szanse?

– Szanse są... – Mia znowu zasłoniła usta ręką i podniosła szybę, gdy smród spalin z rury wydechowej ciężarówki przed nimi stał się zbyt intensywny. – Nie wiem, kurwa, jakie są szanse. W czysto matematycznym sensie?

– Nie, chodzi mi o to: jakie są szanse, że ubierzesz się jak włamywacz z kreskówki i przez przypadek w parku Vigelanda znajdziesz plakat z wizerunkiem Olivera Hellberga?

– Niewielkie.

Milczała aż do zjazdu na Holmen.

– Usiłujesz mi powiedzieć, żebym za bardzo się nie ekscytowała? – odezwała się w końcu.

– Tak. Podejdźmy do tego na spokojnie. Pożyjemy, zobaczymy. Ostatnie dni były... Nie zniosę kolejnego rozczarowania, rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknęła i spojrzała na niego przyjaźnie.

– I jeszcze jedno...

Skinął głową na schowek samochodowy.

– Jedzie od ciebie jak z gorzelnii. W środku są chyba jakieś pastylki na gardło.

Wykrzywiła wargi, ale otworzyła schowek, odszukała paczkę Läkerol, włożyła do ust cztery drażetki, a potem wepchnęła paczkę do kieszeni bluzy.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział i wyłączył silnik.

Z dużej, pięknej willi przypominającej dom Pippi Pończoszanki, tylko w nieco bardziej stonowanych barwach, płynęły dźwięki muzyki i śmiech. Przy wejściu stały dwie dziewczyny w eleganckich sukniach, a z gałęzi drzew zwisały balony. Wyglądało na to, że zjawili się w samą porę.

– To dzisiaj? – spytała Mia i rozwinęła plakat.

– Idealnie – odparł. – Może dadzą nam coś do jedzenia. Wszystko w porządku? Utrzymasz się na nogach?

Wygramoliła się z fotela i stanęła lekko oparta o audi.

– Wszystko gra.

– Na pewno?

– Jasne, mam dopiero dwadzieścia jeden lat, a nie... Ile ty właściwie masz lat?

– Czterdzieści dwa.

– No właśnie. To jedna z zalet bycia młodym. U nas to nie trwa tak długo.

Pochyliła się ostrożnie, wyjęła z samochodu butelkę i wypila kilka ostatnich łyków wody.

– Gotowa?

– Tak.

– Może zdejmiesz okulary przeciwsłoneczne?

– Nie. Albo tak, okej.

Zdjęła je powoli i osłoniła oczy ręką, zamrugowała kilka razy i dopiero wtedy położyła okulary na siedzeniu.

– Teraz jest szef zadowolony?

– Powinnaś mieć coś takiego. Do oczu.

– Masz na myśli Clear Eyes? Dzięki czemu czerwone oczy robią się białe?

– Tak.

– To jest chyba nielegalne, ale zgadzam się, że byłoby super.

Wsunęła do ust kolejną pastylkę i ruszyła przed nim w stronę flag przy otwartej bramie wejściowej.

Dwie dziewczyny, na oko dziewiętnasto-, dwudziestoletnie, w kolorowych, pięknych sukniach, uśmiechnęły się na ich widok.

– Witamy, witamy. Stół szwedzki czeka w ogrodzie na tyłach domu. Napoje są płatne, pieniądze prosimy wrzucać do koszyka. Wszystkie obrazy namalowali absolwenci naszej uczelni. Wszystkie są na sprzedaż. Będzie nam bardzo miło, jeśli coś państwo kupią.

Dostali każdy swoją kartkę z tytułami i cenami obrazów.

– Słuchajcie, szukamy kogoś – wyjaśnił Munch i pokazał legitymację.

Dziewczyny spojrzały na siebie.

– Ach tak? Kogo?

– Mężczyzny, który to zaprojektował – odparła Mia i rozwinęła plakat.

Obie zmarszczyły nos.

– Mężczyzny?

– Tak.

– Ale plakat przygotowała Emilie.

Munch i Mia wymienili szybkie spojrzenia.

– Emilie?

– Tak, Emilie Skog. Nasza słodka sadowniczka. Królowa jabłek.

Wybuchnęły śmiechem.

– Okej, a jest teraz tutaj? Emilie?

– Tak, jest odpowiedzialna za poncz. Znajdą ją państwo przed pomarańczową miską. Ma na sobie tradycyjny strój Hardanger. Nie sposób jej z nikim pomylić, że się tak wyrażę.

Za nimi ustawili się nowi goście.

– Witamy, witamy. Stół szwedzki znajduje się w ogrodzie na tyłach...

Mia rzuciła Munchowi kolejne spojrzenie, gdy ruszyli dalej zieloną alejką. Za budynkiem zabawa trwała w najlepsze. Cicha wesoła muzyka płynęła z głośników umieszczonych w otwartych oknach, a między gośćmi krążyli wystrojeni, uśmiechnięci młodzi ludzie z kieliszkami musującego napoju.

Dziewczyna stała za stołem w strojnym bunadzie, czerwono-czarnym, z dużą błyszczącą broszką na piersi.

– Emilie Skog?

Munch po raz kolejny wyciągnął legitymację służbową.

– Ee, tak?

– Jesteśmy z policji. Możemy zamienić słowo?

Blondynka spojrzała na nich pytająco i odeszła nieco na bok.

– Okej. W czym mogę pomóc?

Mia znowu rozwinęła plakat.

– Czy to ty go przygotowałaś?

– Ee, tak. A o co chodzi?

– To ty namalowałaś ten obraz?

– Co?

Minęła sekunda, zanim zrozumiała pytanie.

– O nie, nie! Obraz nie jest mój. Ja tylko zrobiłam plakat.

– W takim razie kto go namalował?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Jak to?

– Znalazłam ten obraz, kiedy sprzątałam jedną z szop. Zdaje się, że autorem jest dawny uczeń. Ale o szczegóły muszą państwo spytać Amunda.

– Można samemu się obsłużyć?

Uśmiechnięty chłopak w garniturze i okularach przeciwśłonecznych stojący przy misce z ponczem.

– Nie, zaczekaj, ja naleję.

Dziewczyna spojrzała na nich przepraszająco.

– Czy to już wszystko? Muszę...

– Gdzie znajdziemy Amunda? – spytała Mia, przenosząc wzrok na dom.

– Ukrył się – odparła Emilie Skog. – Siedzi w szopie nad wodą. Zamknął się tam ze swoją sherry. Nie lubi tego. Że wkrótce go opuścimy. Robi się bardzo smutny. Nie jest wcale taki zły, jak wszystkim się wydaje. Ma wielkie serce.

Dziewczyna się uśmiechnęła i położyła dłoń na koszuli od bunadu.

– Hej, mogę sam...?

– Nie, nie, już idę.

Jeszcze raz odwróciła się w ich stronę.

– Proszę iść tą ścieżką w stronę fiordu. Szopa stoi po lewej stronie. Pięćdziesiąt metrów dalej, przy pomoście, gdzie słońce błyszczało w spokojnych wodach fiordu, stała mała replika willi.

– Amund Andersen?

Munch zapukał ostrożnie.

– Idźcie sobie!

– Możemy chwilę porozmawiać?

– Wynoście się stąd!

– Jesteśmy z policji.

Kilka sekund, odgłosy krzątania, zanim w drzwiach ukazała się stara twarz i szopa białych włosów.

– Co?

– Holger Munch, jednostka do spraw zabójstw, Stołeczna Komenda Policji. Pan Amund Andersen?

– Tak?

Spoglądał na nich zdezorientowany spod rozczochranej czupryny.

– Szukamy mężczyzny, który to namalował – wyjaśniła Mia i po raz trzeci rozwinęła plakat. – Czy to pański dawny uczeń?

Andersen podniósł okulary zawieszony na sznurku wokół szyi i rzucił szybkie spojrzenie na reprodukcję obrazu.

– O kurwa! Wiedziałem, że z tym chłopakiem jest coś nie tak.

– To znaczy, że pan go zna?

– Owszem, znam – wymamrotał stary mężczyzna i wyszedł do nich na słońce z kieliszkiem sherry w ręce.

LUDVIG GRØNLIE ODNIÓŚŁ kubek z herbatą z powrotem do swojego gabinetu i opadł na fotel przed ekranami. Anja, która westchnęła, gdy opuszczał pokój, teraz znowu wydała z siebie głośne westchnienie, gdy otrzymała powiadomienie o wiadomości mailowej.

– Cholera, czy to się nigdy nie skończy?

– Kolejny mail ze Sztokholmu?

– Ile oni mają tych akt? Jeszcze trochę i się wkurzę. Wykształcenie kosztowało mnie równowartość pieprzonej żaglówki, a zamiast pracować, bawię się w sekretarkę. Najwyższy czas porozmawiać z kierownictwem.

Odchyliła się na krześle i otworzyła snickersa.

– Masz na myśli Muncha? – Uśmiechnął się i podmuchał na herbatę.

– Tak. Albo Anette, właściwie to ona steruje tą łajbą, prawda?

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc *steruje* – odparł i otworzył swoją pocztę mailową. Nic ekscytującego, jakaś klinika oferowała zabieg powiększenia penisa.

Nie czuł najmniejszej potrzeby, by poddać się zabiegowi powiększenia penisa ani żadnej innej części ciała. Chciał usunąć wiadomość, ale nie był pewny, gdzie ją wrzucić.

– Jaka jest właściwie różnica między koszem a spamem?

Anja roześmiała się głośno i przeczesała palcami drobne loki.

– Ale z ciebie słodziak.

– O co ci chodzi?

– Przypominasz mi mojego ojca. On też nie zna się na komputerach. Kilka dni temu próbowałam pomóc mu przez telefon, chodziło o zapisanie kilku zdjęć w folderze na pulpicie. Pół godziny później, gdy wciąż nie udało mu się tego zrobić, przyszło mi do głowy, że ojciec prawdopodobnie miał na myśli prawdziwy pulpit, na

którym stoi jego komputer, bo na jego biurku leżała papierowa teczka, którą wcześniej sobie przygotował.

– Bardzo śmieszne – stwierdził i wypił łyk herbaty.

– Jesteś szczęściarzem, bo masz mnie, co?

Polka położyła nogi na stole i splotła dłonie na karku.

– Tak, jestem wielkim szczęściarzem, że cię mam.

– A ja bez ciebie nudziłam się jak jasna cholera, więc teraz przynajmniej jest nas dwoje.

Przesłała mu buziaka i znowu zaklęła, gdy jej komputer zabręczał, informując o nowej wiadomości.

– Kurwa mać! Nie chcemy od was żadnych dokumentów. Mamy ich już wystarczająco dużo. Więcej nie zniosę!

Wsunęła resztę snickersa do ust i wytarła palce w kraciastą spódnice.

Nagle na biurku zawibrował telefon Ludviga.

Munch.

– Hej, mam coś pilnego.

– Tak?

– Potrzebuję wszystkiego, co masz o Franku Helmerze.

Ludvig zasłonił ręką słuchawkę i przywołał Anję do swojego komputera:

– Pilne. Mamy coś na temat Franka Helmera?

Anja skinęła głową i doskoczyła do klawiatury.

– Jest ich dwóch, jeden to Frank Robert Helmer, emeryt, siedemdziesiąt jeden lat. Drugi zamieszkały w Manglerud... Frank Helmer, trzydzieści sześć lat, dwa adresy, prywatny i firmowy w Lysaker, wygląda na to, że jest hydraulikiem...

– Jesteś tam, Ludvigu?

– Jestem, znaleźliśmy go. Zakładam, że nie chodzi ci o emeryta z Finnmarku, więc wysyłam wszystko, co mamy o Helmerze z Oslo. Mamy jego adres prywatny i dane powiązanej z jego nazwiskiem firmy świadczącej usługi hydrauliczne.

– Super. Prześlij to do mnie i do Mii, dobrze?

– Już się robi.

Anja otworzyła puszkę coli i uniosła brwi.

– Dzieje się.

- Myślę, że powinnaś tu zostać – rzucił Ludvig z uśmiechem.
 - Chyba rzeczywiście powinnam – przyznała i poprawiła okulary, gdy nagle ktoś zapukał we framugę drzwi.
 - Przepraszam...
- Szwedzki psycholog.
- Nie chcę przeszkadzać, ale Mia nie odbiera telefonu. Czy ktoś z was wie, gdzie ona jest?

JEDENASTOLETNI KEVIN MYKLEBUST siedział przy okrągłym stole w małym mieszkaniu w suterenie i nie wiedział, czy się cieszyć, czy smucić. Z jednej strony uważał, że to wspaniale, że mama jest w dobrej formie. Przy śniadaniu aż promieniała ze szczęścia. Kupiła świeży chleb i usmażyła jajka na bekonie. I wystroiła się, w końcu była porządnie ubrana. Wczesnym rankiem zwykle chodziła po mieszkaniu w samym szlafroku, jeśli w ogóle wstawała. Ale teraz było inaczej, oczywiście, ponieważ w domu był mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna, a nie mały Kevin, który *starał się* być mężczyzną. Ulf z pomocy drogowej znowu u nich nocował. Kevin słyszał, jak razem z matką parskali śmiechem i obmyślali plan za cienką ścianą, plan, który teraz mu przedstawiali, udając, że to dla jego dobra, ale on wiedział doskonale, o co im chodzi, dlaczego chcą się go pozbyć z domu.

– Wiesz, Kevinie – zaszczębiotała słodko mama i nalała kawy temu, który teraz pełnił rolę głowy rodziny.

Właściwie Kevin nie miał ochoty z nimi przebywać. Głaskali się i dotykali, i mama zachowywała się dziwnie, zasłaniała dłonią usta, kiedy się śmiała, i siedziała porządnie na krześle, a nie z nogami na stole. Popielniczki były opróżnione, nawet odkurzyła mieszkanie, w każdym razie dywan pod stołem przed telewizorem, który zwykle pokrywały resztki jedzenia. Poza tym Kevin nie był głodny, ale mama wyglądała na tak szczęśliwą, że uznał, iż chyba musi spróbować, więc nałożył kawior na kawałek chleba i zaczął jeść, ostrożnie, bardzo małymi kęsami.

– Wiesz, Kevinie – powiedziała znowu mama po tym, jak pogłaskała go po rękę i podała cukier w kostkach w cukiernicy, której nigdy wcześniej nie widział.

– Tak, mammo?

– Wiesz, Ulf i ja wymyśliliśmy coś fajnego.

Wyprostowała się na krześle i poprawiła fartuszek kuchenny, który wyciągnęła z szafy, ten z napisem „Najsłodsza kucharka na świecie”.

– Okej. Co to za fajna rzecz?

Oczywiście udawał. Dobrze wiedział, co teraz nastąpi, bo przecież ich słyszał, nawet z głową pod poduszką.

– Tak sobie pomyśleliśmy – powiedziała mama i położyła dłoń na ręce mężczyzny o imieniu Ulf. – Czy może chciałbyś wybrać się z Ronnym pod namiot? Zabralibyście ze sobą jakieś przekąski i przenocowalibyście na dworze. Nie byłoby super?

– Brzmi ekstra – wymamrotał Ulf i pociągnął łyk kawy.

– Prawda? Myślę, że moglibyście wziąć również latarki. I wędkę? Może doszlibyście aż do jeziora Gråtjønnvannet? I złowilibyście kilka ryb?

Mama najwyraźniej zapomniała, że nie mieli ani namiotu, ani latarki, ani wędkę, a to i tak nie była najmniej wykonalna część ich planu.

– Ale co z Ronnym? Przecież nie wolno nam się spotykać?

Popił kawałek chleba z kawiosem odrobiną mleka.

– Załatwię to. – Mama uśmiechnęła się cierpko.

Wyglądało na to, że nie powiedziała wszystkiego temu nowemu mężczyźnie, co zresztą nie było wcale takie dziwne.

– Porozmawiam dzisiaj z jego mamą. Przecież znamy się od lat. Nie ma powodu, żebyście się nie przyjaźnili, mam rację?

– Tak, najlepiej, kiedy wszyscy żyją w zgodzie. – Ulf chrząknął i na dopiero co posmarowany kawałek chleba położył makrelę w sosie pomidorowym.

– Okej – zgodził się Kevin, gdy w końcu przełknął kęs.

Widział uśmiech w ich oczach, kiedy wymienili szybko spojrzenia, niby ukradkiem.

– Fajnie – ucieszyła się mama.

– Tak, będzie super – dodał Ulf.

– Chętnie pojedę pod namiot. Oczywiście, jeśli Ronny się zgodzi – powiedział Kevin.

I naprawdę tak myślał. Bo tęsknił za Ronnym. Co prawda widywał go w szkole, ale to nie było to samo.

– Zajmę się tym. – Mama się uśmiechnęła i nalała sobie kawy.

Czuł, że nic więcej w sobie nie wepchnie, miał już dość tej głupiej kanapki.

– Najadłem się.

– Okej. Co się wtedy mówi?

Znowu teatrzyk, ale tym razem nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Co...?

– Co się mówi, Kevinie? Kiedy skończymy jeść? Dziękuję za...?

– Ach tak, bardzo dziękuję za jedzenie – powiedział i wstał od stołu.

– Pamiętaj, żeby wstawić talerz do zlewu – zaszcebiotała.

Już miał coś rzucić, ale zobaczył jej spojrzenie. Ugryzł się w język i posłusznie wypełnił polecenie.

Zwykle kazała mu zostawiać brudny talerz na stole. Po co zmywać, skoro miał na nim jeść kolejny posiłek?

– Mamo?

– Tak, Kevinie?

– Ale przecież my nie mamy namiotu.

Lekka panika nad kuchennym stołem, zanim wpadła na pomysł.

– Przecież możesz zapytać starego Wennberga? Mogę się założyć, że ma namiot, nie sądzisz?

Stary Wennberg?

Kevin skulił się w sobie.

– No nie wiem, mamo...

Wstała i prawie wypchnęła go za drzwi.

– Tak, tak, on nie gryzie. Jestem pewna, że ma namiot. W tej swojej szopie trzyma absolutnie wszystko.

Popchnęła go lekko w plecy. Kevin stanął, bezradny, na podwórku.

Stary Wennberg.

Właściciel domu, w którym mieszkali.

Ten, który mieszkał nad nimi.

Zwykle mama surowo zabraniała Kevinowi odwiedzać starego Wennberga, ponieważ był dziwakiem i Bóg jeden wiedział, co wyczyniał z dziećmi. Kevinowi było to zresztą na rękę, bo jeśli kogoś nie miał najmniejszej ochoty odwiedzać, to właśnie starego Wennberga. Wystarczyło, że słyszał jego szuranie po podłodze. Albo krzyki i te wszystkie dziwne odgłosy z filmów, które właściciel domu

oglądał niemal bez przerwy. Kiedy widział starego Wennberga na dole przy skrzynkach pocztowych, wolał nadłożyć kilometr przez las, niż ryzykować spotkanie twarzą w twarz.

– Ale mammo...

– Ulf i ja wybieramy się na zakupy, więc trochę nas nie będzie. Ulf zabiera mnie do Centrum Handlowego Strømmen, rozumiesz?

Zdjęła fartuszek i posłała Ulfowi całusa.

Centrum Handlowe Strømmen.

Kevin też chętnie by się tam wybrał.

Często słyszał, jak koledzy z klasy rozmawiali o tym miejscu, podobno mieścił się tam miliard sklepów, w których można było kupić absolutnie wszystko, od obrzydliwie smacznych lodów włoskich do najdroższych na świecie, sterowanych radiowo samochodów. Kilku jego kolegów było tam już wiele razy, chyba z dziesięć, ale Kevin najwyraźniej musiał jeszcze poczekać, bo mama zamknęła mu drzwi przed nosem.

Stary Wennberg.

Kevin okrążył dom, trzymając się z dala od okien. Nie chciał, żeby stary go zobaczył. Zatrzymał się na żwirowej ścieżce przed jego drzwiami.

Na schodach leżało martwe zwierzę, z niebieskiego worka foliowego wystawały tylko nogi. Nie wiedział, co to było, może kuna, a może norka.

Taksydermia.

Wiedział, co oznacza to słowo, ponieważ znajdowało się na tabliczce na skrzynce pocztowej przy drodze.

Wennberg Taksydermia.

Chodziło o wypychanie martwych zwierząt, tak żeby ludzie mogli trzymać je w swoich domach.

Zrobił krok do przodu.

Chrzęst żwiru.

Oj, cofnął się na trawę.

Nie.

Nie chciał tego.

Pożyczać namiotu.

I wtedy wpadł mu do głowy pewien pomysł.

Genialnie!

Skoro oni wymyślili chytry plan dotyczący jego, to chyba on również nie musiał wszystkiego im mówić?

Kevin Myklebust uśmiechnął się szeroko, zakradł na ścieżkę za domem i co sił w nogach pobiegł do lasu.

ANJA WYJĘŁA KARTKI z drukarki i powiesiła je na tablicy jedną obok drugiej.

– To wszystko, co o nim znalazłam – powiedziała i zrobiła krok do tyłu.

– O Franku Helmerze?

– Tak.

Ludvig wstał i podszedł do niej.

– Kto to jest?

– Ty mi powiedz. Nie mamy o nim za dużo w naszej bazie danych, ale coś udało mi się wygrzebać.

– Notowany?

Zawahała się nad odpowiedzią.

– Nie... a właściwie tak. Wygląda na to, że w młodości nie był ministrantem. Bójki, naruszenie nietykalności cielesnej, akty wandalizmu, kilka skradzionych samochodów, ale wszystko przed osiemnastką, więc nie powinno tego tu być, takie dane się przecież usuwa.

Wyjęła lizaka z kieszeni koszuli i wsunęła go do ust.

– I po osiemnastce cisza?

– Tak, ale jest tu coś...

Ludvig przetaił okulary brzegiem koszuli i podszedł bliżej ściany.

– Widzisz?

– Sprawa sądowa?

– Tak, ale on występował w niej w charakterze świadka.

– Czego dotyczyła?

– Sprawa o paserstwo, przemyt tabletek i sterydów anabolicznych. Ale nie chodziło o niego. Zdaje się, że oskarżonym był jego znajomy, a Helmer był świadkiem oskarżenia.

– Czyli kapusiem?

Zaśmiała się lekko.

– Nie za szybko wyciągasz wnioski?
– Jeśli należał do środowiska przestępczego?
– Zaraz przestępczego. Facet ma teraz, gdzie to było?, trzydzieści sześć lat, wszystkie pozostałe sprawy przeciwko niemu toczyły się prawie dwadzieścia lat temu. Może musiał się wyszaleć?

– Tak, tak, ale zawsze...

– Chyba jesteś za bardzo uprzedzony, staruszk.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, a potem znowu wsunęła lizaka do ust.

– Przyszły też papiery z krajowego rejestru w Brønnøysund. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku założył firmę Helmer Finanse. Ale chyba nie za dobrze mu szło. Znalazłam dwa wnioski o przesłanie dokumentacji podatkowej. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim ogłosił upadłość. Przez trzy lata nic się nie działo, aż w końcu założył nową firmę, Helmer Usługi Hydrauliczne, którą prowadzi do tej pory, w Lysaker, chociaż na nią też coś znalazłam w urzędzie skarbowym...

Rzuciła okiem na tablicę, a potem znowu przeniosła wzrok na ekran.

– Czy ja to wydrukowałam? Tak, tu jest. Rozliczenie podatkowe z zeszłego roku, ma prawie trzy tysiące zaległego podatku i chyba go jeszcze nie zapłacił. Poza tym nic szczególnego. Czy Munch coś mówił?

– O czym?

– O Franku Helmerze. Po co mieliśmy go prześwietlić?

– Nie, ale zdaje się, że to coś ważnego.

– Jak zwykle będziemy ostatni, którzy się czegoś dowiedzą. – Westchnęła i znowu splotła dłonie na karku. – Zupełnie jak małe myszki laboratoryjne, które biegają w kołowrotku, żeby żarówki na szczycie świeciły.

Szwedzki psycholog ponownie minął ich gabinet, tym razem z telefonem przy uchu.

Anja przechyliła się w stronę Ludviga i kiwnęła głową do tyłu.

– Szwed i Mia? Myślisz, że oni...?

Uniosła brwi.

– Co? Że oni...? Nie, nie wydaje mi się. Przecież on jest o dwadzieścia lat starszy od niej.

– No i co z tego?

Wyprostowała się na krześle.

– Przystojny, nie uważasz? Z takim wyglądem marnuje się jako psycholog.

– W takim razie czym, twoim zdaniem, nasz Szwed powinien się zajmować?

– Czy ja wiem? Może fotomodelingiem? Skąpo ubrany? Na niedźwiedziej skórze przed kominkiem? W moim domu?

– Nie wiedziałem, że masz kominek.

– Ha, ha. Tak czy siak, przystojny z niego gość. Chociaż racja, mógłby być o dziesięć lat młodszy.

– Czy ty przypadkiem z kimś się nie spotykasz?

Westchnęła cicho.

– Tak, ale spójrz na mnie. Są zbyt porządni i poukładani. Okropni nudziarze. Student stomatologii? Cholera, o czym ja mam z nim rozmawiać? A przy okazji, ciebie też o to prosiła?

– Kto? I o co?

– Anette. Prosiła, żebym przesłała jej wszystkie dokumenty ze Szwecji, w których wymieniony jest nasz przystojniaczek. Szwed. Psycholog. Ale na razie nie znalazłam żadnego dokumentu, a ty?

– Nie przypominam sobie.

– Spoko, w każdym razie chce je dostać. Jeśli trafisz na jego nazwisko, prześlij mi dokument, okej? Będę mogła udawać, że zrobiłam to, o co prosiła.

– Jasne.

– Dzięki.

Otworzyła kolejną puszkę coli i zaczęła się przyglądać swojemu tatuażowi w kształcie serca, który zdobił jej nadgarstek.

– Zastanawiam się, czy nie zafundować sobie jeszcze jednego. Jak myślisz? Nowy tatuaż. Co o tym sądzisz?

Zsunęła bluzkę z ramienia i się odwróciła.

– Tu z tyłu, na górze, fajnie by wyglądał, co?

– Tak, czemu nie.

– Zastanawiam się nad białym orłem. Bo biały orzeł to godło Polski. Złota korona, czerwone tło. Myślisz, że dobrze by to wyglądało, czy trochę za bardzo, jak to się mówi, nacjonalistycznie?

Wstała i z odsłoniętym ramieniem podeszła do małego lustra wiszącego przy wieszakach.

– Przecież jesteś Polką.

– No właśnie. I dlatego się nad tym zastanawiam. Myślę, że wyglądałoby super.

Ludvig sięgnął po pusty kubek po herbacie i już miał wstać, gdy nagle przybiegła Anette i sapiąc z wysiłku, zatrzymała się przed nimi z telefonem przy uchu.

– Powtórz *gdzie*?

Anja wyjęła lizaka z ust i poprawiła się na krześle.

Anette zasłoniła telefon dłonią.

– Otwórzcie „VG”. Natychmiast.

Wróciła do rozmowy telefonicznej.

– Tak, Hanne-Louise, absolutnie, oczywiście. Nie, jeszcze tego by brakowało, zajmiemy się tym, natychmiast się z nim skontaktuję. Oczywiście. Okej, zaraz oddzwonię.

– *Oh, shit!* – zawołała Anja. Ludvig zobaczył to samo na swoim ekranie.

– Jest źle? Bardzo źle?

Anja przebiegła wzrokiem artykuł.

– Źle.

– Jak bardzo?

Zwykle spokojna Anette Goli odepchnęła młodą Polkę i stanęła przed ekranem. Otworzyła szeroko usta.

– O kurwa!

Spektakularna porażka: policji nie udało się odnaleźć podejrzanego o podwójne morderstwo przyjaciela z dzieciństwa Olego Gunnara Solskjæra.

– Ja pierdolę!

– Wydawało mi się, że Oxen niczego tam nie znalazł?

– Ja też tak myślałam – syknęła Anette i wdusiła przycisk w telefonie.

– Podali jego nazwisko – powiedział Ludvig.

– Co?

– Tego chłopaka, który doznał kontuzji. I który nie zrobił przez to kariery.

Anette podbiegła do jego biurka.

– Gdzie?

– Tutaj.

– Roger Lørenskog? Słyszeliśmy o nim wcześniej?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Ściągnijcie, co tylko się da, wszystko, co mamy na temat tego Rogera Lørenskoga. I załatwcie przesłuchanie trenera, tego na zdjęciu na tle kwiatów. I kurwa, Karl, nie możesz robić tego, co do ciebie należy? Czy naprawdę muszę wszystko robić sama?

Krzyczała teraz do swojej komórki, chociaż Oxen nie odebrał telefonu.

– Roger Lørenskog, z Kristiansundu! Absolutnie wszystko, co tylko się da, okej?

Pobiegła do drzwi, wybierając kolejny numer.

– Już się robi – przytaknął Ludvig i położył palce na klawiaturze.

ZNALEŻLI SZYLD Z NAPISEM Helmer Usługi Hydrauliczne przed wejściem do nieco podniszczonego biurowca w pobliżu Centrum Handlowego CC Vest w Lilleaker. Sam zakład był w znacznie gorszym stanie. Munch zapalił papierosa w chwili, gdy Mia wyszła na zewnątrz, już w lepszej formie. Wyglądało na to, że woda, a zwłaszcza adrenalina postawiły ją na nogi.

– Nic?

– Nie, pukałam do dwóch firm, ale nikt o nim nie słyszał.

– Dziwne.

– Sprawdzałeś tam?

Przytaknął.

– Oba wejścia są zamknięte na klucz.

– Może to nie tutaj?

Chwilę później nadjechała jasnozielona furgonetka i zatrzymała się przed wejściem. Wsiadł z niej młody mężczyzna w jasnozielonej, trochę za ciasnej koszuli.

– Przepraszam? Często dostarczasz tu przesyłki?

– Tak, dość często, a co?

– Helmer Usługi Hydrauliczne, wiesz, gdzie znajdziemy tę firmę?

Podrapał się po głowie i rozejrzał dookoła.

Munch ze zgrozą przypomniał sobie czasy studenckie, kiedy sam przez krótki czas pracował w jednej z firm kurierskich. Beznadziejne zarobki, a poza tym zmuszali go do noszenia pomarańczowego stroju firmowego, chociaż nie mieli go w rozmiarze XXL ani nawet XL, jakiego wtedy potrzebował i w jakim na co dzień chodził.

– Coś mi świta – powiedział kurier, wsunął porcję snusu pod górną wargę i znowu rozejrzał się wokół siebie. – To tam – uśmiechnął się i wskazał mosiężną tabliczkę obok drzwi.

– Bystry jesteś – stwierdziła Mia i potrząsnęła głową. – Ale nam chodzi o biuro. Wiesz, gdzie się znajduje?

– Nie tam? – zdziwił się chłopak. – Przecież tak jest napisane na szyldzie?

– Dzięki – mruknął Munch i odgonił go ruchem ręki.

– Nie ma za co. – Kurier się uśmiechnął, zasalutował do czapki z daszkiem i gwizdząc pod nosem, zniknął w drzwiach z paczką, którą miał dostarczyć.

– Może ta firma w ogóle nie istnieje? – zastanawiała się na głos Mia. – Może tylko powiesili szyld?

– Możliwe – przytaknął Munch. – Jedźmy do jego domu. Pamiętasz adres?

– Skuronnveien³³ 25, Manglerud.

Włożyła okulary przeciwsłoneczne i zajęła miejsce w samochodzie.

– Jakie słodkie – skomentował Munch, gdy znaleźli się znów na Drammensveien. – Nazwy ulic w Manglerud.

– Co masz myśli?

– No wiesz, Manglerud to jakkolwiek by było część Oslo, dzielnica miasta, a jednak wciąż kurczowo trzymają się wersji, że są wsią. Rugveien, Byggveien, Grasveien³⁴...

– Tak – wymamrotała i opuściła szybę.

– ...Skigardveien, Plogveien, Treskeveien³⁵.

– Powiedziałam: w porządku. Co ci jest?

– Próbuję zebrać myśli.

Opuścił lekko szybę i zapalił kolejnego papierosa.

– I pomagają ci w tym nazwy ulic w Manglerud?

– Kiedyś miałem z czymś takim do czynienia. Wiele lat temu.

– Z czym?

– Z takim szyldem. Na skrzynce pocztowej w Manglerud. Na Treskeveien. Larsen Import. Moja praca polegała na obserwowaniu firmy, więc tam siedziałem. W mieście, na wsi. I gapiłem się na skrzynkę pocztową prawie przez tydzień.

– I co się stało?

Właśnie mijali Skøyen. Nagle niebo się otworzyło i miękkie krople zaczęły spadać na przednią szybę. Munch wyrzucił niedopałek przez okno i podciągnął szybę.

– Po sześciu dniach nadjechał samochód i wyskoczył z niego jakiś facet. Podszedł do skrzynki pocztowej, usunął szyld i odjechał. Śledziłem go aż do gospodarstwa w Hadeland, a tam...

Zadzwoił jego telefon. Munch umieścił go w uchwycie na desce rozdzielczej i włączył tryb głośnomówiący.

– Cześć, Anette, stało się coś?

– Widzieliście internetowe wydanie „VG”?

– Nie, a co?

– Ten pieprzony Oxen...

Wyraźnie nie mogła złapać tchu. Brzmiała tak, jakby biegła.

– Nic tam nie znalazł, prawda? Mówił ci coś?

– Tam, czyli gdzie? W Kristiansundzie? Nie, nic, a co się dzieje?

– Przecież wszędzie o tym trąbią. Dreyer jest wściekła...

– Uspokój się. O czym trąbią?

– O tym chłopcu, który doznał kontuzji. O mężczyźnie, który utykał na Finstadjordet. Który mówił, że grał w piłkę razem ze Solskjærem. Okazuje się, że to prawda. Jakiś dziennikarz rozmawiał z dawnym trenerem i odwalił kawał dobrej roboty. Najwyraźniej był lepszy od nas.

– Kurwa mać!

– Sam widzisz. Sekundę...

Przerwała, zasłoniła telefon dłonią, po czym kontynuowała.

– Facet mieszka teraz w Oslo. Mamy jego adres.

– To znaczy, że znamy nazwisko?

– Tak, to Roger Lørenskog.

– Co? Nie Frank Helmer?

– Nie, słuchaj uważnie. Facet nazywa się Roger Lørenskog. Mieszka w Oppsal. Już wysłałam tam patrol. Zaraz prześlę ci adres, okej?

– Okej, dzięki, Anette.

Rozłączył się.

– Co jest, do cholery?! – zezłościła się Mia.

– Pieprzony Oxen!

– Oppsal? To w drodze do Helmera, prawda? Może wyrzucisz mnie tam i każde z nas sprawdzi jeden adres?

– Nie, nie pozwolę ci sprawdzać samej domu podejrzanego.

- Co? Daj spokój, przecież nie mam trzynastu lat.
- Okej, w porządku. Ale nie wchodzisz do środka, tylko stoisz na posterunku, dopóki nie zrozumieję, co się dzieje, jasne?
- Oczywiście.

Zaklął, opuścił szybę, sięgnął pod deskę rozdzielczą, umieścił policyjnego koguta na dachu, zjechał na lewy pas i wcisnął pedał gazu.

TO BYŁA DRUGA wizyta Natalie Sommer u psychologa. Czuła się trochę lepiej niż poprzednim razem, bo wtedy prawie cały czas płakała i nie była w stanie wykrztusić słowa. Kiedy w końcu poprosiła swoją lekarzkę o skierowanie do psychologa, miała nadzieję, że trafi na psycholożkę, kobietę, bo oczywiście łatwiej by jej było opowiedzieć tę całą – tak, niemal absurdalną – historię osobie tej samej płci. Ale skierowano ją do mężczyzny. Długo wzbraniała się przed wizytą, a kiedy w końcu zebrała się na odwagę, okazało się, że psycholog jest na zwolnieniu lekarskim i zastępuje go kobieta. I wtedy Natalie poczuła, że to był dobry znak. Znak, że podjęła właściwą decyzję. Że już najwyższy czas opowiedzieć o tych wszystkich niezrozumiałych rzeczach, których doświadczała przez ostatnie lata.

Natalie Sommer zawsze uważała się za zupełnie normalną osobę. Pochodzącą z zupełnie normalnej rodziny. Tata pracował na poczcie, mama w bibliotece. Była jedynaczką i chyba tylko to różniło ją od koleżanek ze szkoły i przyjaciół z sąsiedztwa. Dom jednorodzinny na Helge Sollies vei w Oppsal miał duży, piękny ogród z małym domkiem dla lalek, w którym ona i jej przyjaciółki mogły się bawić. Każdego dnia nie mogła się czegoś doczekać. Pójścia do szkoły, powrotu do domu, popołudniowej zabawy, położenia się spać przy pięknej lampie, którą mama sama zrobiła. Jej pokój był różowy i bezpieczny i co wieczór oboje rodzice siadali tam razem z nią, czytali jej książki i śpiewali, dopóki nie zasnęła. Gdy stała się nastolatką i jej przyjaciółki zaczęły przesiadywać z chłopakami w centrum Manglerud, pić piwo i palić papierosy na ławkach nad jeziorem Østensjø, uznała, że to nie dla niej. Woląca spędzać czas w domu. Kochała swoją rodzinę. Nie rozumiała, po co miałyby się włóczyć nocami po mieście. Z czasem przyjaciółki się wykruszyły, wyruszyły w świat albo przeprowadziły do innych miast, a Natalie została w Oppsal. Jej pokój nie był już różowy, przeniosła się na

poddasze i ukończyła studia nauczycielskie, najpierw ze specjalizacją sportową, a następnie pedagogikę specjalną, ponieważ właśnie to interesowało ją najbardziej i na to się ostatecznie zdecydowała.

Trzy lata temu, w wieku dwudziestu czterech lat, otrzymała swoją pierwszą stałą pracę jako nauczycielka w gimnazjum Skøyenåsen. Od pierwszej chwili polubiła tę szkołę i wciąż doskonale się w niej czuła. Uczyła wychowania fizycznego i rekreacji na łonie natury, a w zeszłym roku dyrektor szkoły zaproponował jej, żeby aplikowała na stanowisko pracownika socjalnego. I od tamtej pory jej życie stało się jeszcze lepsze. Wciąż mieszkała w domu rodzinnym, skąd miała blisko do szkoły, zaledwie kilkaset metrów, ale myślała o wyprowadzce. Chciała być na swoim. I właśnie wtedy wypatrzyła mieszkanie z werandą na Ulsrud. Postanowiła złożyć ofertę. Wiedziała, że nigdy tego nie zapomni. Siedziała na kanapie w domu rodzinnym, z opisem nieruchomości w dłoni, nie mogąc się doczekać, kiedy obejrzy mieszkanie.

Gdy nagle zadzwonił telefon.

– Jak się dziś czujesz, Natalie? – spytała przyjaźnie psycholożka i ostrożnie przesunęła w jej stronę pudełko z chusteczkami.

– Dziękuję, sama nie wiem.

Wyciągnęła z pudełka dwie chusteczki, tak na wszelki wypadek, chociaż postanowiła, że tym razem będzie silniejsza. Nie będzie aż tyle płakać. Bo kiedy płakała, nie była w stanie powiedzieć nic z tego, czym od tak dawna chciała się z kimś podzielić.

– Pociągniemy dalej wątek, który poruszyliśmy ostatnio?

– Tak, okej.

Czuła, że to i tak nadejdzie. Zasłoniła ręką oczy i zaczęła miarowo oddychać, starając się powstrzymać łzy. Na szczęście udało jej się na chwilę przegonić smutek.

– A więc twoja mama i twój tata wybierali się na wakacje, zgadza się?

– Tak. To był prezent z okazji pięćdziesiątych urodzin taty. Zawsze pragnął pojechać na tę wycieczkę i w końcu miał szansę spełnić swoje marzenie.

– Chodziło o podróż Hurtigruten³⁶?

Natalie przytaknęła i pociągnęła nosem, policzki nadal miała suche.

– Ale zmienili plany?

– Tak. Mieli popłynąć wzdłuż całego wybrzeża, z Bergen do Kirkenes. Ale nagle postanowili, że przy okazji odwiedzą ciotkę i wujka.

– Którzy mieszkali w Stavanger, tak?

Natalie skinęła głową. Psycholożka zapisała coś w notesie, który trzymała na kolanach.

– Tak, to niedaleko Bergen i nie byli tam od dawna, więc tak, czemu nie, wydawało się, że to dobry pomysł.

– I to się stało właśnie tam?

Natalie znowu przytaknęła i przycisnęła dłoń do oczu.

– Dobrze ci idzie – powiedziała łagodnie psycholożka. – Nie spiesz się, mamy czas.

Co oczywiście nie było do końca prawdą i co poprzednim razem wydało się Natalie okropne. Bo kiedy tak siedziała, płakała i opowiadała o tym, co jej leży na sercu, psycholożka nagle spojrzała na zegarek i powiedziała: *Nasze dzisiejsze spotkanie dobiegło końca. Opłata za wizytę wynosi dwieście osiemdziesiąt pięć koron. Płatność kartą czy gotówką?*

Po wyjściu z gabinetu Natalie stała przez dłuższą chwilę na dworze. Postanowiła, że nigdy już tam nie wróci. Bliskość. Po raz pierwszy w życiu otworzyła się przed kimś spoza swojej rodziny. Nigdy nie była aż tak bezbronna. Po wszystkim czuła się brudna. Tak minęło kilka tygodni. W końcu podjęła decyzję, że spróbuje jeszcze raz.

– Nie wiedziałam nawet, że mieli płynąć tym katamaranem.

– Hurtigbåten? MS „Sleipner”?

– Tak. Pamiętam, że siedziałam i oglądałam telewizję i nagle go pokazali. Statek, który zatonął. Zginęło szesnastu pasażerów. W Norwegii? Czy to możliwe? Pamiętam, że to była moja pierwsza myśl. Mój Boże, biedni ludzie! Taki wypadek w naszym kraju? Niewyobrażalna tragedia. To chyba niemożliwe.

– Kiedy się dowiedziałaś, że twoi rodzice byli na pokładzie?

– Późnym wieczorem, gdy zadzwoniła ciotka.

Łzy jednak napłynęły, tym razem nie dało się ich zatrzymać.

– Nie spiesz się, Natalie – powtórzyła życzliwym głosem psycholożka.

Natalie wzięła się w garść, nie chciała, żeby również to spotkanie okazało się porażką, ponieważ nawet nie zbliżyły się do tego, o czym chciała porozmawiać.

O wielkiej tajemnicy.

Adwokat w smutnym gabinecie, kilka tygodni później, już po pogrzebie, kiedy mieszkała sama w dużym domu, który teraz był wypełniony kwiatami.

– *Mam tutaj testament twoich rodziców. Dziedzicysz po nich wszystko, co posiadali. Dom przy Helge Sollies vei, domek letniskowy na Solbergstrand, oba samochody, pieniądze, które mieli na obu kontach oszczędnościowych, wszystko oprócz całkiem sporej sumy, którą twoja matka zgromadziła na oddzielnym koncie. Jest tam obecnie milion dwieście siedemdziesiąt tysięcy koron. Te pieniądze mają w całości zostać przekazane twojemu bratu Rogerowi Lørenskogowi.*

– *Mojemu... komu?*

– *Twojemu bratu Rogerowi.*

Przesunął dokumenty w jej stronę.

– *Mam... brata?*

Natalie siedziała z chusteczką higieniczną w ręce i czuła, że znowu nadchodzi złość, która się w niej zebrała. Kim właściwie byli ci ludzie? Mama i tata? Skoro okłamywali ją w tak ważnej sprawie. Co jeszcze przed nią zataili? Czy całe jej życie było jednym wielkim kłamstwem?

– To znaczy, że o niczym nie wiedziałaś?

– Nie.

– Nigdy o nim nie rozmawiali?

– Słowem nie wspomnieli.

– Co wtedy zrobiłaś?

Sympatyczna pielęgniarka szła przed nią korytarzem. Natalie miała spocone dłonie, cieszyła się, że nie musi sama otwierać drzwi, wiele razy była o włos od zmiany zdania, ale przecież on tu był.

Chudy jak patyk. Z ciemnymi workami pod oczami. O tępym spojrzeniu. Nieśmiały, lekko zdziwiony uśmiech mający na białych wargach.

– Cześć, mam na imię Natalie.

– Cześć, Natalie. Jestem Roger.

Oczywiście dłużej nie była w stanie się powstrzymać, łzy spływały powoli po policzkach.

– Bardzo cię przepraszam.

– Za co?

– Za wszystko. Sama nie wiem...

Spojrzenie błędzące gdzieś za oknem, nogi podciągnięte pod siebie, ramiona obejmujące chude ciało w geście samoobrony.

– Czy ona... odeszła?

– Tak, niestety.

– Szkoda. Zawsze się zastanawiałem, jak to będzie.

– Co będzie?

– Jak będzie wyglądał dzień, kiedy mama mnie stąd zabierze.

Wszystko jej się lekko pomieszało, czas i miejsce. Psycholożka jakby za mgłą w swoim fotelu, podczas gdy z niej wylewały się słowa i emocje. To, jak od tamtej pory odwiedzała go prawie każdego dnia. Jak odmawiał, nie chciał być dla niej ciężarem, ale ona nalegała. To było dla niej oczywiste, że powinien się do niej wprowadzić. Oczywiście, że powinni razem zamieszkać. Po tych wszystkich latach. Przecież wciąż jeszcze są młodzi, prawda? Mogą zacząć od nowa. Nadrobić stracony czas. Jego spojrzenie przy żywopłocie, gdy wysiedli z taksówki, on z torbą w ręce, jedyną rzeczą, którą posiadał.

Do diabła.

Przecież przygotowała się do tej wizyty, a jednak najwyraźniej nie do końca.

Psycholożka powoli przeniosła wzrok na mały czerwony zegar. Znak, że sesja dobiegła końca.

Koszt wizyty wynosi dwieście osiemdziesiąt pięć koron, płatność kartą czy gotówką?

Na dworze, przy swoim rowerze, powietrze wydało jej się inne.

Czystsze.

Świeższe.

Umówić cię na kolejny tydzień, Natalie?

Tak, proszę.

Zadowolona?

Nie, to nie to, jeszcze nie, ale była na dobrej drodze.

Do lepszego miejsca.

Tak czuła.

Właśnie wprowadziła rower na początek Helge Sollies vei, na ścieżkę, po której nie wolno jeździć samochodom, i zobaczyła w oddali swój dom, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nią mężczyzna z aparatem fotograficznym.

– Natalie Sommer?

– Co...?

Kilka osób za nim.

Pstrykanie aparatów.

– Hej, Natalie, spójrz tutaj!

– Gdzie jest twój brat?

– Tędy, Natalie, przejdź tędy!

Samochody, anteny, mikrofony, kamery, ludzie z telefonami, kłębówisko rąk i nóg, głośnie nawoływania ze wszystkich stron.

Ostatnie sto metrów pchała rower tak szybko, jak tylko potrafiła.

– Natalie?

– Spójrz tutaj!

– Jest w domu?

– Gdzie jest Roger?

Czarny samochód, dwa cienie przeciskające się przez tłum ludzi, podchodzą do niej, wysoka kobieta w niebieskim dresie i młody mężczyzna w garniturze.

– Natalie Sommer? Nazywam się Fredrik Riis, a to jest Katja. Jesteśmy z policji. Możemy zamienić kilka słów?

SKURONNVEIEN 25 W MANGLERUD była bezbarwnym prostokątnym klockiem, bliźniakiem z końca lat sześćdziesiątych, kiedy popyt na mieszkania w szybko rozrastającym się mieście był tak duży, że funkcjonalność pod każdym względem przewyższała estetykę. Poza tym nikt nie dbał o ten dom, w każdym razie o jego część najbardziej oddaloną od ulicy, z nazwiskiem wypisanym mazakiem na postrzępionej kartce papieru.

Frank Helmer.

Mia ponownie nacisnęła dzwonek i jeszcze raz przypomniała sobie to, co przez całe przedpołudnie było wypisane na jej czole. *Nie pij alkoholu. To nie dla ciebie.* Parę godzin wcześniej wybiegła z domu z myślą, by oczyścić ciało, i teraz czuła się trochę niekomfortowo, spocona pod pachami i wciąż ubrana w dres.

To nie był strój, który by wybrała, chcąc złożyć wizytę podejrzanemu. Nie miała nawet legitymacji służbowej.

To on, prawda?

To musiał być on.

Ten od obrazu.

Przedstawiającego nagiego jasnowłosego chłopca z borsukiem.

Tak, do cholery!

Mia poczuła, że jej serce bije jak oszalałe, i uśmiechnęła się do siebie. Szczerze mówiąc, nie mogła się doczekać, kiedy otworzą się drzwi.

Jej pierwsza sprawa.

I rozwiązali ją w...?

Okej.

Spokojnie.

Jeszcze go nie złapałaś.

Zetrzyj ten uśmiech.

Musisz wyglądać normalnie.

Znowu palec na przycisku dzwonka.

Dzień dobry, nazywam się Mia Krüger. Jestem z policji. Frank Helmer?

Nadal ani jednego dźwięku z odrapanego budynku.

Cholera, nie ma go w domu.

Mia ruszyła powoli z powrotem, rozglądając się wokół siebie. Wyraźnie brzęczał jej w uchu głos Muncha, polecenie, które wydał jej ostrym tonem, zanim popędził dalej do Oppsal.

– Nie wchodzisz do środka, jasne? Nie wiadomo, kurwa, do czego zdolny jest ten facet. Zostajesz na schodach. Dzień dobry, dzień dobry, rozumiesz? Udawaj, że pomyliłaś adres albo sprzedajesz jakieś losy na loterię, cokolwiek. Jeśli jest w domu, przepraszasz go i wycofujesz się, oddalasz spokojnie i wzywasz wsparcie, zrozumiano? Jeśli nie ma go w domu...

Spojrzał na jej dres do biegania.

– ...możesz pobiec do nas albo robić, co chcesz, ale pod żadnym pozorem...

Tak, tak.

Przez chwilę czuła się tak, jakby znowu była na dywaniku u dyrektora szkoły.

Shit!

Czy tamta zasłona się poruszyła, czy tylko jej się wydawało?

Mia zaczęła się rozciągać, schyliła się do ziemi, udając, że ćwiczy. To wcale nie było takie głupie, w tym stroju, w każdym razie nie tutaj. Wtapiała się w tło, nikt nie zwracał uwagi na dziewczynę w dresie, która uprawia jogging. Gdyby obok przejechał rowerzysta w kompletnym stroju, kasku, na błyszczącym sprzęcie, prosto z miejsca zbrodni, żaden świadek nie zwróciłby na niego najmniejszej uwagi. Miasto roiło się od rowerzystów, idealne przebranie, prawda?

Tak, cholera.

Czy ktoś tam jest...?

W oknie na górze...?

Pobiegła w górę ulicy, zawróciła i pochyliła się, udając, że zawiązuje sznurowadło.

Dom od innej strony.

Dłoń.

Zasłona, którą ktoś zaciągnął.

Nie.

Okej.

Nie jego część.

Druga część bliźniaka.

Materiał w gwiazdy i planety.

Na schodach widziała wiaderko i łopatkę, na żwirze stary plastikowy traktor.

Dziecko.

W drugiej części bliźniaka.

Znowu zaczęła się rozciągać i trzymając się nieco z boku, przeszła kilka metrów w dół drogi, aż za dom. Wtedy się zatrzymała. Teraz miała lepszy widok. Na tył domu. Kilka drzew i krzewów, maleńki lasek przed starym, rozpadającym się płotem, który odgradzał posiadłość w jej dolnej części.

Do jasnej cholery!

Skreśliła z drogi i weszła ostrożnie między drzewa.

Biegaczka w potrzebie.

Która musi zrobić siku.

Tak czy inaczej, jemu zrobiłoby się bardziej głupio niż jej, gdyby nagle wyszedł na zrujnowaną werandę.

Sorry, sorry...

Po prostu musiałam...

Rozejrzała się dookoła i podeszła jeszcze bliżej.

Nikogo na drodze.

Żadnych sąsiadów na widoku.

Teraz dokładniej widziała ogród za domem.

Chociaż ogród to za dużo powiedziane, właściwszym określeniem był obszar między domem a płotem.

Teraz usłyszała wyraźnie głos swojej matki.

Chcesz się dowiedzieć, kto mieszka w domu, przyjrzyj się ogrodowi, Mio. Widzisz, tam na dole? Palec skierowany w stronę okna samochodowego. Depresja, bieda albo jedno i drugie. Nie, jeśli ogród masz w porządku, to nie jest z tobą aż tak źle. A przecież tak niewiele

trzeba, prawda? Wystarczy wybrać rośliny, które są łatwe w uprawie. Byliny wyrastają co rok, prawda?

Nikt nie miał tu ręki do kwiatów. Zarośnięty mchem kawałek ziemi, który być może kiedyś był trawnikiem. Wyschnięte krzaki, parę zmurszałych desek, kilka czarnych worków na śmieci wspartych przy dziurze, w miejscu, gdzie płot prawie się rozleciał.

Mia podeszła ostrożnie do płotu i ukucnęła. Jeszcze raz rozejrzała się wokół, zanim zaryzykowała krótką obserwację. Drzwi na werandę, ze schodami na górę. Na dole duże, ciemne okna. Trzy mniejsze na górze, wszystkie z zasłonami albo przynajmniej z kawałkami materiału, które pełniły ich funkcję. Przemknęła ostrożnie pod drzewami i stanęła lekko pochylona przed dziurą w płocie.

Czy one nie były...?

Zaryzykowała i podniosła się, wyciągnęła lekko szyję, żeby lepiej zobaczyć.

One nie są chyba zamknięte.

Dostrzegła blokadę zaciskową w drzwiach werandy. Jakiś bystry dostawca na pewno zbił na nich majątek, prawie wszystkie domy, które kiedykolwiek odwiedziła, były wyposażone w takie blokady. Zresztą słabej jakości. Oni sami mieli takie drzwi na tyłach domu, od strony ogrodu. Ościeżnica się wypaczyła, więc nie można już było zamknąć drzwi. Klamka zatrzymywała się pod pewnym kątem i dzięki temu Mia wiele razy wymykała się z domu, kiedy była nastolatką.

Szybko podjęła decyzję, precyzyjnie się przez dziurę w płocie, przebiegła schylona przez niewielki ogródek i nacisnęła klamkę.

Faktycznie.

Otwarte.

Zanim się zorientowała, stała w środku.

Shit!

Okej.

Zmusiła serce, żeby biło spokojniej, zacisnęła wargi, żeby nie było słychać jej przyspieszonego oddechu, i właśnie wtedy to poczuła.

Fetor.

O fuck!

Naciągnęła na nos bluzę od dresu.

Rozejrzała się dookoła tak spokojnie, jak tylko była w stanie. Mężczyzna, który zapuścił swój ogród, nie dbał również o wnętrze domu. Stara kanapa, zawalony stół, puste butelki, resztki pizzy, popielniczki. Obraz przedstawiający Afrykankę z dużymi kolczykami wisiał krzywo i nie zasłaniał rozdarcia w tapecie.

Boże, co to za smród?

Telewizor. Kredens z zielonymi szklanymi drzwiczkami, wypełniony śmieciami i papierami. Okrągły stół. Dwa różne krzesła, z których jedno przeszło nieudaną próbę przemalowania. Kwadratowa skrzynia bez wieka przy drzwiach.

Okej, to chyba to.

Kuweta.

Więcej odchodów niż piasku.

Kot.

Albo kilka.

Ściągnęła bluzę z nosa, zmusiła się, żeby to wytrzymać.

Kuchnia, wszędzie niepozmywane naczynia.

Wyszła ostrożnie na korytarz.

Para starych kaloszy.

Krzywy szmaciany chodnik.

Kurtka rzucona na podłogę.

Kilka fotografii na ścianie.

Samochód w paski.

Dym z asfaltu.

Wyścig samochodowy.

Chłopcy na wycieczce.

Połów ryb.

Wyszczzerzone w uśmiechu zęby.

Puszki z piwem.

Mia zdjęła zdjęcie ze ściany i pobiegła z powrotem do salonu, gdzie było lepsze światło.

Ręce wokół ramion.

I wtedy go zobaczyła.

Tatuaż.

Duże, szare, wyjące szczęki na muskularnym ramieniu.

Wilk.

Wyjęła telefon i nagle poczuła się całkowicie bezbronna.

Serce waliło jej pod bluzą, zamiast głosu Muncha poczta głosowa.

Dodzwoniłeś się do...

– Holger! To on. To Frank Helmer. Ma tatuaż. Wilka. Obraz.
Wszystko się zgadza...

Szeptala, a mimo wszystko wydawało jej się, że mówi zbyt głośno.

– Przyjedziesz tu? Zadzwoń do mnie. Przyślij kogoś, okej?

Odszukała numer Anette i już miała do niej zadzwonić, gdy nagle przyszło jej coś do głowy.

Odwróciła się i stanęła prawie spokojnie na środku brudnej podłogi.

Gdzie są wszystkie obrazy?

Mężczyzna był artystą, potrafił malować, zauważyła to, obraz z chłopcem przytulającym borsuka był urzekająco piękny i gdyby nie wiedziała, jaka kryje się za nim historia, dałaby się uwieść pociągnięciom pędzla, światłu.

Nic na ścianach?

Tylko jakiś kiczowaty obrazek za pięćdziesiąt koron, który wyglądał tak, jakby znalazł go w koszu na śmieci?

Nie, coś tu się nie zgadza.

Szutrową drogą przyjechał jakiś samochód. Mia zastygła.

Czy to...?

Nie, rodzina z sąsiedniego domu. Mały chłopiec wyskoczył z auta i śmiejąc się, pobiegł przed siebie, a za nim ruszyła rozgniewana matka. Siatki z zakupami wyciągnięte z bagażnika. Wkrótce Mia usłyszała ich zza cienkich ścian. Zwyczajny dzień. Z pracy do domu. Najwyższy czas na obiad.

Do diabła!

Przecież nie mogła tak stać.

Znowu odszukała numer Anette, ale nagle dopadły ją wątpliwości.

Tatuaż?

Przecież każdy mógł go sobie zrobić?

Ale w połączeniu z obrazem?

Jakie były szanse?

Nie, cholera, to musiał być on, gdyby tylko znalazła...

Na wpół otwarte drzwi prowadzące do ciemnych schodów.

Oczywiście.

W ukryciu.

Właśnie tak pracował.

W piwnicy.

Bingo.

Włożyła telefon z powrotem do kieszeni bluzy, otworzyła drzwi na oścież i ruszyła ostrożnie na dół po trzeszczących schodach.

MUNCH SŁYSZAŁ TRZASK aparatów fotograficznych za sobą, gdy objął ostrożnie ramieniem przerażoną dziewczynę i zaprowadził ją do dużego, pięknego domu.

– Nazywam się Munch – powiedział spokojnie, gdy w końcu znaleźli się na korytarzu. – Jesteśmy z policji. Katję i Fredrika już poznałaś?

Blondynka rozejrzała się dookoła.

– Tak, hej, o co tu chodzi?

– Nie słyszałaś wiadomości?

Munch wykonał gest ręką, proponując, żeby weszli na górę, zamiast tłoczyć się w ciasnym przedpokoju. Dziewczyna skinęła głową i całkowicie oszołomiona ruszyła przed nim po szerokich schodach.

– Jakich wiadomości?

Była po dwudziestce, ładnie ubrana, w białej wyprasowanej koszuli i różowej kamizelce, spódnicy sięgającej kolan i wiązanych półbutach, które w zamieszaniu zapomniała zdjąć. Na pewno nie należała do osób, które chodzą w butach po domu, ponieważ piętro wyżej wszystko było w idealnym stanie.

Muncha tak to zaskoczyło, że niemal zapomniał odprowadzić ją do kanapy. Podłoga była wypolerowana na błysk, żart, że jest tak czysto, że można z niej jeść, tracił tu rację bytu. Okna lśniły tak, jakby monter wyszedł stąd zaledwie dziesięć minut wcześniej. Książki na regale były ułożone kolorystycznie. Kanapa sprawiała wrażenie, jakby właśnie przyniesiono ją od tapicera, a perski dywan pod błyszczącym stołem wyglądał tak, jakby właśnie odebrano go z pralni. Na szklanym blacie stał błyszczący kryształowy wazon ze świeżymi białymi liliami. Marianne od czasu do czasu zabierała Muncha na targi wyposażenia wewnątrz na Fornebu, ale żadna z sal

wystawowych, jakie kiedykolwiek odwiedził, nie mogła się równać z tym salonem.

Spojrzał na swoje zabłocone, brzydkie buty i zdjął je na szczycie schodów.

– Co tu się dzieje? – spytała dziewczyna. Stała zdezorientowana na środku pokoju, z twarzą skierowaną w stronę tłumów za oknem.

Munch przeszedł ostrożnie obok niej i zaciągnął zasłony.

– Może lepiej usiądź? Przynieść ci szklankę wody?

Jakby to był jego dom, nie jej. Widział to już nieraz.

Była w szoku.

Nie wiedziała, gdzie się znajduje.

– Tak, dziękuję – powiedziała i opadła na nieskazitelnie czystą kanapę w kolorze musztardowym.

Poszedł do kuchni, znalazł szklankę w szafce, w której, co już go nie dziwiło, wszystkie przybory kuchenne były rozmieszczone z wojskową precyzją, i wrócił do salonu.

– Wiadomości? – powtórzyła, rozglądając się po pokoju, ze szklanką wody przy ustach.

– Jestem tutaj, żeby zadać ci kilka pytań na temat Rogera Lørenskoga. Czy to twój chłopak?

– Co?

Nawet nie spróbowała wody. Szklanka wciąż tkwiła tuż przed jej ustami, jakby zastygła w powietrzu.

– Roger Lørenskog – powtórzył Munch. – Czy to twój mąż? Chłopak?

Po chwili ocknęła się nieco, zrozumiała, o co ją pyta.

– Roger?

– Tak.

– Czego od niego chcecie?

– Czy to twój mąż?

W końcu wypła łyk wody, nareszcie obecna, potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko.

– Nie, nie, to mój brat. Przyrodni.

Chwilę później zjawili się Fredrik i Katja, po cichu, przysiedli ostrożnie na krzesłach przy wejściu do pokoju, po raz kolejny przypominając Munchowi, dlaczego zaprosił ich do swojego zespołu,

nie są jak ten pierdolony słoń, który rozdeptywał wszystko dookoła i nie potrafił wykonywać swoich pieprzonych obowiązków. Munch pozwolił tej myśli odpłynąć. Później zajmie się Oxenem.

– Czego od niego chcecie?

Na szczęście dziewczyna wróciła do życia, jej policzki nabrały koloru. Pusta szklanka stała przed nią na podkładce na wypolerowanym blacie stołu.

– Może na początku porządnie się przedstawmy – powiedział uprzejmie Munch. – Ja mam na imię Holger, a to Katja i Fredrik. Jak ty masz na imię?

– Natalie – odrzekła. – Natalie Sommer.

– Nie Lørenskog?

Uśmiechnęła się smutno.

– Nie. Byliśmy przyrodnim rodzeństwem.

– Byliście? – powtórzył Munch i ostrożnie kiwnął głową do swoich współpracowników. Fredrik wruszył ramionami.

– Tak.

– Co masz na myśli?

– Roger nie żyje – powiedziała niemal szeptem. – Odebrał sobie życie. Sześć miesięcy temu.

MIA CORAZ BARDZIEJ zanurzała się w ciemność i czuła, że stopnie schodów uginają się pod ciężarem jej ciała, trzeszcząc nieprzyjemnie. Serce zabiło jej mocniej, kiedy zatrzymała się w połowie zejścia, żeby przyzwyczać oczy do mroku. Kiedy w końcu znalazła się na dole, szukała po omacku włącznika światła, ale na chłodnych ścianach małego korytarza niczego nie znalazła, więc zacisnęła palce wokół klamki i ostrożnie uchyliła drzwi piwnicy.

Prostokątne pomieszczenie.

Bez okien.

Zapach jeszcze intensywniejszy, jakby zgnilizny, niemal kłujący, może była tu gdzieś kolejna kuweta.

Nie, to coś gorszego.

Znowu podciągnęła bluzę od dresu, żeby zasłonić nos, i ruszyła ostrożnie przed siebie. Obmacała ścianę po obu stronach drzwi i poczuła ulgę, gdy jej palce trafiły na to, czego szukała, trzask i migocząca, trzeszcząca świetlówka powoli obudziła się do życia.

Wzdrygnęła się na ich widok.

Koty.

Zwisały na sznurze z sufitu, przywiązane za tylne łapy.

Trzy sztuki.

Pełna kuweta tam na górze.

Gdzie są wszystkie koty?

Zwisają z sufitu.

W piwnicy.

Mia zacisnęła wargi i spięła się w sobie. Walczyła z instynktowną potrzebą, by zawrócić, pobiec na górę, do światła, na świeże powietrze. Oddychała spokojnie, skanując wzrokiem pomieszczenie. Cementowa wylewka. Kilka szmacianych chodników. Brudnych. Duża plama na środku jednego z nich. Stół z laminowanego materiału kompozytowego, z narzędziami. Mała piła. Młotek. Długi

cienki nóż. Szydło. Szpula żyłki wędkarskiej. Kilka igieł. Nici w trzech kolorach. Para rękawic ogrodowych. W jednym rogu kartony. Dużo. Jasnobrązowe. Zamykane niebieską szeroką taśmą. Ułożone starannie jeden na drugim. Na końcu pokoju kolejne drzwi. Grubsze. Bała się pomyśleć, co może znajdować się za tamtymi drzwiami, ale on zadbał o to, żeby nikt nie mógł tam zajrzeć. Były zabarykadowane metalową płytą. Wielka stalowa zasuwka. Potężna kłódka.

Okej, Mio, nie możesz tu być.

Wyjdź stąd.

Zadzwoń do Muncha.

W rogu pomieszczenia biurko. Zielona lampka do czytania z IKEA, stylizowana na lata siedemdziesiąte. Przeszła tam ostrożnie i włączyła lampkę, ale żarówka była przepalona. Stos kartek. Talerz pełen okruchów, czerstwy kawałek chleba, zjedzony do połowy. Czarny laptop, starszy model, kłapa lekko podniesiona, niepodłączony do prądu. Wzięła do ręki kopertę leżącą na biurku. Uniosła ją tak, żeby padało na nią migoczące światło. *Frank Helmer, Skuronnveien 25.* W prawym górnym rogu logo.

Szpital Gaustad.

Psychiatryk.

Okej.

Wszystko zaczyna się układać.

Odłożyła kopertę ostrożnie na miejsce i rozejrzała się zaciekawiona dookoła.

Tylko gdzie są obrazy?

Sztalugi?

Farby?

Pędzle?

Skończył z tym?

To dlatego?

Po akademii sztuki?

Wyrzucony stamtąd, postanowił pozbyć się tego wszystkiego?

Przestał malować?

Zamiast malować, urzeczywistnił swoje marzenia?

Może.

To miało sens.

Prawda?

A jednak.

Coś tu się nie...

Właśnie wyciągała telefon z kieszeni, gdy ją zauważyła.

U góry, w rogu.

Kamera.

Shit!

Trochę za proste, czy to nie jest trochę za proste?

Dostać się tutaj?

Otwarte drzwi na werandę?

Nad jej głową nagle coś zatrzeszczało.

Zastygła w bezruchu.

Nasłuchiwała.

Nie.

Tak, cholera, znowu ten dźwięk.

Ktoś się poruszał.

Po cichu.

Żeby nie zwróciła na to uwagi.

Obrazy w jej głowie, usiłowała sobie przypomnieć. Na górze? Czy tam były kamery? Ile czasu tu spędziła? Jakies dwadzieścia minut?

Nagle zrozumiała.

On tu chyba nie mieszka?

Zapach.

Stare jedzenie.

Spojrzała szybko na zabarykadowane drzwi z kłódką.

To było coś innego, prawda?

Miejsce, które obserwował.

Kamery.

Na górze i na dole.

Widział, jak wchodziła do środka.

I już tu był.

Znowu trzask.

Rozpoznała trzeszczenie desek.

Schody.

Schodził po schodach.

Powoli.

Kurwa.

Mia rozejrzała się gorączkowo dookoła, ale nie było tu żadnego miejsca, by się ukryć, uciec, żadnych okien. Znajdowała się w pułapce, jedyna droga na zewnątrz prowadziła przez drzwi, którymi weszła.

Klamka podniosła się powoli, a potem nagle ostre światło prosto w twarz i ciemny, ochrypły głos.

– Kim ty jesteś, do cholery?

Mia zasłoniła oczy rękami, latarka oślepiła ją.

– Przepraszam, to nieporozumienie.

Podszedł bliżej.

– Ach tak? Boromir cię przysłał?

– Co?

– Opróżnij kieszenie.

– Okej, spokojnie.

Opuściła ręce, światło ją raziło. Włożyła ręce do kieszeni bluzy – za późno zrozumiała, co robi.

Kij przecinający powietrze.

Oszukał ją.

Sprawił, że przestała myśleć o swoim bezpieczeństwie.

– Pozdrów go ode mnie.

Zdążyła tylko wyciągnąć ręce z kieszeni i podnieść je w desperackim geście obrony.

Zadał jej pierwszy cios.

MUNCH STAŁ NA werandzie z telefonem przy uchu, rozmawiał z Ludvigiem Grønliem. Miał ogromną ochotę zapalić, ale powstrzymywał się, bo niby gdzie wyrzuciłby niedopałek? Było tu chyba jeszcze porządniej i czyszej niż w środku. Ogród przypominał angielską posiadłość, nawet obrus na stole pod parasolem był świeżo wyprasowany. Wsunął paczkę z powrotem do kieszeni kurtki, gdy odezwał się Ludvig.

– Nie, nie mogę tego znaleźć...

– To znaczy, że nie zarejestrowaliśmy jego zgonu?

– Nie. Absolutnie nie. Według moich danych facet żyje i ma się całkiem dobrze. Roger Lørenskog, urodzony osiemnastego marca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku. Zamieszkały przy Helge Sollies vei trzy, Oppsal.

– Zgadza się, właśnie tu jesteście. Czy to może być błąd?

– Co masz na myśli?

– Błąd systemu?

– To jest oczywiście możliwe, ale nigdy wcześniej nie miałem z czymś takim do czynienia...

– W porządku – westchnął Munch. – Wyjaśnij to. Nawet gdybyś musiał się pofatygować do archiwum i wyszukać dokument w wersji papierowej. Jeśli chłopak żyje, natychmiast chcę się o tym dowiedzieć, okej?

– Ale przecież on żyje – odparł ostrożnie Ludvig.

– Chcę wiedzieć, czy gdzieś popełniono błąd. W zakładzie medycyny sądowej. Musieli wypełnić papiery. Samobójstwo, sześć miesięcy temu, pod tym adresem. Jeśli to prawda. Okej?

– W porządku – powiedział Grønlie i się rozłączył.

Munch wyciągnął papierosa z paczki i mimo wszystko wsunął do ust. Zajrzał do salonu, gdzie Fredrik siedział z otwartym notesem naprzeciwko dziewczyny. Munch wyjął z kieszeni zapalniczkę i rzucił

okiem na swój telefon, głównie po to, by się upewnić, że ma wyłączony dźwięk. Komórka dzwoniła bez przerwy, a dziewczyna potrzebowała teraz ciszy i spokoju. Mia też kilka razy próbowała się kontaktować i wysłała mu wiadomość. Zanim ją przeczytał, przyszła kolejna.

Kurwa mać...

Jestem uwięziona w piwnicy. On jest w domu. Przyjedź.

Chwycił klamkę i gwałtownym ruchem otworzył drzwi.

– Muszę lecieć.

Zrobili wielkie oczy, ale nie zwrócił na to uwagi, bo już zbiegał ze schodów, zupełnie zapomniał, że zmierza prosto do jaskini lwa, do wszystkich fotografów i dziennikarzy, ale nie mógł nic na to poradzić.

W piwnicy?

Zaklął cicho i przebiegł przez trawnik tak szybko, jak się dało.

Przekłęta dziewczucha, przecież powiedział wyraźnie, że nie wolno jej...

Obiektywy i mikrofony.

– Munch!

– Zatrzymaliście podejrzanego?

Odgonił ich ruchem ręki i wskoczył za kierownicę. Chwycił policyjnego koguta, błyskawicznie umieścił go na dachu i uruchomił silnik. Poruszenie za jego plecami, jakżeby inaczej, widział, jak zatrząskują drzwi samochodów i ruszają.

Kurwa mać.

Nacisnął hamulec.

Jakaś starsza pani z psem na smyczy szła żółwym tempem przez ulicę.

– Z drogi!

Uderzył w kierownicę, zatrąbił i przejechał przed nią.

Okej, spokojnie, Holgerze.

Strefa zamieszkania.

Z całym korpusem dziennikarzy siedzącym mu na ogonie.

Znowu utknął, troje dzieci z rowerami, wcisnął klakson i wjechał na chodnik, skręcił w Haakon Tveters vei, starał się przypomnieć sobie, którądy jechał, żeby dostać się na Helge Sollies vei.

Skøyenåsen.

W dół do Østensjøveien.

Czy powinien zjechać aż do Brynsenteret?

Wyjechać na E6?

A potem w górę przy stacji metra Manglerud?

Czy pojechać prosto?

Myśl, Holgerze.

Myśl.

Wziął do ręki radio i oddychając ciężko, krzyknął do mikrofonu. Znowu musiał gwałtownie zahamować, kolejny emeryt, tym razem mężczyzna.

Zaczął wymachiwać gorączkowo, poganiając przechodnia.

– Centrala.

– Tak, Foxtrot trzynaście, tu Munch. Potrzebuję wsparcia, natychmiast.

– Okej, trzynaście, gdzie jesteś?

– Przy szkole Østensjø, ale nie chodzi o mnie.

– Okej, trzynaście, o co chodzi, gdzie wysłać pomoc?

Starszy mężczyzna w końcu przeszedł na drugą stronę. Munch wcisnął pedał gazu i przejechał między samochodami, które na szczęście zauważyły niebieskie światło koguta i utworzyły korytarz.

– Podaję adres: Skuronnveien dwadzieścia pięć, Manglerud, powtarzam: Sierra, Kilo, Uniform...

– Trzynaście, przyjąłem.

– Mamy jakieś radiowozy w pobliżu?

– Dwa patrole na skrzyżowaniu Ryen. Prawdopodobnie kradziony samochód. Kierowca zatrzymany...

– Pieprzyć to! Natychmiast ich przekieruj! Mam śledczego uwięzionego w domu z potencjalnym podejrzanym. Możliwe zagrożenie życia. Powtarzam: możliwe zagrożenie życia...

Mikrosekundowa przerwa w połączeniu.

– Potwierdzam: radiowozy Foxtrot dwadzieścia i dwadzieścia trzy przerywają interwencję przy skrzyżowaniu Ryen i jadą na nowy adres, Skuronnveien dwadzieścia pięć.

– Ile im to zajmie?

Chwila ciszy.

– Szacowany przyjazd za cztery minuty.

– Dobrze, poproś, żeby cisnęli. I niech przygotują broń.

– Trzymaście, możesz potwierdzić ostatni meldunek?

Pieprzone procedury i przepisy. Mieli broń, ale zamkniętą w bagażniku, w sejfie otwieranym tylko na wyraźny rozkaz. Nieźle by to wyglądało w centrum Los Angeles.

– Tak, kurwa mać! Przygotować broń. Mojej śledczej grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, czego nie zrozumiałeś?

– Meldunek potwierdzony. Foxtrot dwadzieścia i dwadzieścia trzy, pozwolenie na użycie broni. Szacowany przyjazd: trzy minuty i trzydzieści sekund.

– Powiedz im, żeby się, kurwa, pospieszyli!

Rzucił mikrofon i wpadł na rondo. Nagłe hamowanie. Białe bmw omal nie zderzyło się z czerwonym volvem.

– Do diabła, zjedźcie z drogi!

Spokojnie, Holgerze.

Nie zabij nikogo.

Spojrzał w lusterko i teraz zobaczył je wyraźnie.

Samochody z logo.

NRK.

TV2.

„VG”.

„Dagbladet”.

Nie, to nie miało teraz znaczenia.

Teraz ona była najważniejsza.

Oczywiście.

Mia, Mia, Mia.

Co ty wyprawiasz?

Oczywiście jego błąd, znowu. Zatrudnić kogoś prosto ze szkoły.

– Zjeżdżaj stąd, do jasnej...!

Ciężarówka z czerwonym logo IKEA na skrzyżowaniu w kierunku Manglerudsenteret nie mogła ruszyć z miejsca. Munch wrzucił wsteczny bieg, wycofał samochód, skręcił kierownicą i wjechał na przeciwległy pas jezdni, jakiś samochód musiał gwałtownie zahamować przed nim, przerażona twarz kobiety w przedniej szybie, teraz słyszał je i widział, radiowozy dwadzieścia i dwadzieścia trzy, wyjące syreny w drodze pod wskazany adres. Munch wjechał na

Plogveien, miał ich już na ogonie. Kawalkadę wozów z niebieskimi kogutami na dachach i dziennikarskich furgonetek. Przechodnie na chodnikach otwierali szeroko usta ze zdziwienia.

Mia, do diabła!

Musiał zwolnić.

Znowu strefa zamieszkania.

Znaki po obu stronach.

Uwaga! Bawiące się dzieci.

Białe kostki u dłoni zaciśniętych na kierownicy, musiał bardzo się kontrolować, żeby nie dodać gazu.

Dalej.

Dalej.

Dalej.

Na szczęście kawałek wolnej jezdni.

Nie, kurwa.

Całe przedszkole.

Dzieci w równym rzędzie, w żółtych kamizelkach odbłaskowych, plus kilkoro dorosłych, o krok od przejścia dla pieszych.

Nie, nie.

Nie mógł czekać.

Opuścił szybę i krzyknął najgłośniej jak umiał, wymachując ręką.

– Stać! Nie ruszać się, okej?!

Panie przedszkolanki były bardziej przerażone niż dzieci.

– Zostańcie na miejscu! Nie przechodźcie!

Okej.

Bardzo dobrze znał tę dzielnicę.

Teraz do przystanku autobusowego.

Na dół i w prawo.

Zostało już tylko kilkaset metrów.

Nareszcie.

Zahamował gwałtownie, stanął krzywo na środku ulicy, otworzył schowek i wyjął z niego pistolet.

Okej.

Protokół?

Poczeka.

Rozeznać się w sytuacji.

Pieprzyć to.

Groziło jej niebezpieczeństwo.

Od frontu?

Czy od tyłu?

Dwa radiowozy policyjne zatrzymały się z piskiem opon tuż za nim. Błyskały niebieskie światła. Czterech funkcjonariuszy wyskoczyło z aut, cztery równie zdezorientowane twarze. Sznur samochodów, z których wysypywali się dziennikarze i fotografowie. Munch schylił się za samochodem i przywołał funkcjonariuszy do siebie.

– Prawa część bliźniaka. Policjantka uwięziona w piwnicy. Podejrzany jest tam razem z nią. Chciałbym, żebyście wy dwaj weszli od tyłu, tamtymi drzwiami prowadzącymi na werandę. A wy dwaj przodem, w razie potrzeby wykopcie drzwi...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej.

Najpierw jeden funkcjonariusz.

Potem drugi.

Oczy szeroko otwarte, ktoś klepnął go w ramię i wskazał werandę bezbarwnego domu.

Przez następne trzy sekundy stał z otwartymi ustami.

Drzwi otworzyły się z hukiem i na zewnątrz wypadł mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat, w białym podkoszulku, z tatuażem na ramieniu, ogoloną głową i ręką przyciśniętą do czegoś, co wyglądało jak zakrwawiona twarz. Biegł tak szybko, jakby się paliło, przeskoczył balustradę, potknął się, lądując, rzucił przerażone spojrzenie za siebie i z wyraźnym trudem zaczął się podnosić.

Bo to była ona.

Mia.

Jak pantera wybiegła przez drzwi i niemal przefrunęła nad poręczą. Mężczyzna ledwo stanął na nogach, gdy skoczyła i spadła prosto na jego plecy. Zwymiotował i upadł jak ścierka na trawę, ze zwinną dziewczyną na sobie.

Munch zareagował instynktownie, podbiegł najszybciej, jak umiał, przeskoczył płot i przycisnął lufę pistoletu do ogolonej potylicy mężczyzny.

Funkcjonariusze wciąż stali z otwartymi ustami przy samochodzie Muncha.

– Kurwa, niech któryś z was przyniesie kajdanki!

Mia wstała, z trudem łapiąc oddech. Krwawiła z ust, a jedna jej ręka zwisała bezwładnie.

– Wszystko w porządku?

Przytaknęła.

– Franku Helmerze, jesteś aresztowany pod zarzutem zabójstwa Rubena Lundgrena i Tommy’ego Sivertsena.

W BIURZE BYŁO CICHU, a na korytarzach dało się wyczuć napięcie pomieszane z ulgą. Ludvig Grønlie spojrział na zegar wiszący na ścianie, a następnie na swój telefon. Od czterech godzin nie robił właściwie nic innego. Uznał, że najwyższy czas oddzwonić do niej. Chociaż wątpił, czy to coś da. Kobieta w archiwum, z którą rozmawiał, była ostra jak brzytwa i niezbyt chętna do pomocy. Przypominała mu bibliotekarkę, która pracowała w Nordstrand, kiedy był mały. Dawała dzieciom niezły wycisk, gdy zapomniały karty bibliotecznej. Krzyczała na nie za każdym razem, co doprowadziło do tego, że kiedy dzieci miały wypożyczyć książki z biblioteki, wołały je wynieść i później przemycić jeszcze raz z powrotem, niż wysłuchiwać kazań. Jej twarz stanęła mu przed oczami, gdy usłyszał w słuchawce cierpki kobiecy głos. *Musi pan wypełnić formularz AR-18 z załącznikami, ARF-1 i ARF-2, wtedy otrzyma pan odpowiedź, zwykle w ciągu trzech tygodni.* Trzy tygodnie? Musiał przybrać ostry ton, czego nie robił zbyt często, i spytał ją, czy oglądała najnowsze wiadomości. Tą sprawą interesował się cały kraj, a on musiał poznać odpowiedź najpóźniej w ciągu dwóch godzin, to znaczy prawie dwie godziny temu.

Ostrożne pukanie do drzwi. Katja wsunęła głowę do środka.

– Jesteś zajęty?

– Nie, nie.

Przywołał ją i wskazał krzesło Anji, która poszła już do domu. Lubił Katję. Nie bardzo wiedział, dlaczego zawsze ubiera się tak, jakby właśnie wybierała się na trening albo należała do Spice Girls, ale co on tam wiedział o modzie. Od trzydziestu lat ubierał się tak samo i nie planował niczego zmieniać. Przynajmniej dopóki sklep odzieżowy, w którym zwykle robił zakupy, nie zbankrutuje, zmuszając go do wybrania innego. Przypomniało mu się, że być może powinien wkrótce coś kupić, przynajmniej ze dwie koszule

i kilka par skarpet, żeby utrzymać sprzedaż w starym sklepie, któremu, podobnie jak wszystkim innym placówkom handlowym w pobliżu jego miejsca zamieszkania, zagrażały sieci handlowe rozsiane po całym kraju.

– Słyszałeś o tym? – spytała Katja. Wyjęła z kieszeni piłeczkę antystresową i zaczęła obracać ją w dłoni.

Ludvig przytaknął.

– Trudno nie słyszeć, prawda?

– Chryste Panie, nigdy nie słyszałam, żeby Munch był taki wściekły.

Grønlie przebywał wtedy w pokoju socjalnym. Prawie rozlał kawę, gdy to się zaczęło, bo drzwi do gabinetu Muncha zatrzęsły się z takim hukiem, że było to słychać w całym biurze. Potem krótka, kilkuminutowa tyrada, po której Oxen opuścił gabinet z podkulonym ogonem, czerwony na twarzy, wyglądał jak zbity pies. Podszedł prosto do swojego biurka, włożył wszystkie prywatne rzeczy do pudełka i tyle go widzieli.

– Na pewno jest ci bardzo przykro. – Ludvig się uśmiechnął.

– O tak, Boże, będę strasznie tęsknić. Taki ciepły facet. Kompetentny. Szarmancki wobec kobiet. Daj spokój. Gdyby jeszcze raz mnie sprowokował, to...

Uniosła rękę i z całej siły ścisnęła piłeczkę antystresową.

– Jak tam było?

– W piwnicy Franka Helmera?

– Tak.

Potrząsnęła lekko głową.

– Dziwnie. Jak w horrorze. Martwe koty zwisające z sufitu. Plamy na podłodze. Musieliśmy użyć szlifierki kątovej, żeby otworzyć zaryglowane drzwi. Wspominałeś, że jakiś czas temu byłś świadkiem w jakiejś sprawie o przemyt, zgadza się? Po naszej stronie?

Ludvig przytaknął.

– No więc to było to.

– Co?

– To, co tam znaleźliśmy. Tabletki. Całe skrzynie. Do wyboru, do koloru. Głównie sterydy anaboliczne, ale także lekarstwa. Między innymi rohypnol...

– Ten sam środek, którym odurzono chłopców?
– Dokładnie tak, ale coś mi tu nie gra. To były ogromne ilości, a nasz sprawca potrzebował najwyżej jednego pudełka. To było coś grubszego, lepiej zorganizowanego. Domyślam się, że tego dotyczyła tamta sprawa, że właśnie dlatego był świadkiem prokuratury.

– Chciał pozbyć się konkurencji?

– Coś w tym stylu.

Włożyła piłeczkę z powrotem do kieszeni i wstała.

– Idziesz? Fredrik zainstalował się w sali konferencyjnej. Mamy bezpośredni przekaz z pokoju przesłuchań. Niedługo zaczną. Czekają tylko na jego adwokata.

– Zaraz przyjdę – odparł i spojrzał na zegar, zdjął z tablicy żółtą kartkę i wybrał numer.

Długo trwało, zanim ktoś odebrał.

– Ragnhild, słucham?

– Dzień dobry, tu Ludvig Grønlie, jednostka do spraw zabójstw, Mariboegate, dzwonię ponownie...

Odgłosy w tle, dzieci i krzyki, hala sportowa.

– Wie pan, że jest już po godzinach urzędowania? – rzuciła cierpkim tonem.

– Tak, wiem, ale jak mówiłem, potrzebuję pilnie odpowiedzi. Znalazła pani to, o co prosiłem?

Cisza, jakby miała ochotę rzucić słuchawką, ale się powstrzymała.

– Tak, wysłałam panu odpowiedź.

– To znaczy?

– Akt zgonu ma pan w poczcie elektronicznej.

– Okej, czyli facet naprawdę nie żyje?

W tle radosna wrzawa, gwizdek sędziego, jakby padł gol.

– Tak. Trochę się tego naszukałam, ale w końcu znalazłam. Nie wiem, jak do tego doszło. Ktoś z naszych pracowników musiał zapomnieć wprowadzić informację do bazy danych.

Właśnie. I wydawało mu się, że wie, kto to mógł być.

– Ale na pewno nie żyje? Roger Lørenskog?

– Tak, nie żyje. Informacja o tym jest już w bazie danych, zadbałam o to.

To cudownie. Że w końcu zrobiłaś to, co do ciebie należy.

– Okej, dziękuję.

Rozłączyła się.

Okej, w porządku. To tyle.

Przeciągnął się i wstał. Postanowił sprawdzić, czy już zaczęli. Katja i Fredrik siedzieli na krzesłach. Na ekranie zobaczył Muncha oraz Franka Helmera i jego adwokata po drugiej stronie stołu. Ludvig poszedł do pokoju socjalnego po kawę i wrócił z nią do sali konferencyjnej.

– Jak leci?

– Cii, właśnie zaczęli.

– Jak długo chodziłeś do Akademii Sztuki Amunda Andersena?

– Co?

Łysy mężczyzna prychnął pogardliwie.

– Że niby *gdzie*?

Munch przesunął kartkę po stole.

– Czy to ty namalowałeś ten obraz?

– Hę?

Helmer się zaśmiał i spojrzał na adwokata.

– Namalował? Zwariowałeś, gościu? Ja nie umiem, kurwa, narysować nawet ludzika z kresek!

KEVIN MYKLEBUST SIEDZIAŁ ubrany na kanapie i patrzył, jak mama wyciąga z reklamówek rzeczy, które kupiła w Centrum Handlowym Strømmen. Ulf tylko na nią wydał mnóstwo pieniędzy, a teraz zamierzali zjeść lepszy obiad. Lasagne. W której przygotowywaniu Ulf podobno był mistrzem, robił ją według własnego przepisu, na prawdziwych prostokątnych płatach makaronu z porządnymi sosami. Nie takimi gotowymi, kupowanymi w Coopen, do których wystarczyło dodać wody – tak robiła mama, kiedy jeszcze próbowała gotować. Stracił już całą nadzieję. Że w jednej z tych reklamówek jest coś dla niego. Bo ona czasem taka była, mama, zupełnie zapomniała zapytać, co on by chciał, chociaż wiele razy jej o tym wspominał, nieśmiało, ostatni raz, gdy odprowadzał ich rano do samochodu.

Zdalnie sterowany samochód.

Próbował przemyścić go do różnych historii, które opowiadał, żeby to nie było zbyt oczywiste, żeby nie wyglądało, że żebrze, bo jeśli mama kogoś nienawidziła, to właśnie żebraków. Tam, gdzie mieszkali, nie było żadnych żebraków, ale w Oslo owszem. Żebracy nie pracowali, tylko siedzieli, łgali i żebrali, a potem wydawali pieniądze na drogie domy w Rumunii, podczas gdy ludzie tacy jak ona, prawdziwi Norwegowie, nie dostawali już nawet zasiłku dla bezrobotnych.

– Rozmawiałem z Ronnym. Nie może się doczekać wieczoru i naszej wyprawy pod namiot. Trochę szkoda, że jego *zdalnie sterowany samochód* jest zepsuty, bo cieszył się, że będziemy razem się nim bawić. Byłoby fajnie, ale cóż, mówi się trudno.

Wyszła spod prysznicza z włosami owiniętymi ręcznikiem.

– Uważasz, że powinnam się obciąć?

– Co?

– W centrum handlowym? Mają tam na pewno o wiele lepszych fryzjerów, nie uważasz?

– Tak, na pewno są zdatni.

I trochę później, kiedy przymierzała ubrania przed lustrem.

– Jak powinnam się ubrać na wizytę w centrum handlowym, Kevinie?

– Nie mam pojęcia, mamó.

– Jak myślisz, czy sukienka nie jest zbyt elegancka? Nie chcę się wyróżniać, rozumiesz, nie chcę, żeby wszyscy zwracali uwagę tylko na moją sukienkę.

– Tamta sukienka jest ładna, mamó. Podobają mi się te cekiny, błyszczą, kiedy pada na nie światło.

– Nie, na litość boską, ja chyba zwariowałam, przecież nie idę na *przyjęcie*. Jeansy i T-shirt są lepsze, nie sądzisz? A może ten obcisły czarny golf? Luźno i swobodnie, w końcu to zupełnie zwyczajny dzień, a mimo wszystko elegancko, jak myślisz?

– Dobry pomysł. Twój golf przypomina mi sweter, który miałem, kiedy byłem młodszy, pamiętasz? Ten niebieski, z *samochodem*. Ivar udawał, że mną *kieruje, zdalnie*, a ja biegałem dookoła i musiałem skręcać w lewo, w prawo, stop, do tyłu, musiałem robić, co mi kazał.

– Kevinie, w tym domu nie rozmawiamy o Ivarze. O, już wiem. Te duże okulary przeciwsłoneczne? Obcisłe jeansy, czarny golf i okulary przeciwsłoneczne. Może upnę włosy, ściągnę je do tyłu i zwiążę gumką, à la Angelina Jolie. Co ty na to?

– Tak, mamó, będziesz wyglądać pięknie.

Ostatnią próbę podjął, gdy wsiadali do samochodu. Ulf miał bardzo dziwny wyraz twarzy, zresztą tak jak wielu z nich. Chcieli być sami z mamą, w każdym razie przez chwilę, a on, Kevin, tylko im zawadzał.

– Bawcie się dobrze. Mam nadzieję, że miło spędzicie czas. Nie rozbijcie się na drodze, bo ten, który przyjeżdża po rozbite auta, siedzi teraz za kierownicą, więc kto was uratuje, jeśli się rozbijecie? Założę się, że nikt. Ja wam pomogę, będę wami *zdalnie sterował*.

Stanął przed samochodem, udając, że trzyma w rękach pilota, ale oni na niego nie patrzyli. Ulf spoglądał do tyłu, a mama malowała usta w lusterku.

W reklamówkach nic dla niego nie było.

– Kiedy przyjdzie Ronny? – spytała niecierpliwie mama i spojrzała na zegar wiszący na ścianie obok lodówki, jakby to mogło sprawić, że zacznie chodzić.

– Ma przyjść o siódmej.

– Okej, to już niedługo.

Podeszła do niego i uszczypnęła go w policzek, robiła to zawsze, kiedy czegoś od niego chciała.

– Mój kochany synek będzie dzisiaj spał w namiocie, czy to nie wspaniale? Ale wiesz, tak się zastanawiam, czy nie mógłbyś poczekać na Ronny'ego na zewnątrz albo na dole przy drodze? Muszę tu trochę posprzątać i przygotować się do wyjścia, nie mogę przecież tak wyglądać, kiedy wróci szef kuchni, tego by jeszcze brakowało, prawda? Mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Okej, mamó.

Wstał z kanapy i założył plecak.

– Baw się dobrze.

– Dzięki, mamó.

Na szczęście nie padał deszcz.

7

MUNCH SIEDZIAŁ W KURTCE przed dużym narożnym biurkiem na czwartym piętrze komendy policji w Grønland i po raz pierwszy od dawna miał poczucie porażki. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się czuł. W nocy źle spał. Wiercił się na łóżku, wstawał kilka razy i krążył niespokojnie po salonie, uderzył łydkami w nową ławę, którą kupiła. Zauważył, że Marianne poprzestawiała stare meble i dokupiła nowe. W ten sposób zabijała czas, czy mógł mieć o to do niej pretensje? Przecież od kilku tygodni prawie nie bywał w domu.

Złoty szyld na błyszczących drzwiach, *Hanne-Louise Dreyer, Dyrektor*. Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Oczywiście kazała mu czekać, wypić piwo, którego nawarzył. Za bardzo zbliżył się do słońca, przypalił sobie skrzydła i teraz leciał prosto w dół. Pierwsze strony gazet wyłożonych przed kioskiem na Borggata krzyczały do niego; po raz drugi w krótkim czasie sprawił, że wyszła na kompletną amatorkę, oczywiście on też, ale on miał gdzieś, co o nim myślą ci kretyni. Co innego ona.

Hanne-Louise Dreyer. Smoczyca. Że też mógł być aż tak naiwny. Łudził się, że tym razem dostanie szefa, którego polubi, ale znowu nic z tego. Oczywiście, że nie. Była nawet gorsza od swoich poprzedników. Szczerze mówiąc, nie mógł znieść widoku jej mordy. Była przeciwieństwem wszystkiego, o co walczył od niemal dwudziestu lat. Do tego nawet nie była policjantką. Z wykształcenia ekonomistka i prawniczka. Cholera, wszystko się popieprzyło. Złowiona z innego kierowniczego stanowiska, żeby *raz na zawsze skierować policję w Oslo na właściwe tory*. Właściwe tory? Zaklął cicho. Żałował, że przed wejściem nie zapalił trzeciego papierosa, jego ciało domagało się kolejnej dawki nikotyny. Właściwe tory, kurwa? Czy ona kieruje jakimś pociągiem? To nie żadne pieprzone towarzystwo ubezpieczeniowe czy skąd tam ściągnęli tę jędzę. Tam liczyło się tylko jedno. Zyski. Pieniądze. Dywidendy dla i tak już

obrzydliwie bogatych akcjonariuszy. To miał być kierunek dla policji? Pieprzeni politycy i chciwe świnie. Był obecny na obowiązkowym wykładzie, jaki wygłosiła dla wszystkich szefów wydziałów w ich okręgu policyjnym i wszystko – tak, wcale nie przesadzał – wszystko sprowadzała do pieniędzy. Oszczędzić tu. Oszczędzić tam. Mniej na to. Mniej na tamto. I te wszystkie pieprzone gnidy, które wchodziły jej w tyłek, w tych swoich odpicowanych mundurach, jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, w co się ubierają. Oczywiście nie był w stanie się powstrzymać. *To co robimy z ponad dwudziestoma siedmioma tysiącami rozbojów i kradzieży w Oslo w zeszłym roku, skoro ponad osiemdziesiąt pięć procent spraw zostało umorzonych? Ludzie zostają napadnięci na ulicy i obrabowani, wracają wieczorami przerażeni do swoich domów, ich samochody są okradane, ale tym nie będziemy zawracać sobie głowy. Czy tak należy to rozumieć? W ubiegłym roku dostaliśmy jakieś dwa i pół miliarda koron, a mimo to nie rozwiązujemy tych spraw. Niby na czym mamy oszczędzać? I dlaczego? Przecież wszystkie badania dowodzą, że im więcej pieniędzy przeznaczysz na policję, tym lepiej służy to społeczeństwu. Niby dlaczego, kurwa, mamy oszczędzać?*

Może chodziło o przekleństwa. Albo o to, że w ogóle otworzył usta. W każdym razie Smoczyca nigdy nie zapomniała mu tego upokorzenia.

– Mama cię nie uczyła, że trzeba czytać wszystko, co jest napisane drobnym drukiem?

Anette Goli poprzedniego wieczoru, po pieprzonym przesłuchaniu Helmera, które niczego nie wniosło do sprawy.

– Jaki drobny druk? O czym ty, do cholery, mówisz?

– Własna jednostka. Możliwość wyboru współpracowników. Kierowanie śledztwem według uznania. Ale wiesz, że w lipcu zostaniemy poddani ewaluacji? I że istnieje coś takiego jak budżet? Rozumiem, że wierzysz w to, że można żyć samą miłością, ale jak myślisz, kto zasiada na czele komisji? Kto decyduje o tym, ile pieniędzy dostaniemy w przyszłym roku?

– Smoczyca?

– Chyba nie powinieneś tak jej nazywać, ale owszem. Dreyer zasiada w komisji ewaluacyjnej, a jakże. I w komisji budżetowej.

Zrobimy to tak: spotkasz się z nią jutro o godzinie dziewiątej przed jej gabinetem. Elegancko ubrany. W dobrym nastroju. Nie mówię, że masz jej lizać dupę, a właściwie tak, właśnie to mówię. Każe ci skakać, skaczesz, każe się turlać, kładziesz...

– Dobrze, już dobrze.

– Jutro punktualnie o godzinie dziewiątej. I włóż coś ładnego. Nie zaszkodziłyby koszula i krawat, przynajmniej ten jeden raz.

Zegar w jego telefonie pokazywał dziesięć po dziewiątej.

Kazała mu czekać.

Chciała mu pokazać, kto tu rządzi.

Przez chwilę rozważał, czy nie wstać i wyjść, na słońce, zapalić papierosa albo dwa, kurwa mać, czy on nie ma co robić? Przecież musi rozwiązać sprawę.

Wsunął gumę nikotynową do ust i wzdrygnął się, gdy rozgryzł ją zębami. Cholera, kto twierdził, że to dobry pomysł? Stworzyć coś, co smakuje jak rura wydechowa o miętowym smaku? I niby jak dzięki temu ludzie mieliby przestać palić? Pieprzeni idioci. Wypluł gumę, przykleił ją dyskretnie pod kanapę i splukał obrzydliwy smak łykiem wody z plastikowego kubka obok dystrybutora.

Koszula i krawat, niedoczekanie.

Właśnie usiadł z powrotem, gdy otworzyły się drzwi i Smoczyca wystawiła głowę na korytarz.

– Holger Munch. Jesteś. Wejdz, wejdz.

Na zewnątrz serdeczna, a w środku cyniczna i wyrachowana.

Czy oni wszyscy nie są właśnie tacy?

Dyrektorzy?

Naczelnicy?

Kto właściwie dostaje takie stanowiska i za co?

Ponieważ są zimnymi, cynicznymi egoistami, którzy zręcznie wspinają się po szczeblach kariery kosztem innych, czyż nie?

Okej, oddychaj.

Myśl o budżecie.

Wykrzywił twarz w grymasie przypominającym, a przynajmniej taką miał nadzieję, uśmiech i wkroczył do pełnego przepychu gabinetu. Widok na miasto. Ogromne biurko z drewna tekowego.

Wysoki fotel, który wyglądał tak, jakby został wymontowany z bolidu Formuły 1.

A może by tak zacząć od cięcia kosztów we własnym gabinecie, zamiast narażać zwykłych ludzi na cierpienie?

Na szczęście w porę ugryzł się w język i usiadł grzecznie na krześle, które mu wskazała.

– Napijesz się czegoś? Kawy? Herbaty? Wody mineralnej?

– Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba.

– Drożdżówkę?

Przesunęła w jego stronę mały talerzyk.

– Nie, nie, muszę myśleć o zdrowiu, sama rozumiesz.

Poklepał się lekko po brzuchu.

– Och, Holgerze, Holgerze. Taak, od czego by tu zacząć?

Odchyliła się do tyłu w fotelu i splotła dłonie.

– Po prostu to powiedz. Trochę mi się spieszy, więc byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli...

Fałszywa uprzejmość zniknęła, Dreyer odkryła swoją prawdziwą twarz z zimnymi oczami i zaciśniętymi wargami. Palcem wskazała gazety leżące przed nią na biurku.

– Musimy o tym porozmawiać. Czynna napaść na niewinnego człowieka? Z bronią? W biały dzień? Na oczach prasy z całego kraju? Ryzykowne posunięcie, nawet jak na ciebie, nie sądzisz? I kim jest ta studentka, którą podobno zatrudniłeś? Bo to ona jest na tym zdjęciu, mam rację?

Podniosła jedną z gazet.

– Bez uprawnień? W terenie? Doprawdy wielka szkoda, Holgerze. To wyglądało tak obiecująco, prawda? Nowe wyzwanie? Własna jednostka? Bardzo głupio, że musimy ją zamknąć zaledwie rok po...

– Muszę tylko dostać...

– Wrócimy do tego – przerwała mu Smoczyca i znowu na jej twarzy pojawił się niby-uśmiech. – Ale najpierw chcę się zapoznać z raportem, o który prosiłam... no właśnie, chyba ze dwa tygodnie temu? A więc zacznijmy od początku.

Otworzyła teczkę, która leżała przed nią na biurku.

– Jak już mówiłem, mamy...

– Zostaniemy tu tak długo, aż będę zadowolona, Holgerze. A teraz skupmy się na tym, okej? Anette na pewno poinformowała cię, że Kripos zostało postawione w stan gotowości. Wystarczy jeden mój telefon i sprawa załatwiona. A tak przy okazji, jest wyjątkowo zdolna. Anette Goli. Chyba powinniśmy przydzielić jej lepsze stanowisko. Ale do rzeczy. Frank Helmer. Przesłuchiwaliście go wczoraj przez wiele godzin, zgadza się?

– Owszem.

– Proszę o krótkie podsumowanie.

Westchnął i rozpiął kurtkę.

– Znaleźliśmy obraz przedstawiający jednego z zabitych chłopców.

– Obraz?

– Tak. Na plakacie, który zaprowadził nas do akademii sztuki. Tam uzyskaliśmy potwierdzenie, że obraz namalował Frank Helmer, i dlatego przeszukaliśmy jego mieszkanie w Manglerud.

– Chciałeś powiedzieć, że włamaliście się do jego mieszkania. Bez najmniejszego dowodu. Bez nakazu. Wiesz, że facetowi może się upiec z powodu błędów proceduralnych? Jeśli to w ogóle jest ten człowiek, którego szukamy, chociaż wygląda na to, że chyba jednak nie jest, mam rację? To nie jest nasz sprawca?

– Moja współpracownica miała uzasadnione podejrzenia i dlatego zdecydowała się wejść do jego domu, żeby nie zdążył zniszczyć dowodów.

– Tak? Czego dotyczyły te podejrzenia?

– Fotografii.

– Którą zobaczyła z zewnątrz, tak?

– Tak.

– I ta fotografia przedstawiała...?

– Helmera. I jego tatuaż. Wilka, tu u góry, na ramieniu.

Dreyer uśmiechnęła się ironicznie.

– Tak, czytałam o tym. Że szukacie wilka. Który zabija, kiedy jest pełnia, czyż nie tak? Albo który sam staje się wilkiem, z kłami i w ogóle. Jest taka teoria? Trochę naciągana, nie sądzisz?

– Gdybym tylko mógł...

– Ależ oczywiście. Dawno się tak dobrze nie bawiłam.

– Moja współpracownica...

– Masz na myśli Mię Krüger, zgadza się?

– Tak.

– Studentkę Wyższej Szkoły Policji?

– Tak.

– Którą ściągnąłeś do pracy, zanim zdała egzaminy, zanim ukończyła szkolenie, zanim zaliczyła rok stażu, obowiązkowy dla wszystkich świeżo upieczonych absolwentów po to, abyśmy mogli sprawdzić, jak zachowują się wśród ludzi, gdzie pasują, *jeśli w ogóle pasują*, do tego arcyważnego społecznie zadania, zgadza się?

Przytaknął.

– Dziękuję, chciałam tylko, żebyś to potwierdził. Kontynuuj.

– W piwnicy znalazła martwe koty i zamknięte na kłódkę pomieszczenie. Już miała opuścić to miejsce i zgodnie z regulaminem zadzwonić do swojego przełożonego, czyli do mnie, ale niespodziewanie została zaatakowana przez Helmera drewnianym kijem.

– Ale szybko go obezwładniła, przegoniła po całym domu, a następnie rzuciła się na niego w jego własnym ogrodzie ku uciesze prasy?

– Mniej więcej.

Dreyer westchnęła i potrząsnęła głową.

– A czego dowiedziałeś się z przesłuchania?

– Że nie namalował tego obrazu.

– Nie?

– Nie.

– Co jeszcze?

– Że nie był studentem akademii sztuki, o której mowa.

– A to wiemy na podstawie...?

– Byliśmy tam wczoraj wieczorem. Z jego zdjęciem. Wynik negatywny. To nie ten mężczyzna był ich studentem, a co za tym idzie, to nie on namalował obraz.

– Ale ich student posługiwał się nazwiskiem Frank Helmer?

– Tak.

– A mamy więcej Franków Helmerów, którzy pasują do rysopisu? Bo przecież tym razem zaangażowaliście rysowniczkę, prawda? Żeby

mieć pewność, że podejrzany, na którego rzucimy się następnym razem, jest chociaż podobny do mężczyzny, którego szukamy.

Zrozumiał sugestię. Miała rację. Jego błąd.

– Nie, nikt inny o tym nazwisku nie pasuje do rysopisu, i tak, wysłaliśmy tam rysowniczkę.

– A więc był tam pod fałszywym nazwiskiem?

– Tak.

– To nadal lekko naciągana teoria, nie uważasz? Obraz? Czyj to był pomysł? Hej, na tym obrazie jest ten chłopak, spuśćmy łomot przypadkowemu mężczyźnie.

– To był mój pomysł. – Chrząknął.

– Okej. – Westchnęła i wypła łyk kawy. – Szczęście w nieszczęściu, że ten cały Frank Helmer nie jest praworządnym obywatelem, który mógłby pozwać nas za to, co zrobiliśmy. W rzeczywistości okazał się... przemytnikiem? Takie są nasze przypuszczenia?

– Tabletki, sterydy – przytaknął Munch. – Czy jest przemytnikiem, czy tylko pośrednikiem odpowiedzialnym za magazynowanie towaru, tego jeszcze nie wiemy, ale wysłaliśmy akta do zespołu Andersena i teraz oni przyglądają się sprawie.

– Okej, dobrze. Czy to znaczy, że wykluczamy Helmera z tej sprawy?

– Nie, nie do końca.

– Nie?

– Frank Helmer był wielokrotnie pacjentem szpitala psychiatrycznego Gaustad.

– A to jest ważne, ponieważ...?

– Pasuje do naszego profilu sprawcy. I do czasu, jaki minął między zabójstwami w Szwecji i tutaj. Sądzymy, że przez te lata sprawca mógł pozostawać w izolacji.

– Znów trochę naciągane, ale okej, więc dlaczego...?

Munch przechylił się do przodu i położył palec na gazecie.

– Przez tego mężczyznę.

– No tak. – Znowu westchnęła. – Mam to na swojej liście. Wysłaliście funkcjonariusza aż do Kristiansundu? A on nie zdołał

nawet zebrać informacji, których potrzebowaliście? Musiała to zrobić „VG”. Wiesz co, Munch...

– Biorę to na siebie – odparł. – A funkcjonariusz, o którym mowa, został zwolniony ze stanowiska.

Patrzyła na niego przez chwilę, jakby się zastanawiała, czy mówi prawdę i czy jest zdolny podejmować takie decyzje.

– Okej, tym lepiej dla nas. A z tym Olem Gunnarem Solskjærem to tak na poważnie? Rozumiesz, że gazety robią z tego cyrk? Wyszliśmy na kompletnych idiotów.

– Tak, rozumiem. Ale to ma związek ze sprawą.

– Ponieważ...?

– Dwóch chłopców opisało sprawcę. Spotkali go obok boiska piłkarskiego na Finstadjordet. Utykał. Wspomniał, że kontuzja, której doznał, uniemożliwiła mu zrobienie kariery w sporcie.

– I wy w to uwierzyliście?

– Nie do końca, ale warto sprawdzić każdy trop, a to byli nasi jedyni naoczni świadkowie.

– Okej. I to doprowadziło was, a raczej to doprowadziło „VG” do tego mężczyzny?

– Tak. Do Rogera Lørenskoga.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie żyje. Samobójstwo.

Dreyer znowu potrząsnęła głową i z westchnieniem upuściła teczkę na biurko.

– W takim razie powiedz mi, co masz. Same bzdury? Same bajeczki? Fikcyjne historyjki o wilkach atakujących przy pełni księżyca i dawnych przyjaciółach legendarnych piłkarzy, którzy najpierw utykają, a potem odbierają sobie życie? Nie, tego już za wiele. Chciałam cię jeszcze zapytać, jakim cudem złodziej poruszający się na wózku inwalidzkim mógł być zamieszany w naszą sprawę, a podobno stał w lesie, kiedy znaleźliście ciała, ale myślę, że dość się już nasłuchałam.

– Gdybyś tylko...

Uniosła rękę, przerywając mu, i odchyliła się do tyłu.

– Będę z tobą absolutnie szczerą, Munch. Nie lubię cię. Nigdy cię nie lubiłam. Nie tylko dlatego, że zachowujesz się i wyglądasz jak

menel, ale też dlatego, że nie szanujesz swoich przełożonych. W mojej firmie nie ma miejsca dla takich ludzi. Moim zdaniem przynosisz nam wszystkim wstyd, ale...

Zdjęła okulary i przetarła je irchą, która leżała na biurku.

– Przejrzałam twoją teczkę i w ciągu ostatnich lat miałeś zadziwiająco wysoką wykrywalność przestępstw, prawie stuprocentową. I dlatego...

Włożyła okulary z powrotem na nos.

– Masz trzydzieści sekund, żeby mnie przekonać, iż nadal powinieneś prowadzić to śledztwo. Dlaczego miałabym nie podnieść słuchawki i nie zadzwonić do Kripos?

Munch się pochylił. Odwrócił dwie gazety, tak aby widziała tekst.

– Roger Lørenskog. I Frank Helmer. Obaj z problemami psychicznymi. Obaj hospitalizowani w Gaustad. Wielokrotnie. W tym samym czasie.

– I to jest ważne, ponieważ...?

Pohamował złość i wzruszył ramionami.

– Ktoś podaje się za Franka Helmera. A jednocześnie udaje Rogera Lørenskoga. Uważasz, że to zbieg okoliczności?

Milczała w swoim wypasionym fotelu.

– Byliście tam?

– Właśnie się tam wybieram. Przed budynkiem czeka na mnie samochód.

Znowu cisza. Napięta twarz.

– Daję ci dwa dni i tym razem masz mi wszystko raportować, a mówiąc *wszystko*, mam na myśli każdy, nawet najmniejszy szczegół. Czy wyrażam się jasno?

– To da się zrobić – przytaknął.

Odprawiła go ruchem ręki.

– W porządku, możesz iść.

Wstał i wsunął papierosa między wargi.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

SIEDZĄC NA TAMTYM spotkaniu, Camilla doszła do wniosku, że mężczyzna po drugiej stronie stołu zwariował. A przynajmniej kłamie. Na początku była pewna, że powiedział to tylko po to, żeby poczuła się lepiej, bo przecież właśnie to zwykle robili w szpitalu.

Naprawdę nieźle ci idzie, Camillo.

Robisz duże postępy, Camillo.

– Załatwiłem ci pracę. Masz ochotę pracować? Znowu stać się częścią społeczeństwa?

Ona? Pracować?

Tamtego dnia Camilla wracała z przychodni do domu bardzo podekscytowana.

Nigdy wcześniej nie pracowała.

Skończyła edukację w wieku szesnastu lat i od tamtej pory była leczona.

Hospitalizowana.

Przez cztery lata.

Chociaż w zasadzie to zabronione, nikt nie może być hospitalizowany w Gaustad przez cztery lata. Dawniej owszem, kiedy przywiązywano ludzi skórzanymi pasami i poddawano lobotomii. W tych samych budynkach. Które teraz stały się jej domem. Nie, nie *domem*, tylko miejscem pobytu, bezpiecznym miejscem dla wszystkich, kiedy głosy w jej głowie stawały się zbyt uciążliwe.

Cztery lata.

Senne dni, kiedy była otumaniona tabletkami, wciąż nowymi. I chociaż na początku ostro się temu sprzeciwiała, w końcu dała za wygraną. Ponieważ działały, w każdym razie na te wszystkie twarze pod jej powiekami. Te, które nigdy nie przestawały płakać, a czasem zamieniały się w wielkie usta, które krzyczały, każąc jej robić rzeczy, na które nie miała ochoty.

A kiedy tabletki przestawały działać, zamykali ją. Nie w izolatce, bo tak ich już nie nazywano, teraz to był oddział bezpieczeństwa, *jej własnego bezpieczeństwa i bezpieczeństwa innych*. Siedziała zamknięta przez jakiś czas, dopóki nie ustalili, skąd to nagłe pogorszenie, i nie przepisali jej nowych leków.

A wtedy znowu wracała na oddział.

Do mgły.

Gdzie błąkała się po korytarzach.

Nic nie czując.

Styczeń luty, marzec, kwiecień, maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, zielone welurowe zasłony, biały materac, zdjęcie słodkiego pieska, które wycięła z czasopisma, kanapki na śniadanie, takie same każdego dnia, pilnowali, żeby je zjadła, właśnie tak, bardzo dobrze, a potem trochę soku, październik, listopad, grudzień.

I wtedy.

Pewnego dnia.

Właściwie powinna znać jego imię, bo przecież to on jej pomógł, praktycznie we wszystkim.

Egil?

Nie, nie Egil.

Ale jakoś podobnie.

Coś na E.

Nie miała pamięci do imion.

Gdzieś wyczytała, że to mogła być choroba, również to, ale nie tak niebezpieczna jak inne, mała, niegroźna.

Dysleksja w zakresie imion.

Nie tak jak inne w jej szpitalnej kartotece.

Wiele, jedna za drugą.

Zapisane całe kartki.

To

się

nigdy

nie

uda.

Mogli tak napisać.

Równie dobrze.

Zakończmy wszystko tu i teraz.

Oszczędźmy wszystkim kłopotu.

Ale wtedy zjawił się ten mężczyzna. Nowy na oddziale. Z innymi myślami niż ci, którzy byli tu wcześniej. I znowu dostała nowe leki. Nie, to nie było tak, dostawała mniej tych, które dawali jej do tej pory, tak było. A potem jeszcze mniej, aż w końcu nie dostawała prawie żadnych tabletek i przez cały czas ten mężczyzna i inni, których przyprawdzał ze sobą, kobieta z lokami, trochę młodsza kobieta w okularach w niemal fioletowych oprawkach, prowadzili nowe rozmowy, w inny sposób, aż w końcu stał się cud.

– Załatwiliśmy ci mieszkanie, Camillo. I od przyszłego tygodnia przekazujemy cię pod opiekę przychodni przyszpitalnej, będziesz się leczyć ambulatoryjnie, co ty na to?

Eeeeeee...

Co???

Oczywiście przez pierwsze dni była śmiertelnie przerażona, sama, zdana wyłącznie na siebie, ale pomogło jej to, że szpital znajdował się tak blisko i mogła tam wrócić, kiedy chciała.

I teraz, po kilku miesiącach.

– *Masz na to ochotę, Camillo?*

W Rema 1000.

Jej pierwsza praca.

Dzisiaj do niej dzwonił.

Jak prawie codziennie.

– Za trzydzieści minut będzie dostawa towaru, możesz przyjść, Camillo?

Oczywiście, że mogła. Na początku była zdenerwowana, o mały włos odwróciłaby się w parku na pięcie i wróciła do domu, ale stopy szły dalej same, chociaż głowa i płuca protestowały.

Kilka pierwszych dni zmuszała się do tego.

Uczeń.

To było wciąż wypisane na jej plakietce, którą nosiła na piersi. Granatowy T-shirt z napisem Rema. Granatowe, trochę sztywne spodnie. Lubiła swój uniform. Na początku bała się, że będzie się w nim wyróżniać, za bardzo rzucać w oczy, więc spytała szefową, czy mogłaby tego uniknąć.

Jak ona miała na imię?

Berit?

Bente?

Nieważne.

Szefowa uśmiechnęła się i powiedziała: przykro mi, wszyscy nasi pracownicy muszą nosić uniform, ale nie jesteś w nim bardziej widoczna, wręcz przeciwnie, stajesz się niewidzialna. Ludzie nie zwracają uwagi na twarz, kiedy masz na sobie uniform. Widzą uniform i zakładają, że już wiedzą, kim jesteś. Policjantką, pracownicą poczty, sprzedawczynią w sklepie. Myślą: aha, to jest pracownik, a nie człowiek, więc stajesz się dla nich anonimowa, a przecież właśnie tego chcesz? Owszem. Właśnie tego chciała. Nie musisz rozmawiać z ludźmi. Może kiedyś, ale nie teraz. Nie sądzisz, że właśnie z tego powodu wynaleziono mundury? Na przykład w wojsku? Kiedy kogoś zabijasz, nie zabijasz człowieka, dziesiętnastolatka, który chciał zostać księgowym i który właśnie wyprowadził się z domu. W mundurach to staje się o wiele prostsze. Och, przecież to wróg, nie człowiek. Mądra była ta jej szefowa. Na wiele tematów wypowiadała się inaczej niż inni. Poza tym była bardzo wyrozumiała i miła, zupełnie jakby wiedziała, kim jest Camilla. A na końcu znalazła dla niej plakietkę. Przyczepiła ją do T-shirtu, prawie jak medal. Spójrz, teraz nie będą cię nawet pytać, co gdzie leży. Nikt nie pyta pracownika, który nosi plakietkę *Uczeń*, bo to zabiera za dużo czasu. A ludzie nie lubią czekać, zauważyłaś? Nawet ci, którzy po powrocie do domu nie mają absolutnie nic do roboty, nienawidzą czekać, kiedy są w sklepie. Nienawidzą stać w kolejce. Jak tylko otwiera się nowa kasa, biegną do niej na wyścigi, przepychają starsze panie, depczą po małych dzieciach, tak, hura, udało mi się zaoszczędzić dwie minuty, a potem prosto do domu na kanapę, na której przesiadają przed telewizorem następnych sześć godzin. Czy to nie dziwne?

Były trzy.

Które odbyły z nią szkolenie.

Szefowa.

Belinda? Tak miała na imię?

Nie, jakoś inaczej, litery przypominały kwiaty w kolorze miętowym, które trochę się poruszały i od czasu do czasu wyskakiwały z wody, kiedy przelatywały nad nimi jakieś ptaki.

Beatrice?

Chyba tak.

Coś w tym stylu.

Nieważne.

Szefowa.

I ten z tylko jedną ręką.

I ta mała z ulizanymi włosami, która nie potrafiła wymówić R.

– Zupa pomidolowa, zupa kalafiolowa, głoćówka, okej?
Wszystkie zupy tutaj, dotąd, a tu zaczynają się losoły i buliony.

Łatwo było się tego nauczyć.

Od razu wszystko zrozumiała.

To wcale nie było trudne.

Zupełnie jakby ta praca czekała właśnie na nią. Jakby zagrali na nosie wszystkim twarzom za wielkimi biurkami. Krótkie spotkania, długie spotkania, aż w końcu na kartkach pojawiły się nowe słowa.

Istnieją

podstawy,

by

sądzić,

że

pacjentka

nigdy

nie

będzie

w

stanie

normalnie

funkcjonować.

Eeeeeee...

Oszukaliśmy ich, co?

Bardzo się starała nie mówić głośno do siebie. Na przykład, kiedy wykładała na półki chipsy i popcorn, i cheetosy, i pringlesy, i słone paluszki, i colę, i napój o smaku pomarańczowym, i wodę gazowaną,

i oranżadę cytrynową, i piwo imbirowe, i mleko chude, i mleko odtłuszczone, i mleko pełnotłuste, i śmietanę kremówkę, i śmietanę do zup, i śmietanę o obniżonej zawartości tłuszczu, ale czasem i tak coś jej się wymysknęło, bo przecież miała co świętować. Tylko raz grupa nastolatków to skomentowała, że mówi do siebie na głos, ale wtedy po prostu wyjęła telefon komórkowy i przez chwilę do niego mówiła, a potem już wszystko było w porządku, więc nie ma powodu do paniki. Już nie. Nie tutaj.

Właściwie nigdzie.

Po tym?

Ona?

W swojej własnej pracy?

Camilla uśmiechnęła się i wpisała kod na drzwiach.

Umiała już wpisywać kody.

Które wpuszczały ją do środka.

Zegar nad zlewem w szatni pokazywał za pięć, dzwonili zaledwie dwadzieścia minut wcześniej. Lubiła to, lubiła być tu wcześniej, żeby móc się przygotować.

Włożyła spodnie i już miała przeciągnąć T-shirt przez głowę, gdy je zobaczyła.

Gazety na stole.

Co?

To chyba nie mógł być...?

Przeszła zaskoczona przez szatnię, z T-shirtem na szyi.

Na obu pierwszych stronach.

Prawie te same zdjęcia.

I to był...?

On?

Ten wysoki chłopak?

Zawsze tak miły?

I ten drugi.

Ten z tatuażem na ramieniu.

Ale dlaczego...?

Szybko przewertowała gazety.

Nie tylko na okładkach, ale też na wielu stronach w środku.

Roger.

Właśnie, tak miał na imię.
Był tam wiele razy.
Byli tam razem.
W Gaustad.
Ten drugi też, ale nie tak długo jak oni.
Trening społeczny.
Siedzieć razem z innymi w świetlicy. Ci dwaj byli zawsze razem,
grali w karty.
Razem z tym trzecim.
Tym z pierścionkiem.
Jak on miał na imię?
Nie pamięta.
Otworzyły się drzwi i stanęła w nich uśmiechnięta szefowa.
– Hej, przywieźli towar, jesteś gotowa?
– Już idę.
Camilla naciągnęła T-shirt, szybko włożyła białe buty, sprawdziła
w lustrze, czy plakietka na piersi wisi równo, i ruszyła za szefową do
sklepu.

FREDRIK RIIS WZIAŁ bagietkę i colę do sali odpraw. Natychmiast zauważył, że panuje w niej inny nastrój niż zazwyczaj. Światło było włączone, a projektor wyłączony. Munch prawie leżał na stole, obok paczki papierosów, z kubkiem kawy w rękach. Dopiero teraz Fredrik uświadomił sobie, jak dużo miejsca wypełniał sobą Oxen czysto fizycznie, ze swoim metrem dziewięćdziesiąt i ponad stoma kilogramami, i w przenośni – swoim ekstrawertycznym zachowaniem. Riis opadł na krzesło obok Katji w chwili, gdy Munch podniósł się i skrzyżował ręce na piersiach.

– Dzień dobry wszystkim. Dzisiaj zrobimy to trochę inaczej niż zwykle. Pierwszy biję się w pierś i przyznaję, że w ciągu kilku ostatnich dni parę razy daliśmy ciała. Najwyższy czas zweryfikować fakty i zastanowić się nad tym, na jakim etapie obecnie się znajdujemy i jak dalej poprowadzić śledztwo.

W zamyśleniu pociągnął łyk kawy i podrapał się po brodzie. Po chwili mówił dalej:

– Najpierw krótki *update* dotyczący Mii. Wczoraj wieczorem wypisano ją ze szpitala. Dałem jej znać, żeby przez kilka dni została w domu. Zważywszy na okoliczności, jest w dobrej formie. Ma złamane w dwóch miejscach przedramię i założony gips, kilka szwów na skroni i mniejsze urazy szczęki, ale poza tym jest nieźle. Mia was wszystkich pozdrawia. Oczywiście chciała przyjść dzisiaj do pracy, ale kazałem jej zostać w domu i trochę odpocząć.

– Wczoraj mieliśmy spotkanie z kierownictwem – zaczęła Anette, ale Munch jej przerwał.

– Sam o tym opowiem.

Odwrócił się i rozłożył ręce.

– Okej, jak wspomniała Anette, wczoraj odbyło się spotkanie z szefostwem. Zostałem wezwany na dywanik do Dreyer, gdzie,

nawiasem mówiąc, powinienem wylądować dawno temu. Całą winę biorę na siebie...

– Kripos przejmuje sprawę?

Pytanie Katji wywołało poruszenie wśród nielicznych zebranych.

– Straszyla tym, to prawda, ale udało mi się kupić nam trochę czasu, więc pracujemy tak jak do tej pory, przynajmniej na razie. Byłem zmuszony ją okłamać, ale...

– Co? Dlaczego?

Znowu Anette.

– Nie miałem dużego wyboru. Zażądała konkretnej odpowiedzi na pytanie, dlaczego powinna pozwolić nam kontynuować śledztwo, więc ją dostała.

Wzruszył ramionami.

– I co jej powiedziałaś?

– Że jesteśmy umówieni z dyrekcją szpitala Gaustad i że mamy dostęp do danych pacjentów.

– Cholera jasna! Przecież nie mamy żadnej umowy?

– Nie mamy.

– A właściwie dlaczego nie?

Tym razem odezwała się Anja Belichek.

Anette westchnęła.

– Dla takich jak my dostęp do dokumentacji medycznej, w każdym razie tej dotyczącej pacjentów leczących się psychiatrycznie, to niemal świętokradztwo. *Mission impossible*, delikatnie mówiąc. Żyjący pacjenci sami muszą nas upoważnić...

– A Helmer tego nie zrobił?

– Nie. A nawet jeśli pacjent nie żyje, musimy złożyć wniosek, który rozpatruje potem sąd. Jeśli sędzia przychyli się do naszej prośby, wniosek trafia do rodziny zmarłego, której przysługuje prawo do odwołania się. Sprawa może się ciągnąć całymi tygodniami...

– Poza tym nie jesteśmy w stanie udowodnić, że Helmer jest właśnie tą osobą, której szukamy...

Katja wyjęła z kieszeni piłeczkę antystresową i potrząsnęła lekko głową.

– Dokładnie tak – przytaknął Munch.

– To znaczy, że Helmer i Lørenskog nie są już w kręgu naszych zainteresowań?

– Wręcz przeciwnie: wciąż są naszym priorytetem. Moim zdaniem nie mamy żadnego innego punktu zaczepienia, więc powinniśmy nadal w tym kopać. Ale jestem otwarty na wasze sugestie. Dajcie znać, jeśli się mylę. Zdaje się, że ostatnio nie podejmowałam zbyt trafnych decyzji. Jak już mówiłem, biorę całą winę na siebie.

Nikt się nie odezwał.

– Okej, oto co wymyśliłem. Jakiś student podający się za Franka Helmera namalował obraz przedstawiający chłopca z borsukiem. Katjo, byłaś tam wczoraj wieczorem, prawda?

– Tak, ze zdjęciem. Andersen potwierdził, że to nie nasz Helmer namalował obraz. Nigdy wcześniej go nie widział.

– Wysłałaś tam rysowniczkę?

– Wkrótce się tam wybiera. Miejmy nadzieję, że dostaniemy coś do końca dnia.

– Okej, świetnie. A co do Rogera Lørenskoga, to w końcu otrzymaliśmy potwierdzenie, że nie żyje. Dzięki, Ludvigu.

– Nie ma za co – przytaknął Grønlie, który w tej chwili wyjątkowo siedział.

– A więc – powiedział Munch i pociągnął kolejny łyk kawy. – Mamy świadka twierdzącego, że zna utykającego mężczyznę, który grał w piłkę z Olem Gunnarem Sol skjærem. „VG” odnalazła go w Kristiansundzie.

Spodziewał się złośliwego komentarza Katji, ale się go nie doczekał.

– Dziwna historia, prawda? Student akademii sztuki. Bo to wszystko łączy się w logiczną całość, nie sądzicie? W każdym razie w mojej głowie. Chodzi o posługiwanie się cudzą tożsamością. Mam rację?

Znowu ciche mamrotanie wokół stołów. Fredrikowi nie przyszło to wcześniej do głowy.

– Ktoś podaje się za Rogera Lørenskoga. Jednocześnie ktoś podaje się za Franka Helmera. Zakładamy, że chodzi o jedną i tę samą osobę.

– Jeśli w ogóle ten obraz ma cokolwiek wspólnego z naszą sprawą – wtrąciła Anja. – Bo przecież tego nie wiemy.

– Na początku też tak myślałem – przyznał Munch i odstawił kubek z kawą. – Ale jeśli spojrzymy na to z innej strony, okazuje się, że Mia ma rację, prawda? Bo niby po co jakiś student akademii sztuki miałby podawać się za kogoś innego? I skąd wytrzasnął nazwisko Franka Helmera?

– Przypadkowy wybór?

– Załóżmy, że tak, ale w zestawieniu z Rogerem Lørenskogiem? Dlaczego wybrał właśnie te dwa nazwiska? Albo jeśli wolisz, dlaczego ukradł właśnie te dwie tożsamości? Gdybyśmy nie mieli Helmera, zgoda. To mógłby być w zasadzie każdy, kto znał historię Lørenskoga: jego dawny przyjaciel, kolega z zespołu, ktokolwiek. Ale w połączeniu z Frankiem Helmerem? Co tych dwóch ma wspólnego z naszym sprawcą? Jaki jest ich jedyny, według naszej wiedzy, punkt styczny?

– Gaustad – odparła Katja.

– Właśnie.

Munch był coraz bardziej podekscytowany.

– Całą noc się nad tym głowiłem, ale nagle wszystko stało się jasne. Bo przecież odpowiedź jest prosta, prawda? Szansa na to, że nasz sprawca słyszał o sportowej przeszłości Rogera Lørenskoga i jednocześnie znał Franka Helmera, jest minimalna.

– Tak, ale...

– Oczywiście to *mógł* być przypadek. Lørenskog, Helmer i nasz sprawca. Mogli chodzić do tego samego klubu brydżowego albo byli zamieszani w przestępczą działalność i razem z Helmerem rozprawiali anaboliki.

– Albo spotkali się w przypadkowym barze, może kibicowali tej samej drużynie. Potem mecz...

– Właśnie, dzięki, Katjo. Z tego powodu chciałem, żebyśmy zrobili burzę mózgów. Po pierwsze, czy wszyscy zgadzamy się co do tego, że najprawdopodobniej tych trzech coś ze sobą łączy? Że nasz sprawca jest w jakiś sposób związany zarówno z Helmerem, jak i Lørenskogiem?

– Bez wątplenia – przytaknął Grønlie.

Pozostali poszli w jego ślady.

– Okej, świetnie. Wiemy, że ci dwaj wielokrotnie spotykali się na oddziale psychiatrycznym w Gaustad, gdzie byli hospitalizowani. Wydaje mi się, że chodzi o budynek dwadzieścia jeden, Oddział Leczenia Psychoz.

– On *musi* być stamtąd – skomentowała Katja.

– Ja też tak sędzę, ale nie zamykajmy się na inne możliwości. Zastanówmy się, czy nie dostrzegamy czegoś innego, czegoś nowego, czegoś, o czym wcześniej nie pomyśleliśmy.

– Naprawdę nie mamy szans na wgląd w dokumentację medyczną? – spytała Anja, zwracając się do Anette.

– Czysto teoretycznie jest to możliwe. – Goli westchnęła. – Ale jak już mówiłam, to długi proces. Najpierw musielibyśmy mieć konkretne podejrzenia wobec osoby, której dokumentację medyczną chcemy przejrzeć, a nawet wtedy procedury są skomplikowane. A co dopiero w naszym przypadku.

Zmieniła ton głosu.

– *Dzień dobry, tu Stołeczna Komenda Policji. Podejrzewamy o popełnienie przestępstwa kogoś, kto był kilka razy waszym pacjentem. Nie mamy pojęcia, o kogo chodzi, więc chcielibyśmy uzyskać wgląd do prywatnej dokumentacji absolutnie wszystkich waszych pacjentów. To chyba oczywiste, że taki numer nie przejdzie, prawda? Musimy wymyślić coś innego.*

Spojrzała na swój telefon i odrzuciła połączenie.

– Cóż – powiedział Munch. – Jakies pomysły?

– A może by tak skontaktować się z kimś, kto tam pracuje? – zaproponował Fredrik. – Kto był tam w interesujących nas okresach?

– To dobry pomysł – skomentował Munch.

– Nie – zaprzeczyła Anette i odrzuciła kolejne połączenie.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ obowiązuje ich tajemnica lekarska. Nie mogą rozmawiać na temat pacjentów, w najlepszym razie straciliby pracę, a w najgorszym zostaliby pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

– No tak – odparła Katja. – Ale to już nie nasz problem, prawda? Jeśli któryś z pracowników nieopatrznie powie o kilka zdań za dużo. Ja w każdym razie nie zamierzam na nich donieść.

- Nie, to... – zaczęła Anette, ale Munch jej przerwał.
- To bardzo dobry pomysł. Oczywiście przy zachowaniu pewnych granic. Nie możemy nikogo zmusić, ale jeśli znajdziemy kogoś, kto będzie chciał z nami rozmawiać, to skorzystamy z tej możliwości. Lista pracowników szpitala?
- Od dawna nieaktualna – odpowiedziała Anette.
- Okej, w takim razie musimy wykazać się kreatywnością. W jaki sposób dotrzemy do osób, które miały bliski kontakt z Helmerem i Lørenskogiem, gdy byli oni hospitalizowani w Gaustad?
- Może Helmer mógłby nam w tym pomóc? – zaproponował Fredrik. – Na początku był wyjątkowo skłonny do współpracy. To, że wiemy, kiedy go hospitalizowano, zawdzięczamy wyłącznie jego dobrej woli, prawda?
- I temu, że Mia znalazła list z Gaustad w jego piwnicy – wtrąciła Katja.
- Niezgodnie z prawem – wymamrotała Anette.
- Owszem, ale jednak...
- Helmer odpowiadał chętnie na wszystkie pytania – powiedział Munch. – Aż do czasu, gdy jego adwokat zrozumiał, jak mało mamy na jego klienta, i nakazał mu milczenie. Od tamtej pory nie powiedział ani słowa, ale oczywiście nie zaszkodzi spróbować.
- Muszę odebrać ten telefon – wymamrotała Anette i wyszła na korytarz z komórką przy uchu.
- A co z jego siostrą? – spytała Katja. – Natalie. Może ona wie więcej. Z kim tam przebywał, czy z kimś się zaprzyjaźnił, w szpitalu albo poza nim?
- Dobrze, Katjo. Zajmiesz się tym?
- Oczywiście.
- Okej, wspaniale – powiedział Munch i sięgnął po kubek z kawą. – Inne propozycje? Jak możemy...
- Przerwała mu Anette, która wbiegła zdyszana do pokoju.
- Mamy nowe zaginięcie. Dwóch chłopców. Jedenastoletnich. Wczoraj wieczorem nocowali pod namiotem.
- Gdzie? – spytał Munch, zrywając się z krzesła.
- Løvstad, osiedle przy Hakadal. W pobliżu znaleźli rozpadającą się chatę w lesie. W środku stały puste butelki po oranżadzie,

a przed domem na małym ognisku paliły się resztki zdjęć pornograficznych.

– Katjo, Fredriku, jedziemy tam trzema samochodami – zarządził Munch, chwycił kurtkę i pobiegł do drzwi.

MIA KRÜGER SIEDZIAŁA pod kocem na krześle przed ścianą, na której wisiały zdjęcia, i starała się nie zamykać oczu. W szpitalu przepisali jej leki przeciwbólowe i nalegali, żeby je brała, ale odmówiła. Skończyła z niszczeniem swojej głowy. Ale w środku nocy obudziły ją jej własne jęki, bolała ją skroń i szczeka, pokój wirował wokół niej jak na karuzeli, więc musiała się poddać. Na chwiejnych nogach powlokła się do łazienki i oddychając ciężko, stanęła przed zlewem. Jedna tabletką w razie potrzeby. Wzięła trzy. Zaledwie kilka minut później zemdląła i obudziła się przy sennym słońcu, z głową, która kategorycznie odmawiała współpracy.

Niech to szlag.

Podniosła się ostrożnie i poczłapała do kuchni. Bolało ją całe ciało. Właściwie miała ochotę na kawę, ale wybrała herbatę, zaniosiła powoli kubek z powrotem do ciepła pod przytulnym kocem. Teraz siedziała przed ścianą, wpatrując się pustym wzrokiem w fotografie.

No dalej, Mio.

Przecież to musi gdzieś tu być?

Zabrzączał telefon. Znowu. Tak było przez cały ranek. Tym razem mama. Córka była na pierwszych stronach gazet i na pewno przez cały dzień o niej rozmawiali. Sąsiedzi, koledzy z pracy. A więc teraz jest okej? A kiedy chciałam wstąpić do policji? Odsunęła od siebie tę myśl. To było małostkowe. Jasne, niech się nacieszy. Odrobina zainteresowania wokół jej córki. Mia wiedziała, że takie rzeczy są dla matki ważne. Ludzie, którzy coś znaczą. Którzy się wyróżniają. Cieszą się rozgłosem. Szczególnie w mediach. Jeśli chodziło o Mię, doskonale obydwała się bez tego.

To wszystko stało się tak szybko. Nawet nie zdążyła pomyśleć. Zareagowała instynktownie, osłaniając głowę ramieniem, i usłyszała, jak cienkie kości łamią się gdzieś w środku. Ból przeszył ją na wylot, błyski światła przed oczami, ledwo utrzymała się na

nogach. Drugi cios trafił ją w głowę, na szczęście prześliznęła się tylko po skroni. Dzięki temu mogła przyjąć odpowiednią pozycję i zareagować w chwili, gdy jego ciało było lekko wychylone do przodu po silnym ciosie. Z całej siły wbiła mu kolano w brzuch, chwilę później kopnęła go w krocze, a potem zadała cios w szyję i nagle sytuacja się odwróciła: Mia nie była już zwierzyną. Stała się myśliwym. Zdziwione spojrzenie na tchórzliwej twarzy, gdy w końcu zrozumiał, że Mia nie jest byle kim, i rzucił się do drzwi.

Resztę można było wyczytać z gazet.

Niech to szlag.

Munch dziwnie na nią spojrział.

Tam na trawie.

Z czymś w rodzaju podziwu zmieszanego z wątpliwościami.

Kogo ja, do cholery, zatrudniłem?

Dobrze go rozumiała.

Oczywiście.

Znowu zabrzączał telefon, odrzuciła połączenie. Kolejny nieznanany numer. Na pewno jakiś dziennikarz, jeszcze jeden.

Zero kontroli nad odruchami. Czuła się tak, jakby była zwierzęciem. Wyszczrzyła zęby. Robiła to, co każdy, by się bronić. Oczywiście powinna była pozwolić mu uciec. Uniknąć tego cyrku. Ale nie była w stanie odpuścić.

Podmuchała na herbatę i próbowała skupić się na ścianie, przed którą siedziała.

Poprzewieszała zdjęcia.

We mgle poprzedniego wieczoru.

Do tego, co najważniejsze.

Do powiązania.

Bo przecież ono musi gdzieś tu być, prawda?

Co łączy te wszystkie sprawy?

Dwóch chłopców w Szwecji.

Oliver i Sven-Olof.

Oliver, ten wybrany.

Bo przypadł mu do gustu.

Ale jak?

Gdzie go spotkał?

Ruben i Tommy.

Ruben, ten wybrany.

Tu wiedziała więcej; ktoś tam na górze, kto dał się poznać, próbował namówić chłopców, żeby mu pomogli.

Podawał się za kogoś innego?

Skąd ten pomysł?

To samo zrobił z Helmerem?

Okej, nie myśl o tym teraz.

To już wiesz.

Musiał mieć kontakt z nimi oboma.

Poznał ich w jakimś momencie życia.

Powiązanie.

Przecież musi gdzieś tu być?

Okej.

Zwierzęta.

Niedopałki.

Skąd wziął niedopałki?

Akademia sztuki?

Musimy pojechać tam jeszcze raz.

Porozmawiać ze studentami.

Powieki same jej się zamykały. Kubek z herbatą prawie wyśliznął jej się z rąk, musiała postawić go na podłodze.

Do cholery, Mio, weź się w garść.

Otwartą dłoń uderzyła się w twarz. Poszła do łazienki i wsunęła głowę pod kran, wróciła w mokrym T-shircie, ale teraz wszędzie była tylko mgła. Ledwo widziała zdjęcia wiszące przed nią na ścianie, znowu zabrzączał telefon, ale nie miała siły sprawdzić, kto dzwoni. Powieki zrobiły się ciężkie jak ołów. Otuliła szczelniej kocem zimne ciało i pozwoliła, by zmorzył ją sen.

Nie wiedziała, ile czasu była nieświadoma, ale na pewno niedługo. Słońce nadal rzucało te same cienie w pokoju, w stronę Patricka Olssona, który stał teraz w drzwiach z dwiema kawami na wynos i zmartwionym wyrazem twarzy.

– Wszystko w porządku?

Wszedł ostrożnie w krąg światła. Widziała tylko jego sylwetkę. Głowa nadal ją bolała, a ciało nie rozumiało, dlaczego je obudziła.

Chciało jak najszybciej wrócić do ciepła.

– Co?

– Wszystko w porządku? Przyniosłem kawę. Chcesz zostać sama?

Zebrała się w sobie, wynurzyła powoli z głębin, odebrała od niego letnią kawę i wyprostowała się na krześle.

– Nie, nie.

– Na pewno?

– Tak, wszystko w porządku. Jestem tylko trochę zmęczona.

Odsunęła koc na bok i wstała powoli, ale pokój wciąż wirował wokół niej.

– Mogę przyjść później – powiedział cień. – Najważniejsze, żebyś wyzdrowiała. Wypoczęła i nabrała sił.

– Nie, nie – wymamrotała ponownie i doczłapała się do fotografii, które wybrała. Wskazała na nie palcem.

– Tutaj – powiedziała ostrożnie. – To jest gdzieś tutaj. Jeśli znajdziemy związek między tymi zdjęciami, znajdziemy sprawcę.

Podszedł bliżej. Słyszała jego oddech, ale wciąż widziała go niewyraźnie. Opuściła głowę, bo nagle ogarnęła ją nowa fala mdłości. Objął ją ramieniem i wkrótce znów siedziała na krześle, przy otwartym oknie, świeże powietrze owiewało jej ciepłą twarz.

– Teraz nic więcej nie zrobimy – odezwał się głos. – Musisz odpocząć.

– Nie, to...

– Nalegam. Jadłaś coś?

Powoli potrząsnęła głową.

– Przecież tak nie można, Mio. Musisz jeść. Masz tu coś, z czego mógłbym przygotować jakiś posiłek? Czy zamówimy coś z dowozem?

Wymamrotała coś, czego sama nie zrozumiała, i anemicznym ruchem wskazała kuchnię.

– Zaraz wracam – powiedział cień i zniknął powoli w mroku.

Znowu zadzwonił jej telefon.

Długi numer.

61?

Kto to może być, do cholery?

Słyszała, jak Patrick odkręca kran w kuchni, wlewa wodę do garnka, otwiera lodówkę, wyjmuje sztućce z szuflady.

Telefon zamilkł, ale po chwili znowu zaczął dzwonić.

61?

W końcu ciekawość zwyciężyła. Mia nacisnęła guzik z zieloną ikonką i ostrożnie przyłożyła komórkę do ucha.

– Halo?

Głos z oddali, męczyzna, cisza na linii. Musiał dzwonić z daleka.

– Mia Krüger?

– Tak?

– Z norweskiej policji?

– Tak? Z kim rozmawiam?

Jej głos brzmiał tak, jakby wydobywał się z jakiegoś innego miejsca niż usta.

– Nazywam się Wilfred Hansen. Dzwonię, ponieważ jakiś czas temu odwiedziłaś moje dawne miejsce pracy. Ze zdjęciem mojego lisa.

– Twojego lisa?

– Rozmawiałaś z moją dawną szefową, Dobrov, w NINA, zgadza się?

Powoli wróciła jej pamięć.

– Tak, tak, oczywiście, cześć. Czy ty...?

– Tak, jestem tym doktorantem, który rozczarował wszystkich i przeniósł się do Australii. Dobrov przesłała mi zdjęcie. Pytała, czy coś o tym wiem. Owszem, wiem. Ta martwa lisica, którą sfotografowaliście, była moja. To była moja przyjaciółka. Ulubienica. Lisa. Że też ktoś zrobił jej coś takiego...

Przekleństwa, których nie dosłyszała, dolatujące gdzieś z daleka.

– Okej – powiedziała prawie rozbudzona.

– Co chcesz o niej wiedzieć?

– Badam jej rewir – odparła i wstała. – Łudziłam się, że miała na sobie nadajnik, dzięki czemu moglibyśmy określić obszar, na którym została zabita.

– Nie miała nadajnika.

– Wiem. Szkoda.

– Ale wiem, gdzie miała swoją norę.

– Wiesz?

Doczłapała się do parapetu. Znalazła długopis i kartkę papieru.

– Oczywiście, wiem *dokładnie*, gdzie mieszka. To znaczy mieszkała. Byłem tam wiele razy. Prawie jak mój drugi dom. Lisa była nieprawdopodobnie troskliwą matką. Wiesz, czasem lisy wędrują, bywa, że pokonują wiele kilometrów, ale nie Lisa. Ona trzymała się blisko swojego domu. Zawsze. Dlatego się zaprzyjaźniliśmy. Mam kilka pięknych zdjęć Lisy i jej kilku miotów, gdybyś chciała zobaczyć.

– Bardzo chętnie – odparła. – Gdzie znajduje się jej nora?

– W Ålsbygd. Nad jeziorem o nazwie Vassbråa. Wiesz, gdzie to jest?

– Nie mam pojęcia.

– Okej, nie ma problemu, prześlę ci dokładne współrzędne GPS. Nie da się tam nie trafić.

– Jak daleko jest tam z Oslo?

– Jakieś półtorej godziny, jeśli nie ma korków na wylotówkach z miasta.

– Możesz mi to przesłać? Mailem? Współrzędne i zdjęcia?

– Oczywiście.

Mia upuściła kartkę i długopis i podała mu adres.

– Mam nadzieję, że ci pomogłem.

Teraz ledwo go słyszała.

– Bardzo mi pomogłeś, dziękuję.

– Miło mi.

Wsunęła telefon do kieszeni spodni i chwiejnym krokiem ruszyła w stronę korytarza.

– Dokąd się wybierasz?

Patrick ruszył za nią z torebką zupy instant w ręce.

– Znalazłam lisa.

– Co?

– Zabitego lisa. Wiem, gdzie miał swoją norę.

– Ale...

– Nie, jedziemy tam natychmiast. Musimy pójść w dół Mariboes gate i wypożyczyć samochód. Masz prawo jazdy?

– Ee... tak.

– Świetnie. Wkładaj buty.

LUDVIG GRØNLIE SIEDZIAŁ przy swoim biurku i wpatrywał się w Anję, która od spotkania z Munchem w sali odpraw nie odezwała się ani słowem, co było niezwykle. Zazwyczaj gadała jak najęta, głównie do siebie, o tym, co widziała na ekranach. Na początku bardzo go to irytowało. Zanim się zjawiała, siedział sam, w ciszy i spokoju, ale szybko polubił tę dziewczynę, jej towarzystwo, i teraz nie chciał tego stracić.

– Pomóc ci z...? – zaczęła, ale przerwała mu szybko, podnosząc rękę.

– Cicho, myślę.

– Okej, jasne.

Uśmiechnął się i udał, że zapina usta zamkiem błyskawicznym. Wyjątkowo zamienili się rolami. Nagle zawibrował jego telefon. Ludvig zdziwił się, gdy zobaczył, kto dzwoni.

– Cześć, Mio. Jak się czujesz?

– Co? Ach tak, świetnie. Słuchaj, jak wypożycza się samochód?

– Co masz na myśli?

– Jeden z naszych samochodów, jak mogę go wypożyczyć?

– Stoją w podziemiu. Z kluczykiem w stacyjce. Znasz kod do drzwi piwnicy, prawda? To ten sam kod, którego używamy na górze. Ale czy ty nie miałaś...?

Już jej nie było.

– Do diabła – wymamrotała Anja i zdjęła okulary.

– O co chodzi? Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, nie sądzę. Cholera, próbuję sobie przypomnieć.

Przetarła oczy.

– Co takiego?

– Gaustad. Moja młodsza siostra miała przyjaciółkę. Sąsiadkę, która często nas odwiedzała. Ale pewnego dnia niespodziewanie zniknęła. Myślę, że właśnie tam ją zabrali.

– Do psychiatryka?

– Tak. Jestem pewna, że chodziło o Gaustad. Wydaje mi się, że moja siostra odwiedziła ją tam kilka razy. Nie mogę przypomnieć sobie imienia tej dziewczyny.

Podniosła z podłogi torebkę.

– Słuchaj, znikam na chwilę. Wrócę niedługo, okej?

– Okej – odparł i wstał.

Musiał napić się kawy, żeby zrobić to, co zamierzał.

Szwed.

Dlaczego nie było go w żadnym z dokumentów, które im przesłano?

Był zbyt niespokojny, by nastawić ekspres, dlatego wypił reszkę zimnej kawy, wrócił przed swój komputer i otworzył folder z przepastnym archiwum.

Od czego by tu zacząć?

Zastanawiał się przez chwilę, gdy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Zaczął klikać na dokumenty. Zajęło mu to trochę czasu, ale w końcu ją znalazł.

Listę.

Osób do kontaktu.

Ważnych ludzi.

W szwedzkim śledztwie.

Zdecydował się na telefon stacjonarny i wybrał pierwszy numer.

– Policja, region zachodni, Karin.

– Cześć, z tej strony Ludvig Grønlie, policja w Oslo, jednostka do spraw zabójstw, Mariboegate. Potrzebuję informacji na temat mężczyzny, który pracował przy śledztwie w sprawie zabójstwa Olivera Hellberga i Svena-Olofa Jönssona.

– Hm... Cóż, było ich tam całkiem sporo. O kogo konkretnie ci chodzi?

– O profilera. Patricka Olssona.

W słuchawce zapadła cisza.

– Nie, nic mi się nie kojarzy, zaczekaj chwilę.

Zasłoniła słuchawkę dłonią i zawołała coś w głąb pokoju. Po chwili była z powrotem.

– Nie, nie ma tu nikogo o tym nazwisku, w każdym razie nikt taki nie pracował przy śledztwie. Pytałeś w Rikskrim³⁷?

– Mam ich na liście, bardzo dziękuję.

– Nie ma sprawy.

Szybko odszukał kolejny numer. Czekał, aż ktoś odbierze telefon, czuł rosnący niepokój.

Chyba nie...?

Nie, to niemożliwe.

– Rikskrim, Sztokholm, Stefan Holm, słucham?

NA PRZEDNIĄ SZYBĘ czarnego audi spadł niewielki deszcz w chwili, gdy przejeżdżali przez Sinsenkrysset³⁸ i opuszczali miasto. Lokalna chmura deszczowa zniknęła, zanim minęli hipodrom Bjerke. Mia była tu tylko raz, nagły kaprys jej ojca, dawno, dawno temu. Mogła mieć wtedy jakieś dziesięć lat. Wyścigi konne. Coś nowego. Obstawianie koni. Trzy godziny później, z pomniejszonym o tysiąc koron budżetem na wakacje, wracali do domu z podkulonym ogonem. Nigdy więcej nie widziała ani nie słyszała, żeby wspominał o wyścigach konnych lub zakładach bukmacherskich. Zamiast tego w sobotni wieczór siedział na kanapie z bezpiecznym kuponem lotto w ręce. Wciąż pamiętała ciepło bijące z jego oczu, ich małą tajemnicę. Tak sobie tylko gramy w domu, nigdy nie wydalibyśmy pieniędzy na żadne zakłady. Dwadzieścia lat, pięć właściwych liczb plus jedna dodatkowa – to była ich odpowiedź; dlaczego to ciągnęli, co tydzień, o tej samej porze, równie podekscytowani i pełni nadziei, wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, ale za każdym razem było tak samo. Pizza na stole. Oranżada dla dzieci, uciszanie, jeśli ktoś odważył się odezwać, bo właśnie podawali wyniki lotto z Hamar. To było chyba jedno z jej najmielszych wspomnień z dzieciństwa. Dobra zabawa i poczucie wspólnoty. Piłeczki, które obracały się w bębnie i wyskakiwały, jedna po drugiej, mama, która krzyczała za każdym razem, gdy okazywało się, że poprawnie skreśliła zarówno pierwszą, jak i drugą liczbę. A potem film. Sobotnie kino. Nie zawsze najważniejszy wybór rodziców, ale to nie miało żadnego znaczenia. Zapach ojca, kiedy wdrapywała mu się na kolana z miską popcornu, którą stawiała obok siebie na kanapie. Sigrid, która zawsze ze wszystkiego się śmiała, nawet z rzeczy, które wcale nie były śmieszne.

Patrickowi w końcu udało się usunąć resztki wody wycieraczkami, które najwyraźniej nie były wcale tak proste w obsłudze w tym

samochodowym statku kosmicznym, jak wymamrotał w drodze z podziemnego parkingu. Ona sama nie dostrzegła w nim nic wyjątkowego, całkiem standardowe audi quattro 4.2, z napędem na cztery koła, najnowszy model, może to dlatego. Psycholog na pewno jeździł czymś starym. Czymś nostalgicznym, co bardziej do niego pasowało, może nawet pojazdem zabytkowym. Prawie go sobie wyobrażała, w kaszkiecie i kraciastym flanelowym płaszczu za kierownicą kabrioletu, na przykład czerwonego dwudrzwiowego roadstera rocznik '61, z fajką i apaszką powiewającą za nim na wietrze. Nie, to nie to. Bardziej prawdopodobny był jakiś prostszy samochód. Mniej rzucający się w oczy. Może stara beżowa toyota corolla albo coś innego, równie bezbarwnego, z plamami rdzy tu i ówdzie, ze zbyt słabo napompowanymi kołami, przez co ledwo wtaczał się pod górę na pierwszym biegu. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Teraz, kiedy znowu wyszło słońce, poczuła się śpiąca. Namachała się i natłumaczyła, ale w końcu udało jej się nakierować go z powrotem na drogę do Trondheim. Szwed nie był najlepszym kierowcą, po raz kolejny źle przekręcił dźwignię na nowoczesnej kierownicy i spryskał tylną szybę, ale to nie miało znaczenia. Cholera, długo działają te tabletki. O której godzinie wstała? To chyba była czwarta? Albo piąta? Oczy same jej się zamykały. Najpierw żadnej, skąd, a potem trzy tabletki naraz. Zupełnie jak nie ona. Znowu absolutny brak samokontroli. Niewielkie opady deszczu, kiedy mijali Groruddalen. Tym razem prawidłowy ruch dźwignią, spokojne, leniwe pociągnięcia gumy po przedniej szybie. Wycieraczki usypiały ją jeszcze bardziej. Wyprostowała się na siedzeniu, starając się rozbudzić. Zatrzymali się na stacji Shell, kupili wodę, Szwedowi skończył się snus. Odkręciła zakrętkę butelki i opróżniła ją do połowy w nadziei, że szybciej pozbędzie się leków z organizmu. Snus? O matko, bardzo stracił w jej oczach. W jej rankingu plasowali się na jednym z ostatnich miejsc. Ludzie, którzy używali snusu. To, co było w tych torebkach, to jedno, ale wciskanie palca do tego gówna, a potem upychanie go pod wargą? Brązowy śluz ściekający po zębach i w ustach, nie, do diabła.

– Potrafisz to obsługiwać?

Zdławiła ziewnięcie i skinęła na GPS-a, którego znalazła w schowku razem z mapą, latarką i listą przedmiotów, które zawsze powinny znajdować się w radiowozie, wliczając w to apteczkę w bagażniku. Ktoś w firmie naprawdę przyłożył się do pracy. Pełna kontrola nad radiowozami i tym, co funkcjonariusz policji jej kalibru potrzebował na służbie w zwykły dzień. Znowu uśmiechnęła się do siebie. O rany, czy to przychodziło falami? Efekt działania tabletek? Czowała się tak, jakby leki znowu przejmowały nad nią kontrolę, kolejna fala dobrego samopoczucia, zero bólu, nie żeby się skarżyła, ale wyglądało na to, że ten stan szybko nie minie. Zaburczało jej w brzuchu. Uświadomiła sobie, że boi się jeść. Próbowwała ugryźć batonik energetyczny na stacji benzynowej, ale szczeka odmówiła posłuszeństwa. Będzie musiała zadowolić się zupą. Oczywiście nie w tej chwili. Tutaj trudno było o jedzenie na wynos. Zostawili za sobą przedmieścia i doświadczyli tego, co zaskakiwało wielu turystów. Tu jest stolica. I pstryk, dziesięć minut później człowiek ląduje na pustkowiu.

Nie słyszał jej. Był dzisiaj w dziwnym nastroju. Patrick. Ani śladu wesołości i pozytywnego podejścia do życia. Oczy patrzyły sztywno przed siebie. Obie ręce zaciśnięte na kierownicy. Odkąd wsiedli do samochodu, prawie się do niej nie odezwał. Może jakieś kłopoty w domu? Gdzie właściwie jest jego dom? Nagle przyszło jej do głowy, że bardzo mało rozmawiali o nim. O jego życiu. Nie był żonaty, nie miał dzieci, właściwie nic więcej o nim nie wiedziała. Prawdopodobnie jej błąd, tak bardzo była pochłonięta zdjęciami.

– Potrafisz używać takiego czegoś?

Podniosła szare urządzenie GPS i mu je pokazała.

– To chyba nie jest zbyt skomplikowane – wymamrotał. Najwyraźniej nie był dzisiaj sobą. – Wystarczy wpisać współrzędne i podążać za strzałką.

– Za strzałką?

– Tak, albo za dźwiękiem, albo światłami, nie wiem, jaki to jest model, możesz go trochę przesunąć? Usiłuję skupić się na drodze.

Cóż, to tyle, jeśli chodzi o chwilę miłej rozmowy i przyjemnej przejażdżki samochodem. Oczywiście wolałaby jechać sama, ale nie

w tym stanie, nie z tą głową ani z tym ciałem, więc musiała znosić towarzystwo nudnego, sztywnego i niezbyt dobrego kierowcy.

– A teraz cały czas prosto?

Spytał, nie odrywając wzroku od drogi, nawet na Mię nie spojrzął, jakby nanosekunda dekoncentracji mogła sprawić, że świat rozpadnie się na kawałki.

– Jak powiedziałam: cały czas prosto. Przez dziewięćdziesiąt minut. Przed Roa nie ma ani jednego zakrętu, a dotrzemy tam najwcześniej za godzinę. Wtedy skręcimy w prawo. Przez godzinę prosto. Potem w prawo, okej?

Teraz senność opanowała ją na dobre. Tym razem nie była w stanie jej pokonać. Za oknem monotony, piękny krajobraz. Drzewa przelatujące przed oczami. Szum kół sunących po asfalcie.

– Chyba muszę się zdrzemnąć. Obudź mnie za godzinę, okej?

Rzucił jej przelotne spojrzenie, po raz pierwszy, odkąd wyjechali z centrum miasta.

– Zamierzasz spać? Teraz?

– Sorry, ale jestem taka zmęczona. – Ziewnęła i zamknęła oczy.

Boże, jak cudownie.

– Za godzinę, okej?

Ledwo usłyszała jego głos dolatujący z oddali.

MUNCH WYSIADŁ Z SAMOCHODU i przywitał się z roslym mężczyzną w mundurze i policyjnej skórzanej kurtce. Tubalny głos dobiegający spod starannie wypielegnowanego wása, rękawiczki na dłoniach.

– Ruud, dowodzący akcją.

– Co mamy? – spytał Munch i spojrział w górę na biały budynek Block Watne³⁹, który ktoś wzniósł tutaj, w środku zagajnika, nie razem z innymi, co byłoby naturalne; reszta osiedla była tuż za zakrętem, zaledwie kilkaset metrów dalej.

– Dwóch chłopców, Kevin Myklebust i Ronny Eng, ostatni raz widziani w tym domu na górze. Pierwszy z nich mieszka razem z matką, która jest... cóż... – Podrapał się po głowie. – Trochę zagubiona, co wydaje się zrozumiałe. Według jej relacji chłopcy wybierali się pod namiot, ale z tego co wiemy, nie mieli żadnego namiotu. Za to znaleźliśmy dziwne miejsce w lesie, kilkaset metrów stąd, ale na pewno już was o tym poinformowano?

Munch skinął głową i wyjął paczkę papierosów.

– To samo co na dole w mieście? – spytał policjant, wyraźnie podekscytowany. – Myślisz, że to może mieć związek? Z zabitymi chłopcami na polu?

– Możliwe – przytaknął Munch i zapalił papierosa. – A ta druga rodzina?

Dowodzący akcją wskazał kierunek.

– Na osiedlu tuż za zakrętem. Rodzina Engów. Czerwony dom, pierwszy po prawej. Oczywiście histeryzują, poprosiliśmy ich, żeby nie wychodzili z domu i czekali na wiadomość, ale nie wiem, czy nas posłuchali. Zdaje się, że ojciec jest członkiem Czerwonego Krzyża. Zdążyli zebrać ekipę. Jak sam widzisz, ludzie już się zbierają.

Kiwnął głową w stronę drogi, którą szybkim krokiem szła garstka dorosłych. Zmierzali w stronę miejsca zbiórki.

– A co wy zrobiliście?

– Ściągnęliśmy wszystkie patrole, jakie mieliśmy do dyspozycji w Nittedal. Jedenastu moich funkcjonariuszy chodzi od drzwi do drzwi i przeczesuje okoliczne lasy.

Westchnął i znowu podrapał się po głowie.

– Ale sam widzisz, że to nie centrum Oslo. Stąd jest wszędzie daleko. Dookoła same lasy. Mogą być gdziekolwiek. Spać za jakimś kamieniem. Bo ja wiem? Ale skontaktowałem się już z Kripos, tak na wszelki wypadek.

– Tak?

– Tak, wiem, że nie traktują zaginięć poważnie przed upływem co najmniej czterdziestu ośmiu godzin, ale pomyślałem, że skoro to, co znaleźliśmy, przypomina dane z raportów, które nam przesłaliście...

– Bardzo dobrze – pochwalił Munch. – Wysłaliście je do labu?

– Co?

– Butelki po oranżadzie?

– Nie, jeszcze nie. Pomyślałem, że może będziecie chcieli na wszystko rzucić okiem. Zobaczyć, co znaleźliśmy. Ale byli tu już nasi technicy, standardowa procedura, odciski palców, włosy – co ci będę mówił.

– Świetnie.

Munch zwrócił się do Katji, która właśnie wysiadła z samochodu i szła w ich kierunku.

– Jeden tutaj, Kevin, a drugi za zakrętem, Ronny, zajmiesz się tą rodziną? Engowie, tak się nazywają?

Dowodzący akcją przytaknął.

– Ustal, co chłopcy robili ostatnio i czy ktoś coś widział, coś innego, podejrzanego.

– Okej – odparła Katja i pobiegła z powrotem do samochodu.

– Bo przecież ktoś zwróciłby na to tutaj uwagę, prawda?

– Przepraszam, co?

– Gdyby ktoś zachowywał się podejrzanie. Gdyby działo się coś niezwykłego.

Munch zaciągnął się papierosem i rozejrzał dookoła. Lasy. Wzgórza. Pola uprawne. Niewiele się tu działo. Dla nich dobrze. Gdyby w ciągu ostatnich dni wydarzyło się coś niezwykłego, mieszkańcy zwróciliby na to uwagę. A co, jeśli nie?

Może ta świnia mieszka gdzieś w pobliżu?

– Coś poza tym? – spytał Munch i wyjął z bagażnika kalosze.

– Na przykład co?

– Coś nietypowego. Ktoś coś powiedział? Ktoś coś zauważył?

W końcu jesteśmy na wsi, a ludzie na wsi lubią plotkować, prawda?

Policjant zawahał się i rzucił okiem na biały budynek.

– Taa... nie wiem, czy coś jest na rzeczy, ale ludzie gadają o gościu, który tam mieszka.

– Ach tak? Co to za jeden?

– Nazywa się Wennberg. Mieszka sam. Z tego, co zrozumiałem, starszy facet.

– A gadają o nim, bo...?

Munch odrzucił niedopałek i włożył kalosze.

– To tylko plotki. Że jest dziwny. Że przygląda się dzieciom. Że wypycha martwe zwierzęta. Że nikt nie ma odwagi złożyć mu wizyty.

– Okej. Rozmawialiście z nim?

– Nie, nie ma go w domu – odparł policjant i ruszył przed Munchem szutrową drogą w kierunku zabudowań. – Chcesz najpierw porozmawiać z matką?

– Z matką Kevina?

– Tak.

– Nie, później się tym zajmiemy. Poproś ją tylko, żeby nie opuszczała domu. Chętnie przyjrzę się miejscu zdarzenia. Tej chacie, w której waszym zdaniem nocowali chłopcy.

Okrążyli dom i zaczęli się wspinać ścieżką przez gęsty las.

– Podobno mieli spać pod namiotem. Ale jak już mówiłem, nie znaleźliśmy żadnego namiotu, tylko śpiwory i jakieś kanapki, więc przypuszczamy, że właśnie tam nocowali.

– O której wczoraj wyszli?

Munch pokonał mały strumyk i schylił się pod ciężką gałęzią.

– Około siódmej. Matka kazała mu poczekać przed domem, potem poszła wziąć prysznic, a kiedy wyszła, chłopców już nie było.

Podłoże zrobiło się grząskie i błotniste. Munch zszedł ze ścieżki i odsunął kolejne gałęzie.

– Kiedy zgłoszono ich zaginięcie?

– Zgłoszenie otrzymaliśmy o godzinie jedenastej. O zaginięciu poinformowała nas matka Ronny’ego Enga. Chłopiec miał wrócić do domu o dziewiątej, bo wybierali się na przyjęcie urodzinowe kogoś z rodziny. Jasny komunikat. Tak, możesz wybrać się pod namiot, ale musisz wrócić punktualnie o dziewiątej rano. Chłopak nawet zabrał ze sobą budzik. Znaleźliśmy go w chacie.

W końcu ścieżka bardziej sucha, porośnięta mchem. Otaczał ich gęsty las. Nagle spadły na nich promienie słońca, które przebiły się przez prześwit w koronach drzew. W kieszeni kurtki Muncha rozległo się brzęczenie. Wsunął rękę do kieszeni i wyłączył dźwięk.

– A matka Kevina?

– Szczerze mówiąc, trochę trwało, zanim udało nam się ją dobudzić. Kiedy w końcu wróciła do życia, niewiele pamiętała. Sprawiała wrażenie, jakby zapomniała, że chłopak nie nocował w domu. W każdym razie nie tęskniła za nim. Była lekko oszołomiona, delikatnie mówiąc.

– Niewydolna wychowawczo?

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, jakie zrobiła na tobie wrażenie? Ona sama, mieszkanie... Była troskliwym rodzicem dbającym o wszystko czy bardziej kimś w stylu nieobecnego dorosłego, który w ogóle nie zauważa, że dziecka nie ma w domu?

Policjant spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Chyba to drugie. Czy to ma znaczenie?

– Oczywiście. Wszystko ma znaczenie.

Munch zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech.

– Daleko jeszcze?

– Nie, za tamtym wzniesieniem.

Dowodzący akcją wyminął Muncha i ruszył w górę wrzosowiska.

ANJA BELICHEK STANĘŁA przed jasnozieloną kamienicą przy skrzyżowaniu Kierschows gate z ruchliwą Uelands gate. Nagle odżyły w jej pamięci wspomnienia z dzieciństwa, z czasów, gdy ona, siostra i matka przyjechały z Polski, żeby w końcu być razem z tatą, który od bardzo dawna mieszkał na zimnej Północy. To nie były wyłącznie dobre wspomnienia, niestety nie. Na szczęście dla tych, którzy teraz tu mieszkali, kamienica przeszła kompleksowy remont i wyglądała o wiele lepiej niż wtedy, gdy one się tu wprowadziły, chociaż położenie było nadal wyjątkowo nieszczęśliwe: z kursującym tuż obok autobusem numer dwadzieścia i całkiem sporym ruchem przed oknami. Na parterze w sąsiednim lokalu wciąż mieścił się zakład pogrzebowy. Często musiała pomagać siostrze, przytulać ją i pocieszać pod kołdrą w ciasnym łóżku. *W tym domu mieszkają zmarli ludzie. No co ty, Zośka. Tak, tak jest napisane na oknach, pogrzebowy, a pogrzeb jest wtedy, kiedy człowiek umiera, po śmierci, a przed pójściem do nieba. Zmarli leżą w tym domu i mówią do mnie.* Siostra miała wtedy sześć, a ona osiem lat, i z jakiegoś powodu Zosia szybko przyswoiła sobie ten dziwny język, rozmawiała płynnie z każdym, kogo spotkała, i to już po kilku miesiącach. Anja okropnie się z tym męczyła. Dość długo. Czuła się niepewnie i nieswojo w tej skądinąd dobrej szkole, Lilleby, za ulicą, którą jeździły tramwaje. Przez prawie cały rok, prawie całą trzecią klasę; szybko przeszła od bycia w samym centrum klasy w rodzimym Weselnie do roli widza w tym dużym, obcym mieście.

Ale to minęło. Powoli, ale na dobre. Unormowało się. Z czasem przywykła do tego nowego, dziwnego świata i nawet go polubiła.

Uśmiechnęła się do siebie i podeszła do drzwi wejściowych, do tabliczek, które tam wisiały.

Camilla.

Oczywiście, miała to na końcu języka, zadzwoni do siostry.

Camilla Holt.

Z domu przy tej samej ulicy.

Wyjęła z torebki telefon komórkowy i odszukała numer siostry.

– Zofia, słucham?

– Cześć, nie mówiłaś, że to na rogu naszej dawnej ulicy? Nie mogę znaleźć na drzwiach jej nazwiska.

– Hm. Nie pamiętam. A właściwie tak, tam była jakaś firma czy coś. Na dzwonku została jej nazwa. Mofiss? Lofiss? Coś w tym stylu.

– Slowpace AS?

– Dokładnie tak.

– Cholera, byłaś blisko. Mofiss?

– Ha, ha. A właściwie dlaczego jej szukasz? Camilli?

– Przecież ci mówiłam.

– Nie, powiedziałaś tylko, że *nie* możesz mi powiedzieć i że to ma związek z twoją pracą.

– Właśnie.

– Och, daj spokój!

– Nie, może później, ale nie teraz.

– Ble! Słuchaj, jeśli nie ma jej w domu, sprawdź w Rema 1000 na Mogata. Wiesz, obok salonu Habiba? Czasem tam pracuje.

– Okej, dzięki.

Siostra się nie rozłączyła.

– No powiedz mi!

– Nie.

– No weź! Chodzi o tych dwóch chłopców na polu?

– Innym razem – zakończyła rozmowę Anja i wsunęła telefon z powrotem do torebki.

Jeszcze raz przyjrzała się tabliczkom na drzwiach.

Slowpace AS.

Nacisnęła dzwonek i czekała.

Nic.

Jeszcze raz, ale nikt jej nie otworzył.

Okej.

Rema 1000, Mogata?

Gdy przeszła przez przejście dla pieszych i ruszyła w stronę parku, zobaczyła postać idącą w jej stronę.

Chuda.

Ostrożna.

Ukryta pod dużym kapturem.

Dziewczyna wzdrygnęła się, gdy Anja zawołała ją cicho po imieniu.

– Camilla?

Przerażone oczy, dziewczyna zatrzymała się przed nią i rozejrzała dookoła.

– Tak?

– Pamiętasz mnie? Anja. Starsza siostra Zofii. Z Lommedalen.

Powolny proces rozpoznawania na bladej twarzy.

– Tak. Cześć. Dawno cię nie widziałam. Ty też tu mieszkasz?

– Nie. Przyjechałam tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

– Ze mną? O czym?

– Masz trochę czasu? Może mogłybyśmy pójść do ciebie?

CORAZ WIĘKSZE ODSTĘPY między domami, a kiedy zjechali z drogi krajowej numer cztery, zabudowania właściwie się skończyły. Kilka budynków zabłąkało się aż tutaj, z całkowicie niezrozumiałego powodu, ponieważ nie było tu praktycznie nic. Najbliżej mieli do Gran/Ringstad, miasteczka, które według przewodnika NAF znalezione w samochodowym schowku nie wiedzieć czemu nazywano również Vassenden. Tak czy siak, mieszkali tam jacyś ludzie. Żadna wyprawa z rodziną nie mogła obyć się bez tego przewodnika. Kolejne wspomnienie z dzieciństwa, a nawet kilka, jak podróż z czasów, gdy miała od ośmiu do piętnastu lat, ciągle wycieczki samochodem, ponieważ jej rodzina nie spędzała wakacji na południu Europy jak normalni ludzie. Skąd! Oni przemierzali Norwegię wzdłuż i wszerz. Wakacje w kraju. Wodospady i wiatry, gęste lasy i namioty, które nie zawsze chroniły przed deszczem. Mama z przodu, zawsze najbardziej entuzjastyczna. Czytanie na głos z czerwonej książki o wszystkich miejscach, które mijali. Mia z czasem zrozumiała, że to był wkład matki, by te wszystkie niesamowicie nudne, długie wakacje uczynić odrobinę ciekawszymi. Ale w wieku trzynastu lat w końcu postanowiła zaprotestować. *Słuchaj, mamó, nie zniosę więcej informacji. Ale tu jest napisane, że ten wodospad ma osiemset osiemdziesiąt jeden metrów długości, a woda spada swobodnie z wysokości sześciuset metrów. Pomyślcie tylko, córeczki, sześćset metrów prosto w dół? Tak, mamó, ale czy musimy o tym czytać? Nie możemy po prostu zobaczyć wodospadu?* Mia nie miała najmniejszego zamiaru przejąć roli matki i robić Szwedowi wykładu z geografii Norwegii. Wyjęła przewodnik ze schowka wyłącznie z powodu mapy.

Dziesięć minut temu minęli Gran/Ringstad tudzież Vassenden. Teraz nie było tu nic. Owszem, jeden dom. Ni przypiął, ni przyłatał. Budynek mieszkalny i magazyn. Sprzedaż opon. Warsztat. Właściwie

czemu nie? Z czynszem wynoszącym zero koron? A samochody można było przecież naprawiać gdziekolwiek. Sprytnie. I na pewno trochę samotnie. Ale teraz koniec. Droga zwężała się, Mia odniosła wrażenie, że zjadł ich las. W żółtym tempie, między gęstymi świerkami, od czasu do czasu błyszczące jezioro albo rzeczka płynąca w dole. Co za przyroda! Znowu sięgnęła po butelkę z wodą. Co właściwie było w tych tabletkach? Ogarnęła ją kolejna fala senności. I tak przez cały dzień.

– Możesz jechać szybciej, wydaje mi się, że nawet osiemdziesiątką.

– Co?

Szwed nadal patrzył sztywno przed siebie. To naprawdę nie był jego dzień. Może znowu odezwały się problemy gastryczne? Nie chciała go o to pytać, nie znała go aż tak dobrze. Właściwie w ogóle go nie znała.

– Osiemdziesiąt – powtórzyła z lekkim zniecierpliwieniem i wyciągnęła oba palce wskazujące w stronę przedniej szyby. – Zostało już tylko dwanaście kilometrów, ale w tym tempie nie dojedziemy tam do wieczora. Może mógłbyś trochę przyspieszyć?

– Co? Osiemdziesiąt?

Prędkościomierz wskazywał marne pięćdziesiąt.

– Tak, osiemdziesiąt. Osiem-zero.

– Wydawało mi się, że na dole było trzydzieści?

– Tak, przy szkole, ale teraz możesz dodać gazu. Tutaj nie ma nikogo, więc możesz zaszaleć. Jesteś pewien, że masz prawko?

– Co?

Odwrócił się teraz, najpierw trochę rozdrażniony, ale zaraz na jego twarzy pojawił się uśmiech. Pierwszy tego dnia.

– Jesteś zabawna, Mio.

Zrzuciła buty i położyła stopy na desce rozdzielczej.

– Prawda?

– Tak, bardzo zabawna. I w pewnym sensie masz rację.

– Co masz na myśli?

Minęli znak z łośiem. Mia słyszała, że te znaki są bardzo popularne wśród turystów podróżujących kamperami – odkręcali je i zabierali ze sobą do domu jako trofea. Dla wszystkich

mieszkających tutaj było to oczywiście dziwne, ale pewnie podobnie by się czuła, gdyby zobaczyła znak z kangurem.

– Lekarz coś wspominał.

– O czym?

Westchnął lekko.

– Że powinienem nosić okulary, nie tylko pracując przy komputerze, ale także prowadząc samochód.

– Co? I dopiero teraz mi o tym mówisz?

– Kiedy jadę wolno, jest okej.

– Cudownie. Czyli to jest twoja maksymalna prędkość?

– Przecież jesteśmy już niedaleko, prawda?

– Prawda.

Zamknęła okno, gdy minęli prześwit i znowu z obu stron otoczył ich gęsty las. Droga zrobiła się jeszcze węższa, o ile to w ogóle było możliwe, a potem nagle skończył się asfalt. Kamyki tryskające spod opon, gdy wjechali na szutrową drogę.

– Powinienem podpisać się na twoim gipsie – powiedział Patrick i skinął głową na jej ramię.

– Wolę, żeby pozostał biały.

– Żadnego W?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie, obędzie się.

Nagle ogarnęła ją kolejna fala senności, tak że musiała znowu otworzyć okno.

– Do cholery, co było w tych tabletkach?

– Źle się czujesz?

– To przychodzi i odchodzi. Przez chwilę jest dobrze, a potem nagle robię się senna.

– Może to są tabletki retard?

– Co to znaczy?

Teraz Szwed się roześmiał.

– Nie wiesz, co to są tabletki retard?

– Nie.

– To są tabletki, których działanie utrzymuje się przez dwadzieścia cztery godziny. Substancja czynna jest uwalniana stopniowo.

– Że co?

– Poważnie? Nigdy o tym nie słyszałaś?
– Rzadko biorę leki przeciwbólowe, ostatni raz, gdy miałam chyba dwanaście lat.

- Co ci przepisali?
- Nobo-coś tam? Nobi?
- Nobligan?
- Możliwe.

Wypiła łyk wody i oparła głowę o zagłówek.

– Okej. Powodzenia. Nobligan retard. To jest morfina⁴⁰. Kiedy wzięłaś tabletkę?

- Tabletkę?
- Tak.
- A jeśli wzięłam trzy?

Prawie wcisnął hamulec.

- Co?
- Czysto teoretycznie?

Przyjemne zmęczenie ogarnęło ją znowu, gdy las otworzył się na nowo i promienie słońca padły na jej twarz.

– Trzy tabletki nobliganu? To może być długi dzień. Lepiej trochę odpocznij, Mio.

MUNCH WYSZEDŁ Z LASU w chwili, gdy Fredrik Riis zbliżał się żwirową ścieżką, mijając biały dom jednorodzinny.

– Jak to wygląda?

– Nasz sprawca, bez wątpienia – odparł Munch i wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

– Na sto procent?

– Dokładnie ta sama procedura. Czasopisma pornograficzne. Wygląda na to, że chłopcom się nie spodobały, bo spalili je w ognisku, ale na ścianach chaty wiszą resztki taśmy.

– Do diabła – wymamrotał Riis. – Oranżada i cała reszta?

Munch przytaknął.

– Cztery, pięć butelek, z czego dwie na schodach. Wczoraj wieczorem była piękna pogoda, prawda?

– W Oslo tak, ale czy tutaj? Nie wiem.

– Przypuszczam, że tutaj było tak samo. Chłopcy siedzieli na zewnątrz. Bawili się na słońcu. Niewykluczone, że zasnęli przed chatą. Musiał wywieźć ich pod osłoną nocy. Widziałeś ślady quada przy spalonym samochodzie dostawczym, zgadza się?

– Znam je już na pamięć.

– Dobrze. Biegnie tamtędy wąska leśna droga, niedaleko kryjówki. Musiał przetransportować ich tą drogą. Tam na górze jest całkiem sucho, więc dużo nie zobaczyłem, ale gdybyś prześledził całą drogę?

– Przyjrzę się temu – powiedział Fredrik i zniknął w lesie.

Munch zapalił papierosa i podszedł do drzwi wejściowych.

Stary mężczyzna, o którym gadali ludzie.

Na zniszczonej tabliczce przy drzwiach widniało nazwisko Wennberg.

Wennberg?

W?

Munch podszedł do okien, ale nie zobaczył zbyt wiele.

Z zamyślenia wyrwał go tubalny głos za jego plecami.

– Przepraszam, czego pan tu szuka?

Starsza twarz. Siwiejące włosy. Ciemne oczy, które łypały na niego ponuro. Podwinięte rękawy koszuli, tatuaże na przedramionach. Owczarek niemiecki na smyczy, który podobnie jak jego właściciel wyglądał tak, jakby nie przepadał za obcymi.

– Munch, policja w Oslo, jednostka do spraw zabójstw – wyjaśnił i wyjął z kieszeni legitymację służbową.

Mężczyzna przyjrzał się jej dokładnie, po czym oddał ją Munchowi.

– Czego pan ode mnie chce?

Owczarek wyszczerzył zęby.

– Czy pan tu mieszka?

Mężczyzna przytaknął.

– Słyszał pan, co się tutaj wydarzyło?

Starzec powoli skinął głową i położył rękę na głowie psa, żeby go uciszyć.

– Nie jestem zaskoczony.

Minął Muncha i wszedł na górę po chybotliwych metalowych schodach. Wsunął klucz do zamka i wpuścił psa do środka.

– Co pan ma na myśli?

Mężczyzna zamknął drzwi za owczarkiem i zszedł z powrotem na ścieżkę.

– To, co powiedziałem. O tym rudym nic nie wiem, ale Kevina znam dobrze. Mieszkają u mnie od dawna.

– Tak? I oczywiście nie ma pan pojęcia, gdzie mogą być?

– Nie, nie mam. Gdybym wiedział, tobym tu teraz nie stał.

– A skąd pan wie, że ten drugi ma rude włosy?

Mężczyzna roześmiał się.

– O, pan detektyw z samej stolicy przyjął taką taktykę? Oczywiście, że wiem, jak wygląda Ronny. To jedyny przyjaciel Kevina.

Usiadł na schodach i zaczął ściągać ciężkie, zabłocone kalosze.

– Ma pan częsty kontakt z sąsiadami z dołu? Z Kevinem i... jego samotną matką, jeśli dobrze zrozumiałem?

Starzec prychnął pogardliwie.

– *Matka* to za dużo powiedziane. *Samotna*? Może raz w miesiącu. Drzwi się u niej nie zamykają. Już dawno przestałem ich liczyć.

– Dobrze się panu z nimi mieszka? Nie są uciążliwymi sąsiadami? Mężczyzna znowu się roześmiał.

– Pyta pan, czy porwałem dwóch chłopców, ponieważ matka jednego z nich nigdy nie płaci czynszu na czas? Nie sędzę, młody człowieku, nie sędzę.

Wstał i splunął na żwir.

– Czy to wszystko? Muszę zająć się swoimi sprawami.

– Tak, wszystko – odparł Munch. – A właściwie nie. Jeszcze jedno. Czy wiedział pan o starej chacie w lesie, jakieś kilkaset metrów stąd?

Mężczyzna spojrział w stronę lasu.

– Tam byli? W chacie myśliwskiej?

– Chata myśliwska? To znaczy, że wiedział pan o niej?

– Oczywiście. To ja ją urządziłem.

– Dla chłopca z dołu? Dla Kevina?

– Tak.

– Mogę spytać po co?

Mężczyzna spojrział na niego i przeciągnął ręką po brodzie.

– Ma pan ojca, detektywie?

– Już nie, ale owszem, miałem. Dlaczego pan pyta?

Starzec położył ciężką, chropowatą dłoń na kłance i ponownie spojrział na las.

– Ja wychowałem się bez ojca. Kevin też. Ktoś musiał się nim zaopiekować, nie uważa pan?

– Rozumiem – przytaknął Munch.

– Czy to już wszystko?

– Chwilowo tak, dziękuję.

Munch zgasił niedopałek kaloszem i właśnie okrążał dom, gdy znowu zawibrował telefon w jego kieszeni. Tym razem go wyjął i przejrzał wszystkie nieodebrane połączenia. Westchnął, wyciągnął z paczki nowego papierosa i wsunął go do ust.

– Pospiesz się, Ludvigu. Mam tu coś.

POGODA SIĘ ZMIENIŁA. Szare chmury zasnuły niebo nad rozległym krajobrazem, wiosna, a w każdym razie ciepło, nie dotarło jeszcze do tej głuszy. Mia otuliła się szczelniej kurtką, podczas gdy Patrick skierował GPS w stronę nieba i ponownie spojrzął na wyświetlacz.

– To powinno gdzieś tu być.

– Dokładnie tutaj czy mniej więcej tutaj?

Westchnął i podał jej szare urządzenie.

– Sama spróbuj.

Odmówiła i zamiast tego rozejrzała się wokół siebie. Na szczęście nie musieli oddalić się za bardzo od drogi. Mia okazała się na tyle przewidująca, że spakowała do torby buty do chodzenia po górach, za to Szwed był ubrany tak, jakby wybierał się do baru.

– To nie jest takie ważne, prawda?

– Co masz na myśli?

Podszedł blisko niej przez wrzosa.

– Ona gdzieś tu była, prawda? Ta lisica? Australijczyk przesłał mi dokładny opis, więc możemy uznać, że to zrobiliśmy, prawda?

Pochuchał na swoje palce.

– To znaczy, co takiego zrobiliśmy?

– Nic się nie stanie, jeśli nie znajdziemy tej nory, skoro wiemy, że była gdzieś tutaj, prawda?

Zatoczyła koło rękami.

– Gdzieś tutaj ją zastrzelił. A to oznacza, że musi znajdować się w pobliżu.

– Niekoniecznie – odparł Patrick i ruszył z powrotem w stronę samochodu. – Mógł przyjechać tu skądkolwiek.

Ominęła bagnistą dziurę i poszła za nim.

– Nie, nie mógł – powiedziała zdecydowanym tonem. – Chciał złapać lisa, prawda?

– Owszem.

– Nie, źle się wyraziłam: nie *chciał*, lecz *potrzebował* lisa. A gdzie można znaleźć lisa?

– Można go sobie kupić.

– Nie bądź tak negatywnie nastawiony. Nie mógł go kupić, bo ryzykowałby, że sprzedawca rozpozna lisa użytego na miejscu zbrodni. Nie mógł aż tak ryzykować. To się rozumie samo przez się.

– Okej – odparł Patrick i otworzył samochód.

– A to oznacza, że musiał wiedzieć, gdzie lisica ma norę, zgadza się? A skąd się o tym dowiedział? Z polowania na lisy? Znasz kogoś, kto poluje w naszym kraju na lisy? Nie. Nikogo. Bo nie da się ich upolować. Lisy są specami od ukrywania się. A więc musi pochodzić stąd, a przynajmniej dobrze znać to miejsce. Musi mieć w pobliżu jakiś domek letniskowy lub coś w tym stylu, nie uważasz?

– Uważam, że nabawię się zapalenia płuc, jeśli szybko stąd nie odjedziemy – wymamrotał i włączył silnik.

– Ale rozumiesz mój tok myślenia? – spytała, siadając obok niego. – Widziałeś, jakie miała ślady? To musiały być sidła. Zastawił na nią pułapkę. Żadnych ran po strzale, prawda? Chciał, żeby była czysta. Do zdjęcia. Nie, to musi gdzieś tu być. W każdym razie musiał przychodzić właśnie *tutaj*. I to wiele razy. O różnych porach. Żeby zastawić pułapkę. Żeby sprawdzić, czy lisica w nią wpadła. Mogę się założyć. Zna to miejsce jak własną kieszeń.

Szwed skręcił tak, że o mało nie wpadł do rowu, ale w końcu udało mu się zawrócić, chociaż wpadł w lekki poślizg na szutrowej drodze.

Drażniło ją, że nie podziela jej entuzjazmu, ale zachowywał się tak od samego rana. Wyraźnie nie był dzisiaj sobą.

Oparła głowę o zagłówek, gdy tabletki znowu powoli dawały o sobie znać, otumaniając ją i usypiając.

– Masz absolutną rację – powiedział w końcu. – Przepraszam. Co twoim zdaniem powinniśmy teraz zrobić?

– Musimy ściągnąć tu ludzi – ziewnęła i oparła głowę o szybę. – A dokładniej mówiąc, musimy porozmawiać z Munchem. Naradzić się z nimi wszystkimi. Opowiedzieć, co widzieliśmy. Pozwolić im podjąć decyzję. Może dziś wieczorem?

– Co masz na myśli, mówiąc *dziś wieczorem*?

– Musimy tu ściągnąć, co tylko się da. Śmigłowiec, może wojsko. Trzeba przeczesać tamten teren, przejść tyralierą, zapukać do każdego domu, chociaż nie ma ich tam zbyt wiele...

– Myślisz, że Munch przyśle tu wojsko i śmigłowiec, ponieważ dowiedziałaś się, gdzie lisica miała swoją norę?

Uśmiechnęła się. Morfina najwyraźniej wywoływała jeszcze jedną falę euforii.

– Właśnie tak myślę. On mnie lubi.

Szwed wybuchnął śmiechem.

– Tak, to prawda, ale nie jestem pewny, czy byłby skłonny przeznaczyć cały swój budżet na tę jedną akcję.

– Wkrótce się przekonamy.

Poczuła ogarniające ją ciepło i znowu oparła głowę o szybę. Warsztat zniknął za rogiem w bocznym lusterku.

Do diabła...

– Zatrzymaj samochód.

– Co?

– Zatrzymaj samochód. Mówię poważnie, zatrzymaj się.

Patrick się wzdrygnął i wcisnął hamulec.

– Co ty wy...?

– Siedź cicho.

– Ale...

– Cicho, nic nie mów.

– Co ty wyprawiasz?

– To on.

– Co?

– Laweta NAF. To jest to nasze brakujące powiązanie. Niech to szlag. Te wszystkie wypadki drogowe.

Otworzyła ostrożnie drzwi i wymknęła się z samochodu, rzuciła przelotne spojrzenie w stronę białego warsztatu, po czym szybko się schyliła i zaczęła biec wzdłuż drogi.

Dotarła do zakrętu, skąd była w stanie odczytać nazwisko na pojeździe holowniczym.

Ulf Holund.

Ulf.

Oczywiście.

Cholera, dlaczego wcześniej tego nie skojarzyła?

Ulf.

W.

Wulf.

Wilk.

Dopiero gdy zobaczyła drzwi, przyszło jej do głowy, że to, co zrobiła, nie było najmądrzejsze.

Nieuzbrojona.

Z głową, która nie funkcjonowała i ciałem, które marzyło tylko o tym, by odpocząć.

Nie ma mowy, Mio.

Oddychała ciężko, nasłuchując.

Nic.

Nie ma go tutaj?

Zakradła się okrężną drogą i dotknęła maski samochodu.

Ciepła.

Przecież musi gdzieś tu być.

Audi powoli wyłoniło się zza zakrętu. Mia próbowała na migi dać znać Patrickowi, żeby odjechał.

Odjedź stąd.

Nieoznakowany radiowóz policyjny.

Rozpozna go.

Teraz widziała tuż przy przedniej szybie, wymachiwał gorączkowo rękami.

Nie, nie, odjedź stąd!

Nie zrozumiała go, dopóki nie położył ręki na kierownicy.

Przenikliwy dźwięk klaksonu dotarł do jej uszu.

Co ty, do cholery...?

Ostrzeżenie.

Ledwo zdążyła się odwrócić.

Kątem oka dostrzegła łopatę.

W brudnym oknie.

Nie.

W akcie desperacji próbowała unieść ręce, ale z gipsem nie dała rady, ciało nie chciało jej słuchać.

Cholera, Mio.

A potem wszystkie dźwięki ucichły.

MUNCH ZAPARKOWAŁ NA miejscu dla niepełnosprawnych przed budynkiem policji w Grønland i pobiegł truchtem pod górkę. Anette Goli czekała na niego przed drzwiami wejściowymi.

– Coś nowego?

Prawniczka potrząsnęła przecząco głową i przytrzymała mu drzwi.

– Nic. Nie możemy jej znaleźć. Szweda również. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, w którym hotelu się zatrzymał.

Pokazali swoje legitymacje na bramce i ruszyli w stronę windy.

Anette wdusiła przycisk.

– Telefon Mii jest wyłączony. Ostatni raz Ludvig miał z nią kontakt przed południem. Pytała go, czy może pożyczyć radiowóz.

– Radiowóz? Jeden z naszych?

Otworzyły się drzwi windy.

– Tak, z garażu podziemnego.

– Czy mamy... Można go jakoś namierzyć?

– Niestety nie. Coś nowego w sprawie chłopców?

– Na razie żadnych śladów, ale kontrolujemy sytuację. Miejscowi funkcjonariusze sprawiają wrażenie bystrzaków. Czerwony Krzyż wystawił profesjonalną ekipę poszukiwawczą, a w drodze jest zespół kryzysowy, który ma pomóc rodzicom.

Do Anette ktoś zadzwonił, ale odrzuciła połączenie. Munch zobaczył odbicie swojej twarzy w lustrze. Zestresowany, zmęczony, wyglądał tak, jakby od dawna nie jadł i nie spał, co nie było zresztą dalekie od prawdy. Żałował, że przed wejściem nie zapalił papierosa. Kolejna okazja mogła się szybko nie trafić.

– Już siedzi w pokoju przesłuchań.

Anette wskazała telefonem pomieszczenie w głębi korytarza.

– To on chciał z nami rozmawiać?

– Tak. Dzwonił jego adwokat. Powiedział, że być może mają informacje, które mogą nas zainteresować, i są gotowi się nimi

podzielić, jeśli będą mieć z tego jakąś korzyść.

- Na przykład odstąpimy od oskarżenia go o handel tabletkami?
- Coś w tym stylu.
- Mamy na to jakiś wpływ?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Może. Muszę porozmawiać z prokuratorem.
- Okej, zadzwoń do niego teraz – odparł i wszedł do pokoju przesłuchań.

Tym razem Frank Helmer wyglądał na bardziej wypoczętego. Był tak wystrojony, jakby miał stanąć przed ławą przysięgłych. Koszula, marynarka, włosy zaczesane do tyłu. Skinął uprzejmie Munchowi i podniósł się lekko na krzesło, gdy ten wszedł do pokoju.

- Okej, czego chcesz? – Munch westchnął i opadł na krzesło.
- Mój klient – zaczął adwokat, ale śledczy przerwał mu ruchem ręki.

– Chcę to usłyszeć od niego. Bez pośredników.

– A więc... – zaczął Helmer, wsunął palec za kołnierzyk koszuli i spojrzał na obrońcę, który ponownie zabrał głos.

– Chodzi o to, że mój klient posiada informacje, które mogą okazać się przydatne...

– Na litość boską! – zagrzemiał Munch. – Naprawdę uważasz, że te informacje mogą *okazać się dla nas przydatne*? Twój klient z dużym prawdopodobieństwem wie, kto w brutalny sposób zamordował czterech małych chłopców, a teraz najprawdopodobniej więzi dwóch kolejnych. Tego chcesz, Frank? Chcesz mieć na sumieniu życie dwojga dzieci?

Helmer się spocił. Czuł się niekomfortowo.

– Ja...

Nerwowe spojrzenie na adwokata.

– Proponujemy... – prawnik odchrząknął – ...żeby sprawa przeciwko mojemu klientowi została umorzona i żeby przyznano mu odpowiednie odszkodowanie, a także przeproszono publicznie za napaść, jakiej...

Nagle Anette wsunęła głowę do pokoju, przyciskając telefon komórkowy do piersi.

– Musisz tego posłuchać...

– Teraz? Poważnie?

– Koniecznie.

Kiedy wyszli na korytarz, uśmiechała się lekko i podała Munchowi komórkę.

– Tak, halo? Z kim rozmawiam?

– Cześć, Munch, tu Anja. Anja Belichek. Wiem, kim on jest, wiem, kim on jest!

Polka mówiła jednym tchem.

– Moja siostra miała przyjaciółkę, która nagle zniknęła. Wydawało mi się, że była hospitalizowana w Gaustad, w końcu ją odnalazłam, nawiasem mówiąc, mieszka tam, gdzie my mieszkaliśmy wcześniej. Nieważne, spytałam ją o Helmera i Lørenskoga, czy widziała ostatnie wydania gazet i czy ich pamięta. Odpowiedziała twierdząco. Wtedy spytałam ją, czy pamięta jeszcze kogoś, kto był związany z tymi dwoma. Zdziwiła się, że ją o to pytam, bo *właśnie* o nim myślała...

– Jak on się nazywa?

– Właśnie to zajęło mi najwięcej czasu. Bo Camilla, przyjaciółka mojej młodszej siostry, nie była w stanie przypomnieć sobie nazwiska. Zdaje się, że cierpi na jakąś chorobę, dysleksję w zakresie imion, nieważne, i dlatego musiałyśmy zadzwonić do innej przyjaciółki, która...

– Anja!

– Ee... tak?

– Jesteś genialna. Jak on się nazywa?

– Ee... Ulf Holund.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent. Bo...

Munch oddał telefon Anette. Gdy wchodził do pokoju przesłuchań, wciąż słyszał głos ambitnej dziewczyny. Usiadł spokojnie na krześle.

– Jak już mówiłem... – Adwokat odchrząknął.

Munch przerwał mu i przesunął kartkę i długopis w stronę Helmera.

– Ulf Holund.

– Ee... co?

– Być może przyjrzymy się twojej sprawie. Jeśli spisz absolutnie wszystko, co wiesz o swoim dobrym przyjacielu Ulfie Holundzie. Gdzie mieszka, co robi...

Adwokat głośno zaprotestował.

– Ulf Holund – powtórzył Munch i przyłożył palec do kartki.

– Nie, nie, żądamy całkowitego...

– Zamknij się – wymamrotał Helmer.

I wziął do ręki długopis.

LYDIA CLEMENS DUŻO rozmyślała o borsuku. Nie mogła przez to w nocy spać. Myślała o tym, jakie to musiało być okropne. Dla tego pięknego zwierzęcia. Być zamkniętym w małej klatce. Tej nocy ogarnęła ją taka złość, że wstała i się ubrała. Już miała wychodzić. Z łukiem zawieszonym na piersi i nożem przy pasku, ale na dworze było tak ciemno i wiatr tak wył, szarpiąc koronami drzew, że zrezygnowała. Bliska płaczu wróciła do łóżka. A jeśli znowu go uwięził? Albo jakieś inne zwierzę? Które było teraz zupełnie samo i nie mogło liczyć na niczyją pomoc. Lydia wyczytała gdzieś, że niektóre zwierzęta są mądrzejsze od ludzi. Znacznie mądrzejsze. I że czują. Dokładnie tak jak ona. Jak wtedy, gdy Birgitte, jedna z kóz, tak bardzo się rozchorowała, że musieli ją ubić przed czasem. Jak Lydia wtedy płakała, trzymając jej głowę; oczy Birgitte zdawały się mówić do niej, błagając o pomoc. Zwierzęta również odczuwają ból. Lydia czytała o kałamarnicach, które zniszczyły oświetlenie wysoko nad swoim akwariem, tryskając na nie wodą, ponieważ miały dość tego, że wszyscy się na nie gapią. I o wiewiórkach, które celowo nasiąkały zapachem grzechotników, żeby inne zwierzęta się ich bały. Przecież to się nie mieści w głowie! Są aż tak mądre?

Na początku go lubiła. Mężczyznę mieszkającego w rozpadającej się chacie. Jego telewizor. Wszystkie ekscytujące rzeczy. I to, że na pewno jest samotny, bo za każdym razem, gdy go widziała, był sam, jak ona, bez przyjaciół. Ale ona miała chociaż dziadka Willy'ego, więc jego jeszcze bardziej żałowała. Tak myślała. Ale już nie. Nie po tym, co zrobił z borsukiem. Na szczęście wiatr ucichł. Wkrótce będzie mogła tam wrócić i go uwolnić, jeśli znowu go uwięził. Może nawet zniszczyć klatkę. Tak, właśnie to zamierzała zrobić, bo nie wolno tak postępować. Zaczynała rozumieć, dlaczego dziadek Willy nienawidzi wszystkich ludzi i dlaczego to oni są przyczyną tego, że niebawem nastanie *długi czas*.

Wstała wcześniej rano, bo chciała wyruszyć tak szybko, jak to tylko możliwe, ale potem przypomniała sobie, że oczywiście nic z tego nie będzie. Ponieważ tego dnia mieli kopać rów. Od strumienia do domu. Zamierzali doprowadzić wodę, żeby nie musieli chodzić do studni, kiedy opróżnią wszystkie dzbanki. Rozmawiali o tym wcześniej wiele razy, ale nic z tego nie wyszło. Ponieważ dziadek Willy nienawidził plastiku. Zwykł powtarzać, że plastik to nieuleczalny nowotwór trawiący przyrodę i że pewnego dnia Ziemia przestanie oddychać, ponieważ plastik ją udusi. Ale w końcu wpadł na pomysł. Pewnego dnia wybrał się na dół do Vassenden i zobaczył tam kontener na śmieci, z którego wystawały plastikowe rury, i wtedy zapaliła mu się nad głową żarówka, tak jak czasem Kaczorowi Donaldowi. Aha, pomyślał, te plastikowe rury są po prostu wyrzucane na śmietnik albo spalone trafiają do atmosfery. W takim razie może lepiej byłoby je do czegoś wykorzystać. Lydia ucieszyła się, kiedy wrócił z nimi do domu i opowiedział jej całą historię. Na myśl o tym czuła przyjemne łaskotanie. Wystarczy odkręcić kran i od razu polecą woda, kiedy będzie myła zęby, tak jak w toaletach w bibliotece. W każdym razie tak było podczas jej ostatniej wizyty w bibliotece kilka zim temu.

Ale ostatnio nie był w najlepszym humorze. Dziadek Willy. Po tym, jak po raz kolejny odwiedzili ich ci z urzędu nadzoru, żeby nakarmić ich kłamstwami i bajeczkami na temat tego, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i nie dzieje się nic złego, chociaż oczywiście wiedzieli, że to nieprawda. Tym razem przyszli inni. Nie ci naburmuszeni, którzy śmiali się z niej, kiedy myśleli, że tego nie widzi. Nie, ta dziewczyna okazała się bardzo miła. Trochę starsza od niej, na oko dwudziestopięcioletnia. W każdym razie było o wiele przyjemniej niż ostatnio. Lydia oprowadziła ją po całym gospodarstwie i dziewczyna nie mogła się jej nachwalić za to, że Lydia tak troskliwie opiekuje się kozami, za piękną skórę owiec, za to, że nigdy wcześniej nie widziała tak czystego chlewu i tak lśniących kurzych piór. Zauważyła mnóstwo takich rzeczy. Lydię wypełniła radość, ogromna radość i dlatego ze smutkiem żegnała się z dziewczyną przy furtce. Oczywiście Lydia bardzo starannie przygotowała się do tej wizyty. Bo to było niezwykle ważne. I dlatego

czytała i uczyła się o wiele pilniej niż zwykle. Napisała nawet wypracowanie, *Matematyka natury*, z pewną pomocą dziadka Willy'ego, ale dziewczyna nie miała czasu go przeczytać. Tak czy inaczej, Lydii udało się odpowiedzieć na wszystkie pytania i dwudziestopięciolatka sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej, bo przez cały czas się uśmiechała.

A mimo to dziadek Willy chodził skwaszony. Lydia uznała, że najwyższy czas, żeby wziął się w garść. Skąd ten zły humor? Czy nie okazała się pojętną uczennicą? W kontakcie z państwem? I czy nie pracowała w pocie czoła przez cały dzień, machając motyką i łopatą, wykopując wrzos i torf, przenosząc ciężkie kamienie? Żeby zrobić miejsce na rury?

Właśnie tak, do cholery.

Będzie musiała z nim porozmawiać, kiedy wróci wieczorem do domu, koniecznie.

Ale nie teraz.

Zawiązała opaskę wokół głowy, wsunęła nóż do pochwy, zdjęła kołczan ze ściany i sprawdziła, czy groty strzał są ostre. Napięła kilka razy łuk, żeby się upewnić, że naciąg jest odpowiedni, po czym zawiązała buty z jeleniej skóry i wyszła na dwór, na piękne popołudniowe słońce.

FREDRIK RIIS WYSIADAŁ z windy na Mariboës gate, gdy Ludvig podbiegł do niego, z trudem łapiąc oddech.

– Mamy go!

– Co?

Ludvig zaprowadził go do sali odpraw, stanął przed dużą mapą i postukał w nią palcem.

– Tutaj mieszka.

– Co ty mówisz? Mamy go? Poważnie?

– Nie rozmawiałeś z nikim z naszych?

– Nie. Właśnie wracam z Hakadal.

– Ma na imię Ulf.

Fredrik nigdy wcześniej nie widział, żeby ten spokojny i opanowany śledczy był aż tak podekscytowany.

– Uspokój się. I zacznij od początku. Mamy go? Mówisz poważnie? Kto go znalazł?

– Anja – odparł z dumą Ludvig.

Siwowłosy śledczy wybiegł niespodziewanie z sali i po chwili wrócił z teczką. Rozrzucił jej zawartość na stole między nimi.

– To wszystko, co udało mi się ustalić do tej pory. Miałem na to tylko dziesięć minut. Munch właśnie dzwonił z Grønland, mamy to z dwóch źródeł...

– Zwolnij trochę. Powiedziałaś *Anja*?

Śledczy się uśmiechnął i poprawił okulary.

– Tak. A co? Pewnie myśleliście, że my, komputerowcy, nic nie potrafimy? Że przez cały dzień siedzimy przed ekranem i układamy pasjansę?

– Skąd, nigdy tak nie uważałem. Ale...

– Ulf Holund. Prowadzi warsztat. Dziesięć kilometrów na północ od Vassenden. I jeździ lawetą NAF.

Ostatnie zdanie wypowiedział z triumfem w głosie.

– Co?

– Prawda?

Poszczególne elementy powoli układały się w całość.

Laweta NAF?

Cholera jasna.

Niedopałki.

Musiał wyjąć je z popielniczki.

Wypadek samochodowy.

Fast food Grillen.

Potrącenie.

Wypadek samochodowy.

Miał go na nagraniu.

Od dawna.

W tle.

Ale wcześniej tego nie zauważył.

Nie był dość uważny.

– Ale to nie wszystko – powiedział Ludvig i potrząsnął głową. – Ten Patrick, wiesz? Nasz szwedzki *profiler*...

– Tak?

– Nie jest tym, za kogo się podaje.

– Co ty mówisz?

– Namierzyłem numer, z którego do nas dzwoniło – wyjaśnił podekscytowany Grønlie. – Wiesz, ze Szwecji. *Polecono* go nam, pamiętasz?

– Nie rozumiem...

– Nie, ja też nic z tego, kurwa, nie rozumiałem. Gdy oddzwoniłem na ten numer, odebrał jakiś starszy człowiek, który nie wiedział, kim jest ani gdzie się znajduje. Bredził coś o tym, że w swojej piwnicy więzi Ingmara Bergmana. Na szczęście w końcu udało mi się go uspokoić. Okazuje się, że nasz Patrick jest jego psychologiem. Kazał mu udawać, że pracuje w policji, i zadzwonić do nas, sprzedać go jako...

– Co ty, do cholery...? Dlaczego?

To było za dużo jak na jeden raz. Fredrik musiał usiąść.

– Patrick Olsson to nikt inny jak Patrick *Hellberg*.

– *Kto?*

– Ojciec Olivera Hellberga – kontynuował Ludvig. – Oliver. Pierwsza ofiara. W Szwecji. To musiało odcisnąć się na jego psychice, nie sądzisz? Najpierw ginie jego syn. Potem żona popełnia samobójstwo. Cały jego świat znika w ułamku sekundy przez tego pieprzonego sukinsyna. Musiał usłyszeć o naszej sprawie i pewnie pomyślał: Do diabła, *muszę* w tym uczestniczyć, *muszę* go ścigać, odnaleźć i spojrzeć mu w oczy. Jeśli o mnie chodzi, gość zasłużył na szacunek. Nabrał całą naszą piątkę.

Fredrik nie wydusił ani jednego słowa.

– Jeszcze tu jesteś? – zdziwił się Ludvig i rozłożył ręce. – Munch ściga tam wszystkie jednostki. Natychmiast.

– Dokąd?

Ludvig znowu podszedł do mapy.

– Tutaj. Serwis opon Gran. Nasi są już w drodze. Zbieraj się.

Fredrik wstał i wybiegł na korytarz. Walnął w przycisk, chociaż wiedział, że to nie sprawi, że winda przyjedzie szybciej, ale musiał dać ujście adrenalinie.

No dalej, no dalej, no dalej...

Jest.

Na podziemnym parkingu było z jakiegoś powodu ciemniej niż zwykle.

Czyżby wysiadło światło?

To nie miało teraz żadnego znaczenia.

Pobiegł do samochodu, wyjął kluczyki z kieszeni marynarki i już miał wsunąć je do zamka, gdy nagle z cienia wyłoniła się wysoka postać.

– Hej ty, casanova.

Fredrik wzdrygnął się na widok Karla Oxena, który stanął przed nim na chwiejnych nogach.

W jednej ręce trzymał butelkę, a w drugiej coś, czym wymachiwał w jego stronę.

– A więc sypiasz z żonami swoich kumpli z pracy? Nie wystarczą ci młode laski, które zwykle podrywasz?

Zarechotał, pociągnął łyk z butelki i podszedł bliżej.

Pistolet?

Kurwa mać.

Fredrik zasłonił się rękami i cofnął o krok.

– Przepraszam, Karl. Naprawdę mi przykro. Nie wiedziałem, kim ona jest. To stało się zupełnie przypadkowo, sądziłem...

– Stul pysk!

Fredrik widział go teraz wyraźniej. Ciemne oczy Oxena ciskały gromy. Był tak pijany, że ledwo trzymał się na nogach.

Znowu zaczął wymachiwać pistoletem.

– Karl, poważnie. Naprawdę nie chciałem. Ja tylko...

Nie zdążył zareagować. Rosły mężczyzna, poruszający się lekko jak bokser na ringu, butelka lecąca w stronę Fredrika w półmroku. Nagle pociemniało mu przed oczami.

– Chryste Panie, Karl...

Smak krwi w ustach. Kolana, które walnęły w cement.

– Podobało ci się? Co? Ty pieprzony kutasie! Było ci dobrze?

Kolejne kopnięcie, tym razem w głowę.

Trzask kręgów szyjnych.

Jeszcze jedno kopnięcie.

I jeszcze jedno.

Miał wrażenie, że nagle sufit zwalił mu się na głowę.

Zapach czegoś.

Wódka.

Wylewała się z butelki prosto na niego.

W chwili, gdy Oxen po raz kolejny podniósł nogę.

COŚ KAPAŁO. NA początku nie rozumiała, że trafił ją w twarz. Mii tam nie było. Przebywała gdzieś indziej. Złote krople z wodospadu. Deszcz z nieba w kolorach, jakich nigdy wcześniej nie widziała. Kolejna kropla. Z czoła opartego o ścianę. I dalej w dół. Do nosa, który czuł zapach pleśni i zgnilizny. Do ust, które nie dały się otworzyć, w których ruszały się zęby. Zimna kropla w końcu prześliznęła się między jej wargami i dopiero wtedy Mia otworzyła oczy.

Słaby snop światła. Z jakiegoś małego okienka. Ręka w gipsie leżała bezwładnie na jej udzie. Drugą coś więziło. Usiłowała odwrócić głowę, żeby zobaczyć, co to, ale natychmiast tego pożałowała. Błyskawica przeszła jej skroń, przeszła przez szczękę, w dół rdzenia kręgowego.

O kurwa...

Więcej tego nie rób. Siedź spokojnie, nie ruszaj głową. Ostrożnie uniosła powieki. Okej, jedna jest sklejoną, ale druga nie.

Ostrożnie.

– Obudziłaś się?

Zobaczyła Patricia z rękami związanymi nad głową, pod oknem, po lewej, przymocowanymi do rury.

– Gdzie jesteśmy?

– W przedsionku piekieł.

Musiała znowu zamknąć oczy, nie miała siły utrzymać otwartej powieki.

Jego głos unosił się nad klepiskiem.

– I nie jesteśmy sami. Są tu dzieci. Dwoje, w sąsiednim pomieszczeniu. Wcześniej krzyczały, ale teraz jest cicho. Zszedł tu po schodach. Mam nadzieję, że tylko zakneblował im usta. Albo zakleił taśmą. Bo chyba najpierw zabije nas? Robi to według jakiegoś rytuału, prawda?

Na moment zniknęła, uniosła się do tego pięknego nieba, bez początku i końca, do tych pięknych kolorów, które nie miały swojego odpowiednika po tej stronie rzeczywistości.

Kolejna złota kropla.

Tym razem ocknęła się, gdy kropla trafiła w jej czoło.

Światło widziane jednym okiem było słabe. Znowu jego głos wzdłuż zimnych murów.

– Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz, Mio. Nie brałem udziału w śledztwie. Jestem ojcem Olivera. Widziałem go już wcześniej. Tego skurwysyna. Wypadek samochodowy, w którym uczestniczyliśmy. Jeździł lawetą. Był wtedy o wiele młodszy, ale to on. Teraz już mogę umrzeć, odnalazłem spokój, teraz wiem...

O czym on mówi?

Te słowa?

Litery, które oddalały się od siebie.

Które nie niosły dźwięku.

Które miały tylko kształt.

Do i ze szpar w klepisku, w zapachu zgnilizny ze ścian, na korytarz, w górę schodów, w dół wzdłuż stóp, które stąpały ciężko, między krokami, do klucza, który został wsunięty w zamek, przez szczeliny, przez okno, w świeżym powietrzu, w górę do światła, mały domek daleko w dole.

Na szczęście.

Teraz nie musiała już się bać.

81

SŁOŃCE WISIAŁO NISKO nad potężnym lasem, gdy Munch zatrzymał się przed białym budynkiem magazynu i wysiadł z samochodu. Natychmiast podbiegła do niego Katja i wskazała czarne audi stojące na końcu domu.

– Była tutaj. Mia. Znaleźliśmy jej telefon na podłodze. I był z nią Szwed.

– Co? Ale jak...?

Wyjął papierosa z kieszeni kurtki i wsunął między wargi, ale go nie zapalił.

Katja potrząsnęła głową.

– Nie wiem.

Z budynku wyszedł miejscowy policjant i przywitał się z Munchem.

– W środku nikogo nie ma. Jego szafka stoi otwarta. Jeśli zwykle jest pełna, to brakuje jednej sztuki.

– Jednej sztuki czego?

– Sorry, broni. Klucze są w środku, więc najwyraźniej bardzo mu się spieszyło.

– A ty jesteś?

– Martinssen, szef posterunku w Gran. Kiedy tylko dostaliśmy wiadomość, wskoczyliśmy do radiowozu. Jest nas tutaj czterech, dwóch jest w drodze do domów znajdujących się kilka kilometrów stąd, żeby sprawdzić, czy ktoś wie, kim on jest i gdzie może się ukrywać.

– Znacie go? Mieliście z nim wcześniej do czynienia?

Martinssen zaprzeczył ruchem głowy.

– Ludzie żyją tu w bliskich relacjach, ale nie *aż tak* bliskich. Łatwo się od tego odciąć, jeśli ktoś chce, żeby dano mu święty spokój. W każdym razie u nas ma czystą kartę. A wy coś na niego macie?

– Nie zdążyłem sprawdzić – wymamrotał Munch i zapalił papierosa.

Rozejrzał się dookoła. Wszędzie gęsto rosnące, potężne drzewa. Odczuwał niepokój. Tutaj nie dało się nikogo znaleźć. Musieliby przeczesywać teren miesiącami.

– Oba samochody są zimne – powiedziała Katja, wskazując głową do tyłu na czerwono-żółtą lawetę NAF zaparkowaną przed bramą. – To oznacza, że od kilku godzin nikogo tu nie było. A to z kolei oznacza, że teraz mogą znajdować się gdziekolwiek.

– Jakies ślady ATV? Quad?

Martinssen zawołał do kolegi, który wciąż przebywał w małej hali.

– Widzieliśmy jakiegoś quada?

Funkcjonariusz wysunął głowę zza drzwi.

– Nie, ale są tutaj kanistry. A obok stołu leży zestaw mniejszych opon, więc całkiem możliwe, że jest tu też jakiś czterokołowiec.

– O ile nie są na sprzedaż – zauważyła sucho Katja i wskazała głową krzywy sztyld wiszący nad drzwiami.

Cholera.

Znów ten niepokój.

Co ona tutaj robiła?

Jakim cudem udało jej się go odnaleźć?

I dlaczego nie zostawiła mu żadnej wiadomości?

Jeszcze raz spojrział na gęsty las i przez chwilę musiał walczyć z poczuciem bezsilności.

Do diabła, jak mieliby...?

– Co robimy? – spytała Katja, jakby czytając w jego myślach. – Jeśli on ich ma? I chłopców? Przecież musi gdzieś ich przetrzymywać.

– Tutaj wszystko zostało dokładnie sprawdzone?

– Nic więcej tu nie ma. Dwa budynki. Żadnych piwnic. Żadnych innych zabudowań. Tylko to.

– To znaczy, że on tutaj nie mieszka?

– Jak widać.

– Cholera! I nie mamy żadnych innych adresów poza tym?

– Zadzwoń do Ludviga i się upewnij.

Podeszła do jego samochodu i wywołała biuro przez trzeszczące radio.

Po chwili wróciła i pokręciła przecząco głową.

– Nic. Jest zameldowany tutaj.

– Rodzina? Znajomi?

– Ludvig nic nie ma. Tylko mnóstwo wydruków ze strony internetowej. Najwyraźniej facet sprzedaje części online. Opony, felgi.

– I nic innego, żadnych znajomych...?

Zapomniał o papierosie i prawie oparzył sobie palce. Rzucił niedopałek na żwir.

Katja skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała na niego wyraźnie zmartwiona.

– Gdzie, kurwa, mamy zacząć szukać?

– Nie wiem.

Nagle usłyszeli cichy odgłos silnika i zza zakrętu wyjechał młody chłopak na skuterze marki Suzuki. Chłopak zdjął kask i rozejrzał się dookoła ze zdziwieniem.

– Cholera, ee... co się dzieje?

– Możemy w czymś pomóc? – spytał Munch i podszedł do niego.

– Chciałem tylko... Jest Ulf?

– Co chciałeś? – zaciekała się Katja.

– Ulf ma mój shimano stradic.

– Shimano...?

– Kołowrotek – wyjaśniła Katja.

Chłopak przytaknął.

– Pożyczył go ode mnie, a jutro wybieram się nad jezioro RandsjØen i dlatego...

– Dobrze go znasz?

– Kogo, Ulfa? Nie, niezbyt, ale...

– Wiesz, gdzie mieszka? Bo chyba nie tutaj?

– Nie, nie, Ulf mieszka w swoim domku letniskowym.

– A dokładniej?

– Na samej górze Brekkåsen.

– To daleko stąd?

– O tak.

– Zaprowadź nas tam.

– Co?

Chłopak spojrział na nich ze zdziwieniem.

– Teraz? Ale... Potrzebujemy jakiegoś pojazdu. Nie możemy tam iść.

– W takim razie *pobiegniemy* – warknęła Katja i popchnęła patykowatego chłopaka przez plac.

KAWAŁKIEM WĘGLA NARYSOWAŁA sobie pod oczami kreski, tak jak to robili Indianie udający się na polowanie, żeby lepiej widzieć zwierzynę, kiedy słońce wisiało na niebie tak nisko jak teraz. Przemykała między drzewami zwinna jak ryś, po wrzosowisku, aż w końcu ujrzała w oddali mały brązowy domek. Nie byli już przyjaciółmi. Dlatego musiała zachować ostrożność. Nie mogła zachowywać się jak zwyczajna miła dziewczyna w lesie, podejść do okna i oglądać kreskówki w telewizji. Nie, tym razem miała się na baczności. Wyostrzyła wszystkie zmysły. Ona przeciwko polującemu na borsuki. Na poważnie. Schyliła się za krzewem jałowca i przyłożyła do oczu małą lornetkę. Zauważyła ruch. Zwykle siedział spokojnie, dopiero gdy zbliżyła się do okna, była w stanie go dostrzec. Z butelką piwa na stole. Jadł widelcem prosto z puszki. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj chodził ciężko w tę i we w tę. Po podwórku. Do quada zaparkowanego na leśnej ścieżce. Potem do domu i z powrotem do czterokołowca. Tym razem coś niósł. Co to było? O rety! Strzelba. Dubeltówka. Szybko zmieniła kierunek patrzenia. Usiłowała dostrzec klatkę, ale dwa duże drzewa zasłaniały jej widok. Schyliła się i zakradła powoli przez trzęsawisko. Cicho jak mysz. Miętko jak wiewiórka. Niebezpiecznie jak grzechotnik. Bo tym razem nie mogło mu się upiec. Jeśli trzyma borsuka w klatce, gorzko tego pożałuje. Myślał, że ma do czynienia ze zwyczajną dwunastolatką? Grubo się mylił. Schwyciła pstrąga gołymi rękami. Samym nożem zabiła jelenia. Czekiła na niego przez wiele godzin. Na gałęzi. Przy strumieniu. Wiedziała, że tam przychodzą. Zima, a w domu nic do jedzenia. Dziadek Willy chory, w małym łóżku przy piecu. Mogła zarznąć jedno ze zwierząt gospodarskich, ale nie chciała. Wszystkim nadała imiona. Oczywiście dziadek Willy sprzeciwiał się temu, w końcu i tak wszystkie umrą, więc nie przywiązuj się do nich za bardzo, ale nie przejmowała się jego słowami. Zwierzęta były jej jedynymi

przyjaciółmi. Na kalendarzu wiszącym obok drzwi było napisane, kiedy umrą. Do tego czasu miały żyć. I właśnie dlatego spakowała kanapki. Wybrała najcieplejsze buty, futrzaną kurtkę i termos z ciepłym napojem. Wdrapała się na drzewo i czekała.

Jeśli znowu uwięził borsuka, to zobaczy.

Z kim ma do czynienia.

Znowu przykucnęła, uklękła na wilgotnym podłożu, ze źdźbeł wokół niej unosił się zapach siarki i metalu. Przyłożyła lornetkę do oczu. Teraz widziała klatkę. Odetchnęła z ulgą. Pusta. Drzwi były otwarte, tak jak je zostawiła. Czy miała to zrobić? Spalić klatkę? Sprawić, by zniknęła? Miała w torbie zapalniczki i benzynową zapalniczkę dziadka Willy'ego. Palić. To lubił. Chociaż wiedział, że to niezdrowe. Chociaż pokazywała mu zdjęcia martwych płuc w książkach.

Trzeba mieć jakieś wady.

Kiedy siedział i charczał przed kominkiem.

Tak, ale co ze mną?

Co ja mam zrobić?

Kiedy nastanie długi czas?

Mam być tutaj?

Całkiem sama?

Lydia spuściła lornetkę na piersi i już miała zakraść się bliżej, gdy nagle coś wydarzyło się przy domu.

Z piwnicy.

Dwie, nie, trzy osoby.

Dwie z przodu i trzecia z tyłu.

Czyżby jednak miał przyjaciół?

Nie.

Do diabła!

Szedł za nimi ze strzelbą.

Szybko przyłożyła do oczu lornetkę, na moment jej zniknęli, ale po chwili wyłonili się z drugiej strony domu.

I powoli ruszyli w stronę torfowiska, prosto na nią.

Dziewczyna. Ciemne włosy. Opaska na oczach. Nie była w stanie iść o własnych siłach.

Podtrzymawał ją ten drugi.

Mężczyzna. Trochę starszy. On też miał opaskę na oczach i ręce związane przed sobą.

Mężczyzna odwrócił się i coś powiedział, ale dostał kolbą strzelby w plecy.

Tamten go popchnął.

Podeszli jeszcze bliżej. Teraz, chwiejąc się na nogach, kroczyli po torfowisku. Nie potrzebowała już lornetki, widziała ich gołym okiem.

Dotarli na miejsce.

Mężczyzna kazał im się zatrzymać.

Uklęknąć.

Zrobił krok do tyłu i wycelował w nich.

I właśnie wtedy wstała.

Ściągnęła z ramienia łuk i założyła strzałę.

– Hej!

Mężczyzna wzdrygnął się i rozejrzał dookoła ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, skąd dolatuje głos.

– Tutaj!

Zbliżyła się do nich zdecydowanym krokiem, miękki torf ugiął się pod jej ciężarem.

Teraz ją zobaczył, gorączkowym ruchem skierował broń w jej stronę, ale strzała już opuściła łuk.

Dwieście kilometrów na godzinę. Mężczyzna odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i wydał z siebie głośny jęk, gdy strzała trafiła go w ramię.

Strzelba wystrzeliła w niebo i stado wron zerwało się z pobliskich drzew, kiedy Lydia zakładała kolejną strzałę.

Tym razem trafiła.

Widziała jego ręce.

Gdy chwycił się za szyję.

Lydia Clemens wyjęła z kołczanu trzecią strzałę, ale to nie było konieczne.

Mężczyzna osunął się na kolana.

Opuścił ręce wzdłuż ciała.

I padł martwy na ziemię.

FREDRIKA RIISA OBUDZIŁY dźwięki waltorni dolatujące z oddali. Leżał z zamkniętymi oczami na dużym szpitalnym łóżku. Tak było przez cały zeszły tydzień. Bał się je otworzyć, bał się sprawdzić, jak czuje się jego ciało, ale zaczynało być lepiej. Krwawienia wewnętrzne, pęknięta śledziona, złamane dwa kręgi szyjne. Ocknął się na intensywnej terapii, wciąż oszołomiony po narkozie, nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Naćpany. Nic nie czuł. Ból pojawił się później. Silny. Jakby jego umysł i ciało zrozumiały to jednocześnie, z opóźnieniem. Musiał dzwonić po pielęgniarki, bez przerwy. *Dajcie mi więcej, nie wytrzymam tego.* Przyspieszona kroplówka, która stała obok jego łóżka, rurka prowadząca do lewego ramienia i znowu zapadał w sen. Pobudka. Ból. Przycisk. I tak w kółko. Ale teraz już lepiej. O wiele lepiej. Dźwięki waltorni za oknem coraz wyraźniejsze, instrumenty dęte blaszane, bębny, klarnety i flety, podskakujące, krzyczące, przeważnie nierówno, ale przecież w tym tkwił cały urok, prawda? Maj w Norwegii. Zbliżało się święto. Państwo miało sto osiemdziesiąt siedem lat, nie, to nie było do końca prawdą, wikingowie zaskarżyliby takie stwierdzenie, napadliby na szpital, zerwaliby z niego gips, uwolniliby go od wszystkich aparatów, ograbiliby z tych paru rzeczy, które posiadał, a potem porąbaliby go na kawałki. Właśnie tak było od ostatniego odzyskania niepodległości. Zaprzysiężeni mężczyźni wokół stołu w Eidsvoll. Konstytucja. I dlatego przez wiele lat szedł w maju ze swoją trąbką w górę Karl Johans gate, przed Pałac Królewski, i grał ze wszystkich sił, podczas gdy rodzina królewska machała do ludzi z balkonu. Orkiestra przy szkole w Uranienborgu, ze swoimi nieco rozczarowującymi mundurkami. Dlaczego wszyscy inni dostali złote guziki i świeże kolory, a oni musieli paradować w marynarskich strojach? I marynarskich czapkach? Jak biało-niebiescy młodzi marynarze, którzy właśnie zeszli na ląd? Trąbki oczywiście nie było,

był kornet, ale jego rodzina nie widziała różnicy. Kornet? Co to takiego? Wyglądał jak trąbka, więc to musiała być trąbka, w końcu sam zaczął tak mówić.

Jego siostra tu była.

Zaraz na początku.

Długo siedziała przy łóżku, płacząc i trzymając go delikatnie za rękę.

Jeszcze nie zaczął mówić, bo zadrutowali mu szczękę, ale próbował wyrazić to wzrokiem.

Będzie dobrze. Czuję się nieźle.

Bardzo dziękuję, że przyszłaś.

W końcu otworzył oczy. Słabe światło słoneczne wpadało do sali przez cienkie zasłony. Zobaczył, że w głębi pokoju ktoś siedzi na krześle.

– Hej – powiedziała ostrożnie. – Obudziłeś się?

– Tak jakby – odpowiedział z uśmiechem i nacisnął guzik unoszący wezgłowie łóżka.

– Nazywam się Silje Simonsen i jestem nauczycielką w szkole w Finstad. Miło mi cię poznać.

Roześmiał się lekko.

– Dziękuję, ciebie również.

– To na wypadek, gdybyś zapomniał, kim jestem.

Uśmiechnęła się i wstała. Podeszła do okna i odwróciła się plecami do parapetu. Możliwe, że leki wciąż działały, ale na jej widok zrobiło mu się gorąco.

– Jak leci?

– Dzięki, w porządku. Idę wieczorem potańczyć. Wybierzesz się ze mną?

Zaśmiała się cicho.

– Bardzo chętnie. Ale myślę, że musimy z tym trochę zaczekać.

Podeszła do niego tak blisko, że poczuł delikatny zapach jej perfum. Przysiadła na brzegu łóżka i pogłaskała go ostrożnie po dłoni.

– W porządku? Czy to cię boli?

– Nie, nie, nie boli.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała i spuściła wzrok.

– Ja też za tobą tęskniłem. – Uśmiechnął się i znowu musiał zamknąć oczy, chwilę odpocząć, za długo trzymał je otwarte.

– Chcesz, żebym już poszła?

– Nie, nie, chcę, żebyś została.

Zbliżyła się jeszcze bardziej, jej oddech na jego skórze.

– Okej. W takim razie zostanę – odparła cicho.

I delikatnie pocałowała go w policzek.

LYDIA SPOJRZAŁA NA stół, żeby sprawdzić, czy o niczym nie zapomniała. Kanapki, okej. Sama go upiekła. Pełnoziarnisty chleb na prawdziwych drożdżach. Masło też sama ubiła. Zwykle robili je z koziego mleka, ale ono nadawało się głównie do picia, więc użyła tego, które dostali w wiadrze od jednego z gospodarzy w dolinie, gdyby miała ubić masło lub oddzielić śmietanę. Najbardziej zadowolona była z dżemu. Wokół nich rosło mnóstwo krzaków malin, było ich tak wiele, że prawie nie musiała się poruszać, żeby napełnić koszyki po brzegi. Znalazła sposób, żeby zrobić dżem bez cukru i żeby mimo to był smaczny. No i oczywiście dżem z jagód. Aż trudno było wybrać między tymi dwoma. Nie mogła się zdecydować, z czego zrobić pudełko na kanapki, ale w końcu wpadła na pomysł. W piwnicy stała stara, okrągła drewniana skrzynka z uchwytem. Owinięta w plastik, czego dziadek Willy szczerze nienawidził, więc musiała być wyjątkowo cenna. Mała i jasnoniebieska, po bokach miała namalowane prześliczne róże. Na dole ktoś napisał imię i rok, *Magdalena 1980*. Skrzynka nadawała się idealnie. Woda w metalowej butelce, okej. Kurtka, na wypadek gdyby zmieniła się pogoda, w końcu miała do przejścia spory kawałek, okej. Dodatkowe skarpetki, to nigdy nie był głupi pomysł, okej. Ręcznik, na wypadek gdyby podczas drogi naszła ją ochota na kąpiel, okej. Tak. Chwyciła się pod boki. To tyle. Zapakowała wszystko starannie do starego, zielonego wojskowego plecaka i postawiła go przy drzwiach. Przeszła cicho przez pokój, żeby przejrzeć się w lustrze. Miała na sobie sukienkę. Tę w duże kwiaty. Tę, którą sama uszyła. Uczesała również włosy. Najpierw zebrała je w węzeł z tyłu głowy, ale potem rozpuściła i pozwoliła, żeby opadały swobodnie na ramiona. Tak lepiej. Okej. Świetnie.

Zapukała do drzwi i weszła ostrożnie do małego pokoju.

– Dziadku?

W środku było ciemno.

Podeszła do okna i rozsunęła zasłony.

– Dziadku? Nie śpisz?

Starzec naciągnął kołdrę na głowę i odwrócił się do niej plecami.

Tak było od kilku dni.

– Dziadku? Wychodzę. Nie pożegnasz się ze mną?

Całkowita cisza, ale widziała, że oddycha.

– Och, daj spokój, dziadku. Przecież to nie koniec świata. Nie odchodzę na zawsze. Wrócę po południu. Chcesz, żebym coś ci przyniosła?

Potrząsnął przecząco głową pod kołdrą.

– Mam już dwanaście lat, więc sama o sobie decyduję. Okej. Muszę już iść. Nie leż w łóżku zbyt długo, wiesz przecież, że rozbolą cię od tego plecy, no dalej, wstawaj, jest tyle do zrobienia.

Zatrzymała się przy drzwiach i nasłuchiwała, czy jednak wstał, ale nie usłyszała żadnego szurania stóp po podłodze.

Trudno.

Przejdzie mu.

Na zewnątrz panowała piękna pogoda. Zupełnie jakby ktoś nad drzewami chciał świętować razem z nią.

Uśmiechnęła się do słońca.

Idę do szkoły.

Czy mogło być coś lepszego?

Lydia Clemens z radością włożyła plecak, rzuciła ostatnie spojrzenie na mały domek, po czym puściła się biegiem w stronę furtki.

MIA Z KUBKIEM HERBATY w rękach siedziała na ławie kuchennej przy oknie wychodzącym na ulicę i spoglądała na ambasadę Włoch. Ktoś pracował w tamtejszym ogrodzie. Dłonie w rękawiczkach nad krzewami bzu, pod pięknymi drzewami. Pomyślała: może ja też wkrótce będę musiała to zrobić? Zająć się ogrodem? Bo chyba mam ogród? Zapomniała zapytać. Telefon zawibrował cicho na ławie przed nią. W pierwszej chwili chciała odrzucić połączenie. Nie miała najmniejszej ochoty z nikim rozmawiać, ale zmieniła zdanie, gdy zobaczyła, kto dzwoni.

– Cześć, Holgerze.

– Cześć, Mio. Co słychać?

– W porządku. A u ciebie?

– Dzięki, dobrze, jestem w domu. Wczoraj cię wypisali?

– Przedwczoraj. Wygląda na to, że jest nieźle. Nadal dzwoni mi w jednym uchu, ale to przejdzie, jeśli nie będę rozmawiać przez telefon.

Roześmiał się.

– Dobrze, Mio, dobrze. Rozmawiałaś z Anette?

– Nie.

– Pomyślałem, że powinniśmy się spotkać za kilka dni. Żeby podsumować całość. Co o tym sądzisz?

– W porządku.

Zamilkł na chwilę.

– Muszę cię o coś spytać. Anette wspomniała, że jeszcze nie podpisałaś umowy. Zakładam, że to zwykła formalność. Chyba nie zamierzasz nas opuścić?

Uśmiechnęła się nad kubkiem herbaty.

– Nie, zamierzam zostać. Oczywiście, jeśli mnie chcesz.

Wyraźnie mu ulżyło.

– Oczywiście, Mio, oczywiście. Mamy przed sobą wiele dobrych lat. Dostałaś kwiaty?

– Tak. Przypomnij mi, kto je przysłał?

– Rodzina Ronny’ego Enga. Nie posiadają się z radości. Chcieli się z tobą spotkać. Podziękować ci osobiście. Powiedziałem, że to nie najlepszy pomysł. Miałem rację?

Przytaknęła.

– Jestem trochę zmęczona.

– Jeszcze tego by brakowało. Ja też zostawię cię zaraz w spokoju. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz.

Usłyszała w tle jakieś odgłosy, był na dworze, ktoś go wołał.

– W takim razie do zobaczenia za kilka dni?

– Skoro już rozmawiamy...

– Tak?

– Zapomniałeś mi opowiedzieć, jak poszło.

– Z czym?

– Wtedy w Manglerud... Kiedy pilnowałeś tamtej skrzynki pocztowej.

W tle miły głos.

Idziesz, tato? Grill się nagrzał.

– Opowiem ci innym razem. Życie wzywa.

– Okej. Dzięki za telefon.

Odłożyła komórkę. Zobaczyła, że skończyli na dziś. Zebrali narzędzia z zielonej trawy i spokojnym krokiem poszli w stronę pięknego budynku. Właśnie miała nastawić wodę na kolejną herbatę, gdy nagle przed domem zauważyła jakąś postać.

Długie, jasne włosy pod czapką.

Chude ramiona wokół chudego ciała.

O mój Boże!

Sigrid.

Mia zeskoczyła z blatu i zbiegła bosą po schodach.

– Sigrid!

Zmieniła się prawie nie do poznania. Błada. Rozdygotana. Ledwo była w stanie mówić.

– Cześć, Mio. A więc tutaj mieszkasz?

– Tak, wejdz. Nie możesz tu stać.

Objęła jej kruche ramię i pomogła wejść po schodach. Sigrid leciała jej przez ręce, z ogromnym trudem ściągnęła brudne buty.

Weszły do sypialni, usiadły na łóżku.

Mia ostrożnie pomogła jej zdjąć ubranie.

– Gdzie byłaś, Sigrid? Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Napłynęły teraz, łzy, potoczyły się po policzkach.

– Jestem taka zmęczona. Nie mam siły rozmawiać.

– W takim razie nic nie mów, kochanie. Później o wszystkim porozmawiamy.

Pomogła jej się położyć. Delikatnie okryła ją kołdrą. Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

– Mio?

Sigrid wyciągnęła do niej rękę.

– Tak, kochanie? Nic już nie mów. Jestem tutaj. Zaopiekuję się tobą.

– Czuję się taka brudna. W środku.

Mia przysiadła na brzegu łóżka i spokojnie pogłaskała siostrę bliźniaczkę po jasnych włosach.

– Nie jesteś brudna. Jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam. Nikt nie jest tak czysty jak ty. Jesteś biała jak śnieg.

Niewyraźny uśmiech na bladych, ładnych ustach.

Zanim powoli zamknęła oczy.

I zasnęła.

-
- ¹ Kripos – *Kriminalpolitisenralen* (Centrala Policji Kryminalnej); od 2005 r. *Den nasjonale enhet for bekjempelse av organisert og annen alvorlig kriminalitet, Kripos* (Centralna Jednostka ds. Przestępczości Zorganizowanej i Przestępstw o Wysokiej Szkodliwości Społecznej, Kripos). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
 - ² Systembolaget – szwedzka państwowa sieć sklepów monopolowych sprzedająca napoje wysokowe o zawartości alkoholu powyżej 3,5 proc.
 - ³ Hallands Fläder – popularna szwedzka wódka (38 proc.) o słodkim, kwiatowym aromacie.
 - ⁴ Allan Edwall (właśc. Johan Allan Edwall, 1924–1997) – szwedzki aktor, reżyser, pisarz i muzyk; zagrał w wielu filmach Ingmara Bergmana.
 - ⁵ Cornelis Vreeswijk (1937–1987) – szwedzki aktor, autor piosenek i poeta duńskiego pochodzenia.
 - ⁶ Tomas von Brömssen (ur. 1943) – szwedzki aktor; największą popularność zdobył dzięki roli w serialu komediowym *Albert & Herbert*.
 - ⁷ Tak do Herberta, granego przez Tomasa von Brömssena, zwracał się jego serialowy ojciec Albert, w którego wcielił się Sten-Åke Cederhök.
 - ⁸ Oslo Sentralstasjon – centralny, największy dworzec kolejowy w Norwegii.
 - ⁹ Plata – popularna nazwa placu Christiana Frederika w Oslo, gdzie zbierają się narkomani.
 - ¹⁰ Nazwy handlowe leków zawierających odpowiednio flunitrazepam i diazepam, które mają bardzo silne działanie nasenne (flunitrazepam), sedatywne, przeciwłękowe, miorelaksacyjne i przeciwdrgawkowe.
 - ¹¹ Olaf V, właściwie Alexander Edward Christian Frederik (1903–1991) – król Norwegii w latach 1957–1991. Od 1991 roku królem Norwegii jest Harald V.
 - ¹² Szwedzki odpowiednik Jana Kowalskiego.
 - ¹³ Barratt Due musikk institutt – prywatna szkoła muzyczna w Oslo założona w 1927 roku przez małżeństwo muzyków: pianistkę Mary Barratt Due i skrzypka Henrika Adama Due; szkoła oferuje naukę muzyki na wszystkich poziomach, od przedszkola do matury.
 - ¹⁴ Norsk institutt for naturforskning (NINA) – jednostka badawcza założona w 1988 roku, z siedzibą w Trondheim, podlega Ministerstwu Klimatu i Ochrony Środowiska.
 - ¹⁵ Chodzi o tytułowego bohatera serii książek *Emil ze Smalandii*, które powstały w latach 1963–1997.
 - ¹⁶ Mikael Åke Persbrandt (ur. 1963) – szwedzki aktor filmowy, teatralny, telewizyjny, zagrał m.in. Beorna w *Hobbicie*.
 - ¹⁷ Maria Bonnevie (ur. 1973) – szwedzko-norweska aktorka filmowa, zagrała m.in. tytułową rolę w *Księdze Diny*.
 - ¹⁸ Fredrik Skavlan (ur. 1966) – norweski dziennikarz i rysownik, najbardziej znany jako prowadzący autorski talk-show; od 2006 roku partner życiowy Marii Bonnevie.
 - ¹⁹ Max Carl Adolf von Sydow (1929–2020) – szwedzki aktor filmowy; wystąpił m.in. w kilkunastu filmach wyreżyserowanych przez Ingmara Bergmana.
 - ²⁰ Henrik Arnold Wergeland (1808–1845) – norweski poeta, dramaturg i prozaik.
 - ²¹ Arne Nordheim (1931–2010) – norweski kompozytor, w latach 1967–1972 współpracownik Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia. Od 2011 roku w Grotten mieszka Jon Fosse (ur. 1959), norweski pisarz i dramaturg, który tworzy w nynorsk.
 - ²² Promień Księżycy to imię Indianki, głównej bohaterki bardzo popularnego w Skandynawii komiksu *Srebrna Strzała*, stworzonego przez belgijskiego rysownika Franka Selsa w 1965 roku.

- ²³ „KK” – najstarszy i największy norweski tygodnik dla kobiet, założony w 1874 roku pod nazwą „Nordisk Mønster-Tidende” („Gazeta Skandynawskiego Wzoru”). W 1940 roku zmieniono nazwę na „Kvinner og Klær” („Kobiety i Ubrania”), a w 1970 roku skrócono ją do „KK”.
- ²⁴ Norges Automobil-Forbund (NAF) – norweskie stowarzyszenie właścicieli samochodów założone w 1924 roku.
- ²⁵ Telemarkskanalen – śródlądowa droga wodna o długości 105 km, z osiemnastoma śluzami i różnicą poziomów wynoszącą 72 m; powstała w drugiej połowie XIX w. i łączy miejscowości Dalen i Skien w Telemarku w południowej Norwegii.
- ²⁶ Olav Duun (właśc. Ole Julius Raabye, 1876–1939) – norweski pisarz.
- ²⁷ Bunad – norweski strój narodowy inspirowany tradycyjnymi strojami ludowymi, ręcznie szyty, bogato zdobiony i bardzo drogi, często przekazywany z pokolenia na pokolenie, noszony podczas specjalnych okazji: m.in. chrztów, confirmacji, ślubów, na Boże Narodzenie oraz w święto narodowe 17 maja.
- ²⁸ Zakład Karny Ullersmo w gminie Ullensaker w Akershus, założony w 1970 roku; przebywa tam 250 osadzonych z długimi wyrokami.
- ²⁹ Chloroheksydyna – syntetyczny antyseptyk używany głównie do odkażania skóry, błon śluzowych, ran oraz narzędzi chirurgicznych.
- ³⁰ Molde International Jazz Festival (MIJF) lub Moldejazz odbywa się w 29. tygodniu roku; to jeden z najstarszych festiwali jazzowych w Europie, organizowany od 1961 roku.
- ³¹ Park Vigelanda – część parku Frogner w Oslo ze zbiorem ponad 200 rzeźb norweskiego artysty, ucznia Rodina, Gustava Vigelanda (1869–1943); zespół parkowy z prawie 600 postaciami powstał w 1940 roku.
- ³² Jedna z najsłynniejszych rzeźb w parku Vigelanda przedstawia nagiego chłopczyka, który krzyczy i tupie nogą.
- ³³ Ulica Żniwna.
- ³⁴ Ulice Żytnia, Jęczmienna, Łąkowa.
- ³⁵ Ulice Sztachetowa, Pługowa, Spichrzowa.
- ³⁶ Hurtigruten – norweska linia promowa założona w 1893 roku, obsługująca codzienne kursy pasażersko-towarowe między Bergen a Kirkenes; pełny kurs Bergen–Kirkenes–Bergen trwa 11 dni.
- ³⁷ Rikskriminalpolisen (Rikskriminalen, Rikskrim, RKP) – Krajowa Policja Kryminalna, od 2015 roku zastąpiona przez Nationella operativa avdelningen (NOA) – Krajowy Wydział Operacyjny Policji.
- ³⁸ Sinsenkrysset – trzypoziomowy węzeł drogowy w Oslo.
- ³⁹ Block Watne – jedna z wiodących norweskich spółek deweloperskich, będąca w całości własnością koncernu OBOS.
- ⁴⁰ To nie do końca prawda. Morfina to organiczny związek chemiczny wchodzący w skład opium, a nobligan retard zawiera tramadol, przeciwbólowy syntetyczny lek opioidowy.